

Daniel Silva



„Za każdą fortuną kryje się zbrodnia”.
Honoré de Balzac

Sprawa Rembrandta

powieść sensacyjna

To decyzji o odejściu z Biura Gabriel Allon i jego piękna żona Chiara osiadają wśród smaganych wiatrami wzgórz Kornwalii. Samotnością nie cieszą się jednak zbyt długo. Wkrótce pojawia się u nich znajomy, ekscentryczny marszand sztuki, Julian Isherwood z Londynu, któremu tylko Allon może pomóc.

W zabytkowym angielskim miasteczku Glastonbury zamordowano konserwatora odnawiającego niezwykle cenny obraz Rembrandta, a samo płótno skradziono. Mimo rozterek Allon przyrzeka Isherwoodowi pomoc w wytropieniu mordercy i odzyskaniu obrazu. Łańcuch poszłak, przez Amsterdam i Buenos Aires, prowadzi do pewnej rezydencji na brzegu Jeziora Genewskiego, a w trakcie swojej misji Allon odkrywa, że za poszukiwanym dziełem Starego Mistrza ukrywa się mroczna, śmiertelnie niebezpieczna tajemnica.

Gabriel Allon po raz kolejny wraca do świata, o którym chciał już wielokrotnie zapomnieć. Pełna zaskakujących zwrotów akcji, opowiedziana wartko *Sprawa Rembrandta* to nie tylko świetna rozrywka. To również przypomnienie, że są na tym świecie ludzie, którzy dla piędzdy zrobią wszystko.

Daniel Silva, pisarz amerykański, jeden z najbardziej utalentowanych autorów powieści szpiegowskich. W wydawnictwie MUZA SA ukazało się dotychczas jego osiem bestsellerowych książek: *Angielski zabójca*, *Spowiednik*, *Śmierć w Wiedniu*, *Książę ognia*, *Postanice*, *Tajny sługa*, *Reguły Moskwy* i *Lciekinier*.

Prawa do sfilmowania serii książek o Gabrieli Allonie zostały kupione przez wytwórnię Universal Pictures.

Patroni medialni



Cena 34,99 zł

ISBN 978-83-7756-162-9



9 788377 581629



www.muza.com.pl

Daniel Silva

Sprawa Rembrandta

przełożył Wojciech Jędruszek

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Tytuł oryginału: *The Rembrandt Affair*

Projekt okładki: *LASER / Wojciech Jankowski*

, Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Korekta: *Irma Iwaszko*

Zdjęcie wykorzystane na okładce © Stefan Andronache - Fotolia.com

© 2010 by Daniel Silva. All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012

E for the Polish translation by Wojciech Jędruszek

ISBN 978-83-7758-166-7 (oprawa twarda) ISBN 978-83-7758-162-9 (oprawa broszurowa)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA Warszawa 2012

Książkę wydrukowano na papierze

Creamy HiBulk 2.4 53g/m² dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

zing

www.zing.com.pl

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360 Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 2012 Wydanie I

Skład i łamanie: MAGRAF S.C., Bydgoszcz Druk i oprawa: Colonel S.A., Kraków

*Dla Jeffa Zuckera,
za przyjaźń, wsparcie i odwagę,
oraz, jak zawsze,
dla mojej żony Jamie
i moich dzieci, Lily i Nicholasa*

Za każdą fortuną kryje się zbrodnia.

Honoré de Balzac

Prolog

PORT NAVAS, KORNWALIA

Pierwszą osobą, która zauważyła powrót Nieznajomego do Kornwalii, był Timothy Peel. Odkrycia tego dokonał tuż przed północą pewnej deszczowej środy w środku września. Parę godzin wcześniej uprzejmie, lecz stanowczo odmówił uczestnictwa w wieczornym spotkaniu z kolegami z pracy w pubie Godolphin Arms w Marazion.

Nie wiedział, dlaczego przyjaciele nadal go zapraszali - nieraz już dał im do zrozumienia, że nie gustuje w zakrapianych imprezach. Na domiar złego teraz, za każdym razem, gdy pojawiał się w pubie, rozochoceni kompani namawiali go do opowieści o „małym Adamie Hathawayu”. Sześć miesięcy temu, w jednej z najbardziej dramatycznych akcji w historii miejscowej stacji ratownictwa wodnego, Peel uratował tonącego sześciolatka ze zdradzieckiej kipieli w zatoce Sennen i w jednej chwili stał się bohaterem narodowym. Wkrótce dziennikarze, którzy przybyli na miejsce, przeżyli wielkie rozczarowanie, bo okazało się, że barczysty dwudziestolatek o wyglądzie idola filmowego odmawia udzielenia jakiegokolwiek wywiadu. Wśród kolegów milczenie Peela nie spotkało się ze zrozumieniem. Każdy z nich chętnie wykorzystałby swoje pięć minut, rozwodząc się nad „znaczeniem pracy zespołowej” czy „wielkimi tradycjami szczytnej służby”. Postawa młodego człowieka nie znalazła też uznania wśród mieszkańców zachodniej Kornwalii, którzy tylko czyhali na okazję, żeby udowodnić angielskim snobom z Północy swoją wyjątkowość. Od Falmouth Bay do Land's End każda wzmianka o Peelu wywoływała zafrasowanie. Od małego był trochę dziwny, mówiono w Port Navas. Pewno przez rozwód rodziców. Nigdy nie poznał swojego ojca. A ta jego matka! Zawsze ją ciągnęło do nieciekawych typów. Pamiętacie Dereka, tego pisarza, który nigdy nie trzeźwiał?

Podobno był niedobry dla chłopca i miał ciężką rękę.

Rozwód był prawdziwy. Tak samo lania, które Timothy'emu regularnie spuszczał jego ojczym. Wiele z tych plotek miało oparcie w faktach, ale zachowanie Peela wynikało z czegoś zupełnie innego. Jego milczenie było przede wszystkim hołdem dla pewnego mężczyzny, który dawno temu mieszkał przy nabrzeżu Port Navas w starej chacie zarządcy fermy ostryg. To on pokazał dorastającemu chłopcu, jak się żegluje, naprawia stare samochody, to on nauczył go lojalności i poszanowania piękna. To od niego Timothy dowiedział się, że swoje obowiązki wykonuje się solidnie, ale nie ma powodu, żeby się tym przechwalać.

Swojego mentora i anioła stróża o obcym, poetycko brzmiącym nazwisku Timothy w myślach nazwał Nieznajomym. Wciąż jeszcze posiadał sfatygowany dzienniczek z zaznaczonymi godzinami jego wyjść i powrotów, nadal przechowywał zdjęcia starej chaty jasno oświetlonej nocą. Choć Nieznajomy opuścił Kornwalię wiele lat temu, Timothy wciąż miał przed oczami jego sylwetkę przy sterze drewnianego kecza, wracającego przesmykiem Helford po samotnej nocy na morzu. Stojąc w oknie swojej sypialni, chłopiec zawsze wtedy go pozdrowiał milczącym uniesieniem ręki, Nieznajomy zaś, w odpowiedzi na jego gest, dwa razy gasił i zapalał światła pokładowe.

Od tamtej pory, zarówno w Port Navas, jak i w życiu Timothy'ego, zmieniło się prawie wszystko. Jego matka przeprowadziła się z nowym kochankiem do Bath. Nigdy nietrzeźwiejący Derek podobno mieszkał teraz w nadmorskim bungalowu w Walii. Stara chata zarządcy fermy ostryg po generalnym remoncie stała się własnością bogatych weekendowiczów z Londynu, urządzających hałaśliwe przyjęcia i nieustannie strofujących swoje rozbrykane dzieci. Stare czasy przypominała tylko podarowana chłopcu przez Nieznajomego żaglówka, zacumowana teraz u ujścia rzeki i spokojnie kołysząca się na falach przypiływu.

Słyszac silnik samochodu, Timothy wstał z łóżka i podszedł do okna. W wilgotnej ciemności dostrzegł wolno jadącego szarego range-rovera. Samochód stanął przy starej chacie na nabrzeżu i przygasił światła. Silnik i wycieraczki

nadal pracowały. Po chwili otworzyły się drzwiczki i Timothy zobaczył sylwetkę wysiadającego kierowcy. Mężczyzna był ubrany w ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, na głowie miał płaską czapkę naciągniętą nisko na czoło. Mimo mroku i odległości chłopak od razu rozpoznał swojego przyjaciela z dzieciństwa. Przybysza zdradził chód - jak zwykle pewny i lekki. Unikając światła latarni, nocny gość ruszył w stronę przystani. Zatrzymał się przy łódce Peela, po czym szybko zszedł po kamiennych schodkach i zniknął chłopcu z oczu.

Czyżby Nieznajomy wrócił do swojej żaglówki? Po chwili przybysz znów się pojawił, trzymając w lewej ręce opakowaną w folię paczkę wielkości sporej książki. Sądząc po pokrywającej ją warstwie brudu, musiała przeleżeć długi czas w ukryciu. Kiedyś Timothy wyobrażał sobie, że Nieznajomy jest przemytnikiem. Może faktycznie tak było?

Na przednim siedzeniu range-rovera Timothy dostrzegł osobę z burzą bujnych włosów. Uśmiechnął się. W życiu Nieznajomego wreszcie pojawiła się kobieta.

Usłyszał trzask zamykanych drzwiczek, po chwili samochód ruszył. Gdyby Timothy się pośpieszył, mógłby go jeszcze zatrzymać. Zamiast tego postąpił tak, jak kiedyś - uniósł rękę w milczącym pozdrowieniu. Range-rover przyśpieszył. Timothy już myślał, że jego gest nie został dostrzeżony, gdy Nieznajomy zwolnił i dwa razy mrugnął światłami.

Chłopak nie odchodził od okna. Sylwetkę pojazdu pochłonęła ciemność, dźwięk silnika zamarł w oddali. Wreszcie Timothy wrócił do łóżka i podciągnął koc pod samą szyję. Matka wyjechała, Derek był w Walii, chata zarządcy znajdowała się w rękach okupanta. Ale nie był już sam. Nieznajomy wrócił do Kornwalii.

Część pierwsza

POCHODZENIE

1.

GLASTONBURY, ANGLIA

Choć Gabriel Allon jeszcze o tym nie wiedział, dwa niepowiązane z sobą wydarzenia już zdecydowały o jego dalszym losie. Pierwsze miało miejsce za zamkniętymi drzwiami światowych agencji wywiadowczych, drugim były kradzieże dzieł sztuki od jakiegoś czasu nękające Europę. Ich skala była tak wielka, że ostatnie kilka miesięcy dziennikarze nazwali „letnią epidemią”. Bez-cenne obrazy znikwały jak kartki pocztowe z ulicznych kiosków. Stróże porządku nie byli tym wcale zdziwieni. „Sto milionów dolarów wiszące na słabo strzeżonej ścianie to ogromna pokusa dla każdego złodzieja” - powiedział reporterom jeden z pracowników Interpolu.

Bezczelność rabusiów szła w parze z ich bezsprzecznym profesjonalizmem. Policja zwróciła uwagę na żelazną dyscyplinę przestępców. Nie zanotowano żadnych przecieków, żadnych oznak wewnętrznych konfliktów, żadnych żądań okupu. Kradzieże były częste, ale dobrze przemyślane, w każdej akcji ginął zawsze tylko jeden obraz. To nie byli amatorzy szybkich zysków ani członkowie mafii szukający nowego źródła nielegalnych dochodów. To byli złodzieje dzieł sztuki w dosłownym znaczeniu. Jeden ze sfrustrowanych bezowocnym śledztwem detektywów twierdził, że obrazy skradzione w ostatnich miesiącach znikną na długie lata, jeśli nie dekady. Wyglądało na to, że lista dzieł sztuki z Muzeum Dzieł Skradzionych będzie się wydłużać.

Nawet policja była pod wrażeniem pomysłowości i wszechstronności złodziei. Ich działania przypominały mecze wielkich mistrzów tenisa, którzy z taką samą łatwością potrafią wygrywać na kortach ziemnych i na trawie. W czerwcu, werbując jakiegoś sfrustrowanego ochroniarza w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum, ukradli płótno Caravaggia *Dawid trzymający*

głową Goliata. W lipcu zorganizowali śmiały skok w Barcelonie, wynosząc z Muzeum Picassa *Portret señory Canals*. W tydzień później ze ściany Muzeum Matisse'a w Nicei znikł uroczy olej *Maisons à Fenouillet*. Odbyło się to tak niepostrzeżenie, jakby obraz nagle rozplynął się w powietrzu. Pod koniec sierpnia w londyńskiej Galerii Courtauld miał miejsce wprost podręcznikowy napad typu „uderz i uciekaj”, zakończony stratą *Autoportretu z zabandażowanymi uchem* Vincenta van Gogha. Czas akcji zamknął się w dziewięćdziesięciu siedmiu sekundach, a wychodzący z łupem złodziej zatrzymał się po drodze na drugim piętrze galerii, by wykonać nieprzyzwoity gest pod adresem *Aktu kobiecego* Modiglianiego. Jeszcze tego samego wieczoru filmik z tą sceną stał się przebojem w Internecie. Zrozpaczony dyrektor Galerii Courtauld uznał zachowanie złodzieja za trafne podsumowanie tego okropnego lata.

Jak należało się spodziewać, wkrótce zaczęto szukać winnych zaistniałej sytuacji. „The Times” doniósł, że niedawny audyt wewnętrzny w Galerii Courtauld zalecił przeniesienie oleju Van Gogha w lepiej strzeżone miejsce, jednak sugestie zostały zlekceważone. Mimo rad, dyrektor galerii uparł się wystawić obraz holenderskiego mistrza właśnie w tym, a nie w innym miejscu.. Nie chcąc pozostać w tyle za swoim medialnym rywalem, „The Telegraph” opublikował serię artykułów o problemach, z jakimi muszą się borykać brytyjscy muzealnicy. Czytelnicy dowiedzieli się, że zarówno National Gallery, jak i Tate ze względów finansowych nie ubezpieczają swoich zbiorów, licząc wyłącznie na skuteczność kamer monitoringu i dobry wzrok marnie opłacanych pracowników. - Nie powinniśmy się dziwić, że dzieła sztuki w takim tempie znikają ze ścian muzeów - stwierdził znany londyński marszand Julian Isherwood. - Raczej dziękujemy Bogu, że kradzieże te nie zdarzają się częściej. Nasze dziedzictwo narodowe jest zagrożone.

Co bogatsze muzea szybko zwiększyły skuteczność swoich zabezpieczeń, jednak ogromnej większości placówek nie pozostawało nic innego jak tylko ryglowanie drzwi i modlitwa do opatrności. Gdy wrzesień minął bez żadnej kradzieży, świat sztuki odetchnął z ulgą. Na czołówki gazet powróciły stare problemy. Nie ustawały potyczki w Iraku i Afganistanie, widmo kolejnej

recesji czaiło się tuż za rogiem. Czy przeciętny obywatel mógł rzeczywiście przejmować się stratą starych, pokrytych farbą prostokątów płótna? Przewodnicząca jednej ze światowych organizacji pomocowych oszacowała, że całkowita wartość skradzionych dzieł sztuki wynosi tyle, co kilkuletni budżet pomocy dla Afryki. - Czy nie byłoby lepiej - spytała - gdyby bogaci tego świata, zamiast ozdabiać ściany czy traktować sztukę jako inwestycję, wydawali swoje miliony na coś pożyteczniejszego dla ludzkości?

Wypowiedź ta została przyjęta z dystansem przez Juliana Isherwooda i znaczną część jego kolegów ze świata sztuki. Na podatniejszy grunt natrafiła jednak w Glastonbury na równinie Somerset. Już w średniowieczu pielgrzymowali tu chrześcijanie, którzy chcieli choć na chwilę stanąć w cieniu Świętego Głogu, rosnącego w miejscu, gdzie w roku pańskim 63 n.e. uczeń Jezusa, Józef z Arymatei, położył swój kostur. Po starym klasztorze w Glastonbury zostały już tylko okazałe ruiny nawy wznoszące się w szmaragdowozielonym parku. Współcześni goście rzadko je odwiedzali, woleli wspinać się na magiczne wzgórze Tor lub przechadzać po High Street wśród sklepów z amuletami New Age. Niektórzy przybywali tu w poszukiwaniu samych siebie, inni liczyli, że ktoś wskaże im w życiu właściwy kierunek. Boga - lub przynajmniej jego rozsądnego wizerunku - poszukiwali tylko nieliczni.

Christopher Liddell zamieszkał w Glastonbury z całkiem innego powodu. Przyjechał tu dla kobiety, został dla dziecka. Nie był pielgrzymem, lecz więźniem.

Wyjazd z londyńskiego Notting Hill, do którego namówiła go najbliższa osoba, okazał się całkowitą katastrofą. Pięć lat temu Hester stwierdziła, że tylko w Glastonbury zdoła się odnaleźć, ale już na miejscu uznała, że kluczem do jej szczęścia będzie odejście od partnera. Niejeden pogodziłby się z taką sytuacją i natychmiast wyjechał, ale nie Liddell. Choć już nie kochał Hester, nie mógł sobie wyobrazić życia bez Emily. Wybrał przebywanie wśród pogan i druidów, bo nie chciał się stać tylko wyblakłym wspomnieniem w pamięci swojego jedyne dziecka. Zrezygnował z powrotu do Londynu i zacisnąwszy zęby, siedł dalej przez życie. Zawsze starał się być człowiekiem solidnym. Robił to, co uważał za słuszne.

W Glastonbury jest wiele magicznych miejsc. Jednym z nich jest bistro Hundred Monkeys, od 2005 roku oferujące kuchnię wegańską i ekologiczną. Schowany za otwartą gazetą „Evening Standard” Liddell siedział w swoim ulubionym kącie. Przy sąsiednim stoliku kobieta w mocno zaawansowanym wieku średnim czytała książkę *Dorośle dzieci. Tajemnicza dysfunkcja*. W drugim końcu lokalu łysy prorok w zwiewnej białej piżamie robił wykład o duchowości zen szóstce wpatrzonych w niego z uwielbieniem słuchaczy. Tuż przy wyjściu, opierając nieogolony podbródek na zaciśniętych pięściach, siedział mężczyzna po trzydziestce i studiował tablicę z ogłoszeniami. Anonsy nie zaskakiwały - były wśród nich zaproszenia do miejscowego Klubu Pozytywnego Życia, informacja o bezpłatnym seminarium poświęconym wynikom analizy sowych wyplułek, reklama tybetańskiej terapii pulsacyjnej. Mężczyzna wpatrywał się w tablicę ze skupieniem. Stojąca przed nim filiżanka z kawą pozostawała nietknięta, otwarty notes niezapisany.

Poeta szukający inspiracji, pomyślał Liddell. Albo polemista czekający na impuls do dyskusji.

Przyjrzał mu się uważniej. Gość ubrany w wystrzępione džinsy i flanelową koszulę miał ciemne włosy związane w krótki, gruby kucyk i czarne, szkliste oczy. Na prawej ręce nosił zegarek na szerokim skórzanym pasku, na lewym przegubie Liddell zauważył kilka tanich srebrnych bransoletek. Żadnych tatuaży. Dziwne, pomyślał Liddell. W Glastonbury nawet mocno starsze panie mają atramentowe ozdoby. Czysta skóra, tak jak słońce w zimie, była tu rzadkim zjawiskiem.

Wysoka, jasnowłosa kelnerka z przedziałkiem na środku głowy położyła rachunek na leżącej przed Liddellem gazecie. Miała filuterny uśmiech, a na obcym sweterku identyfikator z napisem Gracja. Czy było to jej imię, czy stan duszy, tego Liddell nie wiedział. Od kiedy odeszła Hester, kobiety przestały go interesować. Dopiero niedawno w jego życiu pojawiła się nowa osoba. Cicha, tolerancyjna, wdzięczna za okazane zainteresowanie. I co najważniejsze, potrzebująca Liddella tak samo, jak on jej. Idealna kochanka, której istnienie zamierzał zachować w tajemnicy.

Wstał od stolika, płacąc gotówką. Hester, zagorzała zwolenniczka kart kredytowych, na pewno z tego powodu zrobiłaby mu scenę.

Nachylony nad notesem poeta czy polemista zaczął coś gorączkowo pisać. Liddell ruszył do wyjścia. Na zewnątrz czekała go lepka mgła, w oddali słychać było rytmiczny łoskot. Przypomnił sobie, że w każdy czwartkowy wieczór w miejskiej sali zgromadzeń odbywała się szamanistyczna terapia bębna-
mi.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, minął St John's Church i parafialne przedszkole. Jutro, tak jak zawsze o pierwszej po południu, stanie tam wśród matek i opiekunek, oczekując Emily. Sąd rodzinny potraktował go niewiele lepiej niż przypadkową nianię. Miał prawo spędzać z córką tylko dwie godziny dziennie, co ledwo wystarczało na wspólną przejażdżkę karuzelą i wizytę w cukierni. Ostatnia zemsta Hester.

Skręcił w Church Lane. Po obu stronach wąskiej alejki wznosiły się szare, kamienne ściany. Panowały tu egipskie ciemności, bo jedyna w tej okolicy latarnia już od dawna nie działała. Od jakiegoś czasu Liddell nosił się z zamiarem kupienia małej latarki, takiej samej, jaką mieli jego dziadkowie podczas niemieckich nalotów na Anglię, ale ciągle odkładał to na później. Nagle wydało mu się, że słyszy za sobą kroki, jednak gdy spojrzął przez ramię, nie zauważył nikogo. Przewrażliwienie, pomyślał. Ależ z siebie głupek, powiedziałyby Hester.

Alejka prowadziła do małego osiedla graniczącego z boiskiem sportowym. W zaułku Henley Close stały domki z tarasami i kilka bliźniaków. Cztery domy, te najbardziej wysunięte na północ i nieco większe od pozostałych, miały ogrody oddzielone od ulicy niskimi murkami. Liddell dobrze wiedział, że zaniedbany trawnik pod numerem osiem regularnie ściąga krytyczne spojrzenia sąsiadów, ale się tym nie przejmował. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi. W sieni powitało go świergotanie alarmu. Wprowadził kod, którego osiem cyfr było datą urodzenia Emily, i wszedł po schodach na piętro. Wiedział, że otulona mrokiem dziewczyna czeka na niego. Zapalił światło.

Siedziała na drewnianym zydlu, na ramiona miała narzucony szal z

ozdobionego szlachetnymi kamieniami jedwabiu. Z jej uszu zwisały perłowe kolczyki, na bladej skórze piersi błyszczał złoty łańcuch. Upływ czasu sprawił, że niegdyś alabastrowa skóra pożółkła, a na twarzy pojawiły się pęknięcia i nierówności. Tylko Liddell posiadał moc, która mogła ją uleczyć. W szklance przygotował bezbarwną mieszankę - dwie miarki acetonu, jedna spirytusu metylowego, dziesięć miarek terpentyny - w której zanurzył pałeczkę zakończoną watą. Pocierając zarys piersi dziewczyny kolistym ruchem, patrzył jej prosto w oczy. Nie odwracała spojrzenia. W oczach miała zaproszenie, na ustach obiecujący uśmiezek.

Odrzucił zużyty tampon na podłogę, i Gdy sięgał po nowy, usłyszał na dole hałas, przypominający szczęk zamka u drzwi. Zamarł. Unosząc głowę, zawołał: - Hester, to ty? - Nie usłyszawszy odpowiedzi, zanurzył świeży wacik w przezroczystym płynie i wrócił do usuwania brudu z piersi dziewczyny. Po kilku sekundach znowu, tym razem bliżej, usłyszał hałas. Nie był już sam.

Gdy się odwrócił, na podeście schodów dostrzegł ciemną sylwetkę. Przybysz zrobił dwa kroki i wszedł do studia. Flanelowa koszula i džinsy, ciemne oczy i włosy ściągnięte w kucyk. Mężczyzna z Hundred Monkeys. Nie mógł być ani poetą, ani polemistą, bo w dłoni trzymał pistolet. Liddell sięgnął po butelkę z rozpuszczalnikiem. Zginął, bo był człowiekiem solidnym.

2.

ST JAMES'S, LONDYN

Gdy następnego dnia Emily Liddell, mająca cztery lata i siedem miesięcy, wyszła po południu z parafialnego przedszkola St John's, nikt na nią nie czekał. Był to pierwszy sygnał nadchodzącej tragedii. Wkrótce znaleziono ciało jej ojca. Przed wieczorem policja potwierdziła fakt morderstwa. Serwis BBC dla hrabstwa Somerset podał tylko nazwisko ofiary, nie wspomnieli o zawodzie Liddella ani nie podali motywu zabójstwa. Radio 4 całkowicie zignorowało tę wiadomość, podobnie postąpiła ogólnokrajowa prasa. Tylko „Daily Mail” zamieścił informację o morderstwie w Glastonbury, ale pośród wielu innych doniesień o przestępstwach na terenie całego kraju.

Gdyby nie Oliver Dimbleby, śmierć Christpphera Liddella przeszłaby zupełnie bez echa. Londyński świat sztuki zawsze ostentacyjnie ignorował prasę brukową. Otyły, lubieżny handlarz z Bury Street był wyjątkiem i mimo sukcesu zawodowego nigdy nie wstydził się swoich robotniczych korzeni i nawyków. To on, pijąc poranną kawę, przeczytał w „Daily Mail” o morderstwie w Glastonbury. Wkrótce Dimbleby roztrąbił sensacyjne wieści w barze restauracji Green's na Duke Street, gdzie, świętując sukcesy lub narzekając na los, spotykali się handlarze dziełami sztuki.

Tego wieczoru jednym z gości baru był Julian Isherwood, właściciel tylko czasami wypłacalnej, za to zawsze ekscytującej londyńskiej galerii Isherwood Fine Arts z Mason's Yard 7-8, St James's. Przyjaciele nazywali go Julkiem, partnerzy okazjonalnych bibek Szokującym Julkiem. Julian należał do ludzi pełnych sprzeczności. Był człowiekiem błyskotliwym i bezkrytycznym. Tajemniczym jak szpieg, a zarazem ogromnie naiwnym. Dusza towarzystwa. W londyńskim światku sztuki firma Isherwood Fine Arts od lat stanowiła

ulubiony przedmiot obserwacji i plotek. Świąciła wielkie triumfy, ponosiła kompromitujące klęski; pod jej z pozoru szacowną fasadą zawsze można było się dopatrzeć cienia intrygi. Wzloty i upadki firmy ściśle wiązały z credo jej właściciela: Najpierw Obrazy, Później Pieniądze. W skrócie NOPP. Ślepa wiara w słuszność reguły NOPP przed kilkoma laty wpędziła Isherwooda w tak poważne tarapaty finansowe, że Dimbleby posunął się do raczej niewczesnej propozycji wykupu jego firmy. Transakcja się nie odbyła, a obydwaj niedoszli partnerzy handlowi postanowili o tym niefortunnym zdarzeniu jak najszybciej zapomnieć.

Słyszając relację Dimbleby'ego o morderstwie w Glastonbury, Isherwood zbladł. Po chwili, mamrocząc coś o konieczności wizyty u chorej ciotki, jednym haustem wychylił swój gin z tonikiem i z szybkością rasowego napastnika drużyny piłkarskiej rzucił się w kierunku wyjścia.

Z galerii wykonał nerwowy telefon do zaufanego policjanta z wydziału do spraw dzieł sztuki, po dziewięćdziesięciu minutach pracownik Scotland Yardu oddzwonił. Usłyszane wiadomości potwierdziły najgorsze domysły marszanda. Katastrofa finansowa wydawała się nieuchronna. Żaden z dotychczasowych kryzysów nie zapowiadał się tak strasznie jak ten. Firma znalazła się na krawędzi przepaści, niewinne osoby mogły paść ofiarą szaleństwa jej właściciela. Ojciec Juliana na pewno przewróciłby się w grobie.

Zdesperowany Isherwood ponownie złapał za telefon, ale wybrawszy kilka cyfr, odłożył słuchawkę. Lepiej za wcześniej nie wykladać kart na stół, pomyślał. Załatwi to osobiście.

Sprawdził swoje jutrzejsze plany. Trzy mało obiecujące spotkania, każde z nich mogło być przesunięte na później. Skreślił je wszystkie, w nagłówek kartki napisał pewne biblijne imię. Przypatrywał mu się przez moment, następnie kilkoma pociągnięciami pióra je wykreślił. Weź się w garść, pomyślał. Co z tobą, Julek? Co ty sobie, do cholery, wyobrażałeś?

3.

PÓŁWYSEP LIZARD, KORNWALIA

Nieznajomy nie mógł wrócić do starej chaty przy cieśninie Helford, więc wynajął mały dom na wysokim, skalistym brzegu półwyspu Lizard. Wzniesiony u wylotu zatoki Gunwalloe budynek otaczał kobierzec fioletowej armerii i czerwonej kostrzewy, tuż za nim zaczynało się opadające ku plaży, pocięte żywopłotami zbocze. Zatokę o kształcie półksiężyca zawsze uważano za niebezpieczną. W jej spienionych wodach spoczywał wrak statku. Turyści odwiedzali Gunwalloe rzadko, miejscowi rybacy czasami zapędzali się tu w poszukiwaniu okoni morskich. Nieznajomy wiedział, że dom i plaża zatoki bardzo przypominają scenierię dwóch nadmorskich pejzaży namalowanych przez Moneta w Pourville, z których jeden, kilka lat temu, został skradziony z muzeum w Polsce i dotychczas go nie odnaleziono.

Mieszkańcy Gunwalloe zyskali nowy temat do rozmów. Słyszeli, że umowa dzierżawy domu została podpisana w dość niezwykły sposób. Jakiś prawnik z Hamburga, reprezentujący lokatora, bez dyskusji zapłacił z góry za dwanaście miesięcy najmu. Jeszcze bardziej dały im do myślenia samochody, które pojawiły się nad zatoką tuż po transakcji - eleganckie czarne limuzyny z tablicami dyplomatycznymi, radiowozy lokalnej policji, anonimowe vauxhalle z szarymi ludźmi w szarych garniturach. Cieszący się wśród tubylców reputacją światowca Duncan Reynolds, od trzydziestu lat kolejowy emeryt, uważnie obserwował ochroniarzy, którzy fachowo sprawdzili posiadłość tuż przed spodziewanym przyjazdem jej lokatora. - Te chłopaki to nie zwykli, tuzinkowi fachowcy - doniósł później w pubie. - Prawdziwa górna półka. Wyglądali na profesjonalistów, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

Mieszkańcy osady zgodnie podejrzewali, że nieznajomy ma do wypełnienia jakąś ważną misję, nikt jednak nie miał pojęcia co do jej charakteru. Widywali mężczyznę tylko podczas codziennych krótkich wypadów na zakupy. Niektórzy, zwłaszcza ci starsi, wyczuwali w nim wojskowego. Kobiety twierdziły, że jest przystojny, co sprawiło, że miejscowi faceci natychmiast poczuli do niego niechęć. Pojawili się nawet tacy, którzy przebąkiwali o potrzebie pokazania mu miejsca w szeregu, jednak ci co bardziej doświadczeni szybko im to wybili z głowy. Byli pewni, że mimo niespecjalnie imponującej sylwetki, ten człowiek z niejednego pieca chleb jadł. - Jak go zaczepicie - ostrzegali - porachuje wam kości.

Egzotycznie wyglądająca towarzyszka nowego lokatora różniła się od swojego starszego partnera jak ciepło różni się od zimna, a światło słońca od szarych chmur. Jej wyjątkowa uroda dodała ulicom Gunwalloe prawdziwej klasy, niektórzy nawet uważali, że wniosła do wioski klimat międzynarodowej intrygi. Gdy miała dobry humor, z jej pięknych oczu bił blask, często jednak nieznajoma była wyraźnie smutna. Ekspedientka miejscowego sklepiku, Dottie Cox, twierdziła, że tajemnicza kobieta musiała niedawno kogoś utracić. - Próbuje to ukryć - utrzymywała Dottie. - Ale bidulka jeszcze cierpi.

To, że przybysze są cudzoziemcami, było oczywiste. Na ich kartach kredytowych widniało nazwisko Rossi, często też rozmawiali ze sobą po włosku. Gdy Vera Hobbs z piekarni zebrała się na odwagę i spytała, skąd pochodzą, zagadnięta kobieta odpowiedziała wymijająco:

- Przede wszystkim z Londynu. Mężczyzna milczał jak grób. - Albo jest okropnie nieśmiały, albo ukrywa jakąś tajemnicę - doszła do wniosku Vera. - Dam głowę, że chodzi o to drugie!

Co do jednej sprawy mieszkańcy wioski byli wyjątkowo zgodni - pan Rossi bardzo dbał o swoją żonę. Może nawet za bardzo, bo przez kilka pierwszych tygodni po przyjeździe nie oddalał się od niej nawet na krok. Dopiero z początkiem października kobieta musiała uznać jego tak bliską obecność za zbędną i zaczęła przychodzić do wioski sama. W tym czasie mężczyzna, jak to dowcipnie ujął jeden z wiejskich obserwatorów, odbywał zasadzoną przez jakiś tajemniczy trybunał karę samotnych spacerów po klifach wybrzeża półwyspu Lizard.

Krótkie wycieczki stawały się coraz dłuższe, marsze coraz bardziej forsowne, w końcu przybysz zaczął znikać na kilka godzin. Ubrany w ciemnozielony płaszcz marki Barbour i płaską, naciągniętą nisko na czoło czapkę wędrował po skalistym brzegu na południe, aż do zatoki Kynance i do Lizard Point, lub na północ, za rzekę Loe do Porthleven. Niekiedy wyglądał na całkowicie zatopionego w myślach, czasami sprawiał wrażenie zwiadowcy na rekonesansie. Podczas gdy Vera Hobbs twierdziła, że mężczyzna próbuje sobie o czymś przypomnieć, Dottie Cox miała zdecydowanie odmienne zdanie na ten temat. - To jasne jak słońce, głuptasie. Biedak wcale sobie niczego nie przypomina, jest wprost przeciwnie. On za wszelką cenę chce o czymś zapomnieć.

Dwie inne sprawy jeszcze bardziej podsyciły ciekawość mieszkańców wioski. Pierwsza dotyczyła dziwnych rybaków, którzy zarzucali wędki w zatoce zawsze wtedy, gdy nieznajomy oddalał się od domu. W Gunwalloe wszyscy jak jeden mąż byli tego samego zdania: gorszych wędkarzy ze świecą by szukać. Zgodnie więc uznano, że tamci tylko udają rybaków. Druga sprawa dotyczyła barczystego młodzieńca o wyglądzie idola filmowego, jedynego gościa tajemniczych lokatorów. Dopiero zajmujący się kiedyś połowem krabów Malcolm Braithwaite, za którym wciąż ciągnął się zapach morza, zidentyfikował gościa jako chłopca Peelów. - To ten, który uratował małego Adama Hathaway'a w zatoce Sennen i nie chciał o tym rozmawiać - przypomniał Malcolm wszystkim. - Dziwak z Port Navas. Matka regularnie łoła mu skórę. Matka albo jej narzeczony, już nie pamiętam.

Pojawienie się Peela jeszcze bardziej podniosło temperaturę dyskusji w pubie Lamb and Flag. Malcolm Braithwaite uważał, że tajemniczy przybysz jest świadkiem koronnym, ukrywającym się w Kornwalii pod opieką policji. Duncan Reynolds ubzdurał sobie, że nieznajomy jest rosyjskim uciekinierem. - Tak jak ten gość Bułganow - obstawał przy swoim. - Ten, którego kilka miesięcy temu zamordowali w Docklands. Nasz nowy przyjaciel powinien uważać na siebie, bo skończy tak samo.

Autorem najbardziej kontrowersyjnej teorii był właściciel całkiem niezłej pizzerii w Helston, Teddy Sinclair. Pewnego razu, szukając czegoś w Internecie, Teddy natknął się na archiwalny artykuł z dziennika „The Times”, opisujący porwanie w Hyde Parku Elizabeth Halton, córki amerykańskiego ambasadora.

Sinclair triumfalnie zaprezentował swoim słuchaczom komputerowy wydruk nieostrego zdjęcia dwóch wybawców Elizabeth, którzy rankiem pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia przeprowadzili brawurową akcję odbicia zakładniczek w Westminster Abbey. Oficjalny meldunek Scotland Yardu mówił o udziale jednostki sił specjalnych SO-19, „The Times” upierał się przy wersji, że rzekomi brytyjscy antyterrorysty byli w rzeczywistości agentami izraelskiego wywiadu. Starszy z bohaterkiej dwójki, ten o ciemnych włosach i siwych skroniach, miał być nie kim innym jak sławnym izraelskim szpiegiem i zabójcą, Gabrielem Allonem. - Przyjrzyjcie mu się dokładnie. To on, mówię wam. Człowiek, który mieszka w Zatoce Gunwalloe, to właśnie Gabriel Allon.

Słowa Teddy'ego wywołały największy wybuch śmiechu w Lamb and Flag od czasów, gdy podchmielony Malcolm Braithwaite uklęknął na jedno kolano i wyznał dozgonną miłość Verze Hobbs. Gdy w końcu udało się przywrócić porządek, upokorzony Teddy Sinclair zgniół artykuł w kulkę i wrzucił go do ognia buzującego w kominku. Nie było nikogo, kto by mu powiedział, że miał całkowitą rację.

Nieznajomy musiał zauważyć zainteresowanie, jakie wzbudzał, ale widocznie mu to nie przeszkadzało. Pilnował pięknej kobiety, wspinał się po smaganych wiatrem skałach wybrzeża. Czasami wyglądał, jakby chciał coś sobie przypomnieć, czasami sprawiał wrażenie, że o czymś chce zapomnieć. W drugi wtorek listopada, zbliżając się do południowego końca zatoki Kynance, na tarasie Polpeor Café w Lizard Point dostrzegł niebezpiecznie wychyloną przez barierkę postać wysokiego, siwego mężczyzny, patrzącego w jego stronę. Przystanął i włożył rękę do kieszeni płaszcza, wyczuwając pod palcami kojący kształt beretty 9 mm. Dopiero gdy mężczyzna na tarasie zaczął wymachiwać rękami, jakby się topił, Gabriel wypuścił z ręki kolbę pistoletu i ruszył dalej. Wiatr huczał mu w uszach, serce waliło jak młotem.

4.

LIZARD POINT, KORNWALIA

Jak mnie znalazłeś, Julianie?

- Chiara powiedziała, że poszedłeś na spacer w tym kierunku.

Gabriel patrzył na niego z niedowierzaniem.

- A jak inaczej mogłem cię znaleźć, mój drogi?

- Albo wyciągnąłeś mój adres od dyrektora generalnego MI5, albo Szamron ci powiedział. Tak, założę się, że to sprawka Szamrona.

- Zawsze byłeś mądrym chłopcem.

Isherwood dolał mleka do herbaty. W tweedowym palcie wyglądał jak wiejski dzentelmen. Jego długie, siwe loki były niedawno przycięte, co niechybnie oznaczało pojawienie się nowej kobiety w jego życiu. Gabriel nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Zawsze podziwiał zapał, z jakim Isherwood angażował się w kolejne afery miłosne. Była to pasja równie wielka, jak jego namiętność do pięknych obrazów.

- Podobno gdzieś tam - Isherwood poruszył głową w kierunku morza - znajduje się dawno zatopiona kraina, ciągnąca się aż po wyspy Scilly. Legenda mówi, że przy sprzyjającym wietrze można usłyszeć bicie kościelnych dzwońców.

- Wiem, według miejscowych przekazów to Lyonesse, Miasto Lwów.

- Może słyszałeś też historię o archaniele, który zamieszkał na wysokim brzegu zatoki Gunwalloe?

- Zachowajmy umiar w aluzjach biblijnych, Julianie.

- Sprzedaję obrazy starych mistrzów, więc odwołania do Biblii są nieodłączną częścią mojej pracy. Zresztą trudno o wstrzemięźliwość w miejscu takim jak to. Dla mnie jest tu zbyt spokojnie, ale dobrze rozumiem, dlaczego ciebie zawsze tu ciągnęło. - Isherwood rozpiął górne guziki paltka. - Pamiętam

tę rozkoszną chatkę, którą miałeś w Port Navas. I tego okropnego małego dra-
nia, pilnującego jej pod twoją nieobecność. Przypomnij mi, jak on się nazywał?

- Peel - powiedział Gabriel.

- Ach tak, młody Peel. Przypominał ciębie. Urodzony szpieg, słowo daję.
Dał mi kiedyś niezłe popalić, kiedy przyjechałem po obraz, który wcześniej
zostawiłem pod twoją opieką. - Isherwood udał, że się zastanawia. - Czy to nie
był Tiziano Vecellio?

- Tak, *Adoracja pasterzy*. - Gabriel skinął głową.

- Wspaniały obraz - powiedział Isherwood z błyskiem w oku. - Pamiętam,
że losy mojego biznesu wisiały wtedy na najcieńszym włosku, jaki można było
sobie wyobrazić. Ten Tycjan mógł mi zapewnić wypłacalność przez kilka na-
stępnych lat. Miałeś go odrestaurować, a zamiast tego zniknęłaś z powierzchni
ziemi, pamiętasz? Przepadłeś jak kamfora. - Isherwood się skrzywił. - Byłem
głupi, że wdałem się w kunszachty z tobą i twoimi przyjaciółmi z Tel Awiwu.
Wy tylko wykorzystujecie takich ludzi jak ja. A kiedy już osiągnięcie swój cel,
rzucacie nas wilkom na pożarcie.

Isherwood ogrzewał dłonie nad ściemniałym ze starości aluminiowym im-
brykiem. Mimo nazwiska i wyznawanej hierarchii wartości, wcale nie był ro-
dowitym Anglikiem. Miał brytyjskie obywatelstwo i paszport, ale urodził się w
Niemczech, odebrał francuskie wychowanie, a jego religią był judaizm. Tylko
jego najbliżsi przyjaciele wiedzieli, że trafił do Londynu w roku 1942 jako
wycieńczone wojennymi przejściami dziecko, wcześniej przeniesione przez
zaśnieżone Pireneje z Francji do Hiszpanii na plecach pary baskijskich paste-
rzy. Jego ojciec, znany paryski marszand Samuel Isakowicz, został zamordo-
wany wraz z żoną w Sobiborze, niemieckim obozie zagłady. Chociaż Isherwo-
od starannie ukrywał szczegóły swojej przeszłości, historia jego dramatycznej
ucieczki z okupowanej przez nazistów Europy dotarła do uszu legendarnego
szefa izraelskiego wywiadu, Ariego Szamrona. W połowie lat siedemdziesią-
tych, podczas fali palestyńskich ataków terrorystycznych na żydowskie cele w
Europie, Szamron zwerbował marszanda jako „dobrowolnego pomocnika”,
sajana. Isherwood otrzymał tylko jedno zadanie - miał stworzyć operacyjną

przykrywkę dla młodego konserwatora obrazów i zabójcy, Gabriela Allona, i dbać o jej wiarygodność.

- Kiedy z nim rozmawiałeś? - spytał Gabriel.

- Z Szamronem? - Isherwood niedbale wzruszył ramionami. - Wpadłem na niego kilka tygodni temu w Paryżu.

Mina Gabriela mówiła sama za siebie. Na Ariego Szamrona się nie wpadało. A większość tych, których to spotkało, już nie żyła.

- Gdzie w Paryżu?

- Zjedliśmy kolację w jego apartamencie w Ritzu. Byliśmy sami.

- Jakże romantycznie...

- Tak naprawdę to nie byliśmy całkiem sami, bo kręcił się jego ochroniarz. Biedny Szamron jest stary jak judejskie wzgórze, a mimo to wrogowie nadal na niego polują.

- Taka branża, Julianie.

- Tak, chyba masz rację. - Isherwood spojrzał na Gabriela i uśmiechnął się niewesoło. - Jest uparty jak osioł. I tak samo sympatyczny. Ale jestem zadowolony z faktu, że jeszcze pracuje, i bardzo boję się chwili, kiedy umrze. Po jego śmierci Izrael będzie inny. Tak samo jak Bulwar Króla Saula.

Na Bulwarze Króla Saula mieściła się siedziba izraelskiego wywiadu. Oficjalna nazwa centrali była długa i wystarczająco mętna, aby osoby niepowołane nie od razu odgadły prawdziwy cel jej działalności. Pracownicy nazywali ją po prostu Biurem.

- Szamron nigdy nie umrze, Julianie. Jest nieśmiertelny.

- Nie byłbym tego wcale taki pewny, mój drogi. Nie wyglądał zbyt dobrze.

Chociaż Szamron był na emeryturze już prawie dziesięć lat, nadal traktował Biuro jak swój prywatny folwark. To on w przeszłości zatrudnił wszystkich kluczowych pracowników i on ich wyszkolił. Ludzie Biura myśleli tak jak on, mówili językiem, który został przez niego stworzony. Szamron nie był już szefem, ale wciąż pozostawał szarą eminencją izraelskich służb bezpieczeństwa. W korytarzach ministerstwa nadal był znany jako Memuneh - przywódca, ten, który rządzi. Przez dłuższy czas Szamron chciał, żeby Gabriel, traktowany przez niego jak niesforne dziecko, objął stanowisko dyrektora Biura. Gabriel miał

inne plany. Jednak Szamron pozwolił mu odejść z organizacji, z którą Allon był związany od dzieciństwa, dopiero po niedawnych strasznych przejściach w Rosji.

- Dlaczego tu jesteś, Julianie? Przecież umawialiśmy się, że gdy będę gotowy do pracy, nawiążę z tobą kontakt.

Isherwood wychylił się do przodu i dotknął ramienia Gabriela.

- Szamron opowiedział mi o tym, co przeżyłeś w Rosji - odezwał się cicho. - Nie jestem psychologiem, ale podejrzewam, że te wspomnienia nadal cię prześladowają.

Gabriel obserwował mewy nad Lizard Point, unoszone wiatrem jak latawce. Myślni był gdzie indziej. Znów stał nad świeżo wykopanym grobem w podmoskiewskiej brzezinie u boku Chiary, ręce miał związane na plecach, a przed oczami lufę wielkiego pistoletu. Po drugiej stronie rowu widział Iwana Charkowa, rosyjskiego oligarchę, międzynarodowego finansistę, handlarza bronią i mordercę. *Przypatrz się, jak umiera twoja żona, Allon.* Gabriel zamrugnął, wspomnienie zniknęło.

- Co ci powiedział Szamron?

- Wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, dlaczego chcesz się zamknąć z żoną w tym domku i nie wyściubić stąd nosa. - Isherwood zamilkł na chwilę. - Czy to prawda, że Chiara była w ciąży, kiedy ją porwano w Umbrii?

Gabriel zamknął oczy i skinął głową.

- W drodze z Włoch do Rosji zaaplikowali jej bardzo mocne środki odurzające i poroniła.

- Jak się czuje teraz?

- Jak odrestaurowany obraz. Wygląda pięknie, ale w środku... - Gabriel ściszył głos. - W środku jest niedobrze.

- Jak bardzo?

- Są lepsze i gorsze dni.

- Przeczytałem o śmierci Charkowa w gazetach. Francuskie media uważają, że musiał się narazić Kremlowi lub nadepnąć na odcisk jakiegoś rywalowi w biznesie. Ale to zabójstwo przed ekskluzywną restauracją w Saint Tropez to twoja sprawka, prawda?

- To, że wycofałem się z aktywnej służby, nie oznacza, że dotychczas obowiązujące reguły się zmieniły.

Isherwood dołał sobie herbaty z imbryka i w zamyśleniu zaczął skubać róg serwetki.

- Wyświadczyłeś całemu światu przysługę, zabijając tego człowieka - powiedział cicho. - Teraz musisz pomyśleć o sobie i swojej pięknej żonie. Nadszedł czas, byście znów zaczęli normalnie żyć.

- Żyjemy, Julianie. Nawet całkiem nieźle.

- Nieprawda. W rzeczywistości chodzicie w żałobie. Odprawiacie długie *szywach* za dziecko, które straciliście w Rosji. Możesz spacerować po skałach stąd aż do Land's End, ale nie zawrócisz czasu. Chiara już to wie. Nadszedł czas, byś i ty zaczął myśleć o czymś innym niż tylko o Charkowie.

- Może o jakimś obrazie?

- Właśnie tak.

Gabriel odetchnął ciężko.

- Kto go namalował?

- Rembrandt.

- W jakim jest stanie?

- Trudno określić.

- Dlaczego?

- Bo właśnie zaginął.

- Jak mogę konserwować obraz, który zaginął?

- Nie powiedziałem, żebyś odnawiał ten obraz. Chcę, żebyś go najpierw znalazł.

5.

LIZARD POINT, KORNWALIA

Razem ruszyli wzdłuż skalistego wybrzeża w kierunku latarni morskiej Lizard Light. Wyglądali jak postacie z dwóch różnych bajek. Isherwood siedł z rękami w kieszeniach długiego tweedowego palta, końce wełnianego szala łopotały na zimnym wietrze niczym chorągiewki sygnalizacyjne. Właśnie opowiadał o tym, jak pewnego dusznego lipcowego popołudnia przyjechał do zamku nad Loarą, by przejrzeć kolekcję obrazów niedawno zmarłego właściciela. Ot, ciemna strona niełatwej egzystencji handlarza dziełami sztuki.

- Jeden czy dwa obrazy zastrzegły na uwagę, reszta była do niczego. Już wyjeżdżałem, gdy odezwała się moja komórka. Dzwonił niejaki David Cavendish, doradca finansowy bogatych ludzi, specjalista od inwestycji w dzieła sztuki. Raczej nieciekawý gość.

- Czego chciał?

- Miał dla mnie jakąś propozycję, o której nie chciał mówić przez telefon. Nalegał na spotkanie w cztery oczy. Akurat mieszkał u kogoś w willi na Sardynii. To było dla niego typowe. Wszędzie zatrzymywał się w charakterze czyjegoś gościa, nigdy za siebie nie płacił. Zapewniał mnie, że podróż na pewno okaże się warta mojego wysiłku. Dał mi też do zrozumienia, że otaczają go piękne dziewczyny, a w domu jest mnóstwo doskonałego wina.

- Więc wsiadłeś w najbliższy samolot.

- Czy miałem jakiś wybór?

- Czego dotyczyła propozycja?

- Miał klienta, który chciał sprzedać obraz z górnej półki. Rembrandta. Niezwykła okazja. Nigdy niewystawiany publicznie. Właściciel obrazu nie lubi

rozgłosu wielkich domów aukcyjnych, powiedział Cavendish. Woli załatwić sprawę prywatnie. Chce, żeby obraz trafił do jakiegoś muzeum. Cavendish przedstawiał tego gościa prawie jak jakiegoś dobroczyńcę ludzkości. Podejrzewam, że facet po prostu nie chciał, żeby jego obraz zawisł na ścianie innego kolekcjonera.

- Dlaczego zadzwonił do ciebie?

- Ponieważ w naszym zepsutym świecie sztuki jestem uważany za wzór uczciwości. Poza tym, mimo kilku poniesionych porażek, nadal cieszę się nie najgorszą reputacją wśród muzealników.

- No tak, przecież nie wiedzą wszystkiego - skwitował Gabriel. - Czy Cavendish zdradził ci nazwisko sprzedającego?

- Opowiedział mi jakąś bzdurę o zubożałym arystokracie ze Wschodu. Oczywiście mu nie uwierzyłem.

- Dlaczego sprzedaż miała być prywatna?

- Widzę, że nie śledzisz ostatnich trendów. W naszych trudnych czasach prywatne transakcje stają się coraz popularniejsze, bo sprzedawca pozostaje anonimowy. Nie zapomnij, mój drogi, że nikt nie pozbywa się Rembrandta tylko dlatego, że mu się znudził. Sprzedajemy, bo potrzebujemy pieniędzy. A ostatnia rzecz, jaką bogaty człowiek chce zdradzić swojemu otoczeniu, to informacja, że nie jest już taki bogaty. Zresztą po „lecie kradzieży”, które mamy za sobą, już sam transport do galerii uchodzi za ryzykowny.

- Przystałeś na jego propozycję.

- Oczywiście.

- Na jakich warunkach?

- Dziesięć procent komisowego, do podziału pół na pół z Cavendishem.

- To nie było zbyt etyczne, Julianie.

- Robię to, do czego zmusza mnie rynek. Mój telefon przestał dzwonić, gdy giełdowy indeks Dow spadł poniżej poziomu siedmiu tysięcy punktów. Nie jestem wyjątkiem, recesja uderzyła po kieszeni każdego handlarza dziełami sztuki w St James's. No, może prócz Gilesa Pittawaya, który w jakiś magiczny sposób daje sobie radę w każdych warunkach.

- Zakładam, że co do obrazu zasięgnąłeś porady eksperta?

- Nie czekałem ani chwili - odparł Isherwood. - Przecież musiałem mieć pewność, że to prawdziwy Rembrandt, a nie jakieś studio Rembrandta, szkoła Rembrandta czy, broń mnie, Panie Boże, jakieś płótno w stylu Rembrandta.

- Kto ci wystawił certyfikat autentyczności?
- A jak myślisz?
- Van Berkel?
- No pewnie, że on.

Doktor Gustaaf Berkel w sprawach dotyczących malarstwa Rembrandta był powszechnie uznanym autorytetem. Kierował Komitetem Rembrandta, instytucją skupiającą historyków sztuki, naukowców i badaczy, której głównym zadaniem było szczegółowe sprawdzanie, czy każdy obraz przypisywany genialnemu malarzowi faktycznie wyszedł spod jego pędzla.

- Jak się domyślasz, początkowo van Berkel był sceptyczny - powiedział Isherwood. - Ale kiedy mu pokazałem zdjęcia, rzucił wszystko i przyjechał do Londynu. Oglądając obraz, dostał takich wypieków, że nie musiałem go o nic więcej pytać. Mimo wszystko jego słynny komitet dopiero po dwóch długich tygodniach wydał werdykt, że obraz jest autentyczny i może być sprzedany jako dzieło Rembrandta. Od razu poprosiłem van Berkela o zachowanie całej sprawy w tajemnicy, nawet zmusiłem go do podpisania odpowiedniego zobowiązania. Następnego dnia poleciałem pierwszym samolotem do Waszyngtonu.

- Do Waszyngtonu?

- W National Gallery właśnie kończyły się przygotowania do wystawy dzieł Rembrandta, na którą największe amerykańskie i europejskie muzea miały wypożyczyć swoje płótna. Dla mnie najważniejsza była wiadomość, że galeria dysponuje pokaźnym budżetem na nowe nabytki i że szuka nadzwyczajnych obrazów, zdolnych przyciągnąć tłumy widzów.

- A więc twój niedawno odnaleziony Rembrandt pasował do ich oczekiwań jak ulał.

- Jak garnitur na miarę. Oczywiście bardzo szybko doszliśmy do porozumienia. Odnowiony obraz miałem dostarczyć do Waszyngtonu za sześć

miesiący, kiedy to dyrektor National Gallery chciał go uroczyście zaprezentować całemu światu.

- Nie wspomniałeś o cenie.
- Bo nie pytałeś.
- A więc pytam.
- Czterdzieści pięć milionów. Parafowałem roboczą wersję umowy i pozwoliłem sobie na luksus kilkudniowego pobytu, z kimś bardzo dla mnie wyjątkowym, w hotelu Eden Rock w Saint Barths. Po powrocie do Londynu zacząłem się zastanawiać, kto na pewno poradzi sobie z renowacją płótna i kto oprócz wyjątkowych umiejętności posiada także dar dyskrecji. Dlatego pojechałem do Paryża spotkać się z Szamronem.

Isherwood spojrział na rozmówcę, oczekując jakiejś reakcji, Gabriel jednak milczał. Przez dłuższą chwilę Isherwood obserwował fale rozbijające się o skały Lizard Point.

- Usłyszałem od Szamrona, że jeszcze nie jesteś gotowy do tego rodzaju pracy, więc, chcąc nie chcąc, znalazłem kogoś innego. Człowiek ten swego czasu pracował w dziale konserwacji galerii Tate, później zaczął przyjmować indywidualne zlecenia. Moja propozycja go zachwycała. Nie pracował tak elegancko jak ktoś, do kogo najpierw chciałem dotrzeć, ale był wystarczająco solidny. Facet wyglądał też na bardziej przewidywalnego. Nie musiałem się obawiać, że w dowolnej chwili może wdać się w wojnę z terrorystami czy rosyjskimi handlarzami bronią. Albo że na weekend podrzuci mi kota jakiegoś znajomego politycznego uciekiniera. Miałem też szczerą nadzieję, że tym razem obędzie się bez trupa. Jak widać, los chciał inaczej. - Isherwood spojrział na Gabriela. - Jeżeli oglądasz wiadomości lokalne, z pewnością możesz dokończyć tę opowieść.

- Zatrudniłeś Christophera Liddella.

Wpatrzony w ciemniejące morze Isherwood niespiesznie skinął głową.

- Szkoda, że nie mogłeś podjąć się tej pracy, Gabrielu. Zginąłby złodziej, a ja nadal miałbym swojego Rembrandta.

6.

PÓŁWYSEP LIZARD, KORNWALIA

Jechali na północ wąską, szczelnie otuloną żywopłotami drogą, więc podziwianie otaczającego krajobrazu było niemożliwe. Isherwood nachylony nad kierownicą prowadził wolno, a Gabriel w milczeniu patrzył przez okno.

- Znałeś go, prawda?

Zamyślony Gabriel kiwnął głową.

- Razem odbywaliśmy praktykę u Umberta Contiego w Wenecji. Pamiętam, że mnie nie lubił.

- To rozumiałe. Pewno ci zazdrościł. Był zdolny, ale nie dorastał ci do pięt. Wszyscy wiedzieli, że to ty jesteś prawdziwym artystą.

To prawda, pomyślał Gabriel. Już w momencie przyjazdu do Wenecji Liddell był dobrym rzemieślnikiem, może nawet solidniejszym od Gabriela, ale nie potrafił zdobyć uznania w oczach włoskiego nauczyciela. Wykonywana przez Liddella praca była metodyczna i dokładna, ale brakowało jej tego ognia, jaki Włoch dostrzegał w każdym pociągnięciu pędzla Gabriela. Przed Umbertem Contim wiele miejscowych drzwi stało otworem. Niekiedy, zazwyczaj późnym wieczorem, mistrz zabierał swojego ulubieńca Gabriela na zwiedzanie weneckich skarbów sztuki. Gdy zazdrosny Liddell dowiedział się o nocnych eskapadach, chciał się do nich przyłączyć. Umberto odmówił. Nauka Liddella ograniczała się do godzin dziennych, z nocy mógł korzystać tylko Gabriel.

- Brutalne morderstwo konserwatora dzieł sztuki to niezwykle zdarzenie w tej części świata - powiedział Isherwood. - Do tego znałeś ofiarę.

- Powiedzmy, że bardziej uważnie niż zazwyczaj przeczytałem wiadomości z tego dnia. Nigdzie nie znalazłem wzmianki o żadnym Rembrandcie. Ani niedawno odkrytym, ani żadnym innym.

- Wydział Scotland Yardu do spraw dzieł sztuki poprosił miejscową policję o dyskrecję w sprawie, przynajmniej na tym etapie. Niepotrzebny rozgłos często utrudnia dochodzenie, bo zgłasza się wiele osób, które w rzeczywistości nie mogą wnieść do śledztwa niczego nowego. Okoliczności śmierci Liddella i motyw morderstwa zostały utajnione.

- To dobrze - powiedział Gabriel. - Nie powinno się też nagłaśniać faktu, że prywatni konserwatorzy czasami przechowują cenne obrazy w nieodpowiednich warunkach.

Faktycznie, wartość obrazów w nowojorskich czy londyńskich pracowniach znanych konserwatorów, zwłaszcza przed sezonem aukcyjnym, potrafi być ogromna, a ich zabezpieczenie wyraźnie niewystarczające.

- Powiedz mi coś więcej o tym obrazie, Julianie.

Isherwood zerknął na Gabriela wzrokiem pełnym nadziei.

- Czy to znaczy, że podejmiesz się zlecenia?

- Nie, Julianie. To znaczy, że chcę się dowiedzieć jak najwięcej o obrazie.

- Od czego mam zacząć?

- Od rozmiaru.

- Sto cztery na osiemdziesiąt sześć centymetrów.

- Data?

- Rok tysiąc sześćset pięćdziesiąty czwarty.

- Deska czy płótno?

- Płótno o liczbie włókien zgodnej z innymi płótnami Rembrandta z tego okresu.

- Data ostatniej konserwacji?

- Trudno określić. Sto lat temu, może więcej. Farba w niektórych miejscach jest mocno wytarta. Liddell uważał, że obraz wymaga znacznych uzupełnień. Martwił się, że może nie skończyć pracy przed uzgodnionym terminem.

- W jakim jest stylu?

- Typowym dla tamtej epoki, ukazuje trzy czwarte postaci. To portret młodej kobiety w wieku około trzydziestu lat. Atrakcyjnej. Okrytej szalem z ozdobionego kamieniami szlachetnymi jedwabiu i niczym więcej. Obraz stwarza wrażenie intymności, malowana osoba musiała być bliska artyście. Pracował pełnym pędzlem, szybko. Wydaje się, że w niektórych miejscach malował

alla prima, nie czekając, aż wyschnie położona wcześniej farba.

- Czy wiesz, kto jest na portrecie?

- Nie mamy na to mocnego dowodu, ale - Komitet Rembrandta i ja - uważamy, że to kochanka malarza.

- Hendrickje Stoffels?

Isherwood skinął głową.

- Ważna jest data powstania obrazu. To rok, w którym Hendrickje urodziła Rembrandtowi dziecko. Ich nieformalny związek nie znalazł akceptacji w oczach Kościoła holenderskiego. Kochanka malarza została postawiona przed sądem i publicznie upomniana, że żyje z mężczyzną jak dziwka. Rembrandt, prawdziwy drań w tych sprawach, nigdy jej nie poślubił.

Isherwood wyglądał na autentycznie przejętego.

Gabriel się uśmiechnął.

- Można by pomyśleć, Julianie, że jesteś o nią zazdrosny.

- Nic nie mów, dopóki jej nie zobaczysz.

Mężczyźni umilkli, gdy Isherwood wjechał do wioski Lizard. Miejscowość, tętniąca w sezonie życiem, teraz wyglądała smutno. Stragany z pamiątkami pozamykane na cztery spusty, w oknach lodziarni ciemno. W osadzie panowała atmosfera festynu, któremu przeszkodził deszcz.

- Jaka jest historia obrazu?

- Ta część, którą znamy, nie budzi podejrzeń.

- Co masz na myśli?

- Tu i ówdzie są luki. Trochę to przypomina twoją przeszłość - dodał Isherwood znacząco. - Ale wobec obrazu nie ma żadnych roszczeń, już to sprawdziłem w rejestrze utraconych dzieł sztuki.

- W biurze londyńskim?

Isherwood przytaknął.

- A więc oni też wiedzą, że taki obraz istnieje?

- Rejestr zajmuje się szukaniem obrazów, nie ich kradzieżą, mój drogi.

- Mów dalej, Julianie.

- Przez całe życie mistrza obraz pozostawał jego własnością. Dopiero po śmierci Rembrandta sąd upadłościowy sprzedał portret na pokrycie długów

malarza. Przez jakieś sto lat płótno pozostawało w Hadze, później na krótki czas trafiło do Włoch, na początku dziewiętnastego wieku wróciło do Holandii. Dzisiejszy właściciel nabył je w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku w Hoffman Gallery w Lucernie. Jak się wydaje, piękna, młoda kobieta nigdy zbytnio się nie afiszowała.

Wąwozem wśród drzew oplecionych bluszczem zjechali do malowniczej dolinki, na której śródkiem stał stary kamienny kościół.

- Kto wiedział, że obraz trafił do Glastonbury?

Isherwood myślał przez chwilę.

- Dyrektor National Gallery w Waszyngtonie i moja firma przewozowa. - Zawahał się. - Możliwe, że wspomniałem też o tym van Berkelowi.

- Czy Liddell miał jeszcze inne obrazy w swojej pracowni?

- Cztery - odpowiedział Isherwood. - Rubensa, którego właśnie kończył konserwować dla Christie's, coś, co mogło, ale nie musiało wyjść spod pędzla Tycjana, krajobraz Cézanne'a - zresztą całkiem przyjemny - i jakieś nieprzywzwoicie drogie lilie wodne Moneta.

- Zakładam, że zginęło wszystko?

Isherwood pokręcił głową.

- Tylko mój obraz.

- Innych nie tknięto?

Jesteś tego pewien?

- Uwierz mi, mój drogi. Skradziono tylko Rembrandta.

Wyjechali na otwartą przestrzeń. W oddali, nad miejscową bazą lotniczą, wisiały dwa masywne śmigłowce Sea King. Gabriel zastanawiał się intensywnie nad jednym: dlaczego złodziej ukradł duży portret Rembrandta, zamiast mniejszych, na pewno bardziej poręcznych obrazów Moneta czy Cézanne'a?

- Co o tym myśli policja?

- Uważają, że Liddell musiał zaskoczyć złodziei na gorącym uczynku. Zabili go i w popłochu złapali najbliższy obraz. Na moje nieszczęście właśnie Rembrandta. Scotland Yard twierdzi, że szansa na szybkie odzyskanie obrazu jest niewielka. Śmierć Liddella jeszcze bardziej komplikuje sprawę, bo dla śledztwa wątek morderstwa stał się najważniejszy.

- Jak szybko możesz liczyć na wypłatę odszkodowania od ubezpieczyciela?

Isherwood skrzywił się i zaczął nerwowo stukać palcem o kierownicę.

- Obawiam się, że tu właśnie jest pies pogrzebany.

- Jaki pies?

- Prawowitym właścicielem obrazu nadal jest klient Cavendisha. Kiedy przejąłem płótno, powinienem był je ubezpieczyć.

W ton Isherwooda wkradła się melancholia. Gabriel z doświadczenia wiedział, że powody smutku przyjaciela mogą być różne. Złamane serce, konieczność sprzedaży ulubionego obrazu, ale najczęściej tarapaty finansowe.

- Co ty znów zmalowałeś, Julianie?

- To był ciężki rok, mój drogi. Słabnie giełda, pikuje rynek nieruchomości, branża artykułów luksusowych przeżywa zapaść. Jak ma sobie radzić taki mały, niezależny handlarz jak ja?

- Nie wspomniałeś swojej firmie ubezpieczeniowej o obrazie, prawda?

- Jej stawki są wprost horrendalnie wysokie, ci agenci to prawdziwe pijawki. Czy wiesz, ile by mnie to kosztowało? Myślałem, że uda się...

- Zaoszczędzić, tak?

- Coś w tym stylu. - Isherwood zamilkł. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie słyhać było nutkę desperacji. - Potrzebuję twojej pomocy, Gabrielu. Jestem winien właścicielowi obrazu czterdzieści pięć milionów dolarów.

- Nie zajmuję się takimi sprawami, Julianie. Jestem...

- Konserwatorem zabytków? - Isherwood zerknął na rozmówcę sceptycznie. - Obydwaj wiemy, że nie jesteś takim sobie zwykłym konserwatorem. Masz niezwykły talent do odnajdowania rozmaitych rzeczy. A ja od początku naszej znajomości jeszcze ani razu nie prosiłem cię o przysługę. - Isherwood zamilkł. - Nie znam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc. Jeżeli mi nie pomożesz, czeka mnie ruina.

Gabriel zapukał palcem w okno, przypominając, że zbliżają się do słabo oznaczonego skrzyżowania do Gunwalloe. W głębi duszy poruszyła go prośba Isherwooda. To, czego się dowiedział, sugerowało niezwykły charakter kradzieży.

Miał też wyrzuty sumienia z powodu Liddella. Gabriel, jak Szamron, był wychulony na punkcie sprawiedliwości. Największe sukcesy w wywiadzie odnosił nie z powodu sprawnego posługiwania się bronią, lecz dzięki uporowi, z jakim dążył do wyrównywania rachunku krzywd. Parał się renowacją w szerokim znaczeniu tego słowa.

Isherwood jechał w milczeniu główną ulicą wioski, wyczuwając rozterki Gabriela. Wiedział, że w tej rozgrywce ma wsparcie potężnego sojusznika, trudno było nie pamiętać, kim jest autor zaginionego płótna.

Nad wybrzeżem Kornwalii panowała średniowieczna ciemność. Dopiero gdy zbliżyli się do domu Gabriela, tuzin lamp zalał całą okolicę jaskrawobiałym światłem. Na tarasie, z włosami rozwianymi wiatrem, stała Chiara. Isherwood obserwował ją przez chwilę, później ostentacyjnie rozejrzał się wokół.

- Czy ktoś już wam powiedział, że to miejsce wygląda jak pejzaż *Domu celnika w Pourville*?

- Nasza listonoszka coś o tym wspominała - mruknął Gabriel, wpatrując się w Chiara. - Chciałbym ci pomóc, Julianie, ale...

- Tak?

- Ale nie jestem jeszcze gotowy. - Przez chwilę Gabriel milczał. - Ona też nie.

- Tego bym o niej nie powiedział.

Chiara zniknęła w domu. Isherwood wręczył Gabrielowi dużą żółtą kopertę.

- Przynajmniej zerknij na zdjęcia. Jeżeli nie będziesz chciał się podjąć tego zadania, znajdę ci jakiś fajny obraz do renowacji. Coś trudnego, może jakąś czternastowieczną włoską deskę, pogiętą i z dużymi ubytkami. W sam raz zajecie dla twoich magicznych rąk, i to co najmniej na kilka miesięcy.

- Renowacja jest o wiele łatwiejsza niż szukanie skradzionego Rembrandta.

- Tak - zgodził się Isherwood. - Ale na pewno jest znacznie mniej interesująca.

7.

ZATOKA GUNWALLOE, KORNWALIA

Koperta zawierała dziesięć zdjęć, z których jedno przedstawiało obraz w całości, a pozostałe dziewięć - zbliżenia poszczególnych fragmentów. Gabriel ułożył wszystkie na kuchennym blacie i przez szkło powiększające kolejno uważnie im się przyglądał.

- Co cię tak zainteresowało? - spytała Chiara.
- Sposób nakładania farby.
- No i?
- Julian miał rację. Rembrandt malował szybko, emocjonalnie. Ale wątplię, czy pracował *alla prima*. Znalazłem kilka miejsc, gdzie najpierw robił cienie i pozwalał im wyschnąć.
- To na pewno Rembrandt?
- Bez wątplenia.
- Jak możesz być taki pewny, widząc tylko zdjęcia?
- Obracam się w świecie malarstwa już od tylu lat, że pewne rzeczy wiem od razu. To nie jest zwykły Rembrandt, ten obraz to wspaniały Rembrandt. Wyprzedzający swoje czasy o dwa i pół wieku.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Spójrz na pracę pędzla. Rembrandt był impresjonistą na długo przed powstaniem tego pojęcia. To kolejny dowód jego geniuszu.

Chiara sięgnęła po zbliżenie twarzy kobiety.

- Ładna dziewczyna. Kochanka Rembrandta?

Zaskoczony Gabriel uniósł brwi.

- Wychowałam się w Wenecji i mam tytuł magistra w dziedzinie historii Imperium Rzymskiego. Znam się trochę na sztuce. - Przyjrzała się zdjęciu uważnie i powoli pokręciła głową. - Źle ją potraktował. Powinien się z nią ożenić.

- Mówisz jak Julian.
- Julian ma rację.
- Życie artysty nigdy nie było proste.
- Czy ja czegoś podobnego już wcześniej nie słyszałam? - Chiara

uśmiechnęła się ironicznie. Odłożyła zdjęcie na miejsce. Kornwalijska zima rozjaśniła jej oliwkową cerę, sfalowane od morskiego powietrza, spięte klamrą włosy spadały jej kaskadą na plecy jak snop miedzianych iskier. Przodkowie Chiary, hiszpańscy Żydzi, w piętnastym wieku uciekli przed prześladowaniami do Wenecji. Była wyższa od Gabriela o co najmniej dwa centymetry, natura obdarzyła ją kwadratowymi ramionami, wąską talią i długimi nogami urodzonej atletki. Gdyby nie dzieciństwo w Wenecji, mogłaby zostać mistrzynią pływania lub tenisa. Jednak mieszkańcy rodzinnego miasta Chiary uważają, że najciekawszy sport to taki, który można obserwować przy filiżance kawy lub smacznym posiłku, najlepsze ćwiczenia zaś to gimnastyka miłosna, a po niej spacer do Zattere na lody. Amerykanie ćwiczą z takim zapamiętaniem, argumentowała Chiara, i czym się to kończy? Epidemią chorób serca i dziećmi z nadwagą! Utrzymywała też, że nie istnieje choroba, której nie dałoby się wyleczyć wodą mineralną czy kieliszkiem dobrego czerwonego wina.

Teraz otworzyła stalowe drzwiczki piecyka i wyjęła z niego duży pomarańczowy garnek. Gdy podniosła pokrywkę, w górę wzbił się obłok pary, a w całym pomieszczeniu zapachniało pieczoną cielęciną, cebulkami, kminkiem i słodkim winem z Toskanii. Dotknęła mięsa czubkiem palca i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jej niechęć do wysiłku fizycznego była równie wielka jak pasja do gotowania. Po oficjalnym pożegnaniu z Biurem swój wolny czas poświęcała na czytanie i przyrządzanie wymyślnych dań. Od Gabriela oczekiwała tylko dwóch rzeczy: wyrazów uznania oraz niczym niezakłóconej uwagi podczas posiłku. Lubiła jeść i kochać się w taki sam sposób - powoli, przy migotliwym blasku świec. Oblizwała czubek palca i zakryła garnek pokrywką. Wychodząc z kuchni, spostrzegła, że Gabriel uważnie ją obserwuje.

- Dlaczego tak patrzysz?
- Po prostu patrzę.
- Coś nie tak?

- Wszystko w porządku. - Uśmiechnął się.
- Musisz przestać myśleć o moich kształtach i szybko znaleźć sobie jakiś inny obiekt zainteresowania. - Żartobliwie zmarszczyła czoło.
- Łatwo ci powiedzieć. Za ile obiad?
- Na to czasu nie wystarczy, Gabrieliu.
- Nie myślałem o t y m.
- Nie? - Zrobiła rozczarowaną minę. - Jaka szkoda!

Otworzyła butelkę chianti, nalała wino do kieliszków, jeden prze sunęła w stronę Gabriela.

- Kto kradnie obrazy?
- Złodzieje, Chiaro. Złodzieje.
- Oj, chyba nie chcesz dostać tej cielęciny!
- W takim razie, jeżeli pozwolisz, ujmę to inaczej. Odpowiedź na pytanie, kto kradnie obrazy, nie jest najważniejsza. Trzeba raczej się zastanowić, jak temu procederowi zapobiec. Straty są ogromne. Według Interpolu, od czterech do sześciu miliardów dolarów rocznie. Po sprzedaży narkotyków, praniu brudnych pieniędzy i handlu bronią kradzież dzieł sztuki jest czwartym pod względem wartości źródłem dochodów świata przestępczego. Muzeum Dzieł Skradzionych to największe muzeum świata, z obrazami takich mistrzów jak Tytjan, Rubens, Leonardo, Caravaggio, Rafael, van Gogh, Monet, Renoir, Degas. Dosłownie wszystkich. Złodzieje potrafią wykraść najwspanialsze dzieła sztuki, a my nadal nie wiemy, jak z tą plagą walczyć.

- Kim są ci złodzieje?
- Niektórzy to zwykli amatorzy i awanturnicy szukający mocnych wrażeń. Inni to szaleńcy, którzy kradnąc coś nadzwyczajnego, marzą o sławie. Niestety, jest też grupka prawdziwych profesjonalistów. Ci ludzie wiedzą, że w tej branży stosunek zysku do ryzyka jest wyjątkowo korzystny.
- Wysoki zysk, niskie ryzyko?
- Wyjątkowo niskie ryzyko - powiedział Gabriel. - Strażnicy potrafią położyć trupem byle rabusia bankowego, ale jeszcze nie słyszałem, żeby zastrzelili kogoś podczas próby kradzieży obrazu. Co więcej, robimy wszystko, by złodziejom sztuki ułatwić życie.

- Naprawdę?
- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku ktoś wszedł do sali numer sześćdziesiąt siedem w Luwrze, wyciął z ram płótno Corota *Droga do Sèvres* i spokojnie wyszedł z muzeum. Dopiero po upływie godziny zauważono brak obrazu. Dlaczego tak się stało? Ponieważ akurat w tej sali nie zainstalowano kamery monitoringu. Kontrola, którą przeprowadzono po tym wydarzeniu, wykazała także inne niedociągnięcia. Otóż kierownictwo Luwru nie było w stanie dostarczyć ani aktualnej listy pracowników, ani dokładnych wyników ostatniej inwentaryzacji. W oficjalnym raporcie stwierdzono, że każdy większy dom towarowy w Paryżu posiada lepszy system zabezpieczeń przed kradzieżą niż Luwr.

Zdziwiona Chiara tylko potrząsnęła głową.

- Coś takiego... A co się dzieje ze skradzionym dziełem sztuki?
- Wszystko zależy od motywu kradzieży. Złodzieje, którym przede wszystkim zależy na szybkim zysku, zazwyczaj liczą na nagrodę za zwrot płótna. W rzeczywistości mówimy tu o zwykłym okupie. Ponieważ tego rodzaju haracz jest tylko niewielką częścią faktycznej wartości skradzionego dzieła, muzea i firmy ubezpieczeniowe często godzą się na takie rozwiązania.

- A jeżeli nie chodzi o okup?

- W niektórych przypadkach płótno staje się czymś w rodzaju podziemnego środka płatniczego. Na przykład obraz Vermeera, skradziony z muzeum w Amsterdamie, trafia w ręce belgijskiego lub francuskiego gangu narkotykowego, który z kolei używa go jako zaliczki lub zabezpieczenia finansowego przy zakupie heroiny w Turcji. Taki obraz może krążyć przez całe lata, od jednego kryminalisty do innego, aż wreszcie któryś z nich zdecyduje się go spieniężyć. Oczywiście tymczasem niszczeje. Liczące czterysta lat dzieła Vermeera są wyjątkowo delikatne i na pewno nie powinny być przechowywane w walizkach czy jakichś dziurach. Ale takie przypadki to rzadkość. - Gabriel wzruszył ramionami. - Powiem ci tylko tyle: jeszcze nigdy nie spotkałem handlarza narkotyków, który wolałby obraz od żywej gotówki.

- Co jeszcze może się stać ze skradzionym obrazem?

- Może zawisnąć na ścianie u bardzo bogatych ludzi.

Zamyślony Gabriel zapatrzył się w kieliszek z winem.

- Jakież dziesięć lat temu Julian omawiał końcowe szczegóły transakcji z jakimś japońskim miliarderem. Spotkanie miało miejsce w rezydencji pod Tokio. W pewnym momencie rozmówca Isherwooda musiał odebrać ważny telefon i wyszedł z pokoju. Julian, jak to Julian, nie mógł usiedzieć w miejscu, więc wstał i zaczął oglądać obrazy wiszące u gospodarza. Na końcu korytarza zauważył płótno, które wyglądało zdumiewająco znajomo. Isherwood do dzisiaj przysięga, że zobaczył wtedy *U Tortoniego*.

- Obraz Maneta, skradziony Gardnerowi? Ale dlaczego jakiś miliarder miałby aż tak ryzykować?

- Bo nie można kupić czegoś, co nie jest na sprzedaż. Pamiętaj o tym, że ogromna większość arcydzieł nigdy nie trafia na rynek. To powoduje, że niektórzy kolekcjonerzy, zwłaszcza ci przyzwyczajeni do zaspokajania wszystkich swoich zachcianek, dostają świra na tym punkcie.

- A jeżeli Rembrandt Juliana trafił w ręce właśnie kogoś takiego? Jaka jest szansa na jego odzyskanie?

- Jedna na dziesięć, a i to w najlepszym przypadku. Wraz z upływem czasu prawdopodobieństwo maleje jeszcze bardziej. Poszukiwania Maneta trwają już dwie dekady i nic nie zapowiada sukcesu.

- Może należałoby poszukać obrazu w Japonii?

- Niezły pomysł. Masz jeszcze jakieś inne?

- Mam, ale to nie pomysł - powiedziała Chiara ostrożnie. - To raczej sugestia.

- O co chodzi?

- Twój przyjaciel Julian potrzebuje pomocy. - Chiara wskazała na leżące na blacie zdjęcia. - Ona też.

Gabriel milczał. Chiara sięgnęła po zdjęcie, ukazujące portret w całości.

- Kiedy Rembrandt ją namalował?

- W tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym roku.

- W tym samym roku, kiedy Hendrickje urodziła mu córkę?

Gabriel skinął głową.

- Kobieta na portrecie wygląda, jakby była w ciąży.

- To całkiem możliwe.

Chiara przyjrzała się zdjęciu uważnie.

- Wiesz, co jeszcze myślę? Że ona już wie, ale nie ma odwagi mu o tym powiedzieć. - Chiara zerknęła na Gabriela. - Czy to ci czegoś nie przypomina?

- Uważam, że byłabyś świetnym historykiem sztuki, Chiaro.

- Wychowałam się w Wenecji i jestem historykiem sztuki. - Znow spojrziała na zdjęcie. - Nie mogę pozwolić, aby kobieta w ciąży trafiła do jakiejś dziury, Gabrielu. Ty też nie powinieneś na to się zgodzić.

Wyjął swój telefon komórkowy. Wybierając numer Isherwooda, usłyszał ciche nucenie Chiary. Zawsze nuciła, gdy była szczęśliwa. Dzisiaj usłyszał jej śpiew po raz pierwszy od roku.

8.

RUE DE MIROMESNIL, PARYŻ

W oknie antykwariatu widniał napis: ANTIQUITÉS SCIENTIFIQUES. Na wystawie stały równe szeregi zabytkowych mikroskopów, aparatów fotograficznych, barometrów, teleskopów, przyrządów mierniczych i optycznych. Zazwyczaj przed otwarciem sklepu Maurice Durand poświęcał kilka chwil na upewnienie się, że na wystawie panuje idealny porządek. Ten dzień był inny. W uporządkowany świat Duranda wkradł się problem. Dla kogoś, kto przez całe życie stronił od niespodzianek, było to bardzo niemiłe uczucie.

Otworzył drzwi, odwrócił plakietkę na drzwiach z FERMÉ na OUVERT i wycofał się na zaplecze sklepu. Biuro, tak jak jego właściciel, było niewielkie, uporządkowane i pozbawione jakiegokolwiek charakteru. Durand starannie powiesił płaszcz na wieszaku, przez chwilę masował chronicznie bolące miejsce w dole kręgosłupa, wreszcie usiadł do komputera, by sprawdzić pocztę elektroniczną. Nie przepadał za tą częścią dnia pracy. Maurice Durand miał w sobie coś zabytkowego. Uwięziony w czasach pozbawionych piękna, otoczył się pełnymi gracji przedmiotami z epoki oświecenia. Korespondencję e-mailową uważał za nieprzyjemny, lecz niestety nieunikniony element życia. Od elektroniki wolał pióro i papier, ale bał się, że nawet jego firma na dłuższą metę nie oprze się Internetowi, który uważał za istny dopust boży. Wiadomości o świecie czerpał z kilku gazet, które czytywał nad kawą w ulubionej kafejce.

Teraz prawie godzinę poświęcił na niespieszne przeglądanie poczty z zapytaniem i zapytaniem z całego świata. Większość klientów była mu dobrze znana, tylko kilku z nich było względnie nowych. Odpowiadając na e-mail starego klienta z P Street w waszyngtońskiej dzielnicy Georgetown, od razu pomyślał o małym muzeum, oddalonym tylko o kilka przecznic od jego

sklepu. Kiedyś otrzymał lukratywne zamówienie na jedno z najbardziej znanych płócien Renoira *Śniadanie wioślarzy*, lecz po szczegółowej analizie oferty - Durand był zawsze dokładny - odmówił. Obraz był o wiele za duży, szanse na sukces zbyt małe. Tylko awanturnicy i mafiosi kradli duże obrazy, a on do nich nie należał. Durand był profesjonalistą. Nie przyjmował zleceń, których nie mógł zrealizować. Satysfakcja klienta była dla niego najważniejsza.

Dlatego z takim niepokojem spoglądał na dzisiejsze wydanie „Le Figaro”, leżące na biurku. Niestety, niezależnie od tego, ile razy przeczytał zaznaczony na czerwono artykuł, jego treść pozostawała taka sama.

Znany brytyjski konserwator... postrzelony dwukrotnie w swoim domu w Glastonbury... motyw morderstwa nieznany... nic nie zginęło...

Ostatni fragment, mówiący, że nic nie zginęło, martwił Duranda najbardziej. Znów przyjrzał się gazecie i po raz kolejny sięgnął po telefon. Z takim samym skutkiem. Dzwonił już dziesięć razy, za każdym razem trafiając do czyścieca automatycznej sekretarki.

Odłożył słuchawkę i wpatrzył się w gazetę. *Nic nie zginęło...* Nie miał pewności, że to prawda. Powinien to sprawdzić sam. Niestety, taka decyzja wiązała się z koniecznością zamknięcia sklepu i podróży do miasta, które było dla niego zaprzeczeniem tego, co uważał za istotne. Znów podniósł słuchawkę, tym razem wybrał inny numer. Z drugiej strony linii usłyszał nagraną informację. No tak, nie mogło być inaczej. Wznosząc oczy do nieba, Durand zamówił bilet pierwszej klasy na poranny pociąg TGV do Marsylii.

9.

ZATOKA GUNWALLOE, KORNWALIA

Wszyscy uczestnicy operacji, oczywiście już po jej zakończeniu, zgodzili się co do jednego: organizacja pracy od początku budziła uznanie. W kilka minut po swojej decyzji o pomocy Isherwoodowi urlopowany izraelski zabójca i szpieg Gabriel Allon wykonał dyskretny telefon do Grahama Seymoura, wicedyrektora brytyjskiej agencji kontrwywiadu MI5. Seymour wysłuchał Gabriela i bezzwłocznie skontaktował się z ministrem spraw wewnętrznych, który zadzwonił do urzędującego w Portishead naczelnika policji hrabstwa Avon i Somerset. Tam prośba Gabriela napotkała pierwszą przeszkodę. Opór nie trwał długo, ponieważ po chwili naczelnik odebrał telefon z Downing Street. Tego samego dnia, późnym wieczorem, Gabriel otrzymał zaproszenie do złożenia wizyty w domu i pracowni swojego kolegi z Wenecji, Christophera Liddella.

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, Gabriel zobaczył, że łóżko po stronie Chiary jest puste. Zdziwił się, ponieważ zwykle to on wstawał pierwszy. Przez chwilę leżał, słuchając szumu prysznica, wreszcie wstał i poszedł do kuchni. Przyrządził sobie dużą kawę z mlekiem, włączył laptop i przejrzał wiadomości. Najpierw przeczytał doniesienia z Bliskiego Wschodu. W Afganistanie szesnastoletnia samobójczyni wysadziła się na zatłoczonym rynku, tajemnicza eksplozja w odległym zakątku Jemenu uśmierciła trzech wysokich rangą dowódców Al-Kaidy. Kontrowersyjny prezydent Iranu po raz kolejny zachęcał do starcia Izraela z powierzchnią ziemi, cywilizowany świat pod przywództwem nowej administracji w Waszyngtonie znów wspominał o możliwości wprowadzenia sankcji wobec irańskiego reżimu. W Jerozolimie izraelski premier ostrzegł, że każdy obrót irańskiej wirówki uranowej przybliży ten kraj do wyprodukowania broni jądrowej. Gabriel czytał wiadomości z uczuciem déjà vu.

Poświęcił trzydzieści lat życia obronie izraelskiego państwa i wartości świata zachodniego, a teraz się zastanawiał, czy jego decyzja o odejściu z Biura nie była przedwczesna. Rozterki zniknęły, gdy do pokoju weszła Chiara z mokrymi włosami i światłem w oczach. Gabriel się uśmiechnął. Niech terroryzmem zajmują się inni. Przynajmniej na razie.

O 9:15 Chiara i Gabriel wsiedli do range-rovera i ruszyli w drogę. Ruch był niewielki, pogoda zmienna - raz piękne słońce, raz gwałtowna, iście biblijna ulewa. O dziesiątej minęli Truro, o jedenastej Exeter. Tuż przed południem dotarli do południowo-zachodnich przedmieść Glastonbury. Na pierwszy rzut oka nie różniło się zbytnio od innych prowincjonalnych miasteczek, dostatnich i nudnawych. Dopiero na Magdalene Street przekonali się, że współczesne Glastonbury jest wyjątkowe.

- Dokąd my, na litość boską, trafiliśmy? - spytała Chiara.
- Na Wenus - odparł Gabriel.

Przez centrum dojechali do Henley Close, gdzie Gabriel zatrzymał range-rovera i wyłączył silnik. Przed domem numer osiem czekał na nich inspektor wydziału kryminalnego policji hrabstwa Avon i Somerset, Ronald Harkness. Ubrany w sfatygowaną marynarkę policjant miał twarz człowieka lubiącego przebywać na świeżym powietrzu. Nie wydawał się zadowolony z powierzono mu zadania. Czuł, że tym razem Wyższa Władza sprzysięgła się przeciw niemu. Na miejsce zbrodni, w sprawie, w której prowadził dochodzenie, kazano mu wpuścić dwójkę ekspertów sztuki o nazwisku Rossi. Wyższa Władza zaleciła mu pełną współpracę, kazała udzielać wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie zadawane pytania i generalnie nie życzyła sobie, by utrudniać gościom pracę. Co ciekawe, sugerowano, że Harkness może już znać pana Rossiego. Jeżeli okazałoby się, że tak faktycznie jest, to miał trzymać gębę na kłódkę, a wzrok najlepiej wbity w ziemię...

Po powitalnych, badawczych uściskach dłoni Harkness dał każdemu z gości rękawiczki i ochraniacze na obuwie, następnie przez zaniedbany ogródek poprowadził ich do domu. Seledynowa tabliczka na drzwiach zabraniała wchodzenia do środka nieupoważnionym osobom.

Gabriel dokładnie przyjrzał się zamkowi, szukając śladów włamania, niczego podejrzanego jednak nie znalazł. Po wejściu do sieni poczuł dobrze mu

znany zapach acetonu. Harkness zamknął drzwi. Na ścianie holu Gabriel zauważył panel systemu alarmowego.

- Urządzenie wysokiej klasy - powiedział policjant, widząc zainteresowanie gościa. - Ostatnia czynność została zarejestrowana o osiemnastej pięćdziesiąt trzy w dniu morderstwa. Zakładamy, że była to pora powrotu ofiary z obiadu. Liddell otworzył drzwi i wprowadził kod dezaktywujący alarm. Po wejściu do środka już nie włączył systemu. Jak dowiedzieliśmy się od firmy ochroniarskiej, zawsze tak robił. Złodziej musiał o tym wiedzieć.

- Złodziej?

Inspektor skinął głową.

- Mamy już pierwszego podejrzanego. Zanim się tu włamał, spędził przynajmniej trzy dni w Glastonbury, obserwując dom i ofiarę. Tego wieczoru on i Liddell byli razem w Hundred Monkeys. - Harkness się zawahał. - No, może nie razem, ale blisko siebie. Proszę spojrzeć.

Z kieszeni wyjął parę odbitek z nagrań monitoringu i wręczył je Gabrielowi. Na pierwszej widać było Christophera Liddella opuszczającego bistro o godzinie 18:32 w wieczór morderstwa. Drugie zdjęcie ukazywało uczesanego w kucyk mężczyznę w dżinsach i flanelowej koszuli, wychodzącego trzy minuty później.

- Dysponujemy jeszcze kilkoma innymi zdjęciami z kamery monitoringu przy kościele St John's i miejscowym przedszkolu, do którego chodziła córka Liddella. Bardzo udana dziewczynka, szkoda jej.

- Nie macie żadnych zdjęć zabójcy bliżej domu?

- Obszar monitoringu nie sięga poza tych kilka ulic. - Inspektor przyjrzał się Gabrielowi uważnie. - Jestem pewien, że pan to zauważył, panie...

- Rossi - powiedział Gabriel. Przez chwilę studiował zdjęcie twarzy podejrzanego, potem podał obydwie odbitki Chiarze.

- To Brytyjczyk? - spytała Chiara inspektora.

- Raczej nie. Mieszkał z grupą sympatyków New Age na oddalonym o parę mil od Glastonbury polu namiotowym. Jego znajomi twierdzą, że mówił po angielsku z mocnym francuskim akcentem. Wszędzie jeździł motocyklem. Na imię miał Lucien. Podobał się dziewczynom.

- Zakładam, że po morderstwie nie pojawił się już na żadnym nagraniu z monitoringu?

- Przepadł jak kamień w wodę. - Inspektor odebrał odblaski od Chiary i spojrzał na Gabriela. - Od czego chciałby pan zacząć?

- Od pracowni.

- Jest na strychu.

Wąskimi schodami poszli za inspektorem na górę. Po drodze zatrzymali się na upstrzonym żółtymi oznacznikami podeście, pokrytym dużą ilością zakrzepłej krwi. Gabriel spod oka zerknął na Chiarę. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Tutaj leżało ciało Liddella - powiedział Harkness. - Studio jest o jedną kondygnację wyżej.

Ostrożnie przestąpili oznaczniki i dotarli do pracowni. Gabriel wszedł do studia jako ostatni i poczekał, aż inspektor włączy wszystkie halogenowe lampy. W ostrym, białym świetle Gabriel zobaczył pracownię, która równie dobrze mogłaby należeć do niego. Pośrodku stał trójnóg z aparatem fotograficznym marki Nikon, skierowanym na puste sztalugi. Z prawej strony sztalug znajdował się mały wózek pełen rozpuszczalników, pigmentów i sobolich pędzli z serii 7 Winsor & Newton. Umberto Conti twierdził, że pędzle te są najlepsze, a zdolny konserwator może nimi zrobić wszystko.

Gabriel sięgnął po jedną z buteleczek pigmentu. Alizarin Orange, kiedyś produkt brytyjskiej firmy Imperial Chemical Industries, teraz prawie nie do dostania. Zmieszany z czernią nadawał jej niepowtarzalnie głęboki połysk. Przez chwilę Gabriel walczył z pokusą schowania buteleczki do kieszeni, bo jego zapasy były już na wyczerpaniu. Z żalem odłożył jednak pigment na miejsce i zaczął studiować podłogę. Wokół wózka leżało kilka kolejnych oznaczników.

- Znaleźliśmy tu kawałki rozbitego szkła, dwa tampony z waty i pozostałości jakiegoś płynu o jeszcze nieustalonym składzie chemicznym.

- Proszę przekazać laborantom, że to mieszanka acetonu, spirytusu metylowego i terpentyny.

- Jest pan tego pewny?

- Tak, jestem tego pewny.

- Czy wie pan coś jeszcze?

Tym razem odezwała się Chiara.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa pańscy laboranci stwierdzą, że proporcje mieszanki są następujące: dwie części acetonu, jedna metylu, dziesięć części terpentyny.

Inspektor skinieniem głowy wyraził profesjonalne uznanie. Coraz bardziej chciałby się dowiedzieć, kim naprawdę są ci eksperci sztuki ze znajomościami w ministerstwie i kancelarii premiera.

- A tampony?

Gabriel wziął z wózka jeden z drewnianych patyczków wielkości ołówka.

- Liddell zaczął od usuwania brudnego werniksu. Owinął watą czubek patyczka i zaczął, kręcąc nim, czyścić powierzchnię obrazu. Kiedy wacik się ubrudził, rzucił go na podłogę i zrobił nowy. Musiał pracować, kiedy złodziej wszedł do domu.

- Skąd ta pewność?

- Dobry konserwator zawsze po pracy sprząta swoje studio. A Liddell był dobrym fachowcem.

Gabriel spojrzął na aparat fotograficzny. Był połączony kablem z dużym ekranem iMaca, stojącego na brzegu zabytkowego stołu bibliotecznego ze skórzaną intarsją. Obok komputera leżał stos monografii o życiu i pracy Rembrandta, wśród nich oczywiście dzieło van Berkela, *Rembrandt. Wszystkie obrazy*.

- Chciałbym zobaczyć fotografie płótna, jeśli jakieś zrobił.

Przez chwilę wydawało się, że Harkness usilnie szuka powodu, żeby móc odmówić prośbie gościa, ale w końcu się poddał. Z Chiara zaglądającą mu przez ramię Gabriel włączył komputer i kliknął ikonę folderu zatytułowanego REMBRANDT, PORTRET MŁODEJ KOBIETY. W środku znalazł osiemnaście zdjęć, kilka z nich zrobionych już po rozpoczęciu pierwszego etapu pracy - usuwania starego werniksu. Trzy zbliżenia ukazywały punkt przecięcia dwóch dziwnych linii, jednej idealnie pionowej, drugiej poziomej. Punkt ten znajdował się w odległości kilku centymetrów od ramienia Hendrickje. Podczas swojej kariery konserwatorskiej Gabriel był świadkiem wielu rodzajów naturalnego sfałowania płótna. Ten przypadek wyglądał dość nietypowo, a wykonane

zdjęcia świadczyły, że również Liddell był nim zaintrygowany.

W komputerze Gabriel chciał znaleźć jeszcze coś innego. W przypadku każdego odnawianego obrazu, zwłaszcza tak ważnego jak płótno Rémbbrandta, konserwator musi prowadzić rejestr wszystkich wykonanych czynności. Liddell dopiero zaczynał pracę, lecz najprawdopodobniej już gdzieś musiał zapisać swoje pierwsze ruchy. Nie pytając Harknessa o pozwolenie, Gabriel otworzył widniejący na ekranie plik tekstowy. Dokument był napisany precyzyjnym, naukowym stylem Liddella. Gabriel z kamienną twarzą szybko go przeczytał, następnie, opierając się pokusie kliknięcia opcji „drukuj”, zamknął.

- Czy coś zwróciło pana uwagę? - spytał inspektor.
- Nie - odparł Gabriel. - Absolutnie nic.
- Chciałby pan jeszcze coś zobaczyć?

Gabriel wyłączył komputer i powiedział:

- Tak, interesuje mnie jeszcze jedna rzecz.

10.

GLASTONBURY, ANGLIA

Stanęli na skraju podestu, milcząco wpatrując się w zaschniętą krew.

- Mam zdjęcia Liddella - powiedział inspektor. - Ale uprzedzam, że mogą szokować.

Gabriel bez słowa wyciągnął rękę po plik odbitek w formacie osiem na dziesięć. Zastygłe w momencie śmierci wytrzeszczone oczy, obszerna dziura wylotowa po pocisku w dolnej części szyi, mały otwór wlotowy na środku czoła. Uważnie obserwujący przybysza Harkness zdziwił się jego brakiem reakcji na widok brutalnie zamordowanej ofiary. Gabriel przekazał zdjęcia Chiarze, która w podobny sposób, nie okazując emocji, przyjrzała się odbitkom i zwróciła je inspektorowi.

- Jak widzicie, do Liddella strzelano dwa razy. Obydwa pociski opuściły ciało i oba zostały znalezione. Jeden utkwiał w ścianie, drugi w podłodze.

Gabriel najpierw przyjrzał się otworowi w ścianie. Dziura po kuli znajdowała się mniej więcej metr nad ziemią, przy schodach do pracowni.

- To był ten strzał w szyję.
- Zgadza się.
- Dziewięć milimetrów?
- Zna się pan na broni, panie Rossi.

Gabriel spojrzał w górę.

- A więc zabójca strzelał z poziomu pracowni.
- Nie mamy jeszcze końcowego raportu, ale kąt postrzału plus nachylenie, pod jakim kula weszła w ścianę, sugerują, że właśnie tak się stało. Patolog orzekł, że pocisk trafił ofiarę z tyłu, gruchocząc czwarty krąg i rozrywając kręgosłup.

Gabriel znów spojrzął na zdjęcia.

- Sądząc po osmaleniu na czole Liddella, drugi strzał był oddany z bliskiej odległości.

- Prawie z przyłożenia - potwierdził Harkness. Spojrzął na Gabriela i z prowokacyjną nutką w głosie dodał: - Słyszałem, że w języku profesjonalnego zabójcy to strzał kontrolny.

Gabriel zignorował uwagę inspektora. Spytał, czy sąsiedzi nic nie słyszeli. Harkness przecząco potrząsnął głową.

- A więc strzelający używał tłumika?

- Na to wygląda.

Gabriel ukucnął i przechylając głowę, przyjrzał się powierzchni podestu schodów. Poniżej otworu po kuli zauważył kilka płatków tynku. I coś jeszcze... Przysiadł na piętach, myśląc o śmierci Liddella jak o scenie z obrazu Rembrandta. Po chwili wstał i oznajmił, że zobaczył już wszystko, co go interesowało. Gdy inspektor nachylił się, by wyłączyć lampę oświetlającą miejsce zbrodni, Gabriel delikatnie przejechał palcem rękawiczki po podeście. Pięć minut później, gdy wsiadał z Chiara do rovera, wyrwiona na drugą stronę rękawiczka bezpiecznie spoczywała w jego kieszeni.

- Popełniłeś bardzo poważne przestępstwo - rzuciła Chiara, gdy Gabriel uruchamiał silnik.

- Na pewno nie ostatnie.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego.

- Nie mylisz się.

Harkness stał na progu jak żołnierz w pozycji „spocnij”. Dłonie miał zaplecione z tyłu, wzrok utkwiony w roverze, wyjeżdżającym z Henley Close ze zdecydowaną nieprzepisową prędkością. Rossi... Od momentu, w którym zobaczył Anioła wysiadającego ze swojego rydwanu, Harkness wiedział, że nazwisko Rossi jest fałszywe. Przybysza zdradziło spojrzenie, te niespokojne, zielone, prześwietlające na wskroś oczy. I ten chód... Chodzi, jakby właśnie opuszczał miejsce zbrodni lub szykował się do jej popełnienia, pomyślał Harkness. Ale co, na litość boską, Anioł robi w Glastonbury? I dlaczego

zaciekał go zaginiony obraz? Wyższa Władza sugerowała, że pytania będą zupełnie innego rodzaju niż te, które faktycznie padły. Harkness nie wiedział, co o tym sądzić. Przynajmniej, pomyślał, będę mógł powiedzieć kumplom, że uściskałem dłoń legendy. Nawet miał pamiątkę z tego wydarzenia, rękawiczki użyte przez Anioła i jego piękną żonę. Wyjmując je z kieszeni, z konsternacją stwierdził, że ma tylko trzy. Co się stało z czwartą? Zanim tylne światła rovera zginęły za zakrętem, już wiedział. Zastanawiał się, co Anioł wyniósł w tej cholernej rękawiczce. Co miał teraz zrobić? Pobiec za nim? Zażądać oddania rękawiczki? Nie mógł tego zrobić, bo instrukcje Wyższej Władzy były jednoznaczne: pod żadnym pozorem nie wchodzić gościowi w drogę. Stał więc nieruchomo. Gęba na kłódkę i wzrok wbity w ziemię.

11.

SOMERSET, ANGLIA

Gabriel uważnie przyjrzał się rękawiczce, a właściwie czubkowi jej palca wskazującego.

- Co tam masz? - spytała Chiara.
- Biel ołowiową, cynober i chyba szczyptę naturalnego azurytu.
- Łuski farby?
- Tak. Widzę też włókna materiału.
- Jakiego materiału?
- To rodzaj grubego płótna z bawełny lub lnu używanego w siedemnastowiecznej Holandii na żagle i wsypy do materacy. Rembrandt na nim malował.

- Co robią łuski farby i włókna na podeście?
- Jeżeli się nie mylę, to poszukujemy Rembrandta z dziurą po kuli.

Gabriel zdmuchnął drobinki z palca. Jechali prowadzącą na zachód dwupasmową drogą przez Polden Hills. Przed sobą mieli jaskrawopomarańczowe słońce, zawieszone nisko nad horyzontem między dwiema wąskimi warstwami chmur.

- Myślisz, że Liddell próbował walczyć?

Gabriel potwierdził skinieniem głowy.

- Dowody tego widzieliśmy w jego pracowni.
- Jakie dowody?
- Rozbite szkło i resztki chemikaliów.
- Myślisz, że faktycznie wdał się w bójkę?
- To mało prawdopodobne. Liddell był zbyt mądry, żeby myśleć o zapasach z uzbrojonym złodziejem. Przypuszczam, że jako broni użył rozpuszczalnika.

- Ale jak?

- Wnioskując z pozostałości na podłodze, Liddell musiał chlusnąć roztworem w twarz złodzieja. Na kilka sekund go oślepił i wtedy rzucił się do ucieczki. Niestety, zrobił błąd - zabrał dziewczynę ze sobą.

- Mówisz o obrazie?

Gabriel skinął głową.

- Obraz był za duży, by go trzymać jedną ręką, więc musiał chwycić go za pionowe, dłuższe części ramy. - Gabriel zademonstrował chwyt, prostując ręce w pozycji godziny trzeciej i dziewiątej.

- Zbieganie po wąskich schodach nie było łatwe, ale prawie mu się udało. Tylko dwa stopnie dzieliły go od końca schodów, kiedy dosięgnął go pierwszy pocisk. Kula wyszła z przodu szyi i, jak mi się wydaje, najpierw przedziurawiła obraz, a dopiero później utkwiała w ścianie. Sądząc po składzie i kolorze drobinek farby, zaryzykowałbym stwierdzenie, że kula przeszła przez prawą część twarzy portretu.

- Czy taką dziurę po kuli da się zreperować?

- Bez problemu. Gdybyś tylko wiedziała, co ludzie robią z obrazami... -

Gabriel zawiesił głos. - Lub dla obrazów.

- Co masz na myśli?

- Christopher był romantykiem. Kiedy byliśmy na praktykach w Wenecji, ciągle się zakochiwał. Zawsze kończyło się to czymś złamanym sercem.

- Jaki to ma związek z naszym Rembrandtem?

- Jego notatki - powiedział Gabriel. - To nie zapiski konserwatora, lecz listy miłosne. Christopher wreszcie znalazł kobietę, która nie mogła go porzucić. Dostał obsesji na punkcie dziewczyny z portretu. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że umarł tylko dlatego, że nie chciał się z nią rozstać.

- Jest jedna rzecz, której nie rozumiem - powiedziała Chiara. - Dlaczego złodziej nie zabrał innych obrazów - Moneta czy Cézanne'a?

- Bo był zawodowcem. Przyszedł po Rembrandta, więc wyszedł tylko z nim.

- Co teraz robimy?

- Szukając zaginionego obrazu, najpierw powinniśmy się przyjrzeć miejscu jego wcześniejszego pobytu.
- Od czego zaczniemy?
- Od początku - powiedział Gabriel. - Czyli od Amsterdamu.

12.

MARSYLIA

Gdyby Maurice Durand był człowiekiem skłonny do introspekcji, mógłby powiedzieć, że o przyszłych kolejach jego życia zdecydował moment, w którym usłyszał o Peruggii.

Pochodzący z północnych Włoch Vincenzo Peruggia w niedzielne popołudnie 20 sierpnia 1911 roku wszedł do Luwru i ukrył się w schowku na szczotki. Następnego ranka opuścił swoją kryjówkę w białym fartuchu pracownika muzeum. W tym przebraniu udał się do Salonu Carré, w którym mieściła się największa atrakcja paryskiego muzeum, portret Mony Lisy. Kilka miesięcy wcześniej Vincenzo uczestniczył w budowie specjalnej skrzyni dla arcydzieła Leonarda da Vinci. Jak w każdy poniedziałek muzeum było zamknięte dla publiczności, więc Peruggii nikt nie przeszkadzał. W ciągu kilku sekund złodziej zdjął ze ściany mały, namalowany na desce obraz, schował go pod fartuch i skierował się do pobliskiej klatki schodowej. Niezaczepiony przez nikogo wyszedł na wielkie, centralne podwórze Luwru i po chwili najślawniejsze na świecie dzieło sztuki rozplynęło się w mgielce paryskiego poranka.

Opinię publiczną najbardziej zbulwersował fakt, że kradzież obrazu została odkryta dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Wszczęto alarm, francuska policja rozpoczęła szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Niektóre z jej posunięć mogły budzić zdziwienie: w pewnym mieszkaniu na Montmartrze, jako podejrzany, został aresztowany awangardowy malarz nazwiskiem Picasso. Policji nie przeszkodził nawet fakt, że w dniu kradzieży Mony Lisy młody malarz przebywał setki kilometrów od Paryża. Trafiono też do Vincenza Peruggii. Gdyby policjanci od razu zadali sobie trud przeszukania kufra w jego sypialni, poszukiwania Mony Lisy już wtedy zakończyłyby się sukcesem. Niestety, nie zrobiono tego i obraz przeleżał w ukryciu kolejne dwa lata. Złodziej

wpadł w ręce policji dopiero podczas próby sprzedaży *Mony Lisy* znanemu florenckiemu handlarzowi dziełami sztuki. Peruggia spędził siedem miesięcy we włoskim areszcie, a po kilku latach pozwolono mu wrócić do Francji. Ironiczną puentą całej historii było to, że autor najslawniejszej kradzieży obrazu otworzył w Górnej Sabaudii sklep z farbami i prowadził go aż do późnej starości.

Z historii Peruggii Maurice Durand wyciągnął kilka ważnych wniosków. Po pierwsze, kradzież dzieł sztuki wcale nie jest taka trudna. Po drugie, władze zwykle nie przywiązują większego znaczenia do tego rodzaju przestępstw. Po trzecie, wymierzane kary są stosunkowo łagodne. W pewnym momencie Durand zaczął uważać swoje życie za zbyt monotonne. Sklep z zabytkowymi przyrządami naukowymi był interesem rodzinnym przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Przedtem należał do jego ojca, ojciec odziedziczył go po dziadku. Jednak Maurice dosyć wcześnie zrozumiał, że nie sklep, lecz sztuka jest jego największą życiową pasją. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że istnieją gorsze miejsca pracy niż Pierwsza Dzielnica Paryża, ale to nie stanowiło dla niego większej pocięchy. Sklep z antykami mu nie wystarczał. Obawiał się, że wkrótce upodobni się do przedmiotów na wystawie swojej małej firmy - wypolerowanych, wyglądających atrakcyjnie, ale tylko zbierających na sobie kurz.

Swój pierwszy obraz Durand ukraść dwadzieścia pięć lat temu z Musée des Beaux-Arts w Strasburgu. Mała martwa natura Jeana-Baptiste'a-Simeona Chardina wisiała w oddalonym od głównych pomieszczeń korytarzyku, nieodwiedzanym ani przez gości muzeum, ani przez jego strażników. W odpowiednim momencie Durand wyciął brzytwą płótno z ramy i wsunął je do swojej teczki. Tego dnia, wracając pociągiem do Paryża, szczegółowo przeanalizował swoje emocje podczas samego aktu kradzieży. Wtedy zdał sobie sprawę, że ma cechy idealnego złodzieja.

Skradzione płótno schował w swoim paryskim mieszkaniu. Peruggia przetrzymywał skradziony obraz przez dwa lata, Durand pozbył się łupu po dwóch dniach. Na Chardina czekał już kupiec. Nieuczciwy kolekcjoner nie przejmował się takimi drobiazgami jak pochodzenie płótna. Dostawca został sownie wynagrodzony, klient odszedł szczęśliwy. Durand zdecydował się na diametralną zmianę swojej kariery.

Nowe zajęcie wymagało żelaznej dyscypliny. Durand nigdy nie kradł obrazów dla okupu lub nagrody za ich zwrot, skradzione płótna niezwłocznie odsprzedawał dalej. Z początku unikał słynnych dzieł sztuki, zostawiając je głupcom i marzycielom. Wybierał mniej znane płótna znanych malarzy lub obrazy, które były bardzo podobne do dzieł niemających kłopotów z proveniencją. Rzadko kradł z muzeów i galerii, wolał prywatne rezydencje i pałace, często aż po strych wypełnione cennymi przedmiotami. I co najważniejsze, zazwyczaj słabo chronione.

Klientów miał w tak odległych od jego paryskiej centrali miejscach jak Hongkong, Nowy Jork, Dubaj czy Tokio. Po pewnym czasie zaczął polować na coraz grubszą zwierzynę - muzealne dzieła sztuki warte dziesiątki milionów dolarów, nigdy jednak nie zapominał o dwóch podstawowych regułach działania. Po pierwsze, nie kradł obrazów, na które nie miał zamówienia. Po drugie, handlował tylko ze znanymi sobie klientami. *Autoportret z zabandażowanym uchem* van Gogha zawisł na ścianie pałacu saudyjskiego szejka, podobno mającego słabość do noży. Obraz Caravaggia trafił w ręce właściciela fabryki w Szanghaju. Płótno Picassa zostało zamówione i odebrane przez meksykańskiego miliardera, utrzymującego podejrzane kontakty z miejscowym kartelem narkotykowym. Wszystkie te obrazy łączyło jedno: nigdy nie mogły być prezentowane publicznie.

Maurice Durand nie kradł już własnoręcznie. Kilka lat temu, wchodząc do małego muzeum w Austrii przez świetlik w dachu, doznał bolesnej, ciągle odnawiającej się kontuzji pleców. Od tamtej pory musiał zatrudniać profesjonalnych złodziei. Rozwiązanie to z oczywistych względów było dalekie od ideału, ale jak dotąd Durandowi sprzyjało szczęście. Swoich najemników traktował dobrze, płacąc im wyjątkowo wysokie stawki. Nie miał żadnych nieprzyjemnych komplikacji - aż do dzisiaj.

Południe Francji, ten region najwykwintniejszych win, był też ojczyzną najlepszych złodziei. Niechlubną palmę pierwszeństwa w tej branży dzierżył starożytny port, Marsylia. Opuściwszy dworzec kolejowy Gare de Marseille Saint-Charles, Durand z zadowoleniem zauważył, że temperatura powietrza jest o parę stopni wyższa niż w Paryżu. Przeszedł kilkaset metrów skąpanym w jaskrawym słońcu bulwarem d'Athènes, skręcił w prawo i skierował kroki do

Starego Portu. Dochodziło południe, łodzie rybackie już wróciły z porannych połowów. Na stalowych stołach wzdłuż wschodniej flanki przystani leżały stosy najróżniejszych owoców morza, mających wkrótce trafić w ręce marsylskich szefów kuchni i wejść w skład ich sławnej *bouillabaisse*. Każdego innego dnia Durand przyjrzałby się tym stołom z ciekawością godną rodowitego Francuza, dzisiaj jednak ruszył od razu do straganu siwego mężczyzny w obszarpanym wełnianym swetrze i gumowym fartuchu. Na pierwszy rzut oka sprzedawca ten nie różnił się od innych uczciwych i ciężko pracujących rybaków, próbujących wyżyć z coraz bardziej jałowego morza. W rzeczywistości Pascal Rameau był ostatnią osobą, którą można by posądzić o uczciwość. Widok Duranda go nie zdziwił.

- Jak połów, Pascal?

- *Merde* - mruknął Rameau. - Z każdym dniem marniejszy. Wkrótce... - Opuścił kąciaki ust z typowo galijskim wyrazem obrzydzenia. - Wkrótce nie będzie nic oprócz śmieci.

- To wina Włochów - powiedział Durand.

- Wszystko jest winą Włochów - odpowiedział Rameau. - Jak twoje plecy?

Durand się skrzywił.

- Tak jak zwykle.

Na twarzy Rameau pojawiło się współczucie.

- Mnie też bolą plecy. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł łowić.

- Jesteś najbogatszym człowiekiem w Marsylii. Dlaczego każdego ranka wypływasz w morze?

- Jestem tylko jednym z najbogatszych. A łowię ryby z tego samego powodu, dla którego ty pracujesz w swoim sklepie. - Rameau uśmiechnął się i spojrzął na teczkę rozmówcy. - Przywiozłeś pieniądze?

Durand skinął głową.

- Nie powinieneś nosić z sobą takiej teczki w Marsylii. Nie słyszałeś o tułaczach złodziejach, Maurice?

- Tak, słyszałem, że kiedyś byli dobrzy. Ale to się zmieniło.

- Nigdy nie wiemy, co się może wydarzyć w naszym zawodzie.

- Czy to nie ty mówiłeś, że rozlew krwi psuje interesy?

- Tak, to prawda. Ale czasami nie da się tego uniknąć.
- Gdzie on jest?

Rameau wskazał głową na prawo. Durand ruszył Quai de Rive Neuve w stronę wyjścia z portu. Mniej więcej w połowie marinury doszedł do motorowego jachtu o nazwie „Mistral”. Na tylnym pomoście łodzi, opierając stopy o burtę, siedział mężczyzna w ciemnych okularach, z długimi, ciemnymi włosami związanymi w gruby kucyk. Nazywał się René Monjean i był jednym z najzdolniejszych złodziei Duranda.

- Co się stało w Anglii, René?
- Pojawiły się komplikacje.
- Jakie komplikacje?

Monjean zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na Duranda przekrwionymi oczami.

- Gdzie mój obraz? - zapytał Durand.
- Gdzie moje pieniądze?

Durand uniósł walizeczkę.

Monjean z powrotem założył okulary i wstał.

13.

MARSYLIA

Naprawdę powinieneś pójść do okulisty, René. Aceton może trwale uszkodzić rogówkę.

- A jak zapyta, jakim sposobem dostał mi się do oczu?
- Twój doktor nie śmiałby zadać takiego pytania.

Monjean otworzył małą lodówkę w kuchni i wyjął z niej dwie butelki piwa Kronenbourg.

- Dla mnie to trochę za wcześnie na piwo.

Monjean odstawił jedną butelkę z powrotem i wzruszył ramionami. Ech, ci ludzie z Północy... Durand usiadł przy małym stoliku.

- Nie dało rady rozegrać tego inaczej?
- Jasne, mogłem mu pozwolić uciec i zadzwonić na policję. Ale nie uważałem, że to dobry pomysł. - Milczał przez chwilę. - Dla żadnego z nas.
- Nie mogłeś go po prostu jakoś obezwładnić?
- Sam się zdziwiłem, że w ogóle go trafiłem. Pociągając za spust, prawie nic nie widziałem. - Monjean zerwał kapsel z butelki. - Ty nigdy...
- Czy strzelałem? - Durand przecząco potrząsnął głową. - Nawet nie miałem pistoletu w ręce.

- Świat się zmienił, Maurice. - Monjean spojrzał na walizeczkę. - Masz tam coś dla mnie?

Zamki odskoczyły z trzaskiem, Durand wyjął ze środka kilka zwitków banknotów po sto euro.

- Twój ruch, René.

Monjean otworzył szafkę nad głową i wyjął z niej tekturową tubę o długości dziewięćdziesięciu i średnicy dziesięciu centymetrów. Zdjął z niej aluminiową przykrywkę i kilka razy potrząsnął, aż ukazało się dziesięć centymetrów zwiniętego w rulon płótna.

- René, bądź ostrożny, nie uszkodź obrazu.
- Obawiam się, że na takie uwagi trochę już za późno.

Gdy Monjean położył rozwinięty obraz na blacie stołu, przerażony Durand wytrzeszczył oczy. Tuż nad prawym okiem kobiety widniała mała dziurka, wyglądająca jak przekłuta ołówkiem. Jedwabny szal i jej piersi były zaplamione czymś ciemnym.

- Powiedz mi, że to nie krew.
- Mógłbym, ale to byłoby kłamstwo.
- Czyja?
- A jak myślisz? - Monjean pociągnął długi łyk piwa i wyjaśnił.
- Szkoda, że lepiej nie wycelowałeś - powiedział Durand. - Mógłbyś ją

trafić idealnie między oczy.

Dotknął dziury, polizał czubek palca i zaczął pocierać powierzchnię obrazu, aż rozmazał zaschniętą krew.

- Chyba zejdzie - powiedział Monjean.
- Raczej tak.
- Co z dziurą po kuli?
- Znam kogoś w Paryżu, kto sobie z tym poradzi.
- Co to za człowiek?
- Fałszerz dokumentów.
- Potrzebujesz konserwatora, Maurice, i to bardzo dobrego.
- Każdy dobry konserwator jest przede wszystkim fałszerzem.

Monjean nie wyglądał na przekonanego.

- Czy mogę ci udzielić pewnej rady, Maurice? - zapytał.
- Przestrzeliłeś Rembrandta wartego dziesiątki milionów dolarów, ale

mimo to słucham.

- Ten obraz oznacza kłopoty. Spal go i zapomnij o nim. Przecież możemy ukraść jakiś inny.

- Chciałbym to zrobić...
- Ale?

- Mam już odbiorcę. A satysfakcja klienta jest dla mnie najważniejsza.

Zresztą nie po to wszedłem w tę branżę, żeby niszczyć obrazy. Zwłaszcza takie piękne jak ten.

14.

AMSTERDAM

Drapieżny świat handlarzy dziełami sztuki nie jest, mimo wszystko, pozbawiony zasad. Dokument pochodzenia lub proveniencja, czyli spis udokumentowanych, kolejnych właścicieli, stanowi jedno z podstawowych kryteriów wartości dzieła sztuki. Bez tego dokumentu marszand nie powinien sprzedawać, kolekcjoner kupować, a konserwator przyjmować zlecenia na renowację. Gabriel wiedział jednak, że nawet najbardziej znane dzieła światowej sztuki potrafią, zupełnie tak jak ludzie, fałszować swoją przeszłość. Miał też świadomość, że czasami kłamstwa potrafią powiedzieć o obrazie więcej niż oficjalny rodowód. Dlatego też z takim zainteresowaniem zaczął się przyglądać firmie De Vries Fine Arts, już od roku 1882 sprzedającej obrazy holenderskich Starych Mistrzów.

Galeria ta, zajmująca nobliwy, aczkolwiek dość ponury budynek nad amsterdamskim kanałem Herengracht, zawsze uchodziła za symbol solidności i etyki zawodowej. Jednak nawet pobieżne przyjrzenie się jej dawniejszej działalności, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej, pokazywało drugie oblicze firmy. W kilka tygodni po kapitulacji Holandii w Amsterdamie pojawiła się fala Niemców polujących na holenderskie obrazy. Ceny zabytkowych płócien tak poszybowały w górę, że posiadacze kolekcji zaczęli przeglądać swoje zbiory w poszukiwaniu wszystkiego, co przypominało dzieła Starych Mistrzów. Galeria De Vries była jedną z tych firm, które powitały najeźdźców z otwartymi ramionami. Jej najlepszym klientem był nie nikt inny jak Hermann Goering, który w latach 1940-1942 kupił tam co najmniej tuzin obrazów. Pracownicy galerii podobno cenili go za umiejętności negocjacyjne i łobuzerskie poczucie humoru. Goering nie pozostał im dłużny, przekonując swoich kolegów w Berlinie, że żaden wypad do Amsterdamu nie powinien się odbyć bez

wizyty w doskonałej galerii nad kanałem Herengracht.

Firma De Vries odegrała ważną rolę w historii *Portretu młodej kobiety* Rembrandta. Z trzech udokumentowanych zmian właściciela w dwudziestym wieku dwie miały miejsce pod auspicjami De Vries Fine Arts. Pierwsza transakcja została dokonana w 1919 roku, druga w 1936. Obydwie miały charakter prywatny, co oznaczało, że tożsamość zarówno sprzedającego, jak i kupca była objęta tajemnicą zawodową. Według reguł świata sztuki, szczegóły tego rodzaju transakcji nigdy nie powinny być ujawnione publicznie. Tylko w pewnych okolicznościach - na przykład po upływie dłuższego czasu lub po uiszczeniu sowitej opłaty - niektóre galerie zgadzały się na dopuszczenie osób trzecich do ksiąg swojej firmy.

Gabriel zlecił to delikatne zadanie Julianowi Isherwoodowi, od dawna pozostającemu w zażyłych stosunkach z amsterdamską galerią. Ten, po kilku godzinach ożywionych rozmów z Geertem de Vriese, prawnikiem założyciela galerii, uzyskał dostęp do dokumentów firmy. Isherwood nie zdradził Gabrielowi, ile to go kosztowało, nadmienił tylko, że cena była wysoka.

- Musisz pamiętać o jednym - powiedział. - Handlarze dziełami sztuki to najmniej udane stworzenia boskie. A ciężkie czasy, w których żyjemy, tylko potęgują najgorsze cechy ich charakteru.

Gabriel i Chiara czekali na wynik negocjacji w przytulnym apartamencie hotelu Ambassade. Kiedy dowiedzieli się o pomyślnym zakończeniu rozmów, w odstępie kilku minut, każde osobno, opuścili hotel. Galeria De Vries była oddalona tylko o kilka minut spaceru. Chiara poszła jedną stroną kanału, Gabriel drugą. W recepcji czekała na nich żółta koperta na nazwisko ROSSI z fotokopiami transakcji firmowych. Gabriel włożył ją do teczki, podziękował pracownicy galerii po angielsku z włoskim akcentem i życzył jej miłego popołudnia. Wychodząc na ulicę, zerknął na stojącą po drugiej stronie kanału, opartą o latarnię Chiarę. Sposób, w jaki zawiązała szalik, oznaczał, że nie są śledzeni. Ruszyli, nadal osobno, do Bloemenmarkt i dopiero tam razem usiedli w kafejce. Chiara zamówiła gorącą czekoladę, Gabriel zaczął przeglądać uzyskane przed chwilą dokumenty.

- Teraz rozumiem, dlaczego Holendrzy są lingwistami. Ich własny język jest taki trudny!

- Rozumiesz coś z tego?

- Większość tak. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku nabywcą portretu był bankier Andries van Gelder. Z powodu światowego kryzysu gospodarczego miał kłopoty, bo w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym sprzedał obraz ze stratą.

- Kto był kolejnym właścicielem?

- Niejaki Jacob Herzfeld.

- Czy holenderskim chłopcom nadaje się imię Jacob?

- Raczej Jacobus.

- A więc nabywca był Żydem.

- Kiedy była następna sprzedaż?

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku. W Hoffmann Gallery w Lucernie.

- W Szwajcarii? Dlaczego Jacob Herzfeld miałby sprzedawać swój obraz właśnie tam?

- Podejrzewam, że to nie on był sprzedawcą.

- Dlaczego?

- Ponieważ nasz Jacob najprawdopodobniej nie dożył roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego, chyba że był wielkim szczęściarzem. A to oznacza, że w proveniencji obrazu może się pojawić luka.

- Co robimy teraz?

Gabriel wepchnął dokumenty z powrotem do koperty.

- Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o Herzfeldzie.

15.

AMSTERDAM

Portret młodej kobiety, olej na płótnie o wymiarach 104 na 86 centymetrów, został namalowany przez Rembrandta w jego posiadłości niedaleko starożytnego centrum Amsterdamu. Cena nieruchomości, którą malarz nabył w 1637 roku, wyniosła trzynaście tysięcy guldenów, co stanowiło ogromną sumę nawet dla artysty o takiej renomie. Transakcja ta przyczyniła się do jego późniejszej katastrofy finansowej. Nazwa ulicy, przy której stał jego dom, Sint Antonisbreestraat, po pewnym czasie została zmieniona na Jodenbreestraat, co oznaczało Żydowską Ulicę Szeroką. Powód, dla którego Rembrandt wybrał właśnie taką okolicę, nie jest znany. Może żywił skrywaną sympatię dla Żydów? A może osiedlił się tam, ponieważ chciał być bliżej artystycznej kolonii malarzy i kolekcjonerów sztuki? Bez względu na to, jaki był powód jego decyzji, jedna rzecz była bezdyskusyjna. Największy malarz holenderskiego Złotego Wieku mieszkał i pracował wśród amsterdamskich Żydów.

Już po śmierci Rembrandta na drugim krańcu Jodenbreestraat powstały synagogi przy Visserplein i Meijerplein. Okazałe budynki z czerwonej cegły przetrwały lata niemieckiej okupacji, ale większość modlących się tam kiedyś Żydów zginęła w czasie wojny. Pośrodku obszaru wyznaczonego czterema starymi, aszkenazyjskimi synagogami znajdowało się najważniejsze centrum pamięci tej strasznej tragedii, Żydowskie Muzeum Historyczne. Tam właśnie udali się Gabriel z Chiara. Już w środku, po przejściu przez system bramek magnetycznych, spytali o dział badań i dokumentacji. Skierowano ich w dół. W czystym, jasno oświetlonym pomieszczeniu stały długie biurka do pracy, a do wyższych kondygnacji, zastawionych rzędami regałów, wiodły kręcone schody. O tak późnej porze w dziale przebywał tylko jeden pracownik, wysoki mężczyzna po czterdziestce o jasnorudych włosach.

formacji o Jacobie Herzfeldzie. Archiwista poprosił o przeliterowanie nazwiska, następnie podszedł do stanowiska komputerowego. Po kliknięciu w ikonę SZUKAJ na ekranie pojawiło się zapytanie o dane osoby. Pracownik muzeum wprowadził imię i nazwisko, nacisnął klawisz.

- To chyba on. Jacob Herzfeld, urodzony w Amsterdamie w marcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego, zginął w Auschwitz w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. W tym samym czasie zamordowano jego żonę i córkę. Dziecko miało dziewięć lat. - Archiwista obrócił się do Gabriela. - Musiało im się dobrze powodzić, bo mieszkali w drogiej dzielnicy na Plantage Middenlaan. To niedaleko stąd, tuż po drugiej stronie Wertheimpark.

- Czy ktoś z rodziny przeżył wojnę?

- W tej bazie danych takich informacji nie posiadamy, ale sprawdzę inne zbiory.

Archiwista znikł w drzwiach. Chiara spacerowała między regałami, Gabriel siedział przy komputerze, przeglądając dane zmarłych. Salomon Wass, urodzony w Amsterdamie 31 maja 1932 roku, zamordowany w Sobiborze 14 maja 1943... Alida Spier, urodzona w Rotterdamie 20 września 1915, zamordowana w Auschwitz 30 września 1942 roku... Sara da Silva Rosa, urodzona w Amsterdamie 8 kwietnia 1930 roku, zamordowana w Auschwitz w październiku 1942 roku... Trzy osoby ze stu dziesięciu tysięcy holenderskich Żydów, zamkniętych w wagonach towarowych i wyprawionych na Wschód, ku zagładzie. Tylko jedna piąta holenderskich Żydów przeżyła wojnę. To najniższy tego typu wskaźnik wśród krajów zachodnich, które trafiły pod okupację niemiecką. Na tragedię złożyło się kilka czynników, ale chyba najważniejszym z nich było entuzjastyczne poparcie projektu eksterminacji Żydów przez znaczną część holenderskiego społeczeństwa. Policjanci aresztowali, kolejarze przewozili do miejsc zagłady, zwykli obywatele ochoczo brali udział w każdym etapie procesu mordowania Żydów. - Praca z nimi była prawdziwą przyjemnością - powiedział później o swoich holenderskich pomocnikach Adolf Eichmann, główny zarządzający akcją ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej.

Wrócił archiwista, trzymając w dłoni pojedynczą kartkę papieru.

- Wydawało mi się, że poznaję to nazwisko i adres. W rodzinie Herzfeldów była dziewczynka, która przeżyła. Ale obawiam się, że nie będzie chciała z wami rozmawiać.

- Dlaczego?

- Co roku organizujemy w Amsterdamie spotkanie osób, zwłaszcza dzieci, które przeżyły wojnę w ukryciu. Rok temu zajmowałem się rejestracją uczestników. - Uniósł kartkę papieru. - Lena Herzfeld zjawiała się na pierwszej sesji, ale po krótkim czasie z niej wyszła.

- Co się stało?

- Kiedy ją poprosiliśmy, żeby spisała swoje wspomnienia z okresu wojny, wpadła w furię. Powiedziała, że jej przyście tutaj było pomyłką. Od tego czasu już jej nie widzieliśmy.

- Takie reakcje nie są czymś niezwykłym - powiedział Gabriel. - Niektórzy z tych, którzy przeżyli Zagładę, mogą o niej mówić dopiero po wielu latach, inni w ogóle nie chcą do tego wracać.

- To prawda - archiwista skinął głową. - Uważam, że dzieci, które przeżyły wojnę w ukryciu, to najmniej rozumiane ofiary Zagłady. Z ich doświadczeniami wiąże się specyficzna tragedia. W większości przypadków dzieci te trafiły do całkowicie im nieznanymi rodzin. Dla dorosłych Żydów najważniejsze było ratowanie potomstwa przed śmiercią, ale czy dziecko jest w stanie zrozumieć powód, dla którego rodzice oddają je obcym ludziom?

- Zgadza się z panem - powiedział Gabriel. - Ale ja muszę się z nią spotkać.

Archiwista badawczo spojrział na rozmówcę. Wydawało się, że w twarzy Gabriela zobaczył coś znajomego. Uśmiechając się smutno, podał mu kartkę papieru, którą przyniósł.

- Nie mówcie jej, skąd macie jej adres. I obchodźcie się z nią delikatnie. Jest krucha. Oni wszyscy są tacy.

16.

AMSTERDAM

Od archiwisty Chiara i Gabriel dowiedzieli się, że Lena Herzfeld do niedawna pracowała jako nauczycielka w szkole państwowej i że nigdy nie wyszła za mąż. Mieszkała niedaleko swojego dawnego domu rodzinnego. Po jednej stronie jej ulicy rozciągał się gęsto zadrzewiony park, po drugiej rząd budynków z ozdobnymi szczytami. Dom Leny miał wąską fasadę i ciemne, niewielkie drzwi wejściowe. Gabriel podniósł rękę, żeby zadzwonić, ale się zawahał. *Wpadła w furję... Od tego czasu już jej nie widzieliśmy...* Może powinniśmy ją zostawić w spokoju, pomyślał. Z doświadczenia wiedział, że wypytywanie osób, które przeżyły wojnę, o ich przeszłość było jak stąpanie po cienkim lodzie. Jeden niewłaściwy krok oznaczał katastrofę.

- Co się stało? - spytała Chiara.
- Nie chcę jej narażać na kolejny stres. Zresztą pewno już nic nie pamięta.
- Miała dziewięć lat, gdy pojawili się Niemcy.

Ponieważ Gabriel nie mógł się zdecydować, Chiara nacisnęła dzwonek za niego.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Przyszła na zeszłoroczną konferencję nie bez powodu. Chce rozmawiać.
- Więc dlaczego tak się zdenerwowała, gdy spytano ją o czasy wojny?
- Bo nie zrobiono tego we właściwy sposób.
- Myślisz, że ja poradzę sobie lepiej?
- Dasz sobie radę.

Chiara ponownie sięgnęła do dzwonka, ale słysząc kroki zbliżające się w korytarzu, cofnęła rękę. Zabłyśło światło na fasadzie domu. Drzwi uchyliły się, ukazując niską, szczupłą kobietę w czerni. Jej siwe włosy były starannie uczesane, spojrzenie błękitnych oczu czyste i uważne. Kobieta od razu domyśliła

się, że przybysze są cudzoziemcami.

- W czym mogę wam pomóc? - spytała po angielsku bez śladu akcentu.
- Szukamy Leny Herzfeld.
- Ja jestem Lena Herzfeld - odpowiedziała spokojnie.
- Czy moglibyśmy z panią porozmawiać?
- O czym?
- O pani ojcu. - Gabriel zrobił przerwę. - I o wojnie.

Chwilę milczała.

- Mój ojciec nie żyje już od sześćdziesięciu lat - rzekła zdecydowanie. - A co do wojny, to nie chcę o tym mówić.

Gabriel spojrział na Chiare, która go zignorowała, i cicho zapytał:

- Czy mogłaby pani opowiedzieć nam o obrazie?

Przez chwilę Lena Herzfeld wyglądała na zaskoczoną, ale szybko odzyskała równowagę.

- O jakim obrazie?
- O obrazie Rembrandta, który pani ojciec posiadał przed wojną.
- Obawiam się, że to jakaś pomyłka. Mój ojciec nigdy nie posiadał obrazu

Rembrandta.

- Ależ tak - powiedział Gabriel. - Kupił go od firmy De Vries Fine Arts mieszczącej się przy ulicy Herengracht w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Mam przy sobie kopię rachunku, jeżeli pani chciałaby ją zobaczyć.

- Nie mam ochoty. Teraz, jeżeli państwo pozwolą...
- Czy mogłaby pani przynajmniej rzucić na to okiem?

Nie czekając na odpowiedź, Gabriel wcisnął w dłoń kobiety zdjęcie obrazu. Przez kilka sekund twarz Leny Herzfeld nie zdradzała żadnych emocji, potem jednak wykrzywił ją grymas bólu. Rozpląkała się.

- Czy pani już sobie przypomniała?

- To było tak dawno temu, ale tak, pamiętam. - Lena Herzfeld otarła łzy z policzka - Skąd pan to ma?

- Może porozmawiamy w środku?

- Jak mnie znaleźliście? - spytała z lękiem, patrząc na fotografię. - Kto mnie wydał?

Gabriel poczuł ucisk w sercu.

- Nikt pani nie wydał - powiedział cicho. - Jesteśmy przyjaciółmi. Może nam pani zaufać.

- Gdy byłam dzieckiem, nauczyłam się nie ufać nikomu. - Podniosła wzrok znad fotografii. - Czego ode mnie chcecie?

- Tylko pamięci.

- Ale to wszystko było tak dawno.

- Przez ten obraz zginęli ludzie, panno Herzfeld.

- Tak - odpowiedziała. - Wiem o tym.

Oddała zdjęcie Gabrielowi. Myślał już, że przeholował, jednak po chwili drzwi otworzyły się szerzej. Lena Herzfeld usunęła się na bok, zapraszając ich do środka.

Bądź delikatny, powtarzał sobie Gabriel. Ona jest krucha. Jak wszyscy, którzy przeżyli.

17.

AMSTERDAM

W uporządkowanym, sterylnym domu Leny Herzfeld Gabriel od razu wyczuł pewną nienormalność. Salon, przywodzący na myśl obrazy Vermeera, był niewielki, jednak dzięki starannemu rozmieszczeniu mebli oraz klinicznie białym ścianom gospodyni udało się zaaranżować wnętrze, które nie stwarzało klaustrofobicznego wrażenia. Nie było tu ozdób ze szkła, miseczek z landrynkami, pamiątek, żadnych fotografii. Odnosiło się wrażenie, że Lena Herzfeld nie posiadała rodziców, przodków, przeszłości. To nie dom, pomyślał Gabriel. To oddział szpitalny, do którego właścicielka wprowadziła się na dłużej.

Zaproponowała herbatę. Nie zaskoczył ich fakt, że podała ją w białym dzbanku i białych filiżankach. Poprosiła Gabriela i Chiareę, by mówili jej po imieniu. Wyjaśniła, że przez trzydzieści siedem lat pracy w szkolnictwie zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli była panną Herzfeld i że dopiero po przejściu na emeryturę uświadomiła sobie, że chce odzyskać swoje imię. Gabriel nie miał nic przeciwko temu, jednak później kilka razy, podkreślając wagę chwili czy szacunek, nazwał swoją rozmówczynię panną Herzfeld. Tego wieczora Gabriel przedstawił się jako Gideon Argov, pracownik niewielkiej, utrzymującej się z prywatnych źródeł organizacji, która zajmuje się finansową stroną Holokaustu. Z uwagi na typ badań i związane z nim kwestie bezpieczeństwa, powiedział, nie może się wdawać w wyjaśnienia bardziej szczegółowe.

- Czy pan jest z Izraela, panie Argov?
- Tam się urodziłem. Teraz mieszkam w Europie.
- Gdzie w Europie, panie Argov?
- Ze względu na charakter pracy żyję na walizkach.
- A pana asystentka?

- Spędzamy razem tyle czasu, że mąż podejrzewa ją o niewierność.
- Czy ma rację?
- Czy jesteśmy kochankami? Nie jestem aż takim szczęściarzem, panno

Herzfeld.

- Leno, panie Argov. Proszę nazywać mnie Leną.

Ci, którzy przeżyli wojnę, niełatwo ujawniają swoje tajemnice. Mają świadomość, że wspomnienia bywają niebezpieczne. Gabriel wiedział, że to przesłuchanie powinien przeprowadzić z dużym wyczuciem i że jakikolwiek nacisk na rozmówczynię może się skończyć porażką. Po uwadze, że Amsterdam ostatnio bardzo się zmienił, Lena Herzfeld zaczęła opowiadać, jak jej miasto wyglądało przed wojną.

Jej przodkowie przybyli do Holandii w połowie siedemnastego wieku, uciekając przed kozackimi pogromami we wschodniej Polsce. Co prawda Holendrzy pozwolili im parać się handlem, ale wśród amsterdamskich Żydów panowała ogromna bieda. Aż do końca dziewiętnastego wieku przodkowie Leny byli sklepikarzami i sprzedawcami ulicznymi. Ich los zmienił się na lepsze, gdy Abraham Herzfeld zajął się handlem diamentami. Założony przez niego kantor został przekazany w spadku synowi Jacobowi, w którego rękach firma rozkwitła. W 1927 Jacob poślubił Susannę Axons i wyprowadził się z zatłoczonego mieszkania na Jodenbreestraat do okazałego domu przy Plantage Middenlaan. Po czterech latach małżeństwa przyszło na świat ich pierwsze dziecko, Lena, dwa lata później urodziła się im druga córka, Rachel.

- Oczywiście uważaliśmy się za Żydów, ale Żydów zasymilowanych. Nigdy nie byliśmy przesadnie religijni. Zapalaliśmy świece na szabas, lecz do synagogi chodziliśmy tylko w większe święta. Ojciec nie miał brody, nie nosił jarmułki, nie prowadziliśmy koszernej kuchni. Wraz z siostrą chodziłam do zwyczajnej holenderskiej szkoły.

Większość naszych szkolnych przyjaciół nawet się nie domyślała, że jesteśmy Żydówkami. Widzi pan, panie Argov, w młodości miałam jasne włosy.

- A siostra?

- Siostra miała brązowe oczy, tak jak ona - powiedziała Lena, patrząc na Chiarę - i piękne, czarne włosy. Różniłyśmy się kolorem oczu i włosów, ale poza tym byłyśmy bardzo podobne.

Na twarzy Leny Herzfeld pojawiła się rozpacz. Gabriel zrozumiał, że dalsza rozmowa o siostrze byłaby błędem. Poprosił gospodynię o opis domu na Plantage Middenlaan.

- Powodziło się nam dobrze - powiedziała Lena, wdzięczna za zmianę tematu. - Byliśmy uważani za zamożnych. Ale ojciec nigdy nie lubił rozmawiać o pieniądzach. Twierdził, że nie są najważniejsze. W swoim życiu miał tylko jedną pasję. Uwielbiał obrazy. Nasz dom był pełen dzieł sztuki.

- A obraz Rembrandta?

Zawahala się, skinęła głową.

- Był naszym pierwszym większym zakupem. Wisiał na ścianie salonu, każdego wieczoru ojciec siadał przed nim, by go podziwiać. Moi rodzice byli sobie bardzo oddani, jednak ta adoracja obrazu przez ojca powodowała, że mama czasami czuła się zazdrosna o dziewczynę na portrecie. - Lena uśmiechnęła się lekko. - Wszyscy byliśmy dumni z posiadania takiego dzieła sztuki. Niestety, niedługo po tym, jak obraz zawisł na naszej ścianie, świat oszalał. Kristallnacht, Austria, Polska. I w końcu my. Dla wielu mieszkańców Amsterdamu nazistowska inwazja była zaskoczeniem. Hitler przyrzekł nam nietykalność, jeżeli Holandia pozostanie neutralna. Po wkroczeniu Niemców rodzina Herzfeldów próbowała uciec do Belgii - najpierw statkiem, później łodem. Oczywiście pomysł był nierealny, więc wkrótce wszyscy wróciliśmy do domu przy Plantage Middenlaan. Znaleźliśmy się w pułapce - kontynuowała Lena Herzfeld. - Tak samo jak pozostałe sto czterdzieści tysięcy holenderskich Żydów. W odróżnieniu od Francji i Belgii, zarządzanych przez wojsko, administracja Holandii była cywilna. Mianowany przez Hitlera zarządca kraju, fanatyczny antysemita Arthur Seyss-Inquart, wcześniej kierował marionetkowym rządem Austrii po przyłączeniu jej do Rzeszy. Już po kilku dniach okupacji ogłoszono rozporządzenia nowych władz. Pierwsze nie wyglądały groźnie - Żydzi nie mogli pracować w wojskowych służbach pomocniczych. Później nakazano im opuszczenie Hagi i terenów nadmorskich. We wrześniu zlikwidowano żydowską prasę. W listopadzie wszyscy pracownicy pochodzenia żydowskiego holenderskiej administracji państwowej, branży telefonicznej i szkolnictwa zostali w trybie natychmiastowym zwolnieni z pracy. W styczniu czterdziestego pierwszego roku pojawiła się pierwsza jednoznaczna zapowiedź

nadchodzącej tragedii. Wszyscy Żydzi przebywający w Holandii w ciągu czterech tygodni mieli się zarejestrować w holenderskim biurze do spraw ludności, a niewykonanie rozkazu groziło więzieniem i konfiskatą mienia. Dzięki temu spisowi Niemcy zdobyli najważniejsze informacje na nasz temat: imiona, nazwiska, wiek, płeć, adresy. Sami dostarczyliśmy okupantom danych, które umożliwiły im sprawną organizację naszej zagłady.

- Czy pani ojciec się zarejestrował?

- Długo się zastanawiał, czy nie zignorować rozporządzenia, ale w końcu się ugiął. Mieszkaliśmy w bardzo eksponowanym miejscu, w najbardziej żydowskiej dzielnicy miasta, więc nie mogliśmy udawać, że nie jesteśmy Żydami. Po spisie nastąpiła lawina dalszych coraz groźniejszych dekretów mających na celu izolację Żydów od reszty społeczeństwa, upokorzenie i, docelowo, rabunek ich mienia. Zabroniono im oddawać krew. Nie mogli wchodzić do hoteli czy restauracji. Nie mieli prawa odwiedzać teatrów, bibliotek publicznych, wystaw sztuki. Zwolniono wszystkich Żydów pracujących na giełdzie. Zabroniono im posiadania gołębi. Żydowskie dzieci już nie mogły chodzić do aryjskich szkół. Żydzi musieli sprzedać swoje firmy osobom pochodzenia nieżydowskiego. Musieli oddać zbiory sztuki i biżuterię, mogli zachować tylko obrączki ślubne i zegarki kieszonkowe. Kazano im zdeponować oszczędności w LiRo, przejętym przez nazistów żydowskim banku Lippmann, Rosenthal and Company. Dekret numer trzynaście z dwudziestego dziewiątego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego nakazał Żydom powyżej szóstego roku życia noszenie żółtej gwiazdy Dawida w miejscach publicznych. Gwiazda ta musiała być przyszyta, a nie przypięta, na lewej piersi okrycia wierzchniego. Za każdą pobraną gwiazdę Żydom potrącano cztery centy z ich przydziału ubraniowego. Żeby nas nie straszyc, mama mówiła, że to zabawa i że spacerując z naszymi gwiazdami, powinniśmy być z tego dumne. Oczywiście nie dałam się na to nabrac. Właśnie skończyłam jedenaście lat i chociaż nie mogłam w pełni przewidzieć rozmiaru czekającej nas katastrofy, wiedziałam, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Uczestniczyłam w zabawie wymyślonej przez mamę, bo nie chciałam, żeby moja młodsza siostra się bała. Rachel była jeszcze nieduża i łatwo ją było oszukać. Uwielbiała swoją żółtą gwiazdę. Mówiła, że gdy ją nosi, czuje na sobie oczy Boga.

- Czy pani ojciec przekazał Niemcom swoją kolekcję obrazów?
- Oddał wszystkie, oprócz Rembrandta. Rembrandta zdjął z blejtramu i wcisnął w kąt strychu wraz z woreczkiem diamentów, które dostał ze sprzedaży swojej firmy holenderskiemu rywalowi rynkowemu. Matka płakała, gdy musieliśmy oddawać kosztowności rodzinne, jednak ojciec nie tracił spokoju. Nigdy nie zapomnę tego, co wówczas mówił. - To tylko rzeczy - powtarzał. - Najważniejsze, że nadal jesteśmy razem. Nikt nam tego nie odbierze. Pojawiały się kolejne rozporządzenia nazistów. Żydzi nie mogli wychodzić nocą z domu. Zabroniono im odwiedzania domów nieżydowskich. Żydzi nie mogli korzystać z telefonów publicznych. Żydzi nie mogli podróżować tramwajami ani pociągami. Wreszcie, piątego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, Główny Urząd Emigracji Żydowskiej, kierowany przez Adolfa Eichmanna, wysłał zawiadomienia do czterech tysięcy Żydów o wysłaniu ich do pracy w Niemczech. Oczywiście było to kłamstwo, zaczęły się deportacje do obozów zagłady.

- Czy twoja rodzina dostała takie zawiadomienie?
- Nie od razu. Na pierwszą listę trafili przede wszystkim Żydzi, którzy wcześniej uciekli przed nazistami z Niemiec. Nasze wezwanie przyszło w drugim tygodniu września. Kazano nam się zgłosić na amsterdamskim Dworcu Centralnym, Centraal Station. Dostaliśmy dokładne instrukcje, co możemy ze sobą zabrać. Zapamiętałam wyraz twarzy ojca, który zrozumiał, że to wyrok śmierci.

- Co wtedy zrobił?
- Poszedł na strych po Rembrandta i woreczek z diamentami.
- A później?
- Zerwaliśmy z ubrań gwiazdy Dawida i zaczęliśmy się ukrywać.

18.

AMSTERDAM

Chiara miała rację. Po latach milczenia Lena zapragnęła w końcu opowiedzieć historię swojego życia. Mówiła wolno, z namysłem, jak nauczyciel, który przekazuje studentom trudną wiedzę. Gabriel i Chiara siedzieli na śnieżnobiałej kanapie, opierając ręce na udach. Wyglądali jak para zasłuchanych uczniów. Nie starali się przyśpieszyć tempa narracji.

- Czy znacie holenderskie słowo *verzuiling*? - spytała Lena.
- Niestety nie - odpowiedział Gabriel.
- Jest to unikalne holenderskie pojęcie, określające relacje dwóch bardzo różnych grup wyznaniowych, katolików i protestantów. Filozofia *verzuiling* zakłada, że pokój między religiami ma się opierać nie na współpracy, lecz rygorystycznym rozdziale. Kalwinista czyta kalwinistyczną prasę, kupuje mięso u rzeźnika kalwinisty, kibicuje swoim klubom sportowym i posyła dzieci do szkół prowadzonych przez wyznawców swojej religii. Tak samo mają postępować katolicy. I oczywiście Żydzi. Przed wojną bliższe związki między katolikami i kalwinistami występowały rzadko. Przyjaźnie między wyznawcami wszystkich kościołów chrześcijańskich a Żydami w ogóle nie istniały. W takiej sytuacji, gdy zaczęły się łapanki i deportacje, Żydzi nie mieli do kogo zwrócić się o pomoc. Jeszcze przed wojną mój ojciec nawiązał w pracy znajomości z kilkoma osobami spoza społeczności żydowskiej. Jedną z nich był katolik Nikolaas de Graaf, dżentelmen mieszkający z żoną i czwórką dzieci niedaleko Vondelpark. Przypuszczam, że za przyjęcie nas pod swój dach ojciec mu zapłacił, ale o tych rzeczach wtedy się nie mówiło. Do domu de Graafa wślizgnęliśmy się dziewiątego września tuż przed północą¹. Wchodziliśmy pojedynczo, nie chcieliśmy, żeby sąsiedzi nas zauważyli. Każde z nas miało na sobie trzy warstwy ubrań, bo chodzenie po ulicy z walizkami było zbyt niebezpieczne.

Nasza kryjówka znajdowała się na strychu. Gdy wszyscy weszliśmy po drabinie na górę, ojciec zaryglował drzwi. Nastąpiła ciemność... Noc bez końca.

Na strychu nie było niczego oprócz kilku starych koców, rzuconych na gołą podłogę. Każdego dnia rano pani de Graaf przynosiła nam miskę wody, która musiała nam wystarczyć na prymitywną toaletę. Ubikacja była piętro niżej. Z powodów bezpieczeństwa de Graafowie żądali, by nikt z nas nie schodził tam częściej niż dwa razy dziennie. Porozumiewać się mogliśmy tylko szeptem, nocą jakiegokolwiek rozmowy były zabronione. Raz w tygodniu dostawaliśmy czystą zmianę bielizny. Jedliśmy to, co de Graafom zostawało z ich racji żywnościowych. Strych nie miał okien. Palenie świec, nawet tych szabasowych, było zabronione. W krótkim czasie wszyscy zaczęliśmy odczuwać skutki niedożywienia i życia w ciągłej ciemności. Byliśmy bladzi jak duchy i coraz bardziej wychudzeni. Na strych dochodziły zapachy z kuchni, będące dla nas prawdziwą męką. Po skończonym posiłku gospodarzy pani de Graaf przynosiła nam porcje, które nigdy nie zaspokajały naszego głodu. Oczywiście nie narzekaliśmy. Każde nasze zejście ze strychu denerwowało panią domu, dla nas takie momenty były okazją wyrwania się ze świata mroku i ciszy. Nie mieliśmy światła, więc nie czytaliśmy. Nie mogliśmy słuchać radia ani rozmawiać. W nocy, słysząc odgłosy niemieckich łapanek, drżeliśmy ze strachu. W tropieniu Żydów okupantom pomagały regularne holenderskie oddziały policyjne, Schalkhaarders, oraz dowodzone przez Niemców miejscowe formacje ochotnicze SS. Holendrzy byli dla nas najbardziej niebezpieczni. Na początku akcji deportacyjnej Niemcy płacili im siedem i pół guldena za każdego złapanego Żyda, później cena skoczyła do czterdziestu guldenów, bo ofiar było coraz mniej. W czasach biedy wojennej były to znaczące sumy, które skłaniały wielu Holendrów do wydawania ukrywających się Żydów. Cały czas baliśmy się, że któryś z sąsiadów lub znajomych de Graafów nas zdradzi. Ojciec najbardziej martwił się o nastoletnie dzieci gospodarzy, twierdził, że mogą przypadkowo coś powiedzieć w szkole. Najmłodszy chłopiec był w moim wieku. Wiecie, jaka jest młodość - nie zawsze świadoma konsekwencji swoich słów.

- I tak właśnie się stało?
- Nie - potrząsnęła głową. - Dzieci nie pisnęły ani słowa, że się u nich

ukrywamy. Doniosła na nas sąsiadka de Graafów.

- Usłyszała was?

Lena spojrzała na Gabriela, w oczach miała lęk.

- Nie, zobaczyła. Zobaczyła mnie.

- Gdzie?

- W ogrodzie.

- W ogrodzie? Co pani robiła w ogrodzie, Leno?

Zamiast odpowiedzieć, Lena ukryła twarz w dłoniach. Gabriel przytulił ją. Dziecko ciemności, dziecko strychu, nadal potrafiło płakać bezgłośnie.

19.

AMSTERDAM

Lena Herzfeld do dziś nie wie, co sprawiło, że dwunastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku obudziła się wcześniej niż zwykle. Cicho wstała z łóżka i zeszła na dół po siedmiu stopniach drabiny. Mimo panujących w holu ciemności z łatwością trafiła do łazienki. Przez ostatnie pięć miesięcy chodzenie po drabinie było jej jedynym ćwiczeniem. Dwa razy dziennie, te same siedem stopni. Jedyna ucieczka od monotonii, jedyna szansa na zobaczenie świata poza strychem.

- Przy umywalce było okno. Małe, okrągłe okno z firanką, wychodzące na ogród z tyłu domu. Kiedy korzystaliśmy z łazienki, pani de Graaf chciała, żeby firanka była zaciągnięta.

- Ale pani nie stosowała się do jej poleceń, Leno?

- Czasami. - Przerwa. - Przecież byłam tylko dzieckiem.

- Wiem - powiedział Gabriel ze współczuciem. - I co pani zobaczyła?

- Zobaczyłam świeży śnieg w blasku księżyca. I gwiazdy na niebie. - Spojrzała na Gabriela. - Wiem, że teraz to brzmi okropnie zwyczajnie, ale wtedy, dla dziecka, które przez pięć miesięcy siedziało na strychu, to było jak...

- Nie mogła się pani temu oprzeć?

- Poczułam się jak w niebie. No, może w jakimś jego przedsionku. Marzyłam o dotknięciu śniegu, o patrzeniu na gwiazdy. Chciałam też spojrzeć Bogu w oczy i spytać Go, dlaczego nas tak dręczy.

Uważnie przyjrzała się Gabrielowi, tak jakby chciała się upewnić, że ją rozumie. I że jest godny jej zwierzeń.

- Pan urodził się w Izraelu?

Odpowiedział nie w imieniu Gideona Argova, lecz swoim.

- W jednym z kibuców Doliny Jezreel.

- A rodzice?

- Rodzina ojca pochodziła z Monachium. Matka urodziła się w Berlinie, do Auschwitz trafiła w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Jej rodzice od razu trafili do gazu, matce udało się przeżyć do końca. W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego wyprowadzono ją w głąb Niemiec.

- Na Marsz Śmierci? Boże, musiała być nadzwyczajną osobą, że to przeżyła. - Lena uważnie przyjrzała się Gabrielowi. - Czy opowiadała o tym?

- Matka nikomu nie mówiła o czasach wojny, nawet mnie.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Po chwili wróciła do wspomnień. Opowiedziała, jak cicho wykradła się z domu de Graafów do ogrodu. Była bez butów, na nogach miała tylko pończochy, przez które czuła chłód śniegu. Wydawało jej się, że trafiła do raj. Złapała garść śniegu, podniosła ją do twarzy. Wdychała mroźne powietrze, aż poczuła pieczenie w gardle. Wyciągnęła ręce, zaczęła się kręcić jak baletnica wokół własnej osi. Gwiazdy i nocne niebo migwały jak w kalejdoskopie. Stała dopiero wtedy, gdy poczuła zawrót głowy.

- Wtedy w oknie sąsiedniego domu zobaczyłam przerażoną twarz kobiety. Nic dziwnego, że była przerażona, przecież wyglądałam jak blada, szara zjawa, jak przybysz z innego świata. Odwróciłam się szybko i uciekłam z powrotem do domu. Wiem teraz, że to tylko pogorszyło sytuację. Gdybym zachowała się spokojnie, kobieta mogłaby pomyśleć, że zobaczyła jedno z dzieci de Graafa. Uciekając, zdradziłam, kim jestem. Tak jakbym wykrzyczała całemu światu, że jestem ukrywającą się Żydówką. Równie dobrze mogłam mieć na piersi żółtą gwiazdę.

- Czy powiedziałaś rodzicom, co zrobiłaś?

- Bałam się. Leżałam na kocu i czekałam na poranek. Gdy po kilku godzinach pani de Graaf przyniosła nam miskę wody, wydało mi się, że najgorsze minęło. Reszta dnia upłynęła tak samo, jak wcześniejsze sto pięćdziesiąt dni. Wszyscy się umyli, jak mogli. Zjedli przyniesiony posiłek. Dwa razy wyszli do toalety. Podczas wyprawy do ubikacji walczyłam z pokusą zobaczenia na śniegu śladu swoich stóp, jednak nie odsunęłam firanki. Wróciłam do drabiny i po siedmiu stopniach znów znalazłam się w ciemności. Tej nocy był szabas.

Rodzina Herzfeldów, chociaż bez świec, chleba ani wina, wyszeptała trzy podziękowania i poprosiła Boga o opiekę przez najbliższy tydzień. Wkrótce usłyszeliśmy odgłosy kolejnego nocnego rajdu: łomot butów na bruku, holenderskie komendy Schalkhaarders. Zazwyczaj taki hałas po chwili się oddalał, tej nocy było inaczej. Krzyki były coraz bliższe, wydawało się, że cały dom drży. Zrozumiałam, co się stało. Byłam jedyną osobą, która wiedziała.

20.

AMSTERDAM

Wyczerpana Lena Herzfeld umilkła. Furtka w psychice, oddzielająca dziewczynkę od starej kobiety, zaczynała się zamykać. Gabriel zaproponował zrobienie przerwy do jutra, jednocześnie zastanawiał się, czy dalsze wspomnienia w ogóle mają sens. Jak dotychczas nie usłyszał nic, co mogło mu pomóc w poszukiwaniu obrazu. Jednak Lena chciała mówić dalej, opowiedzieć im, jak okrutny los ukarał ją za kilka chwil szczęścia skradzionych w zimowym ogrodzie.

Na oczach przerażonych de Graafów rodzina Herzfeldów została wyciągnięta ze strychu i wepchnięta do ciężarówki czekającej na ulicy. Zawieziono ich do jednego z najelegantszych teatrów przedwojennego Amsterdamu, *Hollandsche Schouwburg*.

- Po inwazji Niemcy urządzili tam centrum pobytu dla zatrzymanych Żydów. Teatr całkowicie zmienił wygląd. W miejscu dla orkiestry nie było foteli, z sufitu usunięto żyrandole, nad deskami sceny wisiały liny jak stryczki dla wisielców.

Wspomnienia stamtąd były dla Leny koszmarem. Roześmiani *Schalkhaarders*, opowiadający sobie nawzajem szczegóły nocnego polowania na Żydów. Próbujący ucieczki młody chłopiec, pobity do nieprzytomności przez strażników. Wyrwani ze swoich łóżek w domu opieki, spokojnie siedzący starszycy w wystrzępionych koszulach nocnych, wyglądający jak widzowie, którzy czekają na początek przedstawienia. Wreszcie wysoki mężczyzna w czarnym mundurze, paradujący po scenie z obrazem Rembrandta w jednej ręce i diamentami ojca w drugiej.

- Esesman?
- Tak.

- Jak się nazywał?

Zawahała się.

- Dowiedziałam się później, ale nie zdradzę jego nazwiska.

Gabriel skinął pojednawczo głową, Lena przymknęła oczy i mówiła dalej. Zapamiętała zapach świeżo wypastowanych butów Niemca, jego brązowe oczy, ciemne, zlepione brylantyną włosy i bezkrwistą, żółtawą twarz. Esesman robił wrażenie człowieka wykształconego, wprost przesadnie uprzejmego.

- To nie był wiejski głupek w paradnym mundurze, lecz ktoś z dobrej rodziny, należący do elity społeczeństwa niemieckiego. Na początku rozmawiał z ojcem biegle po holendersku, później, dowiedziawszy się, że ojciec zna niemiecki, przeszedł na niemiecki.

- Rozumiałaś, o czym mówili?

- Piąte przez dziesiąte. Mężczyzna w czarnym mundurze zganił ojca za zignorowanie dekretu dotyczącego żydowskich majątków i dzieł sztuki. Powiedział, że zarówno diamenty, jak i obraz zostaną skonfiskowane przed wyjazdem do obozu pracy. I chciał, żeby ojciec coś podpisał.

- Dokument konfiskaty?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, świadectwo sprzedaży. Nie diamentów, lecz obrazu. Esesman chciał, żeby ojciec sprzedał mu swój obraz. Cena miała wynosić sto guldenów, oczywiście płatność była odroczone. Sto guldenów... To tyle, ile mógł zarobić Schalkhaarder w czasie jednego nocnego polowania na Żydów...

- Widziałaś umowę?

Zawahała się, skinęła głową.

- Niemcy lubią porządek, dokumentacja jest dla nich bardzo ważna. Przecież wiesz, że zostawili po sobie mnóstwo danych na temat liczby ludzi zamordowanych w komorach gazowych, liczby butów, które po nich zostały, czy wagi złota wrywanego wraz z zębami z ust ofiar przed wrzuceniem ich do krematoryjnego pieca.

Lena ucichła, wydawało się, że ma już dość wspomnień. Po chwili jednak znów zebrała siły i mówiła dalej. Dziś wieczorem Lena Herzfeld chciała się wypowiedzieć. Podjęła decyzję, z której nie miała zamiaru się wycofać.

- Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, dlaczego esesman potrzebował podpisu ojca. Kradzież woreczka z diamentami jest łatwiejsza od kradzieży obrazu, zwłaszcza Rembrandta. Czy to nie ironia losu? Niemcy bezkarnie zabijali miliony ludzi, a jednocześnie dbali o takie szczegóły jak rachunki. Esesman potrzebował świadectwa sprzedaży, aby później twierdzić, że legalnie wszedł w posiadanie obrazu.

- Co zrobił twój ojciec?

- Odmówił. Nie wiem, skąd znalazł w sobie tyle odwagi. Powiedział Niemcowi, że nie ma żadnych złudzeń co do oczekującego nas losu, i że niczego nie podpisze. Esesman był zaskoczony. Widać było, że żaden Żyd od dawna nie odważył się z nim w ten sposób rozmawiać.

- Groził ojcu?

- Wprost przeciwnie. Spojrzał na nas i uśmiechnął się. Powiedział, że obozy pracy nie są dla dzieci. I że ma pewną propozycję. Właściwie proponuje transakcję. Dwa życia za jeden obraz. Jeżeli ojciec podpisze świadectwo sprzedaży, Rachel i ja będziemy wolne. Z początku ojciec protestował, ale matka przekonała go, że tak będzie lepiej. Ojciec podpisał podsunięte mu dokumenty umowy. Zgodnie z wymogami prawa, każda ze stron otrzymała swój egzemplarz.

Z oczu Leny płynęły łzy, jej ręce drżały z bezsilnej wściekłości.

- Osiągnąwszy swój cel, Niemiec stwierdził, że nie wyraził się precyzyjnie. Powiedział, że nie weźmie dwójki dzieci, tylko jedno. Wskazał mnie palcem. - Tę, bo ma jasne włosy i niebieskie oczy. Pożegnajcie się, bo zaraz idziemy.

Matka i siostra płakały, tylko ojcu udało się zachować pozory spokoju. Szepcząc Lenie do ucha, że zawsze będzie ją kochał i że wkrótce znów się wszyscy spotkają, wsunął jej coś do kieszeni płaszczyka. Po chwili potwór w czarnym mundurze wyprowadził Lenę z budynku teatru. - Nie zatrzymuj się, panno Herzfeld - powtarzał. - Pod żadnym pozorem nie patrz za siebie. Jeżeli chociaż raz się odwrócisz, też wsadzę cię do pociągu.

- Jak myślisz, co zrobiłam? - spytała Lena.

- Nie zatrzymałaś się.

- Tak. Panna Herzfeld się nie zatrzymała. I ani razu nie spojrzała za siebie. I nigdy już nie zobaczyła swojej rodziny, zamordowanej w ciągu trzech tygodni. Panna Herzfeld przeżyła. Uratowała się, bo miała jasne włosy. Po Rachel został tylko popiół, bo jej były ciemne.

21.

AMSTERDAM

Najpierw Lena Herzfeld trafiła do budynku przy Plantage Middenlaan 31, znajdującego się na wprost Hollandsche Schouwburg. W miejscu przedwojennego przedszkola dla klasy robotniczej okupanci zorganizowali centrum przetrzymywania schwytanych żydowskich dzieci i niemowląt. Przeciwnikom nazizmu udało się stamtąd wywieźć, najczęściej w skrzynkach czy workach na kartofle, kilkuset małych więźniów i przekazać ich pod opiekę rodzin związanych z holenderskim ruchem oporu.

- Esesman osobiście przekazał mnie personelowi centrum. Jestem zdziwiona, że w ogóle dotrzymał umowy z moim ojcem. Z drugiej strony okres wojny obfitował w takie sytuacje, czasami nawet potwór potrafił zachować minimum przyzwoitości. Zostałam wywieziona w bagażniku samochodu na północny wschód, do Fryzji, gdzie trafiłam do bezdzietnej rodziny. Dostałam nowe nazwisko, moi opiekunowie powiedzieli sąsiadom, że straciłam rodziców podczas niemieckiego bombardowania Rotterdamu w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Ponieważ Holendrzy byli praktykującymi kalwinistami, ze względów bezpieczeństwa musiałam w każdą niedzielę chodzić do kościoła. Tylko w domu pozwolono mi przestrzegać rytuałów mojej wiary. Miałam dużo szczęścia, bo trafiłam na porządných ludzi. Wiele dzieci, ukrywanych przez chrześcijan, doświadczyło różnego rodzaju prześladowań. Ja byłam traktowana z sympatią i ciepłem.

- Co pani robiła po wojnie?

- Mieszkałam we Fryzji do osiemnastego roku życia, później zdałam na uniwersytet i zostałam nauczycielką. Nie miałam tu nikogo, więc wiele razy zastanawiałam się, czy nie wyemigrować do Ameryki czy Izraela. Zostałam, bo czułam, że nie mogę opuścić duchów mojej utraconej rodziny.

- Czy nie starała się pani o odzyskanie domu rodzinnego?
- Tak, ale okazało się to niemożliwe. Tuż po wojnie holenderski rząd wydał dekret, że prawa aktualnych posiadaczy nieruchomości są równe z prawami ich przedwojennych żydowskich właścicieli. By odzyskać dom, musiałam dowieść, że jego aktualny właściciel nabył go w złej wierze. Niestety, nie miałam ani dowodu, że dom w ogóle był naszą własnością, ani wymaganego zaświadczenia o śmierci ojca.
- A obraz Rembrandta?
- Uważam kobietę z portretu za współniczkę morderców ojca i już nigdy nie chcę jej oglądać.
- Ale zaświadczenie pani zatrzymała - powiedział Gabriel.
Dziecko strychu posłało mu ciężkie, podejrzliwe spojrzenie.
- Przecież ojciec włożył je pani do kieszeni, gdy się żegnaliście.
Nie odpowiedziała.
- Nie wyrzuciła pani zaświadczenia, bo to była jedyna pamiątka po ojcu, prawda? - Gabriel milczał przez chwilę. - Gdzie ono jest?
- W górnej szufladzie komody w sypialni. Oglądałam je każdego wieczora przed snem.
- Czy mógłbym je zobaczyć?
- Po co?
- Chcemy odzyskać ten obraz.
- Jest splamiony krwią.
- Wiem, Leno. Wiem.

Ulewny deszcz bębnił o chodnik, gdy o jedenastej wieczorem opuścili dom Leny Herzfeld. Chiara chciała złapać taksówkę, lecz Gabriel wolał spacer. Doszli do gmachu Hollandsche Schouwburg i przez dłuższą chwilę stali przed nim w milczeniu, potem ruszyli w kierunku starego domu Rembrandta na końcu Jodenbreestraat. Gabriel przeczuwał, że następny etap śledztwa zaprowadzi go znacznie dalej.

Bez większego apetytu zjedli kolację w cichej restauracji koło hotelu. W rozmowie nie wracali do przerażającej historii Leny. Dopiero o pierwszej w nocy położyli się spać. W snach Chiary, zamiast Iwana Charkowa, tym razem pojawił się mężczyzna w czerni, próbujący wyrwać dziecko z jej objęć. Gdy się obudziła, zobaczyła siedzącego przy biurku Gabriela, który w jaskrawym świetle lampy coś gorączkowo pisał.

- Co robisz?
- Śpij.
- Widziałam go we śnie.
- Wiem.

Rano Chiara zobaczyła wynik nocnej pracy męża. Kilka arkuszy hotelowej papeterii, spiętych ze świadectwem sprzedaży obrazu, było pokrytych charakterystycznym, leworęcznym pismem Gabriela. Na pierwszej stronie, pod datą i nazwą miejsca, widniał tytuł: *Zeznanie Leny Herzfeld*. Zaskoczona Chiara szybko przejrzała plik zapisanych kartek. Niezwykła pamięć Gabriela umożliwiła mu precyzyjne odtworzenie opowieści Leny. Na ostatniej stronie Chiara dostrzegła krótką, zrobioną przez Gabriela na własny użytek adnotację.

Przyjrzyj się historii obrazu.

Znajdź Kurta Vossa.

Znajdź obraz.

Część druga

ATRYBUCJA

23.

SOUTHWARK, LONDYN

Piątkowe popołudniowe kolegia redakcyjne to zhora wszystkich dziennikarzy. Połowa obecnych już myśli o zbliżającym się weekendzie, inni martwią się wiszącymi im nad głową terminami oddania materiałów do druku. Zoe Reed też miała problemy z koncentracją.

Jak większość uczestników zebrania na piątym piętrze biurowca, z góry wiedziała, co będzie tematem ich rozmów. „Financial Journal”, niegdyś potężny organ prasowy globalnego biznesu, już od dłuższego czasu miał kłopoty. Końca kryzysu nie było widać, nakład i dochody z reklam spadały, straty były coraz większe. Wszystko wskazywało na to, że właściciel tygodnika, Latham International Media, wkrótce będzie musiał sprzedać tytuł lub go zlikwidować. Na razie kierownictwo postanowiło ciąć wydatki działu wiadomości. Na celowniku znalazły się drogie obiady z klientami, niezatwierdzone przez zwierzchników podróże, prenumerata innych wydawnictw. Od tego momentu reporterzy tygodnika mieli znajdować wiadomości tak jak miliony ludzi na całym świecie - w Internecie, za darmo.

Ponure wieści właśnie były przekazywane przez redaktora naczelnego, Jasona Turnbury'ego. Z malowniczo rozpiętą muszką spacerował po sali konferencyjnej niczym matador, prezentując świeżą opaleniznę z wakacji na Karaibach. Wszyscy byli pewni, że w redakcji wkrótce poleje się krew, i to nie będzie krew ich naczelnego. Zoe wiedziała, że na Turnbury'ego czeka już kierownicze stanowisko w kwaterze głównej Latham Media. Wiedziała, ponieważ kiedyś nierozsądnie wdała się ze swoim przełożonym w krótki romans. Teraz, choć już nie byli kochankami, Turnbury nadal zwierzał się jej ze swoich problemów i słuchał jej rad. Nie zdziwiła się więc, gdy w pięć minut po zebraniu zadzwonił jej telefon, a na wyświetlaczu pojawił się numer Jasona.

- Jak wypadłem?
- Trochę przesadziłeś. Na pewno nasza sytuacja nie jest aż tak tragiczna.
- Jest jeszcze gorzej. Wyobraź sobie „Titanica”.
- Nie mogę pracować bez podróży i wydatków reprezentacyjnych.
- Nowe zasady obowiązują cały personel wydawnictwa. Nawet ciebie.
- W takim razie odchodzę.
- Dobrze, w takim razie nie będę musiał cię zwalniać. I tak twoja pensja jest ogromnym obciążeniem dla firmy.

- Ponieważ nie jestem zwykłym pracownikiem. Moje stanowisko to Specjalny Korespondent Śledczy, pamiętasz? Sam wymyśliłeś ten tytuł.

- To był największy błąd w mojej karierze.

- Nie, Jason. Właśnie zrobiłeś coś jeszcze gorszego.

Cięte riposty oraz niski, zmysłowy głos Zoe były postrachem świata londyńskiej finansjery. Niejednemu aroganckiemu dyrektorowi Zoe potrafiła utrząść nosa, wielu agresywnych prawników zdołała twardo sprowadzić na ziemię. Bezkompromisowy zespół dziennikarzy śledczych z „Financial Journal” zostawił za sobą zgłiszczona wielu firm i zniszczył wiele zawodowych karier. Zoe ujawniała oszustwa księgowe, praktyki nielegalnego obrotu akcjami, łamanie zasad ochrony środowiska i niezliczone przypadki łapownictwa. Zajmowała się głównie rynkiem brytyjskim, lecz pisała też o nadużyciach w firmach unijnych i amerykańskich. Jesienią 2008 roku przez kilka tygodni prowadziła śledztwo w sprawie znanego, powszechnie szanowanego finansisty, podejrzewanego o działalność na zasadach piramidy finansowej. Była już bardzo bliska celu, gdy Bernard Madoff został zaaresztowany przez agentów FBI. Dotychczasowa wiedza Zoe ugruntowała wiodącą pozycję jej tygodnika, jednak sama reporterka nie mogła sobie darować, że tak długo pozwoliła oszustomi wodzić się za nos. Przyrzekła sobie, że taka sytuacja w jej życiu nigdy już się nie powtórzy.

Teraz kończyła reportaż na temat znanego posła labourzystowskiego, który przyjął sto tysięcy funtów szterlingów łapówki od czołowej brytyjskiej firmy zbrojeniowej, Empire Aerospace Systems. Dział reklamy „Financial Journal” już powiadomił największe sieci telewizyjne o tym śledztwie, wkrótce Zoe miała ogłosić swoje rewelacje na ekranach BBC, CNBC, Sky News i CNN

International. W odróżnieniu od wielu dziennikarzy prasowych Zoe przed kamerą zachowywała się bardzo naturalnie i świetnie wypadła na wizji. BBC już od kilku lat próbowała nakłonić ją do zmiany pracy, a niedawno Zoe spotkała się w Nowym Jorku z zarządem CNBC. Wiedziała, że wystarczy tylko jedna rozmowa telefoniczna, by jej pensja wzrosła czterokrotnie. W tej sytuacji nie miała chęci na wysłuchiwanie tyrady Jasona o cięciach kosztów.

- Czy pozwolisz mi wyjaśnić, dlaczego twoje plany uniemożliwiają mi dalszą pracę?

- Skoro ci na tym zależy.

- Jak dobrze wiesz, osoby, z którymi się kontaktuję, najczęściej pracownicy dużych organizacji, potrzebują odpowiedniej zachęty do podzielenia się ze mną swoją wiedzą. Czy naprawdę myślisz, że menedżer wyższego szczebla będzie skłonny zdradzić tajemnice swojej firmy nad kanapką z jajkiem i koperkiem w Pret A Manger?

- A czy ty przyjrzałeś się zestawieniu swoich kosztów, zanim je podpisałeś? Za pieniądze, które wydałeś w Grill Room hotelu Dorchester, mógłbym zatrudnić dwóch początkujących dziennikarzy!

- Są rozmowy, których nie da się prowadzić przez telefon.

- Zgadzam się. Może więc pójdziemy na drinka do Café Rouge i porozmawiamy o czym innym?

- Wiesz, że to niemądry pomysł, Jasonie.

- Proponuję tylko przyjazne spotkanie dwojga profesjonalistów.

- Sam wiesz, że na tym się nie skończy.

Jason udawał, że odmowa Zoe go nie dotknęła. Szybko zmienił temat.

- Czy masz włączony telewizor?

- Boże, czyżbyś nadal pozwalał nam oglądać telewizję? Przecież to marnowanie prądu.

- Nastaw Sky News.

Po przełączeniu kanału Zoe zobaczyła na ekranie trzech mężczyzn - sekretarza generalnego ONZ, pracującego na rzecz Afryki idola rocka i Martina Landesmanna. Bajecznie bogaty finansista z Genewy właśnie informował otaczających go dziennikarzy o zamiarze przekazania stu milionów dolarów na zwiększenie produkcji żywności w krajach Trzeciego Świata. Nie był to jego

pierwszy gest tego typu - szacowano, że filantrop, ochrzczony przez media Świętym Martinem, podarował na różne cele dobroczynne już prawie miliard dolarów. Bogaty, hojny Landesmann prowadził pustelniczy tryb życia i unikał medialnego szumu. W swoim życiu udzielił tylko jednego wywiadu, a reporterką, z którą rozmawiał, była Zoe.

- Z której godziny jest ta wypowiedź?
- Z wczesnego popołudnia. Landesmann nie chciał odpowiadać na żadne

pytania.

- Jestem zdziwiona, że Martin w ogóle pojawił się przed kamerą.
- Nie wiedziałem, że jesteś z nim na ty.
- Już kilka miesięcy nie rozmawialiśmy.
- Może powinnaś odnowić tę znajomość?
- Próbowałam, Jason. On po prostu nie chce rozmawiać z prasą.
- Zadzwoń do niego teraz.
- Teraz to mam zamiar wrócić do domu i wziąć bardzo długą kąpiel.
- A co robisz przez resztę weekendu?
- Jakaś szmirowata książka. Parę płyt DVD. Może spacer po Hampstead

Heath, jeżeli nie będzie padało.

- To nie brzmi zbyt interesująco.
- Lubię się nudzić. To dlatego mam do ciebie słabość.
- Będę w Café Rouge za godzinę.
- Do zobaczenia w poniedziałek rano, Jasonie.

Zakończyła rozmowę, obserwując ekran telewizyjny. U boku Landesmanna pojawiła się jego piękna żona Monique, w świetle błyskających fleszy siwe włosy finansisty błyszcząły niczym srebro. Jak na osobę stroniącą od mediów, szwajcarski biznesmen umiał świetnie prezentować swoje walory. Posiadał też inną cenną umiejętność - potrafił bezbłędnie dozować informacje na swój temat. Dla Zoe, mimo udzielonego wywiadu, Święty Martin nadal pozostawał tajemnicą.

W wiadomościach telewizyjnych pojawił się teraz nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, właśnie zapowiadający kolejną inicjatywę zmierzającą do polepszenia stosunków z jednym ze swoich najbardziej zawziętych wrogów, Islamską Republiką Iranu. Zoe wyłączyła telewizor i zerknęła na zegarek.

Zakłęła pod nosem, bo już było dziesięć minut po szóstej. To, co powiedziała Jasonowi o swoich planach weekendowych, było zwykłą zasłoną dymną. W rzeczywistości miała ambitny program do zrealizowania. I dlatego musiała się pośpieszyć.

Przed wyjściem sprawdziła jeszcze w komputerze swoją pocztę i usunęła niepotrzebne wiadomości głosowe z telefonu. Piętnaście minut po szóstej włożyła płaszcz i ruszyła w stronę wind. Ze swojego wielkiego przeszklonego biura Jason właśnie podziwiał widok płynącej w dole Tamizy. Słyszac kroki, odwrócił się, ale Zoe, ze wzrokiem wbitym w dywan, już wskoczyła w otwarte drzwi windy.

Jadąc w dół, przyglądała się swojemu odbiciu w stalowych drzwiach kabiny. Cyganie zostawili cię na naszym progu, żartowała jej mama. Wydawało się to jedynym logicznym wytłumaczeniem czarnych włosów, brązowych oczu i śniadej cery u dziecka anglosaksońskiej rodziny. We wczesnej młodości Zoe cierpiała z tego powodu, dopiero po dostaniu się na uniwersytet w Cambridge zrozumiała, że oryginalny wygląd może być atutem - na równi z jej inteligencją i ciętym dowcipem. Gdy po raz pierwszy pojawiła się w gabinecie Jasona, od razu dostała pracę. Awansowała błyskawicznie. Na pewno pomogła jej w tym uroda, ale na dłuższą metę najważniejszy był fakt, że po prostu była mądrzejsza od większości swoich kolegów. I na pewno bardziej pracowita.

Po wyjściu z windy spostrzegła reporterów, żywo debatujących nad wyborem miejsca na wieczornego drinka. Zoe nie miała w firmie prawdziwych przyjaciół, toteż z uprzejmym uśmiechem prześlizgnęła się tylko koło hałaśliwej grupki i wyszła na ulicę. Aby dostać się do stacji metra Cannon Street, musiała najpierw przejść przez most na Tamizie. Jadąc do domu, zazwyczaj wybierała zachodnią linię Circle Line do stacji Embankment, gdzie się przesiadała na Northern Line, wiodącą przez Hampstead. Dzisiaj Zoe wsiadła do pociągu jadącego w kierunku wschodnim, do stacji St Paneras, od niedawna obsługującej szybką kolej Eurostar.

W zewnętrznej kieszeni teczki Zoe spoczywał bilet na odjeżdżający o 19:09 pociąg do Paryża. Przed odprawą paszportową kupiła kilka kolorowych czasopism i ruszyła na peron, gdzie już czekał jej pociąg. Znalazła swoje

miejsce w wagonie pierwszej klasy, przyjęła zaoferowany przez stewarda kieliszek całkiem znośnego szampana. *Jakaś szmirowata książka. Parę płyt DVD. Może spacer po Hampstead Heath, jeżeli nie będzie padało.* W rzeczywistości weekend zapowiadał się całkiem inaczej. Spojrzała w okno, w szybie zobaczyła atrakcyjną, ciemnowłosą kobietę. To już ostatni raz, Cyganko. Naprawdę ostatni raz, pomyślała.

24.

AMSTERDAM

Nikt nie zauważył przyjazdu Lawona do Amsterdamu. Najlepszy specjalista od inwigilacji, jakiego wyszkoliło Biuro, potrafił zmieniać swój wygląd jak kameleon. Zazwyczaj wyglądał jak typowy gamoń, jednak w rzeczywistości był drapieżnikiem, potrafiącym skutecznie tropić nawet najlepiej wyszkolonego pracownika obcego wywiadu lub terrorystę. Ari Szamron żartował, że Eli Lawon potrafi zniknąć, ściskając cię za rękę.

To Szamron w 1972 roku poznał Lawona z obiecującym młodym artystą, Gabrielem Allonem. Chociaż ani Lawon, ani Allon jeszcze o tym nie wiedzieli, obydwaj zostali wytypowani do udziału w jednej z najsłynniejszych akcji izraelskiego wywiadu. Operacja Gniew Boży miała na celu odszukanie i zlikwidowanie winnych zabójstwa izraelskich sportowców podczas olimpiady w Monachium. Kryptonimy w zespole były przydzielane według hebrajskiego alfabetu. Lawon został ajinem, tropicielem, specjalistą od śledzenia i lokalizowania, a Allon - alefem, mścicielem. Gabriel osobiście zastrzelił z beretty kaliber .22 sześciu członków organizacji Czarny Wrzesień. Trzy lata tropienia i likwidowania terrorystów na terenie całej Europy zostawiły swój ślad. Skronie Allona przyprószyła przedwczesna siwizna, Lawon nabawił się nerwicy żołądka.

Po zakończeniu misji jej wykonawcy postanowili wziąć długi urlop od świata przemocy. Gabriel schronił się w Wenecji, gdzie poznawał tajniki renowacji obrazów, Lawon otworzył w Wiedniu małą firmę wywiadowczą, Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Mimo bardzo ograniczonych możliwości, udało mu się odzyskać wiele majątków zagrabionych Żydom. Był też jednym z pomysłodawców zmuszenia banków szwajcarskich do wypłaty wielomiliardowych odszkodowań z tytułu ich nieetycznej postawy w czasach Zagłady. W 2003 roku w wiedeńskim Biurze Roszczeń i Dochodzeń Wojennych

ekspłodowała bomba, zabijając dwóch pracowników i poważnie raniąc samego właściciela. Po zamachu Lawon wrócił do Izraela i oddał się swojej największej pasji - archeologii. Teraz pracował jako wykładowca na Uniwersytecie Hebrajskim i brał udział w wykopaliskach na terenie całego kraju. Do Biura wracał tylko dwa razy w roku, aby uczyć nowych adeptów trudnej sztuki inwigilacji. Na pytanie o znajomość z Gabrielem Allonem niezmiennie odpowiadał: Z jakim Gabrielem? Zarówno wykonywany zawód, jak i wrodzone cechy charakteru sprawiły, że potrafił delikatnie obchodzić się z przedmiotami. Siedząc w saloniku apartamentu hotelu Ambassade, ostrożnie trzymał w dłoni skrawek papieru. Przez dłuższą chwilę uważnie mu się przypatrywał, następnie odłożył go na stolik kawowy i znad dwuogniskowych okularów w złotej oprawce zerknął na siedzących naprzeciwko Chiarę i Gabriela.

- Myślałem, że nadal ukrywacie się przed Szamronem w jakimś zapomnianym zakątku Kornwalii. Jak więc, na litość boską, znaleźliście ten kwit?

- Czy to autentyk?

- Jak najbardziej. Skąd go macie?

Swoją opowieść Gabriel zaczął od niespodziewanej wizyty Juliana Isherwooda w Lizard Point i skończył na historii Leny Herzfeld. Lawon słuchał uważnie, rzucając szybkie spojrzenia to na Gabriela, to na Chiarę. Na koniec znów zerknął na dokument i powoli potrząsnął głową.

- Coś nie tak, Eli?

- Szukam tego od lat, a wy natrafiacie na to przez przypadek.

- Ale czego szukasz, Eli?

- Dowodu przestępstwa. Świadczenia winy tego człowieka są rozproszone po cmentarzach Europy, ale wasz dokument jest najbardziej namacalnym oskarżeniem, jakie można sobie wymarzyć.

- Znasz go?

- Kurta Vossa? - Lawon wolno skinął głową. - Można powiedzieć, że Hauptsturmführer SS Kurt Voss i ja znamy się od zarania dziejów.

- To jego podpis?

- Bez wątplenia. - Lawon spojrział na dokument. - Niezależnie od tego, czy znajdziesz obraz Juliana, czy nie, już dokonałeś ważnego odkrycia. Nie

możemy tego zaprzepaścić.

- Z przyjemnością przekażę ten kwit w twoje ręce, Eli.
- Podejrzewam, że czegoś jeszcze ode mnie chcesz.
- Nic wielkiego - odparł Gabriel.
- A mianowicie?
- Powiedz mi coś więcej o Vossie.
- Zrobię to, ale dla mnie to nie będzie miłe. Najpierw jednak zamów nam

kawę, Gabrielu. W tym przypominam Szamrona - przy kawie lepiej mi się rozmawia.

25.

AMSTERDAM

Lawon zaczął opowiadać życiorys zbrodniarza.

Kurt Voss urodził się 23 października 1906 roku w Kolonii, w zamożnej rodzinie kupieckiej. W 1932 roku ukończył wydział prawa i historii na Uniwersytecie Berlińskim. W roku 1933, a więc niedługo po dojściu Hitlera do władzy, wstąpił do partii nazistowskiej. Tam został skierowany do SS Sicherheitsdienst, SD, czyli służby do spraw wywiadu i bezpieczeństwa. Przez kilka lat pracował w berlińskiej centrali, zbierając dane o faktycznych i urojonych wrogach państwa. Ambitny we wszystkich dziedzinach życia, ożenił się z córką wysokiego funkcjonariusza gestapo, Frieda Schuler. Ich wesele w majątku ziemskim pod Berlinem zaszczylił obecnością Reichsführer SS Heinrich Himmler, a szef SD, Reinhard Heydrich, przygrywał młodej parze na skrzypcach. Osiemnaście miesięcy później, kiedy Frieda urodziła syna, sam Hitler przesłał młodemu małżeństwu gratulacje.

Po pewnym czasie Voss dał do zrozumienia potężnym poplecznikom, że chciałby zmienić charakter swojej pracy. Gdy w 1938 armia Hitlera bez jednego strzału wkroczyła do Austrii, Voss już w sierpniu został skierowany do pracy w wiedeńskim Biurze do spraw Żydowskiej Emigracji - Zentralstelle für jüdische Auswanderung, którym kierował pewien młody, całkowicie pozbawiony skrupułów oficer SS. Znajomość z nim miała całkowicie zmienić życie Vossa.

- Adolf Eichmann - rzucił Gabriel.

Lawon powoli pokiwał głową. Eichmann...

Zadaniem biura, mieszczącego się w odebranej rodzinie Rothschildów imponującym pałacu, było oczyszczenie Austrii z mniejszości żydowskiej. Każdego dnia w pięknych salach i szerokich korytarzach budynku kłębił się tłum

nieszczęśników chcących uciec przed zalewającą Austrię falą gwałtownego antysemityzmu. Za pomoc przy wyjeździe Eichmann i jego ekipa żądali od nich horrendalnych opłat.

Żydom odbierano wszystko, co posiadali. Z Zentralstelle wychodzili bez grosza przy duszy - ale żywi. Naziści nazwali tę technikę „modelem wiedeńskim”, uważając ją za jedno z największych osiągnięć Eichmanna. W rzeczywistości jednym z architektów nazistowskiego sukcesu, jeżeli w ogóle można określić rabunek w takich kategoriach, był Voss. Nie odstępował Eichmanna nawet o krok, razem przechadzali się w czarnych mundurach SS po korytarzach biura jak para młodych bogów. Różnili się tylko w jednym. Gdy Eichmann wobec swoich ofiar niejednokrotnie zachowywał się brutalnie, postępowanie jego kolegi zawsze cechowała uprzejmość. Voss umiał stworzyć wrażenie, że cały ten proceder go mierzi. Oczywiście była to tylko maska, ponieważ był przede wszystkim bezwzględny i sprytnym graczem. Wyławiał z tłumu petentów osoby najbardziej zamożne i zapraszał je do swojego gabinetu na prywatną pogawędkę. Wszystkie rozmowy kończyły się podobnie - pieniądze zmieniały właściciela. Już w Wiedniu Voss stał się bardzo bogatym człowiekiem, jednak jego ambicje sięgały znacznie wyżej.

Jesienią 1941, gdy cały kontynent ogarnęła pożoga wojenna, Hitler i jego oprawcy podjęli wiekopomną decyzję. Europa, od zachodu po wschód, miała być oczyszczona z Żydów. Eichmann i jego „specjaliści od deportacji” sterovali procederem zmierzającym do zagłady całego narodu. Odtąd tylko zdrowi Żydzi mogli służyć jako niewolnicza siła robocza. Reszta - dzieci, starcy, chorzy i kaleki - miała być poddana natychmiastowym „działaniom specjalnym”. Dziewięć i pół miliona europejskich obywateli żydowskiego pochodzenia stało u progu katastrofy, o jakiej świat nigdy jeszcze nie słyszał.

- Voss podszedł do tego inaczej - powiedział Lawon. - Dla Kurta Vossa była to szansa, która pojawia się tylko raz w życiu.

Wraz z początkiem siejącego śmierć lata 1942 roku Voss i jego ekipa zostali zakwaterowani w Berlinie na Kurfürstenstrasse 116, w gmachu) który ku satysfakcji Eichmanna był kiedyś siedzibą Żydowskiego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy. To stamtąd biuro Eichmanna, zwane teraz Departamentem IVB4, pilnowało, by europejski projekt masowej zagłady realizowano bez zakłóceń.

- Pokój Vossa znajdował się na korytarzu obok gabinetu Eichmanna - kontynuował Lawon. - Ale Voss wolał pracować w terenie. Zatwierdzał listy deportacyjne, nadzorował łapanki, organizował tabor kolejowy. I oczywiście przez cały czas się bogacił. Z zimną krwią ograbił swoje ofiary przed wysłaniem ich na śmierć.

Największy interes Voss ubił już pod koniec wojny, w kraju, do którego pogrom Żydów dotarł najpóźniej. Eichmann do Budapesztu przyjechał z konkretnym celem. Miał znaleźć i wysłać do Auschwitz wszystkich, czyli osiemset dwadzieścia pięć tysięcy węgierskich Żydów. Jego pomocnik miał inne zamiary.

- Właściciele fabryki Bauer-Rubin byli zasymilowanymi Żydami, niektórzy z nich nawet przeszli na katolicyzm lub mieli żony katoliczki. Wkrótce po przyjeździe do Budapesztu Voss wezwał ich do swojego biura i poinformował, że jeżeli nie zgodzą się na jego propozycję, wkrótce zginą. Chciał, żeby w zamian za bezpieczny wyjazd do Portugalii przekazali mu prawa własności do swojej fabryki. Jak można się domyślić, oferta została skwapliwie przyjęta i następnego dnia dyrektor zakładów, Samuel Rubin, w towarzystwie Vossa udał się do Zurychu.

- Dlaczego do Zurychu?

- Ponieważ dokumenty firmy były przechowywane w Szwajcarii. Przejawszy większość aktywów holdingu, Voss pozwolił Rubinowi opuścić Węgry. Przyrzekł mu, że jego krewni wyjadą później. Obietnicy nie dotrzymał, cała rodzina Rubina została wkrótce wysłana do Auschwitz i tam, wraz z czterystoma tysiącami innych węgierskich Żydów, zgładzona.

- A Voss?

- Wrócił do Berlina w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku na święta Bożego Narodzenia. Widmo klęski już zaglądało Niemcom w oczy, więc siepaczy Eichmanna zaczęto traktować jak trędowatych. Nawet, o dziwo, ich starzy koledzy z SS nabrali do nich dystansu. Gdy pod nalotami aliantów Berlin obracał się w gruzy, zabarykadowany w swoim gmachu Eichmann zaczął niszczyć najbardziej obciążające go dokumenty. Voss, z wykształcenia prawnik, wiedział, że ukrycie śladów zbrodni na tak wielką skalę jest

niemożliwe. Tysiące świadków w całej Europie tylko czekało na chwilę, kiedy będą mogli opowiedzieć sądom historię Zagłady. Czas, jaki mu pozostał, Voss wykorzystał w najbardziej praktyczny sposób, ukrywając w bezpiecznym miejscu zdobytą fortunę i przygotowując się do ucieczki. Eichmann nie posiadał fałszywych dokumentów, pieniędzy ani żadnej bezpiecznej kryjówki. Jego partner okazał się bardziej przewidujący, bo miał papiery na nowe nazwisko i ogromny majątek. Nocą trzydziestego kwietnia, gdy w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy Hitler popełnił samobójstwo, Kurt Voss zrzucił mundur SS, wymknął się ze swojego biura przy Kurfürstenstrasse i zniknął.

- Co się stało ze zgromadzonym przez niego bogactwem? - spytał Gabriel.

- Przepadło bez wieści, tak jak jego poprzedni właściciele.

26.

AMSTERDAM

W swoim życiu Gabriel Allon spotkał się z różnymi złoczyńcami - terrorystami, handlarzami bronią, zabójcami gotowymi do likwidacji nieznanym im osób dosłownie za parę dolarów. Żaden z nich jednak nie dał się porównać ze zbrodniarzami winnymi ludobójstwa i eksterminacji całego narodu. Pamięć o barbarzyństwie nazistów była częścią dzieciństwa Gabriela w izraelskiej Dolinie Jezreel. Teraz, wraz z zapadającym nad Amsterdamem zmierzchem, w hotelu Ambassade hitlerowskie upiory znów ożyły. Gabriel czując to, wstał i oznajmił Chiarze i Lawonowi, że musi wyjść na świeże powietrze. Wszyscy więc udali się na spacer w żółtym świetle latarni nad kanałem Herengracht. Gabriel i Eli Lawon szli koło siebie, Chiara ubezpieczała ich z tyłu.

- Ona jest zbyt blisko.
- Asekuruje nas.
- Nieważne. Trzyma się zbyt blisko.
- Zatrzymajmy się i powiesz jej, co ma robić.
- I tak mnie nie posłucha, jest strasznie uparta. I zbyt ładna na tego rodzaju robotę. - Lawon zerknął na Gabriela. - Nie rozumiem, co ona widzi w takim zgredzie jak ty. Wrodzony urok? Pogodną naturę?

- Miałeś mi powiedzieć coś więcej o Kurcie Vossie.

Lawon stanął, by przepuścić rowerzystkę, która jedną ręką trzymała kierownicę, a drugą pisała esemesa. Uśmiechnął się lekko i wrócił do tematu rozmowy.

- Pamiętaj o jednym, Gabrielu. Teraz wiemy już o Vossie dużo, ale bezpośrednio po wojnie nie mieliśmy pojęcia o jego zbrodniach. Zanim zorientowaliśmy się, z kim mamy do czynienia, zbrodniarz zniknął.

- Dokąd wyjechał?
- Do Argentyny.
- W jaki sposób?
- Jak myślisz?
- Pomógł mu Kościół?
- Oczywiście.

Gabriel pokręcił głową. Debata o tym, czy papież Pius XII w latach hitleryzmu pomagał Żydom, czy też ignorował ich tragedię, trwa do dzisiaj. Jednak najbardziej godne potępienia wydało się Gabrielowi zachowanie papieża tuż po wojnie. Ojciec Święty nigdy, nawet jednym słowem, nie wyraził ubolewania z powodu śmierci sześciu milionów Żydów. Zamiast tego sprawiał wrażenie, że bardziej się przejmuje losem ich faszystowskich oprawców. Po otwartej krytyce procesu w Norymberdze Kościół katolicki pomógł w zorganizowaniu jednej z największych ucieczek przed sprawiedliwością w dziejach ludzkości. Watykański „szcurzy szlak” umożliwił wymknięcie się z Europy do krajów Ameryki Południowej i Bliskiego Wschodu setkom, jeżeli nie tysiącom, nazistowskich zbrodniarzy.

- Voss dotarł do Rzymu przy pomocy swoich starych przyjaciół z SS. Podczas podróży najczęściej nocował w poleconych mu franciszkańskich klasztorach, czasami zatrzymywał się w małych zajazdach.

- A później?

- W Rzymie zamieszkał w pięknej starej wili przy Via Piave dwadzieścia trzy, pod troskliwą opieką austriackiego księdza, monsignore Karla Bayera. Od tego momentu Papieska Komisja Pomocy zajęła się przygotowaniem jego dalszej ucieczki. Wkrótce Voss stał się posiadaczem paszportu Czerwonego Krzyża, dzięki któremu przedzierzgnął się w Rudolfa Seibla, posiadającego wizę wjazdową do Argentyny. Dwudziestego piątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku Voss wsiadł w Genui na pokład statku „North King” i wypłynął do Buenos Aires.

- Nazwa statku brzmi znajomo.

- Zgadza się. Na pokładzie „North King” znalazł się jeszcze inny pasażer, któremu pomógł Watykan. W jego paszporcie Czerwonego Krzyża widniało imię i nazwisko Helmuta Gregora, w rzeczywistości był to...

- Josef Mengele.

Lawon przytaknął.

- Nie wiemy, czy obydwaj mężczyźni zawarli znajomość podczas rejsu, ale jedno jest pewne: przy wjeździe do Argentyny Voss miał więcej szczęścia niż jego rodak. W bagażu Mengelego, do końca utrzymującego, że jest zwykłym technikiem, znaleziono dokumentację medyczną z okresu jego pracy w Auschwitz.

- Czy Voss nie miał przy sobie niczego ciekawego?

- Chodzi ci o portret Rembrandta? - Lawon przecząco pokręcił głową. - Z tego, co wiemy, Voss wylądował w Nowym Świecie bez jakiegokolwiek bagażu. Określił swój dotychczasowy zawód: portier. Zszedł na ląd bez żadnego problemu. Jego mentor, Eichmann, przybył do Argentyny rok później.

- Musieli się ucieszyć ze spotkania.

- Chyba nie za bardzo. Wiemy, że kilka razy spotkali się na kawie w znajdującej się w centrum Buenos Aires kawiarni ABC, ale na dłuższą metę Voss nie wykazywał chęci do podtrzymywania starej znajomości. Przez kilka lat Eichmann się ukrywał, pracował najpierw jako drwal, później jako parobek na farmie. Już nie był młodym bogiem, w którego rękach spoczywał los milionów istnień ludzkich, lecz zgorzkniałym, ciężko pracującym robotnikiem.

- A Voss?

- Voss, w przeciwieństwie do Eichmanna, był człowiekiem wykształconym. Już w rok po wylądowaniu w Buenos Aires zaczął pracować jako prawnik obsługujący niemiecką społeczność w Argentynie. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym udało mu się załatwić przyjazd z Niemiec jego żony i syna. Modelowa rodzina znów była razem. Z naszych wiadomości wynika, że Voss aż do swojej śmierci w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku wiodł w Buenos Aires raczej zwykłe, całkiem wygodne życie przedstawiciela klasy średniej.

- Dlaczego nigdy go nie zatrzymano?

- Ponieważ miał potężnych sojuszników w tajnych służbach i wojsku. Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku dopadliśmy Eichmanna, Voss na parę miesięcy zniknął. Jednak przez większość czasu morderca rodziny

Herzfeldów wiódł życie bez większych trosk, nie obawiając się aresztu czy ekstradycji.

- Czy kiedykolwiek odważył się mówić o czasach wojny?

Na twarzy Lawona pojawił się blady uśmiech.

- Kilka lat przed śmiercią Voss udzielił wywiadu czasopismu „Der Spiegel”. Oczywiście twierdził, że nie jest winny żadnych zbrodni. Nikogo nie deportował, nie zabijał, niczego nie kradł.

- Więc co się stało z pieniędzmi, których Voss „nie ukradł”?

- Specjaliści do spraw restytucji żydowskiego mienia uważają, że Voss nie był w stanie wywieźć ich z Europy. Dokładny los zagrabionej przez zbrodniarza fortuny nadał pozostaje jedną z nierozwiązanych tajemnic Zagłady.

- Więc nie macie pojęcia, dokąd ten majątek trafił?

- Dlaczego tak myślisz, Gabrieliu? Przecież to jasne.

- Do Szwajcarii?

La won skinął głową.

- Ten kraj w czasach wojny był jednym wielkim sejfem formacji SS. Od amerykańskiego OSS uzyskaliśmy informację, że Voss był częstym gościem w Zurychu. Niestety nie wiemy, z kim się spotykał i z którym bankiem prowadził interesy. Mieszkając w Wiedniu, miałem kontakt z ludźmi, których rodzina w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym została obrabowana w Zentralstelle. Przez kilka lat szukałem ich pieniędzy właśnie w Zurychu.

- I?

- Bez skutku. Bez żadnego skutku. W szwajcarskich bankach nie widnieje nazwisko Kurta Vossa, po zagrabionej przez niego fortunie nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

27.

AMSTERDAM

Doszli do początku Jodenbreestraat. Zatrzymali się przed domem, w którym Hendrickje Stoffels pozowała dla swojego kochanka. Gabriela dręczyło wciąż pytanie, w jaki sposób portret, ukradziony w 1943 roku Jacobowi Herzfeldowi w Amsterdamie, trafił dwadzieścia jeden lat później do Hoffmann Gallery w Lucernie? Oczywiście pytanie to pozostało bez odpowiedzi, więc Gabriel zwrócił się z nim do Lawona.

- Może Voss pozbył się obrazu przed swoim wyjazdem z Europy? Albo przewiózł portret do Argentyny, a dopiero później odesłał do Szwajcarii? - Lawon zerknął na Gabriela. - Czy istnieje możliwość wglądu w dokumenty sprzedaży portretu przez galerię Hoffmanna?

- Na to nie mamy nawet cienia szansy - odparł Gabriel. - Szwajcarskie galerie sztuki pilnują swoich tajemnic znacznie lepiej niż szwajcarskie banki.

- Więc pozostaje nam tylko jedno wyjście.

- Jakie?

- Peter Voss.

- Syn?

Lawon kiwnął głową.

- Żona Vossa umarła kilka lat po śmierci męża, z rodziny został tylko Peter. Tylko on może coś wiedzieć o dalszych losach portretu.

- Gdzie mieszka?

- Nadal w Argentynie.

- Jakie ma poglądy?

- Chcesz wiedzieć, czy poszedł śladami ojca i jest faszystą?

- Tylko pytam.

- Niektóre dzieci nazistów podzielają poglądy swoich ojców. Zdecydowana większość, tak jak Peter Voss, ma głębokie poczucie winy.
- Wrócił do swojego prawdziwego nazwiska?
- Dopiero po śmierci ojca. Peter jest szanowanym biznesmenem w argentyńskiej branży winiarskiej, właścicielem dobrze prosperującej winnicy w Mendozie. Podobno robi jedno z najlepszych w kraju win typu malbec.
- Prawdziwy zuch, słowo daję...
- Gabrielu, nie wygłaszaaj krytycznych sądów zbyt pochopnie. Peter Voss naprawdę próbuje odkupić grzechy ojca. Gdy kilka lat temu Hezbollah wysadził w powietrze żydowskie centrum AMIA w Buenos Aires, ktoś anonimowo podarował dużą sumę pieniędzy na jego odbudowę. Przypadkowo dowiedziałem się, że darczyńcą był nie kto inny jak Peter Voss.
- Czy będzie chciał z nami rozmawiać?
- Na ogół stroni od rozgłosu, ale już wcześniej udzielił wywiadu kilku znanym historykom. Czy będzie skłonny do rozmowy ze sławnym izraelskim agentem Gabrielem Allonem, tego nie wiem.
- Zapomniałeś o jednym, Eli. Przeszedłem na emeryturę.
- Jeżeli rzeczywiście, to dlaczego w tę zimną noc spacerujemy po Amsterdamzie? - Nie słysząc odpowiedzi, Lawon ciągnął dalej. - Twoja praca nigdy się nie skończy. Gdyby Szamron chciał, żebyś wytropił jakiegoś terrorystę, pewno byś mu odmówił. To, za co się teraz wzięłeś, jest czymś innym. Nadal przed oczami masz cyfry tatuażu na ręce matki, prawda? Te, które ona zawsze próbuje ukrywać przed innymi.
- Czy już skończył pan swoją sesję psychoanalizy, profesorze Lawon?
- Nikt na świecie nie zna cię tak dobrze, jak ja, Gabrielu. Nawet ta piękna dziewczyna, która idzie o kilka kroków za nami. Jestem jak twoja najbliższa rodzina. Tylko Szamron ma prawo powiedzieć coś podobnego. - Lawon na chwilę przerwał. - Nawiasem mówiąc, masz pozdrowienia od Starego.
- Co u niego?
- Nie jest zbyt szczęśliwy. Wie, że jego era dobiega końca. Nudzi się w swojej willi w Tyberiadzie. Dżila twierdzi, że już nie może z nim wytrzymać.
- Myślał, że po awansie Uziego nadal będzie rządził na Bulwarze Króla Saula.

- Tak to na początku wyglądało, ale ku zdumieniu wszystkich po jakimś czasie Uzi zaczął prowadzić własną politykę. Kilka tygodni temu spotkałem się z nim na lunchu. Nie uwierzysz, jak Bella go zmieniła. Bardziej teraz przypomina dyrektora korporacji niż szefa Biura.

- Rozmawialiście o mnie?

- Bardzo krótko. Mam wrażenie, że Uzi jest zadowolony z twojego pobytu na kornwalijskim pustkowiu. - Lawon zerknął na Gabriela. - Żałujesz, że nie przyjąłeś propozycji Szamrona?

- Nie chciałem tej pracy, Eli. I serdecznie gratuluję Uziemu, że ją dostał.

- Gdy nowy szef Biura usłyszy, że planujesz wypad do Argentyny i rozmowę z synem kogoś, kto był prawą ręką Eichmanna, może być niezadowolony.

- Ale nie usłyszy. Zresztą to nie potrwa długo.

- Coś takiego słyszałem od ciebie już wcześniej - uśmiechnął się Lawon. - Uważam, że obrazu Rembrandta już nie znajdziesz. A jeśli myślisz, że Peter Voss może coś wiedzieć, to ja mogę pojechać do Argentyny.

- Zgadzam się z tobą tylko w jednej sprawie. Tak, nadal mam przed oczami tatuaż na ręce matki.

Lawon westchnął ciężko.

- Przynajmniej pozwól mi zadzwonić i załatwić ci to spotkanie. Nie chcę, żebyś przeleciał pół świata, żeby w domu Vossa w Mendozie pocałować klamkę.

- Ciszej, Eli.

- Nie umiem inaczej. Musisz mi przyrzec, że będziesz na siebie uważał. Wiele osób w Argentynie byłoby szczęśliwych, widząc cię martwym.

Dotarli do Plantage Middenlaan. Gabriel skręcił w boczną uliczkę i zaprowadził Lawona przed mały dom z wąskimi, czarnymi drzwiami. Za nimi w śnieżnobiałym pokoju siedziało samotne dziecko ciemności, Lena Herzfeld.

- Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, Szamron wspominał nam coś o zbiegu okoliczności, pamiętasz?

- Że w zbieg okoliczności wierzą tylko durnie i kandydaci na nieboszczyków?

- A co Szamron powiedziała by na zniknięcie obrazu Rembrandta, który kiedyś był w rękach Kurta Vossa?
- Że to niemożliwe.
- Zaopiekujesz się Leną, kiedy będę w Argentynie? Nie chcę, żeby jej się coś stało. Wystarczająco już się nacierpiała w życiu.
- Zaplanowałem tu krótki pobyt.
- Obchodź się z nią delikatnie, Eli. Jest krucha.
- Nic dziwnego - odpowiedział Lawon. - Nie martw się, nawet nie uważaj, że tu jestem.

28.

AMSTERDAM

Zasady działania szwajcarskiego Zentrums Security z siedzibą w Zurychu były jasne: za uzgodnioną opłatą firma świadczyła wszelkie usługi z zakresu swojej działalności. Wydział śledczy Zentrum zajmował się zbieraniem szczegółowych informacji o osobach fizycznych i instytucjach. Wydział antyterrorystyczny udzielał porad z dziedziny bezpieczeństwa publicznego oraz sporządzał codzienny raport o globalnych zagrożeniach. Dział ochrony dostarczał umundurowanych strażników dla przedsiębiorstw i cywilnych ochroniarzy dla osób prywatnych. Wydział bezpieczeństwa komputerowego Zentrum cieszył się renomą jednego z najlepszych w Europie, a departament zagraniczny sporządzał analizy ryzyka dla przedsiębiorstw wchodzących na rynki uznawane za niestabilne. Firma posiadała własny bank i skarbiec w podziemiach Talstrasse, w którym przechowywała środki powierzone jej przez klientów. Według ostatnich szacunków, wartość złożonych w nim depozytów przekraczała dziesięć miliardów dolarów.

Zasady rekrutacji personelu Zentrum od lat pozostawały niezmiennie. Najpierw o kandydatach wyszukanych przez dział kadr dyskretnie zbierano szczegółowe, nieraz bardzo osobiste, informacje. Ci, którzy przechodzili przez pierwsze sito, automatycznie stawali się „materiałem dla Zentrum”, a firmowa komórka rekrutacyjna nawiązywała z nimi kontakt. Kandydaci rzadko odmawiali, ponieważ pensje i dodatki do płac w Zentrum znacznie przewyższały przeciętną ofertę rynkową. Większość wysoko wykształconych, pochodzących z różnych stron świata pracowników wcześniej pracowała w wojsku, policji czy wywiadzie swojego kraju. Od wszystkich wymagano dobrej znajomości co najmniej trzech języków, przy czym z oczywistych względów niemiecki był obowiązkowy. Rezygnacje były w firmie rzadkością, a nieliczni pracownicy,

którzy zostali zwolnieni dyscyplinarnie, dziwnym trafem mieli ogromne kłopoty ze znalezieniem następnej pracy.

Tak jak narodowe agencje wywiadowcze, na których wzór firma działała, Zentrum miało dwie twarze - jedną dla świata, drugą starannie ukrytą. Utajniona część firmy zajmowała się zadaniami specjalnymi - szantażem, przekupstwem, zastraszaniem, szpiegostwem przemysłowym i „zamykaniem rachunków”. O tajnej, nieobecnej w dokumentach firmy działalności nikt w firmie głośno nie mówił, o jej prowadzeniu wiedziało tylko kilka zaufanych osób. Nielegalna komórka została nazwana „Grupą Piwniczną” lub *Kellergruppe*, jej kierownik był określany jako *Kellermeister*. Od piętnastu lat był nim Ulrich Müller.

Do Amsterdamu Müller wysłał swoich dwóch najbardziej doświadczonych pracowników. Pierwszy z nich, Niemiec, specjalizował się w podsłuchu, drugi, Szwajcar, był mistrzem fotografii. Tuż po szóstej po południu Szwajcar zrobił zdjęcie szczupłemu Izraelczykowi o siwych skroniach, wchodzącemu do hotelu Ambassade w towarzystwie wysokiej, ciemnowłosej kobiety. W chwilę później Niemiec wycelował mikrofon paraboliczny w okno pokoju na trzecim piętrze lewej strony budynku. Po jakimś czasie pojawił się w nim śledzony Izraelczyk i przez chwilę obserwował ulicę przed hotelem. Zanim zasunął zasłony, Szwajcar zrobił mu kolejne zdjęcie.

29.

MONTMARTRE, PARYŻ

Schody rue Chappe były wilgotne od mżawki. Po wejściu na szczyt wzgórza Montmartre Maurice Durand zatrzymał się i rozmasował obolały kręgosłup. Dopiero po chwili ruszył wąskimi uliczkami w kierunku rue Ravignan. Stojąc przed kamienicą, najpierw spojrział w wielkie okna apartamentu na najwyższym piętrze, następnie na panel interkomu. Pięć nazwisk lokatorów wydrukowano zwykłą czcionką, przy szóstym użyto kursywy: *Yves Morel...*

Dokładnie dwadzieścia dwa lata temu to nazwisko było na ustach każdego znaczącego kolekcjonera w Paryżu. Nawet stroniący od oficjalnych imprez Durand wybrał się na pierwszą wystawę dzieł artysty, zapowiadającego się jako geniusz i godny następcą takich znakomitości jak Picasso, Matisse czy Vuillard. Przed upływem wieczoru każde płótno artysty zostało zarezerwowane. Wszystko uległo zmianie następnego poranka, gdy do głosu doszli wszechmogący paryscy krytycy sztuki. Tak, młody Morel ma świetny warsztat, stwierdzili, lecz jego pracom brakuje śmiałości, wyobraźni i co najważniejsze, oryginalności. W ciągu kilku godzin oferty kupna zostały wycofane, a wizja ogromnej kariery legła w gruzach.

Najpierw Morela ogarnęła złość. Na krytyków, którzy nie zostawili na nim suchej nitki, na właścicieli galerii, którzy nie chcieli wystawiać jego prac. Ale najbardziej rozwścieczyli go tchórzliwi kolekcjonerzy, tak łatwo poddający się manipulacji. „To stado baranów”, krzyczał Morel do wszystkich, którzy chcieli go wysłuchać. „Pozerzy, którzy nie potrafią odróżnić oryginału od kopii”. W końcu, by udowodnić całemu światu, jakimi głupcami są odbiorcy sztuki, malarz, dysponujący świetną techniką, lecz niewystarczająco oryginalny, postanowił zostać fałszerzem. Jego opatrzone cudzymi sygnaturami dzieła zawisły

na ścianach bogaczy i muzeów na całym świecie, a nowe zajęcie przyniosło mu fortunę nie mniejszą niż majątek wielu głupców, którzy jego obrazy kupowali.

Nie sprzedawał swoich płócien na otwartym rynku. Pracował tylko dla za-przyjaźnionych marszandów, którzy nie stronili od nielegalnych praktyk. Maurice Durand wykorzystywał talent Morela przy kradzieżach polegających na wymianie oryginału na kopię. Falszerz właśnie kończył Maneta, który miał niebawem zawisnąć na ścianie jednego z małych belgijskich muzeów. Durand przez chwilę przyglądał się jego pracy, następnie z długiej kartonowej tuby delikatnie wyjął przyniesiony obraz i ostrożnie rozłożył go na stole roboczym. Na widok płótna Morel cicho gwizdnął.

- *Merde!*
- Całkowicie się z tobą zgadzam.
- Prawdziwy Rembrandt?

Durand skinął głową.

- Tak, do tego z prawdziwą dziurą po pocisku.
- Co to za plama?
- Użyj wyobraźni, Yves.

Morel nachylił się nad płótnem i delikatnie je potarł.

- Krew nie stanowi problemu.

- A dziura?

- Najpierw podlepię kawałek płótna do oryginału, później przemaaluję czoło kobiety. Kiedy skończę, nałożę warstwę werniksu o barwie zgodnej z resztą obrazu. - Morel wzruszył ramionami. - Nie specjalizuję się w Starych Mistrzach holenderskich, ale na pewno sobie poradzę.

- Ile to potrwa?

- Ze dwa tygodnie, może dłużej.

- Na ten obraz ktoś już czeka.

- Nie chcesz chyba, żeby twój klient to zobaczył. - Morel dotknął dziury koniuszkiem palca. - Niestety, będę też musiał podkleić nową warstwę. Mam wrażenie, że przy ostatniej konserwacji użyto ślepego płótna.

- Co to jest?
- Zwykle podklejenie płótna oznacza rozsmarowanie kleju na całej

powierzchni tyłu obrazu, przy ślepych płótnie klej jest użyty tylko na jego brzegach.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tak jest łatwiej i o wiele szybciej. - Morel podniósł wzrok na Duranda i wzruszył ramionami. - Może komuś się śpieszyło?

- Wiesz, jak to się robi?

- Podklejanie płótna? - Morel zrobił lekko urażoną minę. - Podklejam moje wszystkie kopie, żeby je postarzyć. Prawdę mówiąc, to dosyć ryzykowna metoda. Kiedyś w ten sposób spaprałem kopię Cézanne'a.

- Co się stało?

- Dałem za dużo kleju, który przesiąkł na obraz.

- Tym razem bądź ostrożniejszy, Yves. Dziewczyna z portretu ma już wystarczająco dużo kłopotów.

- Nie przeczę - odparł Morel, marszcząc czoło. - Jeżeli chcesz zobaczyć, jak to się robi, mogę odkleić ślepe płótno przy tobie. To nie potrwa długo. Usiądź sobie wygodnie.

- Już od dwunastu lat nie mogę usiąść wygodnie.

- Kręgosłup?

Durand skinął głową i ostrożnie usiadł na pomazanym farbami wolterowskim fotelu. W tym czasie Morel odwrócił obraz i położył go na stole. Czubkiem noża najpierw podniósł lewy róg płótna, a następnie zaczął przesuwając ostrze wzdłuż całego brzegu. Po dziesięciu minutach praca była skończona.

- *Mon Dieu!*

- Co zrobiłeś, Yves?

- Nic nie zrobiłem, ale ktoś inny owszem. Maurice, podejdź tutaj i spójrz sam.

Durand zbliżył się do stołu. Stanęli ramię w ramię, patrząc w milczeniu na tył obrazu.

- Wiesz co, Yves?

- Co?

- Włóż ten obraz z powrotem do tuby i zapomnij, że go kiedykolwiek widziałeś.

- Jesteś tego pewny, Maurice?
- Durand skinął głową i powiedział:
- Całkowicie.

30.

MENDOZA, ARGENTYNA

Samolot LAN Airlines, lot numer 4286, powoli schodził do lądowania w Mendozie. Argentyńskie niebo było bezchmurne, na horyzoncie rysowały się ostre szczyty Andów. Nawet z wysokości siedmiu kilometrów widać było długą, zieloną wstążkę winnic, rozciągniętą wzdłuż skraju pustynnej doliny. Gabriel spojrzął na śpiącą Chiarę. Fotel pierwszej klasy miała odchyłony do tyłu, na jej pięknej twarzy widniał spokój. Podczas trzydziestogodzinnej podróży z Amsterdamu prawie nie zmieniła pozycji. Gabriel mógł jej tylko pozazdrościć umiejętności spania w samolocie. On sam spędził długi transatlantycki lot, przeglądając dossier Vossa pośpiesznie przygotowane przez Lawona. W teczce z papierami znalazł odbitkę zdjęcia zrobionego Vossowi w mundurze SS wkrótce po jego przyjeździe do Wiednia oraz fotografię zbrodniarza w tygodniku „Der Spiegel” wraz z udzielonym wywiadem. Jeżeli Niemiec pod koniec życia miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, to nie było tego po nim widać. Nie wyglądał na człowieka, który się wstydzi swojej przeszłości. Wyglądał jak ktoś, kto nocą śpi zupełnie spokojnie.

Stewardesa obudziła Chiarę, prosząc ją o ustawienie fotela w pozycji pionowej. Po kilku sekundach Chiara znów zasnęła. Nie obudził jej nawet łomot kół samolotu, lądującego na lotnisku w Mendozie. Po dziesięciu minutach, gdy weszli do budynku miejscowego terminalu, tryskała energią. Niewyspany Gabriel, któremu dzwoniło w uszach, szedł obok niej, powłócząc nogami.

Formalności paszportowe załatwili już rano, po przylocie do Buenos Aires. Teraz musieli tylko wynająć samochód. W Europie mieliby do pomocy kurierów i innych pracowników Biura, w odległej Mendozie nie pozostało im nic innego jak ustawienie się w długiej kolejce. Okazało się, że pracownica

punktu wynajmu nie może znaleźć w komputerze rezerwacji Gabriela. Wyszukiwanie odpowiedniego samochodu zajęło jej kolejne pół godziny konsultacji telefonicznych i wpatrywania się w ekran monitora. W końcu wzięli subaru outback po niedawnym wypadku w górach. Bez słowa przeprosin dziewczyna przekazała Gabrielowi dokumenty, groźnie informując go o zasadach i zakresie ubezpieczenia.

Z kluczykami i bagażem wyszli na suche jak pieprz powietrze. W Europie panowała zima, na półkuli południowej trwała pełnia lata. Wsiadli do stojącego na parkingu samochodu, ale najpierw upewnili się, czy nie ma w nim jakichś materiałów wybuchowych. Pojechali do hotelu przy Plaza Italia, nazwanym dla upamiętnienia włoskich imigrantów, osiedlających się w tym regionie już od ponad stu lat. Na miejscu, mimo ogromnej ochoty na odpoczynek w świeżo zaścielonym łóżku, Gabriel wziął tylko prysznic, przebrał się i zszedł do lobby, gdzie czekała na niego Chiara. Od pracownika recepcji dostali listę miejscowych atrakcji. Nie znaleźli na niej Bodegi de la Mariposa, winnicy będącej własnością Vossa.

- Jej właściciel nie życzy sobie gości - wyjaśnił recepcjonista. - Nie organizuje ani degustacji, ani zwiedzania.

- Mamy umówione spotkanie z señorem Vossem - powiedział Gabriel.

- A, to co innego...

Recepcjonista kółeczkiem zakreślił na mapie miejsce położone około pięciu mil na południe od hotelu i opisał najkrótszą trasę dojazdu. Na podjeździe hotelowym trzech pracowników wymieniało złośliwe uwagi na temat poobijanego subaru. Na widok Chiary wszyscy rzucili się do otwierania przed nią drzwi, całkowicie ignorując jej partnera. W końcu Gabriel wyjechał na ulicę i przez następne trzydzieści minut kluczył spokojnymi bulwarami centrum Mendozy. Chciał mieć pewność, że nie są śledzeni. Wreszcie przyspieszył i ruszył na południe. Zostawiając za sobą niekończący się archipelag winnic, dojechali do eleganckiej, kamiennie-stalowej bramy z tabliczką TEREN PRYWATNY. Z drugiej strony wjazdu stał oparty o białego chevroleta suburban barczysty ochroniarz w dużym kapeluszu kowbojskim i lustrzankach na nosie.

- Señor Allon?

Gabriel skinął głową.

- Witam - strażnik uśmiechnął się przyjaźnie. - Proszę jechać za mną.

Gabriel poczekał na otwarcie bramy, następnie ruszył za chevroletem. Wkrótce zrozumieli, dlaczego posiadłość nosi nazwę Bodega de la Mariposa, czyli Winnica Motyli. Ogromna, falująca chmura paziów królowej unosiła się nad pobliskimi polami i szerokim żwirowanym podjazdem, prowadzącym do obszernej willi w stylu włoskim. Zaparkowali subaru w cieniu cyprysu i ruszyli za strażnikiem. Z przepastnej sieni weszli do szerokiego korytarza prowadzącego na taras z imponującym widokiem na pokryte śnieżnymi czapami wierzchołki Andów. Na stole zobaczyli sery, wędliny, figi, andyjską wodę mineralną i butelkę Bodega de la Mariposa Reserva z 2005 roku. Oparty o balustradę, elegancki w swoich świeżo wypastowanych butach do konnej jazdy, stał Hauptsturmführer SS Kurt Voss.

- Witam w Argentynie, panie Allon. Pańska wizyta jest dla mnie zaszczytem.

31.

MENDOZA, ARGENTYNA

Oczywiście zobaczyli nie Kurta Vossa, lecz jego syna. Podobieństwo było uderzające. Tak samo musiał wyglądać mężczyzna spacerujący po scenie teatru Hollandsche Schouwburg z portretem Rembrandta w jednej ręce i woreczkiem diamentów w drugiej.

Peter był szczuplejszy od ojca, bardziej wysportowany, na głowie miał więcej włosów, teraz już siwych. Buty też miał inne - ciemnobrązowe i do tego pokryte cienką warstwą pyłu po niedawnej przejażdżce. Kłaniając się nisko, Peter Voss uściśnął dłonie gości i poprowadził ich do skąpanego w promieniach słońca stołu. Reakcja przybyszy na jego wygląd nie była dla niego zaskoczeniem.

- Nie musicie odwracać oczu - powiedział, siadając. - Ludzie bardzo często wpatrują się we mnie.

- Nie chciałem być nieuprzejmy, Herr Voss...

- Nie musi pan przeproszać, Allon. To był mój ojciec, nie pański. Gdy o nim rozmawiam, a robię to nieczęsto, nie uciekam od prawdy. Traktuję to jako swój obowiązek. Przyjechaliście z daleka na pewno nie bez ważnego powodu. Czego chcielibyście się od mnie dowiedzieć?

Bezpośredniość Vossa zaskoczyła Gabriela. Przesłuchiwał już kiedyś zbrodniarza wojennego, ale z dzieckiem zbrodniarza nie rozmawiał jeszcze nigdy. Instykt podpowiadał mu ostrożność, tak jak podczas spotkania z Leną Herzfeld. Nadgryzł figę i spokojnym tonem zapytał, kiedy Voss dowiedział się o wojennej działalności swojego ojca.

- Działalności? - powtórzył Voss z niedowierzaniem. - Panie Allon, jeżeli mamy szczerze mówić o moim ojcu, nie możemy bawić się w uprzejmości.

Mój ojciec nie prowadził działalności, mój ojciec popełniał zbrodnie. Prawdę o nim poznawałem stopniowo. W tym sensie nie różniłem się od wielu innych synów, których wyobrażenia o ojcach nie odpowiadały rzeczywistości.

Voss rozlał do kieliszków wino w kolorze owocu granatu i opowiedział gościom o paru wydarzeniach, które miały miejsce w odstępie kilku tygodni, kiedy był nastolatkiem.

- Kiedyś w Buenos Aires, w drodze ze szkoły, wszedłem do kawiarni. Przy stoliku w kącie siedział z jakimś człowiekiem mój ojciec. Mężczyzna ten spjrzał na mnie w sposób, który zapamiętałem na zawsze - w jego oczach zobaczyłem zaskoczenie, coś w rodzaju przerażenia, dumę, zdumienie, wszystko naraz. Ręka, którą mi podał, drżała. Powiedział, że wyglądam dokładnie jak swój własny ojciec w czasach, kiedy on z nim pracował. Przedstawił się jako Ricardo Klement. Jestem pewny, że znacie jego prawdziwe nazwisko.

- Adolf Eichmann.

- Tak, to był on - powiedział Voss. - Niedługo po tym spotkaniu poszedłem do piekarni, w której kupowali chleb żydowscy emigranci. Na mój widok stojąca w kolejce starsza kobieta zbladła i zaczęła krzyczeć, że jestem mordercą jej rodziny. Wzięła mnie za mojego ojca.

Voss wyciągnął rękę po kieliszek, jednak się rozmyślił.

- Po jakimś czasie już wiedziałem, że mój ojciec jest mordercą, i to nie było jakim. Jak mogłem nadal kochać takiego człowieka? Jak mogła go kochać moja matka? Najgorsze w tym wszystkim było to, że on nigdy nie wyraził skruchy za swoje zbrodnie. Niczego się nie wstydził, do samej śmierci sprawiał wrażenie dumnego ze swoich życiowych dokonań. Jako syn wziętem na siebie jego winę i cały czas odczuwam jej ciężar. Moja żona umarła kilka lat temu, od jej śmierci jestem sam. Nie mieliśmy dzieci. Chcecie wiedzieć, dlaczego? Bo nie mogłem zapomnieć, jakim zbrodniarzem był mój ojciec. Chcę, żeby wraz z moją śmiercią nasz ród całkowicie wygasł.

Voss wyglądał na zmęczonego. Zamilkł, wpatrując się w odległe szczyty gór. W końcu spjrzał na Gabriela i Chiareę.

- Przepraszam, z pewnością nie po to przejechaliście taki szmat drogi i dotarliście do Mendozy, aby słuchać moich skarg na ojca.

- Oto powód, dla którego jesteśmy tutaj - powiedział Gabriel, kładąc na stole zdjęcie *Portretu młodej kobiety*. Przez chwilę leżąca na blacie odbitka wyglądała jak czwarty, czekający na swoją szansę zabrania głosu uczestnik spotkania. Voss podniósł zdjęcie i obejrzał dokładnie w ostrym blasku słońca.

- Zawsze się zastanawiałem, jak ona wygląda - powiedział głucho.

- Gdzie teraz jest?

- Kilka dni temu została skradziona w Anglii - odparł Gabriel. - Mój znajomy zginął, ponieważ próbował jej bronić.

- Bardzo mi przykro - powiedział Voss. - Pana znajomy nie był pierwszym człowiekiem, który zginął z powodu tego portretu. Podejrzewam też, że nie ostatnim.

32.

MENDOZA, ARGENTYNA

W Amsterdamie Gabriel był spowiednikiem Leny Herzfeld. Teraz, siedząc na rozległym tarasie w cieniu Andów, wysłuchał historii życia jedyne go dziecka Kurta Vossa. Peter zaczął swoją opowieść od pewnej nocy w październiku 1982 roku, kiedy zadzwoniła do niego matka, informując go o śmierci ojca i prosząc o jak najszybszy przyjazd do ich rodzinnego domu w Palermo. Powiedziała, że są sprawy, o których powinien się dowiedzieć. Sprawy dotyczące ojca i jego działalności w czasie wojny.

- Siedzieliśmy przy łóżku, na którym niedawno umarł ojciec, i długo rozmawialiśmy. Właściwie mówiła matka, aja tylko słuchałem. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, kim naprawdę był. Jak potrafił wykorzystać swoją pozycję do gromadzenia majątku. Jak ograbiał swoje ofiary, a następnie wysyłał do obozów śmierci w Auschwitz, Treblince czy Sobiborze. I jak pewnej śnieżnej nocy w Amsterdamie zdobył obraz Rembrandta, wymieniając go na życie żydowskiego dziecka. Matka powiedziała, że do końca życia obawiał się tylko jednego - że ktoś znajdzie dowody jego zbrodni.

- Świadcstwa, że wszedł w posiadanie obrazu nielegalnie?
- Nie tylko, panie Allon. Był jeszcze inny dokument, świadczący o jego winie.

- Jaki dokument?

- Jak najbardziej wiarygodny - powiedział Voss. - Bo na piśmie. Naziści mieli obsesję rejestrowania wszystkiego, co robili. Hauptsturmführer SS Kurt Voss nie był wyjątkiem i każdą swoją transakcję starannie odnotowywał. Utrzymywał wiele kont, bo zdobyty majątek okazał się zbyt pokaźny, by go bezpiecznie trzymać na jednym rachunku. Pod koniec wojny, gdy alianci od wschodu i zachodu nieubłaganie zbliżali się do Berlina, Kurt Voss sporządził

dokument, w którym wyszczególnił źródła swoich dochodów i numery kont, na które trafiły.

- Gdzie ulokował swój majątek?
- W Zurychu, w niewielkim prywatnym banku.
- A listę kont? - spytał Gabriel. - Co z nią zrobił?
- Taki spis był zbyt niebezpieczny, by go nosić przy sobie. Klucz do fortuny w każdej chwili mógł się okazać pisemnym oskarżeniem. Ojciec schował go tam, gdzie, jak mu się wydawało, nikt nie będzie go szukał.

W tym momencie Gabriel doznał olśnienia. Przecież miał przed oczami dowód, którego szukał, oglądając pliki zdjęciowe na komputerze Liddella w Glastonbury. Przypomniał sobie dwie cienkie linie na powierzchni obrazu - jedną idealnie pionową, drugą w poziomie - przecinające się o kilka centymetrów od lewego ramienia Hendrickje. Kurt Voss użył *Portretu młodej kobiety* jako koperty. Chyba najdroższej koperty w historii.

- Ukrył go w obrazie Rembrandta?
- Zgadza się, panie Allon. Wsunął listę między oryginalne płótno portretu i warstwę podklejonego od tyłu materiału.

- Czy spis rachunków był długi?
- Ojciec własnoręcznie zapisał trzy kartki pergaminu.
- Czy jakoś je zabezpieczył?
- Włożył je do koperty z woskowanego papieru.
- Kto zrobił skrytkę?
- W latach wojny ojciec utrzymywał kontakt z zajmującymi się rabunkiem dzieł sztuki pracownikami Operacji Specjalnej Linz. Jeden z nich był konserwatorem obrazów. To właśnie on wymyślił tę kryjówkę na dokumenty. W podziękę za solidnie wykonaną pracę ojciec go zastrzelił.

- A obraz?
- Uciekając do Włoch, ojciec na krótko zatrzymał się w Zurychu. Tam zostawił obraz w skrytce depozytowej swojego banku. Numer skrytki i jej hasło zdradził tylko jednej osobie.

- Żonie.

Peter Voss skinął głową.

- Dlaczego pana ojciec od razu nie przesłał pieniędzy do Argentyny?
- Bo to było niemożliwe. Tuż po wojnie działalność szwajcarskich banków znalazła się pod lupą aliantów, którzy z pewnością nie przeoczyliby dużego transferu gotówki i innych środków finansowych z Zurychu do Buenos Aires. Lista kont została w Szwajcarii, bo ojciec bał się dekonspiracji. Wiedząc, że wpadka z tego rodzaju dokumentem byłaby jednoznaczna z wyrokiem śmierci, postanowił jakiś czas odczekać.

- Jak długo?

- Sześć lat.

- A więc do momentu waszego wyjazdu z Europy.

- Zgadza się - odparł Voss. - Kiedy w końcu zorganizował nasz przyjazd, polecił matce, aby zatrzymała się w Zurychu. Miała odebrać obraz, spis rachunków i pieniądze. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się dzieje. Pamiętam tylko, że matka weszła do banku, a ja musiałem na nią czekać na ulicy. Kiedy po dziesięciu minutach wyszła, zauważyłem, że przed chwilą musiała płakać. Spytałem ją, o co chodzi, a ona tylko krzyknęła, żebym siedział cicho. Wsiadliśmy do jakiegoś tramwaju i bez celu jeździliśmy nim w kółko po centrum miasta. Matka wyglądała przez okno, wciąż powtarzając: - Co ja teraz powiem twojemu ojcu? Co ja teraz powiem twojemu ojcu?

- Obrazu już nie było?

Voss skinął głową.

- Nie było obrazu, nie było listy, nie było pieniędzy. Bankier powiedział matce, że ojciec nie utrzymywał w banku żadnych kont. „To jakaś pomyłka, Frau Voss. Może chodzi pani o inny bank?”

- Jak zareagował pański ojciec?

- Rzecz jasna wpadł w furię. - Voss zamilkł na chwilę. - Ironia losu, prawda? Szalał, ponieważ ukradziono mu pieniądze, które on sam wcześniej zarabował innym. Można powiedzieć, że to była zemsta Rembrandta. Ojciec nigdy nie wyzbył się obsesji znalezienia obrazu i ukrytego w nim klucza do fortuny.

- Więc nie zrezygnował z poszukiwań?

- Spróbował jeszcze raz - powiedział Voss. - W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym do Szwajcarii z misją odzyskania pieniędzy pojechał jego

znajomy dyplomata. Ojciec zobowiązał się wobec niego, że połowa majątku trafi do skarbu Argentyny. Oczywiście sam kurier miał być wynagrodzony osobno.

- I?

- Po przyjeździe do Szwajcarii dyplomata zadzwonił do ojca z informacją, że spotkał się już z bankierem i że szanse na pomyślne załatwienie sprawy są spore. Dwa dni później z Jeziora Zuryskiego wyłowiono jego ciało. Miejscowe śledztwo ustaliło, że dyplomata poślizgnął się na molo, wpadł do wody i utonął. Ojciec nigdy w to nie uwierzył. Wiedział, że to musiało być morderstwo.

- Jak się nazywał dyplomata?

- Carlos Weber.

- A czy pan, panie Voss - spytał Gabriel po dłuższym milczeniu - nigdy nie próbował na własną rękę znaleźć tych pieniędzy?

- Myślałem o tym. Uważałem, że przynajmniej część tej fortuny powinna wrócić do jej prawowitych właścicieli. Jednak w końcu zrozumiałem, że w konfrontacji ze szwajcarskimi bankierami nie mam żadnych szans. Ich banki wyglądają czysto i porządnie, ale to tylko fasada. Tuż po wojnie nie kto inny, tylko oni sami często odprawiali z kwitkiem właścicieli depozytów. Ci ludzie dawno zapomnieli, czym jest uczciwość. Syn nazistowskiego zbrodniarza był z góry skazany na porażkę.

- Czy pan zna nazwisko bankiera ojca?

- Tak - odpowiedział Voss bez chwili wahania. - Walter Landesmann.

- Landesmann? To nazwisko coś mi mówi.

Peter Voss się uśmiechnął.

- Jego syn jest jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Niedawno wystąpił w telewizji, wspierając program zwalczania głodu w Afryce. To...

- Martin Landesmann?

Peter Voss skinął głową.

- Co pan o tym myśli? Przypadek?

- Nie wierzę w przypadki, Herr Voss.

Voss uniósł kieliszek i spojrzał pod słońce.

- To tak jak ja, panie Allon. Tak jak ja.

33.

MENDOZA, ARGENTYNA

Gabriel i Chiara opuszczali winnicę w chmurze motyli. Wieczorem poszli na kolację pod gołym niebem, do małej restauracji przy Plaza Italia.

- Spodobał ci się, prawda? - spytała nagle Chiara.
- Voss? - Gabriel skinął powoli głową. - Chyba nawet bardziej, niż początkowo tego chciałem.
- Uwierzyłeś mu?
- Historia, którą nam opowiedział, jest niezwykła - odparł Gabriel.
- Ale możliwa. Po wojnie Kurt Voss rzeczywiście był łatwym łupem dla nieuczciwego bankiera. Nikt się nie patyczkował ze zbrodniarzem wojennym poszukiwanym na całym świecie. Po dwudziestu latach Landesmann podjął decyzję o zamknięciu kont nazisty i zniszczeniu ich dokumentacji.
- Fortuna zrabowana ofiarom Zagłady rozplynęła się w powietrzu - dodała Chiara gorzko.
- Tak jak ludzie, do których kiedyś należała.
- A obraz?
- Gdyby Landesmann był ostrożniejszy, to by go spalił. Nie zrobił tego, bo był chciwym łajdakiem. Nawet w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym, na wiele lat przed hossą na rynku dzieł sztuki, obraz ten był wart majątek. Podejrzewam, że to Landesmann przekazał go Hoffmann Gallery w Lucernie do cichej sprzedaży.
- Czy wiedział o istnieniu listy?
- Żeby do niej dotrzeć, musiałyby rozciąć obraz. Tego nie zrobił.
- A więc lista została sprzedana z obrazem w roku tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątym czwartym?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie tak było.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - powiedziała Chiara po chwili milczenia. - Dlaczego Carlos Weber musiał zginąć? Przecież wcześniej Landesmann odprawił z kwitkiem żonę Vossa, gdy przyjechała po pieniądze. Dlaczego nie postąpił podobnie w przypadku Webera?

- Może dlatego, że wizyta Webera miała status półoficjalny? Dyplomata reprezentował nie tylko Vossa, lecz również rząd Argentyny. To sprawiło, że Landesmann uznał go za wyjątkowo niebezpiecznego. - Gabriel przerwał na chwilę. - Podejrzewam, że istniał też inny powód, dla którego Weber musiał zginąć. Argentyńczyk mógł wiedzieć, że w obrazie Rembrandta znajduje się lista kont, i dał to do zrozumienia Landesmannowi podczas ich pierwszego spotkania.

- A wtedy bankier zrozumiał, że ma poważny problem - powiedziała Chiara. - W obrazie, który niedawno sprzedał, spoczywał dowód, że majątek Kurta Vossa został ukryty w banku Landesmanna.

Gabriel skinął głową.

- Landesmann dał Weberowi nadzieję na pomyślne załatwienie sprawy, skłaniając go do przedłużenia pobytu w Zurychu. W tym czasie zorganizował zamach. Jestem pewny, że po śmierci Webera natychmiast podjął poszukiwania obrazu.

- Dlaczego po prostu nie poszedł do Hoffmann Gallery i nie poprosił o adres osoby, która w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym go kupiła?

- Bo w Szwajcarii prywatna sprzedaż to rzeczywiście prywatna transakcja. Nawet dla takich ludzi jak Walter Landesmann. Zresztą, w tak dwuznacznej sytuacji Landesmann chyba nie bardzo chciał zwracać na siebie uwagę.

- A Martin?

- Podejrzewam, że w pewnym momencie ojciec wyznał mu swoje grzechy i że dalsze poszukiwania prowadził syn. Ten obraz był dla nich przez ponad czterdzieści lat jak tykająca bomba zegarowa. Gdyby jego tajemnica ujrzała światło dzienne...

- Wtedy świat Landesmannów ległby w gruzach.

Gabriel skinął głową.

- Zostaliby zarzuceni pozwami. Prawdopodobnie musieliby wypłacić setki milionów, jeżeli nie miliardy dolarów odszkodowań.

- To wygląda na bardzo konkretny motyw kradzieży - podsumowała Chiara. - Ale co w takim razie robimy? Walter Landesmann już dawno umarł. A my nie możemy tak po prostu zapukać do drzwi jego syna.

- Drogę może nam wskazać Carlos Weber...

- Carlos Weber został zamordowany w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku.

- Ale jego zabójstwo powinno nam pomóc w poszukiwaniach. Widzisz, kiedy ginie dyplomata, jego kraj zazwyczaj wyraża niezadowolenie, czasami przeprowadza własne śledztwo. I na pewno powstaje jakiś raport.

- Nie sądzę, by argentyński rząd umożliwił nam dostęp do tego rodzaju dokumentów.

- To fakt - odparł Gabriel. - Ale znam kogoś, kto nam to załatwi.

- Czy ten ktoś ma nazwisko? Gabriel uśmiechnął się i powiedział:

- Tak, Alfonso Ramirez.

Po kolacji, trzymając się za ręce, wrócili przez ciemny skwer przy Plaza Italia do swojego hotelu. W tym samym czasie cyfrowy plik z nagraniem ich niedawnej rozmowy i zdjęciami był już w drodze do Centrum Security w Zurychu. Po godzinie centrala wysłała odpowiedź. Była to lista krótkich instrukcji, adres apartamentowca w San Telmo, dzielnicy Buenos Aires, i nazwisko pewnego emerytowanego pułkownika, który w najbardziej mrocznych dniach brudnej wojny pracował w argentyńskiej tajnej policji. Obu pracownikom Centrum polecono wracać do domu już następnego wieczoru. Jeden z nich miał wsiąść na pokład samolotu Air France, lecącego do Paryża, drugi miał się udać do Londynu liniami British Airways. Nie podano powodu takiej decyzji, nikt też takich wyjaśnień nie oczekiwał. Zawodowcy umieli czytać między linijkami związanych komunikatów centrali. Wdrażane były procedury tworzenia alibi i

strategie bezpiecznego wyjścia, więc musiał zostać wydany odpowiedni rozkaz. Szkoda kobiety, pomyśleli. Kiedy stała na balkonie w poświacie argentyńskiego księżyca, wyglądała tak ponętnie...

34.

BUENOS AIRES

Nocą trzynastego sierpnia 1979 roku Maria Espinoza Ramirez, poetka, skrzypaczka i argentyńska dysydyntka została wyrzucona z luku wojskowego samolotu lecącego na wysokości kilku tysięcy stóp nad południowym Atlantykiem. W końcowym akcie barbarzyństwa, tuż przed wypchnięciem kobiety, kapitan dowodzący operacją rozciął jej brzuch maczetą, tak aby ciało ofiary jak najszybciej zniknęło z powierzchni oceanu. Mąż Marii, przebywający w więzieniu opozycyjny dziennikarz Alfonso Ramirez, dowiedział się o śmierci żony dopiero po kilku miesiącach. Międzynarodowy rozgłos, nadany jego sprawie przez Amnesty International, spowodował, że po roku Ramirez został uwolniony. Uniknął nieuchronnej śmierci, lecz jednocześnie dostał zakaz uprawiania dziennikarstwa politycznego. - W Argentynie milczenie ma długą i dumną tradycję - usłyszał, gdy generałowie pozwolili mu wyjść z więzienia. - Señor Ramirez postąpi rozsądnie, jeśli to sobie zapamięta.

Wiele osób posłuchałoby tej rady, ale Alfonso Ramirez był ulepiony z innej gliny. Tuż po wyjściu z więzienia, pełen gniewu i żalu, rozpętał nieustraszoną kampanię przeciw juncie. Jego walka z reżimem dobiegła kresu w 1983 roku, gdy krwawe rządy generałów wreszcie się skończyły. Kilka następnych lat Ramirez poświęcił tropieniu wojskowych zbrodniarzy i stawianiu ich przed sądem. Wśród schwytanych morderców znalazł się kapitan argentyńskich służb specjalnych, zabójca jego żony. Gdy sędziowie orzekli o winie kapitana, Ramirez płakał po raz pierwszy. Gdy po chwili usłyszał, że wyrok wynosi tylko pięć lat więzienia, rozplakał się ponownie. Po rozprawie oświadczył, że argentyńska sprawiedliwość, pospołu z ofiarami reżimu, spoczęła na dnie oceanu. Tego samego wieczora nieznanymi sprawcami zdemolowali mu mieszkanie, zostawiając po sobie wannę pełną wody, a w niej pocięte nożyczkami zdjęcia

jego żony. Alfonso Ramirez, uważany za jednego z najbardziej bezkompromisowych bojowników o prawa człowieka, przyjrzał się bliżej jednemu z najbardziej wstydlivych epizodów niedawnej historii Argentyny - okresowi jej bliskich związków z nazistowskimi Niemcami. W 2006 roku ukazała się jego książka *Sanktuarium Zła*, ujawniająca tajne porozumienie rządu Perona z Watykanem, SS i wywiadem amerykańskim, które umożliwiło tysiącom zbrodniarzy wojennych znalezienie w Argentynie bezpiecznego schronienia. W jednym z rozdziałów autor opisał wspólną akcję z wywiadem izraelskim, która doprowadziła do ujęcia nazistowskiego kata, Ericha Radka. Z oczywistych względów wiele szczegółów operacji musiało być utajnionych, między innymi nazwisko legendarnego izraelskiego agenta.

Chociaż dochody ze sprzedaży książki uczyniły go milionerem, Ramirez oparł się pokusie przeprowadzki do snobistycznej północnej części Buenos Aires. Pozostał w dzielnicy San Telmo, w domu z patio i zewnętrznymi schodami przykrytymi wypłowiałym dywanem. Jego mieszkanie wypełniały po sufit dziesiątki tysięcy teczek z danymi osób winnych łamania praw człowieka. Mówiono, że to prywatne archiwum w niczym nie ustępuje zasobom państwowym. Ramirez zgromadził zawrotną liczbę informacji, ale nigdy nie próbował swoich zbiorów skomputeryzować czy nawet uporządkować, ponieważ utrzymywał, że panujący w nich chaos zapewnia im bezpieczeństwo. Filozofię tą zweryfikowało samo życie - mimo włamań, najważniejsze części zbiorów jak dotychczas nie doznały większego uszczerbku.

Gospodarz przyjął Chiarę i Gabriela w jedynej niezawłaszczonej przez archiwum części salonu. W kącie pokoju nadal spoczywały zakurzone skrzypce, zostawione tam przez Marię w dniu jej uprowadzenia. Na ścianie, za szkłem, wisiały dwie stroniczki jej ręcznie pisanych wierszy, obok nich fotografia chudego, wycieńczonego Ramireza tuż po wyjściu z więzienia. Witający gości mężczyzna wyglądał teraz całkiem inaczej

- był wysoki, barczysty, przypominał bardziej robotnika niż człowieka pióra i idei, a jego rozwichrzona siwa broda nasuwała skojarzenia z Fidelem Castro i Marksem. Zresztą sam Ramirez często podkreślał swoje niezmiennie lewicowe poglądy.

Mimo stosów zalegających wszędzie papierów i dokumentów, gospodarz, niepoprawny palacz, potrafił zostawiać niedopałki w całkowicie niestosownych miejscach. Teraz, pamiętając o niechęci Gabriela do dymu tytoniowego, powstrzymywał się od sięgnięcia po papierosa. Zamiast tego ze zdwojoną werwą perorował na najróżniejsze tematy - poczynając od stanu argentyńskiej gospodarki, nowego amerykańskiego prezydenta, a na izraelskiej polityce wobec Palestyńczyków, którą oczywiście uważał za niewłaściwą, kończąc. W końcu, gdy pierwsze krople popołudniowego deszczu zabębniły o parapety okien, wspomniał wspólną wizytę w argentyńskim Biurze Imigracyjnym. Wtedy to właśnie w nadgryzionym przez szczury pudle znaleźli z Gabrielem cenny dokument, z którego wynikało, że od dawna uważany za zmarłego niemiecki zbrodniarz wojenny Erich Radek żyje i pod zmienionym nazwiskiem mieszka w centrum Wiednia.

- Z tamtych czasów zapamiętałem jedno: gdziekolwiek szliśmy, podążała za nami dziewczyna na skuterze. Nie widziałem jej twarzy, bo na głowie miała kask, ale jej pięknych nóg nie zapomniałem nigdy. - Zerknął najpierw na Chiare, potem na Gabriela. - Widzę, że wasz związek rozkwitł.

Gabriel skinął głową, jednak z jego miny można było wywnioskować, że nie ma zamiaru rozwodzić się na ten temat.

- Co was sprowadza do Argentyny tym razem? - spytał Ramirez.
- Próbowaliśmy wina z rejonu Mendoza.
- Znaleźliście coś interesującego?
- Bodega de la Mariposa Reserva.
- Rocznik dwa tysiące pięć czy dwa tysiące sześć?
- Dwa tysiące pięć.
- Piłem to wino. Miałem też okazję, i to kilkakrotnie, rozmawiać z właścicielem winnicy.
- Co o nim myślisz?
- Podoba mi się - odparł Ramirez.
- Ufasz mu?
- W granicach normy. Zanim przejdziemy do sedna sprawy, proponuję ustalić reguły współpracy.

- Takie same jak ostatnim razem. Pomogasz mi w tej sprawie, ja ci pomagam w innej.
- Czego szukasz?
- Informacji o argentyńskim dyplomacie, który zmarł w Zurychu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku.
- Przypuszczam, że chodzi ci o Cariosa Webera? - uśmiechnął się Ramirez. - A pamiętając o twojej niedawnej wizycie w Mendozie, domyślam się, że jesteś na tropie zaginionej fortuny Hauptsturmführera SS Kurta Vossa.
- Czy to wszystko prawda, Alfonso?
- Oczywiście że tak. Majątek ten został przekazany przez Vossa w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem - tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć bankowi Landesmanna w Zurychu, a Carlos Weber zginął, bo próbował go ściągnąć do Argentyny w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Mam na to wszystko dowody.

35.

BUENOS AIRES

Był tylko jeden problem. Alfonso Ramirez nie miał zielonego pojęcia, gdzie szukać potrzebnych im dokumentów. Przez następne pół godziny człapał z pokoju do pokoju, otwierał pokryte kurzem teczki i przyglądał się ciekawie ich spłowiałej zawartości. Jednocześnie opowiadał swoim gościom niechlubną historię życia Carlosa Webera, ultranacjonalisty, wykształconego w Hiszpanii i Niemczech. Przed drugą wojną światową był doradcą do spraw polityki zagranicznej w kolejnych rządach Argentyny, zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Zażarty antysemita i antydemokrata, szybko nawiązał bliskie stosunki z urzędnikami Trzeciej Rzeszy i wysoko postawionymi funkcjonariuszami SS. To on tuż po wojnie pomagał nazistom w ucieczce do Argentyny.

- Był jedną z kluczowych postaci śmierzdzącej afery przerzutowej. Miał dobre doświadczenia do Perona, utrzymywał bliskie związki z Watykanem, cieszył się zaufaniem SS. Nie pomagał hitlerowskim mordercom bezinteresownie. Ten człowiek chciał przy ich pomocy zbudować Argentynę swoich marzeń.

Ramirez szarpnięciem otworzył górną szufladę pociętej metalowej szafki na dokumenty, szybko przejrzał spis zawartości kilkudziesięciu żółtych tekturowych teczek.

- Czy jego śmierć mogła być nieszczęśliwym wypadkiem? - spytał Gabriel.

- W żadnym razie - odparł zdecydowanie Ramirez. - Carlos Weber był bardzo wysportowanym mężczyzną i dobrym pływakiem. Nie mógł, ot tak, poślizgnąć się, wpaść do jeziora i utonąć.

Gospodarz z hukiem zatrzasnął szufladę i otworzył następną. Tym razem uśmiechnął się triumfalnie, wyciągając z niej kolejną teczkę.

- No, nareszcie. Mam to, czego szukałem.

- Co mianowicie?
- Jakies pięć lat temu rząd ujawnił szereg dokumentów dotyczących spraw związanych z nazistami. Większość z nich już nie miała żadnej wartości, ale archiwiści znaleźli parę perełek. - Ramirez uniósł plik teczek, pokazując je Gabrielowi. - Takich jak te.

- Co w nich jest?
- Kopie meldunków wysłanych przez Webera ze Szwajcarii w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Spójrzysz sam.

Gabriel przeczytał pierwszy meldunek dyplomaty.

PROSZĘ PRZEKAZAĆ MINISTROWI, ŻE SPOTKANIE BYŁO UDA-
NE. OCZEKUJĘ POMYŚLNEGO REZULTATU ROZMÓW. PROSZĘ TEŻ
O PRZEKAZANIE TREŚCI TEJ INFORMACJI WIADOMEJ ZAINTERE-
SOWANEJ OSOBIE.

- Weber w jednoznaczny sposób nawiązał do swojej rozmowy z Walte-
rem Landesmannem - powiedział Ramirez. - A wiadomą zainteresowaną osobą
był Kurt Voss.

Gabriel przyjrzał się kolejnemu meldunkowi.

BANK LANDESMANN ZNALAZŁ WYMAGANE KONTA. PROSZĘ
POINFORMOWAĆ MINISTERSTWO FINANSÓW O RYCHŁYM TRANS-
FERZE.

- Następnego dnia Carlos Weber już nie żył. - Ramirez uniósł stos gru-
bych teczek, spiętych metalowymi klamrami i mocnymi gumowymi taśmami.
Przez moment trzymał je tak w milczeniu, w końcu powiedział: - Muszę cię
przed czymś ostrzec, Gabrielu. Wszyscy ci, którzy szukają tych pieniędzy,
giną. Tu mam dane, zebrane przez jednego z moich przyjaciół, dziennikarza
śledczego Rafaela Blocha.

- Żyd?

Ramirez skinął z powagą głową.

- Na uniwersytecie był, tak jak ja, komunistą, więc podczas brudnej woj-
ny trafił do aresztu. Wyciągnął go stamtąd ojciec, płacąc dużą łapówkę. Miał
szczęście, bo większość uwięzionych wtedy Żydów zginęła.

- Mów dalej, Alfonso.

- Rafi Bloch był dziennikarzem specjalizującym się w sprawach finansowych. W odróżnieniu od większości z nas, ukończył studia ekonomiczne. Wiedział, jak się czyta bilans przedsiębiorstwa, i umiał śledzić drogę, jaką przebywa przekaz pieniężny. Był też bardzo, bardzo uparty.

- To mamy w genach.

- Tak, wiem - odparł Ramirez. - Rafi przez wiele lat próbował się dowiedzieć, co się stało z tymi pieniędzmi. Twierdził, że całe imperium Landesmana jest oparte na oszustwie.

- W jakim sensie?

- Nie zdradził mi szczegółów. W dwa tysiące ósmym roku był przekonany, że wkrótce będzie mógł zakończyć swoje śledztwo.

- Co zrobił?

- Poleciał do Genewy, aby porozmawiać z Martinem Landesmannem. I już stamtąd nie wrócił.

- Dzisiaj wiemy - powiedział później Ramirez - że tak doświadczony dziennikarz jak on powinien zachować większą ostrożność. Niestety, Rafi bezkrytycznie uwierzył w nienaganną reputację człowieka, z którym miał się spotkać.

Pierwszy kontakt miał miejsce rano piętnastego października, kiedy to Bloch zadzwonił z hotelu do Global Vision Investments, prosząc o wywiad z właścicielem holdingu. Prośba została odrzucona. Jednocześnie dano mu do zrozumienia, że dalsze starania nie mają sensu. Jednak Bloch nie poddawał się tak łatwo. Zagroził, że jeżeli nie dostanie wywiadu, pojedzie z niewygodnymi dla Landesmana materiałami do Waszyngtonu i przedstawi je odpowiednim komisjom Kongresu.

Postawione ultimatum spowodowało, że Blochowi obiecano jednak wywiad. Na przyrzeczoną rozmowę Rafi już nie dotarł. Jego zmrożone ciało, bez głowy i rąk, zostało znalezione we francuskich Alpach dopiero następnej wiosny. W żadnym dochodzeniu, jakie prowadzono w tej sprawie, nie padło nazwisko Landesmana.

36.

BUENOS AIRES

Światła zgasły po pierwszej błyskawicy. Siedzieli w półmroku salonu, kartkując dokumenty z teczek Rafaela Blocha, za oknami szalała burza.

- Za każdą fortuną stoi zbrodnia - powiedział Ramirez.
- Honoré de Balzac - dodała Chiara. Ramirez skinął głową z uznaniem.
- Kiedy staruszek pisał te słowa, nie mógł wiedzieć, jak bardzo będą pasować do tej sytuacji. Walter Landesmann zostawił synowi w testamencie mały bank pełen splamionych krwią, brudnych pieniędzy, których Martin Landesmann użył do budowy swego imperium finansowego. - Ramirez zerknął na Gabriela. - Co o nim wiesz?

- O Landesmannie? - Gabriel wzruszył ramionami. - To jeden z najbogatszych ludzi na świecie, lubi grać rolę miliardera mimo woli. - Zmarszczył czoło w udanym skupieniu. - Przypomnij mi nazwę jego fundacji...

- One World - powiedział Ramirez.
- Jak ja mogłem zapomnieć? - ironicznie spytał Gabriel. - Landesmann jest uważany w naszych czasach za guru, bo głosi konieczność redukcji długów biednych regionów świata, mówi o odpowiedzialności korporacyjnej i rozwoju odnawialnych źródeł energii. Ma jednak drugie oblicze. Zaangażował się w szereg projektów w Gazie, co sprawiło, że ma podejrzenie bliskie związki z Hamasem. Mimo wszystko jego znajomi z Hollywood, mediów czy światowej lewicy uważają, że Martin to świetny facet z czystym sercem i kierujący się szlachetnymi pobudkami. Prawdziwy święty. - Gabriel przerwał na chwilę. - Czy coś opuściłem?

- Tak. Fakt, że jego firma została zbudowana na majątku zrabowanym Żydom. Święty Martin faktycznie ma wielu zwolenników wśród możnych tego

świata, ale wątpię, czy nawet te głupie barany z Hollywood nadal by go kochały, gdyby wyszły na jaw informacje o tym, jakie są prawdziwe źródła szwajcarskiej fortuny. A jego dobroczynność to kapitalizm w czystej postaci. Święty zanieczyszcza środowisko, wierci, kopie i gwałci naszą ziemię nie mniej od innych.

- Pieniądze są motorem wszystkiego, Alfonso.

- Nie, przyjacielu. Dobra Księga mówi: „Miłość do pieniądza to korzeń zła”. U źródeł bogactwa Świętego Martina leży niewyobrażalna zbrodnia. To dlatego rok po śmierci ojca Martin pozbył się banku i przeprowadził z Zurychu nad Jezioro Geneńskie. Po prostu chciał uciec z miejsca zbrodni i zamaskować swoje korzenie. Czy wiecie, że ten człowiek w ogóle publicznie nie używa niemieckiego? Mówi tylko po angielsku i francusku.

- Dlaczego nie poszedłeś tropem Rafiego?

- Przez pewien czas miałem taki zamiar.

- Ale?

- Zrozumiałem, że w danych na temat Landesmanna nie było wszystkiego, co Rafi wytropił. A ja nie byłem w stanie odtworzyć jego dotychczasowej pracy. Krótko mówiąc, nie miałem wystarczających dowodów. Święty Martin to bardzo bogaty człowiek i za byle co pozywa do sądu. Żeby go dobrze prześwietlić, trzeba mieć za sobą jakąś potężną agencję bezpieczeństwa. - Ramirez uśmiechnął się konspiracyjnie. - Albo służbę wywiadowczą.

- Czy mógłbym wziąć ze sobą meldunki Webera?

- Nie ma sprawy - odparł Ramirez. - Mogę ci nawet pożyczyć teczkę Rafiego. Ale to wszystko ma swoją cenę.

- Słucham.

- Chcę usłyszeć resztę tej historii.

- Więc weź długopis.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym cię jednocześnie nagrywał?

- Chyba żartujesz, Alfonso.

- Przepraszam - odparł Ramirez. - Przez chwilę zapomniałem, z kim mam do czynienia.

Skończyli tuż przed trzecią po południu. Gabriel i Chiara mieli wystarczająco dużo czasu, żeby zdążyć na wieczorny lot KLM-u do Amsterdamu. Ramirez chciał ich odwieźć swoim samochodem, ale Gabriel podziękował i zadzwonił po taksówkę. Pożegnawszy się z nim w drzwiach mieszkania, Gabriel i Chiara ruszyli kręconymi schodami w dół. Meldunki Webera i teczki Rafiego Blocha spoczywały bezpiecznie w torbie na ramieniu Gabriela.

To, co się zdarzyło w ciągu kilku następnych sekund, Gabriel pamiętał jeszcze przez długie miesiące. Znowu wkroczyli w świat, który tak bardzo chcieli pozostawić za sobą. Większość ludzi nie zauważyłaby znaków ostrzegawczych - dużej walizki w lobby budynku, pośpiesznie wychodzącego na ulicę muskularnego, jasnowłosego mężczyzny w czarnych okularach, stojącego przy chodniku samochodu z uchylonymi tylnymi drzwiami. Ale Gabriel to wszystko zauważył i potrafił właściwie zinterpretować. Objąwszy Chiarę w pasie, rzucił się do drzwi na ulicę.

Ani on, ani Chiara nie pamiętali huku eksplozji. Pałacy podmuch uniósł ich w powietrze jak zabawki odrzucone przez rozzłoszczone dziecko. Na ulicę spadli obok siebie - Gabriel twarzą w dół, z rękami na głowie, Chiara na plecy, zaciskając z bólu oczy. Oslaniając żonę przed fruującymi wokół odłamkami tynku, cegieł i szkła, Gabriel zobaczył, że nieopodal nich leży osmalony ogniem Alfonso Ramirez. Wszędzie wirowały tysiące kartek z jego bezcennego archiwum. Gabriel podczołgał się i sprawdził Ramirezowi puls. Gdy zrozumiał, że na pomoc jest za późno, wstał i podszedł do Chiary.

- Wszystko w porządku?
- Chyba tak.
- Możesz się podnieść?
- Nie wiem.
- Musisz spróbować.
- Daj mi rękę.

Gabriel delikatnie pomógł Chiarze wstać, następnie podniósł z ziemi swoją torbę i zarzucił ją na ramię. Pierwsze kroki dziewczyny były chwiejne, przyspieszyła dopiero wtedy, gdy usłyszała coraz bliższe wycie syren. Skręcili

za najbliższy róg i stanęli. Gabriel wyjął z kieszeni komórkę i wybrał jeden z zakodowanych w pamięci telefonu numerów. Gdy usłyszał spokojny głos kobiety mówiącej po hebrajsku, w tym samym języku wyrecytował hasło, a następnie szereg cyfr. Po kilku sekundach kobieta odezwała się znowu.

- Dlaczego używasz trybu pilnego?

Potrzebny mi transport.

- Jak szybko?

- Natychmiast.

- Jesteś sam?

- Nie.

- Ile osób?

- Dwie.

- Gdzie jesteś?

- Avenida Caseros, San Telmo, Buenos Aires.

37.

LOTNISKO IM. BEN GURIONA, TEL AWIW

W budynku lotniska Ben Guriona jest pomieszczenie, do którego wstęp mają tylko nieliczni. Znajduje się ono po lewej stronie wyjścia z kontroli paszportowej, a jego nieoznaczone żadną tabliczką drzwi są zawsze zamknięte na klucz. Ściany tego pokoju wyłożono imitacją jerozolimskiego wapienia, umeblowanie typowo biurowe: czarne plastikowe fotele i krzesła, nowoczesne stoliki, tanie, współczesne lampy o ostrym świetle. Dwa okna pomieszczenia umożliwiają jednostronną obserwację: jedno wychodzi na pasy startowe, drugie na salę przylotów. Pierwszy przystanek dla wracających z zagranicznych pól walki pracowników Biura ma swój niezmienny, specyficzny zapach. Mimo starań firmy sprzątającej, usunięcie woni starego dymu tytoniowego, przypalonej kawy i męskiego stresu jest niemożliwe. Jak wobec wrogów Izraela, tak i w tym przypadku środki konwencjonalne również okazały się niewystarczające.

Gabriel gościł tu już niejednokrotnie. Niekiedy wkraczał triumfalnie, niekiedy z opuszczoną głową. Raz witano go jak bohatera, raz pocieszano. Kiedyś wwieziono go na noszach, z raną klatki piersiowej. Zazwyczaj w środku czekał Ari Szamron, dzisiaj Gabriela i Chiare powitał Uzi Nawot. Nowy szef Biura zrzucił co najmniej piętnaście kilogramów wagi, na nosie miał markowe okulary, w których przypominał redaktora modnego magazynu. Nawet zegarek nosił inny - swój stary, identyczny jak zegarek Szamrona, zastąpił modelem wojskowym, dobrze pasującym do jego ciemnogrnatowego, uszytego na miarę garnituru i białej, rozpiętej pod szyją koszuli. Kompletna metamorfoza, pomyślał Gabriel. Twardy agent z przeszłości zniknął, pojawił się człowiek centrali.

Nawot patrzył na nich bez słowa, z miną wyrażającą niekłamaną ulgę. Upewniwszy się, że ani Gabriel, ani Chiara nie odnieśli żadnego poważnego uszczerbku na zdrowiu, spoważniał.

- To dla mnie wyjątkowy moment - powiedział. - Pierwszy kryzys, z którym jako szef muszę sobie poradzić. Twój udział w nim też ma swoje znaczenie, Gabrielu. Podejrzewam, że według twoich standardów to, co się zdarzyło, było drobiazgiem - tylko jedna zrujnowana kamienica i ośmiu zabitych, w tym jeden z czołowych argentyńskich dziennikarzy.

- Chiara i ja czujemy się dobrze. Dziękuję ci. Uzi, że zapytałeś.

Nawot pojednawczo machnął ręką, widocznie zależało mu na spokojnej rozmowie.

- Mam świadomość, że twój aktualny status jest w pewnym sensie nieokreślony. Jednak zasady poruszania się po świecie pozostają niezmienione. Wasze paszporty, tak jak i tożsamości operacyjne, są nadal w gestii Biura, dlatego powinniście mnie informować o każdej podróży. - Nawot na chwilę zawiesił głos. - Pamiętasz swoje zobowiązania w tej kwestii?

Gabriel potaknął skinieniem głowy.

- Czy poinformowałeś mnie o swoim wypadzie?

- To była prywatna sprawa.

- Prywatna? W twoim przypadku nie ma prywatnych spraw. - Nawot zmarszczył brwi. - Co ty, do diabła, robiłeś w mieszkaniu Ramireza?

- Szukaliśmy obrazu Rembrandta - odpowiedział Gabriel. - I dużych pieniędzy.

- A ja już miałem nadzieję, że powód twojej wizyty był bardziej przyziemny - ciężko westchnął Nawot. - Zakładam, że to ty byłeś celem zamachu bombowego?

- Niestety tak.

- Jacyś podejrzani?

- Tylko jeden.

Siedzieli na tylnych fotelach opancerzonej limuzyny, między nimi Chiara, jako ich bufor bezpieczeństwa. Jechali drogą numer 1 w kierunku Jerozolimy. Początkowo opowieść Gabriela wzbudziła zainteresowanie Nawota, jednak pod koniec relacji szef Biura założył ręce i skrzywił się. To było dla niego typowe. Mimo ogromnego doświadczenia zawodowego, nigdy nie potrafił ukrywać swoich emocji.

- Ciekawa historia. Jeżeli jednak celem waszej małej wycieczki było odnalezienie obrazu należącego do Isherwooda, to z tego punktu widzenia podróż była porażką. Do tego przy okazji nadepnąłeś komuś ważnemu na odcisk. Masz ogromne szczęście, że przeżyliście. Wyciągnij z tego odpowiednie wnioski, dobrze? Zostaw tę sprawę. Julian sam sobie poradzi. A wy wracajcie do swojego domu na kornwalijskim wybrzeżu i cieszcie się życiem. - Nawot ściszył głos. - Przecież właśnie tego chciałeś, prawda?

- To, co na początku było tylko szukaniem skradzionego obrazu, teraz jest czymś o wiele ważniejszym. Podejrzewamy, że Martin Landesmann zarządza przywłaszczonym żydowskim majątkiem. Wiemy, że on i jego ojciec zabijali, aby ta tajemnica nie ujrzała światła dziennego. To Landesmann próbował nas uśmiercić w Buenos Aires. Nie mogę tego sam dowieść, potrzebuję...

- Zasobów Biura? - Nawot wpatrywał się w Gabriela z niedowierzaniem. - Może tego nie dostrzegłeś, ale w tej chwili państwo izraelskie ma większe problemy. Iran jest o krok od skonstruowania bomby atomowej, w Libanie Hezbollah szykuje się do kolejnej wojny. Chcę też dodać, jeżeli to jeszcze nie dotarło do Kornwalii, że na całym świecie wizerunek Izraela jest coraz gorszy. Nie mówię, że to, co odkryłeś, jest nieważne, Gabrielu. Jednak Biuro ma teraz większe kłopoty na głowie.

- Myślę, że byłbyś innego zdania, gdybyś zobaczył Lenę Herzfeld - wtrąciła Chiara.

Nawot podniósł rękę w obronnym geście.

- Słuchaj, Chiaro. W idealnym świecie od razu poszlibyśmy tropem Martina Landesmanna. Ale jest inaczej. Zresztą w idealnym świecie równie dobrze moglibyśmy zamknąć Biuro i zająć się szydełkowaniem.

- W takim razie co według ciebie mamy zrobić? - spytał Gabriel.

- Umyć od wszystkiego ręce?

- Zostaw tę sprawę Lawonowi. Albo przekaz śledczym z jakiejś agencji zajmującej się restytucją żydowskiego mienia.

- Z Landesmannem i jego adwokatami nie będą mieć żadnych szans.

- A ty jeszcze mniejsze, zwłaszcza wtedy, gdy Landesmann pozna twój życiorys. On ma mocnych sojuszników.

- Ja też.

- Rozszarpią cię na kawałki. Pamiętaj, że ten człowiek przekazuje na cele dobroczynne niewyobrażalne sumy. - Nawot milczał przez chwilę. - Powiem ci coś, czego pewnie będę później żałował.

- No to nie mów.

Nawot nie posłuchał.

- Gdybyś przyjął od Szamrona posadę dyrektora, mógłbyś podejmować tego rodzaju decyzje. Ale ty...

- O co ci chodzi, Uzi? Chcesz mi pokazać, kto tu rządzi?

- Nie pochlebiaj sobie, Gabrielu. Moja decyzja jest taka a nie inna, bo nie zapominam o naszych priorytetach. Jednym z nich jest konieczność utrzymywania dobrych stosunków z agencjami bezpieczeństwa i wywiadu w Europie Zachodniej. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy, jest jakaś niedowarżona, kowbojska operacja przeciwko Martinowi Landesmannowi. Uważam naszą dyskusję na ten temat za oficjalnie zamkniętą.

Gabriel wyrzął przez okno, limuzyna właśnie skręcała w ulicę Narkissa. W oddali zobaczył mały budynek o fasadzie z wapienia, prawie całkiem schowany za wielkim eukaliptusem. Gdy samochód stanął przed bramą, Nawot poruszył się nerwowo. Nigdy nie lubił ostrej wymiany zdań.

- Przykro mi, że musiałem tak postawić sprawę. A teraz witajcie w domu. Idźcie do siebie, przez parę dni siedźcie cicho. My w tym czasie postaramy się wyciszyć aferę w Buenos Aires. Odpocznijcie. Nie obraż się, Gabrielu, ale wyglądasz bardzo źle.

- Nie umiem spać w samolocie, Uzi.

- Dobrze że przynajmniej niektóre sprawy się nie zmieniły.

38.

RUE DE MIROMESNIL, PARYŻ

Maurice Durand gorzko żałował, że w ogóle usłyszał o portrecie młodej, ponętej kochanki Rembrandta van Rijna. Zakrwawiony obraz był zbyt uszkodzony, by go odsprzedać dalej, na domiar złego Durandowi nie dawała spokoju znaleziona w środku lista nazwisk i numerów. Durand, z natury metodyczny, postanowił zmierzyć się kolejno ze wszystkimi swoimi kłopotami.

Najpierw wysłał krótki e-mail na pewien adres na yahoo.com. Napisał w nim, że ku ogromnemu rozczarowaniu Antiquités Scientifiques, zamówiony przez klienta towar doszczętnie spłonął w pożarze magazynu. Ponieważ był to obiekt unikalny, firma Antiquités Scientifiques czuje się zobowiązana do natychmiastowego zwrotu przekazanego depozytu (były to dwa miliony euro, co oczywiście nie zostało wspomniane w e-mailu). Swoją korespondencję Durand zakończył wyrazami ubolewania z powodu zaistniałej sytuacji.

Dopiero po wysłaniu e-maila przyjrzał się uważniej trzem tajemniczym znalezionym za obrazem kartkom. Po krótkim wahaniu zdecydował się na najprostsze rozwiązanie - sięgnął po zapałki z hotelu Fouquet's, które miał akurat pod ręką. Zapalił jedną, podniósł do prawego dolnego rogu pierwszej strony pergaminu i przez kilka sekund trzymał płomień w odległości paru centymetrów od papieru. W ostatniej chwili czytał nazwiska z listy:

Katz, Stern, Hirsch, Greenberg, Kaplan, Cohen, Klein, Abramowitz, Stein, Rosenbaum, Herzfeld...

Zapałka zgasła w obłoczku dymu. Durand zapalił następną, ale z tym samym skutkiem. Trzeci raz już nie próbował. Starannie wsunął pergaminowe stroniczki z powrotem do nawoskowanej koperty i włożył ją do sejfu, następnie

podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. Już po pierwszym sygnale usłyszał głos kobiety.

- Mąż w domu?
- Nie.
- Muszę się z tobą zobaczyć.
- No to się pośpiesz, Maurice.

Angélique Brossard przypominała jedną ze stojących na wystawie swojego sklepu figurynek ze szkła - była mała, delikatna, przyjemna dla oka. Durand znał ją od blisko dziesięciu lat. Ich związek należał do kategorii dyplomatycznie określanej przez paryżan *cinq à sept* - od piątej do siódmej - które to dwie godziny tradycja francuska przeznaczyła na cudzołóstwo. Ze wszystkich problemów życiowych Duranda ten był najmniej skomplikowany. Obydwie strony oczekiwały tylko przyjemności, o miłości nikt nie wspominał. Nie oznaczało to bynajmniej, że w ich związku brakowało ciepła czy zaangażowania. Durand dobrze wiedział, że bezmyślnie wypowiedziane słowo lub zapomniane życzenia urodzinowe mogły wprawić Angélique w furię. Już dawno temu przestał myśleć o małżeństwie. Angélique Brossard była dla niego najlepszą namiastką żony, jaką sobie mógł wyobrazić.

Ich spotkania zawsze odbywały się na sofie w jej biurze. Nie była to sofa wystarczająco duża na swobodne igraszki, lecz lata regularnego użytkowania sprawiły, że obydwójce nauczyli się w pełni wykorzystywać jej potencjał. Tego popołudnia Durand jednak nie miał ochoty na romansowanie. Zawiedziona Angélique zapaliła gitanes'a i spojrzała na kartonową tubę w ręku kochanka.

- Przyniosłeś mi prezent, Maurice?
- Tak naprawdę, to chcę cię o coś poprosić.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Miałam nadzieję, że coś takiego w końcu powiesz.
- Nie o to chodzi. Chcę, żebyś to schowała u siebie.

Znowu zerknęła na tubę.

- Ale co jest w środku?
- Lepiej, jak nie będziesz wiedziała. Po prostu schowaj to gdzieś w dobrym miejscu. Tam, gdzie temperatura i wilgotność powietrza są w miarę stałe.

- Co to jest, Maurice? Bomba?
- Nie wygłupiaj się, Angélique.

Zamyślona zdjęła palcem okruszek tytoniu z czubka języka.

- Czy ty aby czegoś przede mną nie ukrywasz?
- Ależ skąd.
- No to co jest w środku?
- Nie uwierzyłabyś, nawet gdybym ci powiedział.

- Chociaż spróbuj.
- Obraz Rembrandta wart miliony dolarów.
- Naprawdę? Masz jeszcze jakieś inne rewelacje?
- Tak, obraz ma dziurę po pocisku i jest poplamiony krwią.

Lekceważąco wydmuchnęła obłok dymu w kierunku sufitu.

- Co się z tobą dzieje, Maurice? Nie jesteś dzisiaj sobą.
- Nie mogę się skupić na pracy.
- Problemy zawodowe?
- Można tak to określić.
- Moja firma też ma kłopoty. Wszyscy wokół mają problemy. Może nie powinnam tego mówić, ale wydaje mi się, że świat był lepszy, gdy Amerykanie mieli więcej pieniędzy.

- To prawda - odparł Durand z roztargnieniem.

Angélique zmarszczyła czoło.

- Dobrze się czujesz?
- Nic mi nie jest - zapewnił ją Durand.
- Czy w końcu mi powiesz, co jest w tej tubie?
- Nic ważnego, Angélique. Uwierz mi.

39.

TYBERIADA, IZRAEL

Ari Szamron dla obronności i bezpieczeństwa Izraela znaczył tyle, ile woda dla stworzenia i podtrzymania życia na Ziemi. Historia Szamrona była historią Izraela. Uczestnik pierwszych walk o powstanie państwa żydowskiego, sześćdziesiąt lat życia poświęcił obronie swojego kraju przed wrogami. Wprowadzał agentów na dwory królewskie, wykradał tajemnice tyranów, zabijał wrogów rękami własnymi lub swoich pracowników. Jego gwiazda płonęła najjaśniej w czasach kryzysów. Na wieki rozślawiła go akcja w Argentynie, gdzie w pewną deszczową noc w maju 1960 roku schwytał Adolfa Eichmanna, dyrektora generalnego Zagłady i bezpośredniego zwierzchnika Hauptsturmführera SS Kurta Vossa.

W ostatnich latach znaczenie Szamrona w życiu izraelskiego państwa zmalało, automatycznie skurczyło się też terytorium, którym władał. Mieszkał teraz nad Jeziorem Galilejskim w willi o kolorze miodu i służył, jako minister bez teki, w rządzie swojej od dawna uskarżającej się na zdrowie małżonki Dżili. Dla kogoś przyzwyczajonego do władzy sytuacja ta była niełatwa. Szamron czuł się niechciany, niepotrzebny i traktowany jak piąte koło u wozu,.

Humor mu się poprawił, gdy z Jerozolimy zadzwonili Gabriel z Chiara i zapowiedzieli swoją wizytę. Czekał na nich w sieni, w jego wyblakłych starych oczach tańczyły iskierki radości. Mimo ciekawości, w czasie kolacji nie spytał ich o powód przyjazdu do Izraela. Rozmawiali o dzieciach Szamrona, nowym życiu Gabriela i Chiary w Kornwalii, złym stanie światowej gospodarki. Szamron dwa razy wspomniał Uziego Nawota i Bulwar Króla Saula, lecz za każdym razem Dżila umiejętnie zmieniała temat na mniej ryzykowny. Podczas krótkiej przerwy Gabriel dyskretnie spytał ją w kuchni o stan zdrowia męża.

- Nawet ja nie mogę spamiętać jego wszystkich dolegliwości - odpowiedziała. - Ale nie martw się, on wcale nie wybiera się na tamten świat. Ten człowiek jest wieczny. Usiądź z nim, przecież wiesz, że to go najbardziej uszczęśliwi.

W izraelskich tajnych służbach panuje specyficzna rodzinna atmosfera, zrozumiała tylko dla nielicznych ludzi z zewnątrz. Planowane operacje najczęściej są omawiane nie w zaciszu bezpiecznych gabinetów biurowych, lecz w domach pracowników agencji. Rozległy taras z widokiem na Jezioro Galilejskie odegrał wyjątkową rolę w historii izraelskich służb wywiadowczych. Teraz dla Szamrona nabrał nowego znaczenia - był jedynym miejscem, gdzie wolno mu było palić. Siedząc w swoim ulubionym fotelu zwróconym w kierunku ciemnego masywu wzgórz Golan, Szamron zapalił cuchnącego tureckiego papierosa bez filtra. Gabriel włączył dwa tarasowe grzejniki na gaz i usiadł przy swoim mentorze.

- Chiara znów wygląda świetnie - powiedział Szamron. - Masz talent do naprawy pięknych rzeczy.

Uśmiechnął się sam do siebie. To on był pomysłodawcą wysłania Gabriela do Wenecji na studia konserwatorskie. Uważał malarski talent swojego pupila - oczywiście w kategoriach kuglarstwa czy magicznych sztuczek - za coś, co może mu się przydać w pracy, tak samo jak znajomość języków obcych czy szybkie dobywanie beretty, z czego Gabriel był znany.

- Teraz - powiedział Szamron - potrzebujesz dziecka.

Gabriel z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Czy dla ciebie nie ma spraw, do których nie powinieneś się wtrącać?

- Nie - odpowiedział Szamron bez chwili wahania.

- Przynajmniej jesteś szczery.

- Tylko wtedy, kiedy to służy jakiemuś celowi. - Szamron głęboko zaciągnął się dymem. - Słyszałem, że Uzi ci dokucza.

- Skąd to wiesz?

- Nadal dochodzą do mnie wiadomości z Bulwaru Króla Saula. Mimo że Uzi postanowił wysłać mnie na emeryturę.

- A czego się spodziewałeś? Wielkiego biura na najwyższym piętrze i

zapewnionego miejsca przy operacyjnym stole?

- Spodziewałem się, synu, że zostanę potraktowany z odpowiednim szacunkiem. Zasłużyłem sobie na to.

- Oczywiście, Ari. Mimo wszystko, jeżeli mogę coś powiedzieć...

- Uważaj... - Szamron położył swoją dużą dłoń na przegubie Gabriela. - Nie jestem taki słaby, jak myślisz.

- Gdy się tam pojawiasz, ustaje praca. Wszyscy padają ci do stóp, chcą dotykać rąbka twojej szaty i grzać się w promieniach twojej sławy.

- Czyli stajesz po stronie Uzięgo?

- Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- To dobrze.

- Powinieneś zrozumieć, że Uzi jest w stanie prowadzić Biuro bez twojej ciągłej pomocy. Przecież to ty sam zarekomendowałeś go na swojego następcę.

- Zrobiłem tak, ponieważ ktoś, kogo naprawdę chciałem zobaczyć w tym miejscu, nie był zainteresowany moją ofertą. Ale to już inna historia. - Szamron strząsnął popiół z papierosa i zerknął na Gabriela. - Nie żałujesz?

- Ani trochę. A Uzi Nawot jest już dyrektorem Biura i pozostanie nim przez długi czas. Pora, abyś się z tym pogodził, w przeciwnym razie swoje ostatnie lata na tym padole spędzisz w rozgoryczeniu.

- Jakbym słyszał Dżilę.

- Dżila jest bardzo mądrą kobietą.

- Tak, wiem - zgodził się Szamron. - Ale teraz odpowiedz mi na jedno pytanie: jeżeli Uzi tak ci się spodobał, to co robisz u mnie? Nie po to pokonałeś taki szmat drogi do Tyberiadu, żeby mieć przyjemność zobaczenia się ze mną. Jesteś tu, bo czegoś chcesz od Uzięgo, a on się na to nie zgadza. Zachodzę tylko w głowę, co to może być.

- Znając ciebie, na pewno już coś podejrzewasz.

- Wiem, że Julian Isherwood zlecił ci znalezienie skradzionego portretu pędzla Rembrandta. Słyszałem, że Eli Lawon wziął pod opiekę jakąś starszą kobietę w Amsterdamie. I że chcesz się dobrać do skóry jednemu z najbardziej znanych finansistów świata. Nie mogę jednak zrozumieć, w jaki sposób wszystkie te rzeczy są ze sobą powiązane.

- Ta sprawa ma też związek z twoim starym znajomym.
- Kim?
- Eichmannem.

Szamron powoli zgniótł papierosa w popielniczce.

- Zamieniam się w słuch, Gabrielu. Mów dalej.

Cała, pochodząca z Polski rodzina Szamrona zginęła w czasie ostatniej wojny. On sam wiedział najlepiej, że rachunek krzywd jeszcze nie został wyrównany. Opowieści Gabriela wysłuchał z zapartym tchem. Ukrywające się w Amsterdamie żydowskie dziecko, morderca oferujący życie za cudzy majątek, splamiony krwią portret ze schowaną w środku listą nazwisk i numerów kont stanowiącą dowód, że jedno z największych imperiów finansowych świata zostało zbudowane na fundamencie zrabowanego Żydom majątku.

- Młody królewicz miał rację w jednym - powiedział Szamron, wysłuchawszy opowieści Gabriela. - Powinieneś nas poinformować o wyjeździe do Argentyny. Załatwiłbym ci obstawę.

- Ale ja tam pojechałem tylko w sprawie skradzionego obrazu, Ari. Nie mogłem przewidzieć wszystkiego, co się później wydarzyło.

- Oczywiście jest też taka możliwość, że po prostu o niewłaściwym czasie znalazłeś się w złym miejscu. Przecież Ramirez miał prawie tyle samo wrogów, co ty.

- Niewykluczone - przyznał Gabriel. - Ale ja w to nie wierzę. - Zamilkł na chwilę. - Ty też nie.

- Masz rację. - Szamron zapalił kolejnego papierosa. - W krótkim czasie udało ci się zebrać mocne dowody winy Martina Landesmanna, jednak zapomniałeś o jednym. Nigdy nie będziesz w stanie wygrać z nim w sądzie.

- Czy ja coś mówiłem o sądzie?

- No to co chcesz osiągnąć?

- Chcę zmusić Martina do pokuty za grzechy ojca.

- Czego potrzebujesz?

- Wystarczającej ilości pieniędzy, środków agencji i ludzi, którzy w Europie mogliby zorganizować skuteczną akcję przeciwko jednemu z najbogatszych ludzi świata.

- To może być kosztowna impreza.
- Tak, masz rację. Ale jeżeli się uda, operacja sfinansuje się sama.

Taki argument przemówił do Szamrona, który zawsze zachowywał się tak, jakby musiał pokrywać koszty operacji Biura z własnej kieszeni.

- Przypuszczam, że za chwilę zażądasz swojego starego zespołu.
- Właśnie do tego zmierzałem.

Przez dłuższą chwilę Szamron przyglądał się Gabrielowi z kpiącym błyskiem w oczach.

- Gdzie się podział stary, zmęczony wojownik, który tak niedawno siedział na tym tarasie i mówił mi, że chce uciec z żoną na koniec świata i na zawsze zapomnieć o Biurze?

- Spotkał w Amsterdamie kobietę, która przeżyła tylko dlatego, że jej ojciec oddał Rembrandta Kurtowi Vossowi. - Gabriel zamilkł, po chwili spytał: - Czy potrafisz przekonać Uziego Nawota?

- Uziego? - Szamron lekceważąco machnął ręką. - Uzim się nie przejmuj.
- Jak to zrobisz?

Szamron się uśmiechnął.

- Czy mówiłem ci kiedyś, że dziadkowie premiera pochodzą z Węgier?

40.

JEROZOLIMA

Ośmiu poprzedników Uziego Nawota pozostawiło po sobie w spadku kilka zwyczajów. Jednym z nich było cotygodniowe prywatne śniadanie z premierem Izraela w jego jerozolimskim biurze. Spotkania te były dla Nawota bardzo cenne, ponieważ umożliwiały mu przekazywanie premierowi ważnych informacji w spokojnej atmosferze. Nie musiał wtedy rywalizować z kierownikami pozostałych służb specjalnych o uwagę głowy państwa, jak to miało miejsce na innych zebraniach. Zazwyczaj podczas śniadania Nawot mówił najwięcej, ale tym razem było inaczej. Następnego dnia po pielgrzymce Gabriela do Tyberiady premier sprawiał wrażenie nadzwyczaj ożywionego. Opowiedział Nawotowi, jak przed czterdziestoma ośmioma godzinami po raz pierwszy spotkał się w Waszyngtonie z nowym amerykańskim prezydentem, byłym nauczycielem akademickim i senatorem lewego skrzydła Partii Demokratycznej. Zgodnie z przewidywaniami, spotkanie okazało się niełatwe. Za ceremonialnymi uśmiechami i uściskami dłoni kryło się niemal namacalne napięcie. Dla wszystkich stało się jasne, że bliskie więzi premiera z poprzednim lokatorem Gabinetu Owalnego należą już do przeszłości. W Waszyngtonie nadeszła pora zmian.

- Ale to chyba cię nie dziwi, Uzi?
- Niestety nie. Nowe, niesprzyjające nam trendy zauważyliśmy już wcześniej, w trakcie formowania nowej amerykańskiej administracji - powiedział Nawot. - Już od jakiegoś czasu mamy świadomość, że specjalne związki operacyjne, jakie nawiązaliśmy z CIA po zamachu jedenastego września, nie będą kontynuowane.
- Specjalne związki operacyjne? - Premier obdarzył Nawota uśmiechem jak z wyborczego plakatu. - Możemy mówić bez ogródek, Uzi. Wiem, że za

poprzedniej kadencji Gabriel Allon miał swoje biuro w Langley.

Uzi nie odpowiedział. Wprawdzie od dawna był przyzwyczajony do pracy w cieniu Gabriela, ale jako dyrektor agencji nie miał zamiaru się rozwódzić nad dokonaniem swojego rywala.

- Słyszałem, że Allon wrócił. - Premier zamilkł na chwilę, a następnie dodał: - Podobno miał jakieś kłopoty w Argentynie.

Nawot zetknął czubki palców obu dłoni i przyłożył je do ust. Dla doświadczonego obserwatora było jasne, że odczuwa pewien dyskomfort. Zauważył to również premier i ucieszył się, że udało mu się zaskoczyć szefa agencji wywiadu.

- Dlaczego nic mi nie mówiłeś o Buenos Aires? - spytał premier.

- Nie chciałem pana obciążać zbędnymi szczegółami.

- Ale ja lubię szczegóły, Uzi, zwłaszcza jeżeli dotyczą naszego bohatera narodowego.

- Będę o tym pamiętał, panie premierze - odparł Nawot głosem wypranym z entuzjazmu.

Premier musiał rozmawiać z Szamronem, pomyślał Nawot. Jak teraz ma postępować? Ostrożnie, zdecydował.

- Czy chciałby mi pan jeszcze coś powiedzieć, panie premierze?

Premier nalał kawy do filiżanki, w zamyśleniu dodał kilka kropel śmietanki. Było oczywiste, że miał dla Nawota jakąś wiadomość, ale nie śpieszył się z jej przekazaniem. Zamiast tego wdał się w przydługi wykład o ciężarze przywództwa w skomplikowanym i niebezpiecznym świecie. Zazwyczaj, powiedział, decyzje są podejmowane ze względu na bezpieczeństwo narodowe lub interesy polityczne, czasami jednak należy brać pod uwagę takie sprawy jak zagadnienie dobra lub zła. Po tym ostatnim stwierdzeniu zrobił teatralną przerwę, po czym zdjął z kolan białą lnianą serwetkę i starannie ją złożył.

- Rodzina mojego ojca pochodzi z Węgier. Czy wiedziałeś o tym, Uzi?

- Podejrzewam, że wszyscy w Izraelu o tym wiedzą.

Premier lekko się uśmiechnął.

- Mieszkali w jakiejś okropnej, małej wiosce niedaleko Budapesztu. Ich całym majątkiem była para srebrnych szabasowych świeczników i pucharek

kiduszowy. Dziadek był krawcem. Wiesz, co zrobili Kurt Voss i Adolf Eichmann przed wrzuceniem ich do pociągu zmierzającego ku zagładzie? Odebrali im dorobek ich życia, świeczniki i pucharek, dając w zamian pokwitowanie. Ten kawałek papieru mam do dzisiaj, trzymam go jako dowód słuszności projektu nazwanego Izrael. - Zamilkł na chwilę. - Czy rozumiesz, do czego zmierzam, Uzi?

- Wydaje mi się, że tak, panie premierze.
- Informuj mnie na bieżąco. I pamiętaj - lubię szczegóły.

Na korytarzu Nawota od razu otoczyli posłowie Knesetu, czekający na spotkanie z premierem. Tłumacząc się bliżej nieokreślonym, lecz wymagającym natychmiastowej uwagi problemem, Uzi uściśnął kilka wyciągniętych dłoni, poklepał parę ważnych ramion i pośpiesznie ruszył w stronę windy. Opancerzona limuzyna z obstawą czekała na zewnątrz. Z ciemnego nieba lunęły strugi deszczu, dopełniając czary goryczy. Nawot wsunął się na tylne siedzenie, rzucił teczkę pod nogi. Samochód ostro ruszył. Kierowca zerknął w lusterko wsteczne, szukając wzroku pasażera.

- Dokąd, szefie? Bulwar Króla Saula?
- Jeszcze nie, najpierw pojedziemy gdzie indziej.

Zachodnia część ulicy Narkissa pachniała eukaliptusem. Drzwi balkonowe na trzecim piętrze budynku z wapienną fasadą były otwarte, z wnętrza mieszkania dochodziły ciche dźwięki arii operowej. *Tosca? La Traviata?* Takich rzeczy Nawot nigdy nie był pewny i, prawdę mówiąc, zbyt to się tym nie przejmował. W tej chwili z całego serca nienawidził opery i tych, którzy jej słuchali. Przez jedną szaloną chwilę rozpatrywał możliwość powrotu do gabinetu premiera i złożenia rezygnacji. Zamiast tego po chwili wyjął telefon i zadzwonił. Aria ucichła. W komórce usłyszał głos Gabriela.

- Nie miałeś prawa załatwiać tego za moimi plecami.
- Nic nie załatwiałem.
- Bo nie musiałeś. Szamron zrobił to za ciebie.
- Nie pozostawiłeś mi wyboru.

Zdesperowany Nawot mógł tylko głęboko westchnąć.

- Jestem na dole.
- Wiem.
- Za ile będziesz?
- Pięć minut?
- Czekam.

Aria przeszła w crescendo. Nawot zamknął okno i pogрузzył się w luksusowej ciszy samochodu. Boże, jak on nienawidził opery.

41.

ST JAMES'S, LONDYN

Nazwisko Juliana Isherwooda, jedyne go właściciela londyńskiej galerii Isherwood Fine Arts, w Jerozolimie nie padło. Nikt nie informował go o postępkach prowadzonego przez Gabriela śledztwa. Od momentu zdobycia pożółkłych ze starości dokumentów amsterdamskiej galerii De Vries rola marszanda ograniczała się do zatroskanego i raczej bezradnego czekania na dalszy rozwój sytuacji. Swoją wolny czas - a miał go teraz dużo - Isherwood poświęcał na obserwację pracy brytyjskiej policji. Jak dotychczas mogła się pochwalić tylko jednym sukcesem: wiadomości o kradzieży nie przeciekły do mediów. Niestety, zarówno miejsce ukrycia obrazu, jak i tożsamość zabójcy Christophera Liddella nadal pozostawały niewiadomą. - To nie amatorzy szybkich pieniędzy - w swojej obronie mruczeli pod nosem policjanci. - To robota zawodowców.

Życie ludzi, nad którymi ciąży wyrok, nie jest łatwe. Marszand chodził na aukcje, wystawiał obrazy, szukał zapomnienia we flircie ze swoją nową, młodą recepcjonistką, jednak przede wszystkim myślał o swoim nieuchronnym pogrzebie zawodowym. W ramach przygotowań do zbliżającej się katastrofy Isherwood przeciwiczył tyradę oskarżycielską pod adresem znienawidzonego doradcy najbogatszych, Davida Cavendisha, stworzył też pierwszy projekt oświadczenia *mea culpa*, które w końcu będzie musiał wystosować do National Gallery of Art w Waszyngtonie. Trzeba też nadmienić, że parę razy zdarzyło mu się pomyśleć o ucieczce i zamieszkaniu za granicą. Może by tak przycupnąć w małej willi wśród wzgórz Prowansji? Albo w szalasy na plaży w Kostaryce? Ale co wtedy stałoby się z galerią? W chwilach zupełnego upadku ducha wyobrażał sobie moment, w którym musiałby ją przekazać Oliverowi Dimbleby'emu. Oliver zawsze chciał ją mieć. Teraz, dzięki *Portretowi młodej kobiety*, olejowi na płótnie o wymiarach 104 na 86 centymetrów, mógł wejść w

posiadanie dorobku życia Isherwooda w zamian za posprzątanie zaistniałego bałaganu.

Oczywiście, tak naprawdę, marszand nie chciał spędzić reszty życia na wygnaniu, nie miał też najmniejszego zamiaru oddać galerii w niegodne ręce Olivera Dimbleby'ego. Kiedy stanę przed plutonem egzekucyjnym, myślał, zrobię to z podniesioną głową. Bez opaski na oczach. Pokażę wszystkim, że przynajmniej raz w życiu nie boję się niczego. Tak jak mój ojciec. Czy Gabriel Allon.

Borykając się ze zmiennymi nastrojami, Isherwood nagle dostrzegł sylwetkę samotnego mężczyzny w rozpiętej jesionce z postawionym kołnierzem, mierzącego przez mokry bruk Mason's Yard w stronę galerii. Pod płaszczem bacznie rozglądającego się na boki, zbudowanego jak czołg trzydziestolatka widać było ciemny garnitur. Komornik, pomyślał z trwogą marszand. Zaraz jednak z ulgą rozpoznał w zbliżającym się mężczyźnie pracownika pewnej ambasady w South Kensington, którą historia zmuszała do stosowania nadzwyczaj rygorystycznych środków ostrożności.

Po chwili zmysłowy głos recepcjonistki zapowiedział pana Radcliffa, który chciałby się zobaczyć z Isherwoodem. Jak się okazało, pan Radcliff miał właśnie kilka wolnych chwil między kolejnymi spotkaniami i zapragnął rzucić okiem na ofertę galerii. Julian zazwyczaj odprawiał przypadkowych zwiedzających z kwitkiem. Tego ranka, z oczywistych względów, postąpił inaczej.

Powitał gościa i zaprowadził go na górę. Zgodnie z przypuszczeniami, wizyta Radcliffa, którego prawdziwe nazwisko zapewne brzmiało inaczej, była krótka. Zmarszczył czoło przy Luinim, cmoknął przed Bordonem, zaintrygował go świetlisty krajobraz Claude'a.

- Ładne - powiedział, wręczając Isherwoodowi kopertę. - Odezwę się wkrótce. - Ściszył głos do szeptu. - Proszę ściśle przestrzegać instrukcji.

Isherwood odprowadził młodego człowieka do drzwi, następnie wszedł do łazienki i otworzył kopertę. W środku była krótka notatka, którą marszand dla pewności przeczytał dwa razy. Opierając się o umywalkę, poczuł, jak ogarnia go ogromne uczucie ulgi. Chociaż obraz jeszcze się nie znalazł, Gabrielowi udało się dotrzeć do wyjątkowo ważnej informacji. Okazało się, że pierwsze badania proveniencji obrazu przeoczyły fakt jego kradzieży podczas drugiej

wojny światowej. Z tego powodu prawnym właścicielem obrazu był nie anonimowy klient Cavendisha, lecz pewna starsza kobieta w Amsterdamie. Dla Isherwooda oznaczało to jedno: odsunięcie widma finansowej katastrofy na bezpieczniejszą odległość. Nikt nie mógł mu nakazać zwrotu wartości zaginionego obrazu człowiekowi, który wszedł w jego posiadanie w nielegalny sposób. Portretu nadal nie było, nic też nie wskazywało, że zostanie szybko znaleziony. W ostatniej chwili Isherwood wymknął się katowi spod topora.

Zaraz po uczuciu ulgi pojawiło się poczucie winy. Z powodu strasznego losu rodziny Herzfeldów, z powodu śmierci broniącego obrazu Liddella, wreszcie kłopotów Gabriela, który ponownie wpadł w ręce Szamrona. A może to Szamron znów uległ czarowi Allona?

Isherwood przeczytał notatkę jeszcze raz i zgodnie z instrukcją podsunął do niej płomień zapałki. Po krótkim, gwałtownym błysku papier zniknął, nie pozostawiając po sobie nawet odrobiny popiołu. Isherwood wrócił do swojego pokoju z trzęsącymi rękami i ostrożnie usiadł za biurkiem. Mogłeś mnie uprzedzić, że ten cholerny papier wybuchnie, mój drogi, pomyślał. Mało brakowało, a dostałbym zawału serca.

Część trzecia

POTWIERDZENIE AUTENTYCZNOŚCI

42.

BULWAR KRÓLA SAULA, TEL AWIW

Podziemne pomieszczenie 456C na poziomie minus trzy, do niedawna używane jako magazyn starych komputerów i sfatygowanych mebli (oraz miejsce romantycznych schadzek pracowników nocnej zmiany), od kilku dni miało nową nazwę. Personel Biura nazwał je Jaskinią Gabriela.

Spod zamkniętych drzwi przesączał się pasek niebieskawego światła jarzeniówek, ze środka dochodził gwar ożywionych głosów. Gabriel wprowadził na klawiaturze kod dostępu, uśmiechnął się do Chiary. Weszli razem. Żadna z dziewięciu osób siedzących w swobodnych pozach przy wysłużonych stołach nie zwróciła na nich uwagi. Dopiero po dłuższej chwili ktoś obrócił głowę w ich kierunku i głośno coś wykrzyknął. Gdy kakofonia powitań w końcu uciłła, Gabriel i Chiara po kolei serdecznie przywitali się ze wszystkimi członkami sławnej grupy.

Był tam Jossi Gawisz, zawsze ubrany w tweedową marynarkę absolwent Oksfordu z działu badań. Ospowaty Jakow Rossman, były oficer Wydziału do Spraw Arabskich Szabaka, ostatnio zajmujący się przerzutem agentów do Syrii. Dina Sarid z wiecznie wypisanym smutkiem na twarzy, specjalistka od spraw terroryzmu. Rimona Stern, była funkcjonariuszka wywiadu wojskowego i siostrzenica Szamrona, obecnie pracująca w zespole do spraw Iranu. Mordechaj i Oded, para wszechstronnie uzdolnionych pracowników terenowych. Dwóch informatyków z działu technicznego, dla których wszystkie systemy komputerowe i serwery świata stały otworem. Grupę wywiadowczą zamykał Eli Lawon, który, po przekazaniu opieki nad Leną Herzfeld miejscowym agentom ochrony, poprzedniego wieczoru wrócił z Amsterdamu.

W gabinetach i na korytarzach Biura ten słynący z szybkiej organizacji i

skutecznego działania zespół znany był pod kryptonimem Barak, co po hebrajsku oznacza błyskawicę. Jego członkowie mieli za sobą wiele wspólnych misji na całym świecie, od Moskwy po Karaiby.

Brakowało tylko jednej osoby. Gabriel spojrzął na Jossiego.

- Gdzie jest Michał? - spytał.
- Był na urlopie.
- Ale gdzie jest teraz?
- Stoi za tobą - zabrzmiał głos z tyłu.

Gabriel się obrócił. O futrynę drzwi opierał się szczupły mężczyzna o lodowatych oczach i szlachetnie wyrzeźbionej, bladej jak płótno twarzy. Rodzice urodzonego w Moskwie Michała Abramowa byli naukowcami - dysydentami, którzy wyemigrowali do Izraela wkrótce po rozpadzie Związku Radzieckiego. Michał, kiedyś nazwany przez Szamrona „Gabrielem bez sumienia”, został ściągnięty do Biura z oddziałów specjalnych Sajeret Matkal, wykonujących wyroki śmierci na przywódcach Hamasu i Palestyńskiego Dżihadu. Wspólnie z Gabrielem i Chiarą Michał przez kilka strasznych godzin był więźniem Iwana Charkowa w brzozowym lesie pod Moskwą.

- Myślałem, że jesteś w Kornwalii - powiedział Michał.
- Zatęskniłem za odmianą.
- Właśnie widzę.
- Jesteś z nami?

Michał wzruszył ramionami.

- Czemu nie.

Usiadł na swoim ulubionym miejscu, z tyłu, w lewym kącie sali. Gabriel zaczął się przyglądać ścianom pomieszczenia. Od ostatniego lata wisiały na nich zdjęcia monitoringowe, mapy uliczne i raporty związane z eliminacją przez zespół Barak jedenastu byłych agentów KGB. Dzisiaj Gabriel jednym ruchem wytarł tablicę z nazwiskami martwych wrogów Izraela i na jej środku przykleił powiększoną fotografię Martina Landesmanna. Co uczyniwszy, usiadł na wysokim metalowym krześle i opowiedział historię, obejmującą okres ostatnich pięćdziesięciu lat.

Opowieść o chciwości, kradzieży i śmierci rozgrywała się w trójkącie Amsterdam, Buenos Aires, nobliwe brzegi Jeziora Genewskiego. Występował w niej obraz Rembrandta, rabunek żydowskiego mienia oraz człowiek znany całemu światu jako Święty Martin, który w rzeczywistości nie miał w sobie nic świętego.

- Landesmann przypomina obraz olejny - powiedział Gabriel. - Jest tylko sprytną iluzją. Pod błyszczącym lakierem i nienagannie namalowanym wizerunkiem świętego kryją się pokłady cieni. Waszym zadaniem jest dotarcie do jego tajemnic i ujawnienie ich całemu światu. Każdy odkryty fałsz przybliży nas do celu. Szukamy luźnej nitki, wystającej z dotąd nienaruszonego płótna. Pociągając za nią, spowodujemy, że świat oszusta rozpadnie się na kawałki.

43.

BULWAR KRÓLA SAULA, TEL AWIW

Obowiązki podzielili na dwie części. Dina, Rimona, Mordechaj i Chiara zajęli się sferą życia prywatnego i pracy charytatywnej Landesmanna, reszta zespołu podjęła się trudnej analizy i dekonstrukcji jego rozległego imperium finansowego. Nadrzędnym celem wszystkich było znalezienie dowodu na to, że szwajcarski miliarder świadomie użył zagrabionego żydowskiego majątku do stworzenia swojej fortuny. Eli Lawon, dobrze znający mechanizm tego rodzaju dochodzeń, w skrytości ducha wątpił w możliwość sukcesu. Wiedział, że zeznania i wyblakłe wspomnienia ofiar przestępstw nie wystarczą. Bez oficjalnych dokumentów z banku Landesmanna lub osobistego przyznania się do winy samego finansisty działania zespołu były z góry skazane na niepowodzenie. Mimo wszystko Gabriel nie tracił nadziei i raz po raz przypominał wszystkim o konieczności prowadzenia działań zakrojonych na jak najszerszą skalę. Jeszcze nie wiemy, powtarzał, co może się nam przydać podczas szturm na twierdzę Świętego Martina.

Na początku prac Gabriel musiał też zmierzyć się z niechęcią szefa Biura. Tuż po decyzji o utworzeniu zespołu Uzi Nawot wydał pisemne rozporządzenie, w którym prosił kierowników działów o udzielanie Gabrielowi wszechstronnej pomocy. Wkrótce jednak Uzi ustnie polecił, by wszelkie prośby zespołu o dane wywiadowcze najpierw trafiały na jego błyszczące biurko. Krótkie spotkania Gabriela z Uzim stawały się coraz bardziej nerwowe. Nowa misja nawet nie otrzymała swojej nazwy operacyjnej - Uzi nadal ją określał, nieco lekceważąco, jako „projekt Gabriela”. Sygnał był jasny. Sprawa Landesmanna nie miała poparcia dykcji. Gabriel mógł być legendą, ale w oczach szefa należał już do przeszłości. A wszyscy, którzy go poparą, wcześniej czy później tego pożałują.

Czas płynął. Praca zespołu, mimo początkowych trudności, posuwała się naprzód. Niechęć Uziego do nowego projektu malała, podania Gabriela zaczęły przechodzić przez dyrektorskie biurko coraz sprawniej. Po jakimś czasie biurowi adwersarze wprowadzili zwyczaj codziennych spotkań, wreszcie pewnego dnia zobaczono ich w dyrektorskiej stołówce nad wspólnym dietetycznym lunchem składającym się z kurczaka na parze i przywędłych warzyw. Nieliczni goście podziemnego królestwa Gabriela nie mogli się nadziwić panującej tam atmosferze. Zespół był jak rodzina - niespokojna, kłótliva, czasami dysfunkcyjna, ale zawsze dbająca o to, by jej tajemnice nie przedostawały się na zewnątrz. Od podwładnych Gabriel wymagał lojalności, ciężkiej pracy - i dyskrekcji.

Cały projekt znali tylko Nawot i kierownictwo Biura, ale wystarczyło nawet krótkie spojrzenie na salę 456C, by zorientować się co do celu prowadzonych tam prac. Na jednej ze ścian wisiał szczegółowy schemat globalnego imperium Świętego Martina. Na samej górze, prawie pod sufitem pomieszczenia widniały zarejestrowane w Genewie firmy w całości kontrolowane lub bezpośrednio zarządzane przez Global Vision Investments, niżej znajdowała się lista przedsiębiorstw oficjalnie zależnych od GVI, na dół trafiły firmy ukryte przez właściciela za fasadą różnych korporacji czy rajów podatkowych.

Schemat dowodził niezbicie, że w pogoni za zyskiem imperium Landesmanna nie miało żadnych skrupułów. Przędzalnia w Tajlandii była wielokrotnie piętnowana w mediach jako miejsce niewolniczej pracy nieletnich, fabryka chemiczna w Wietnamie doprowadziła do całkowitego zniszczenia życia w sąsiadującej z nią rzece, złomownia i miejsce recyklingu statków handlowych w Bangladeszu znajdowały się w czołówce najbardziej zanieczyszczonych punktów naszej planety. Koncern Martina był właścicielem firmy, która w zastraszającym tempie niszczyła amazońską dżunglę, i ogromnej kopalni, która zamieniła jeden z regionów Czadu w nieckę pyłu. Koreańska platforma wiertnicza GVI była odpowiedzialna za największą katastrofę ekologiczną w dziejach Morza Japońskiego. Nawet posiadający ogromne doświadczenie w dziedzinie gospodarki Jakow był zaskoczony skalą rozbieżności między publicznie głoszonymi zasadami a rzeczywistością. - Przy Świętym Martinie - stwierdził - nawet nasz Szamron jest niewiniątkiem.

Jeżeli Landesmann odczuwał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu swojej działalności, to na pewno nie ujawniał ich publicznie. Na drugiej ścianie Jaskini Gabriela wisiały zdjęcia prawego, oświeconego człowieka, który w życiu osiągnął wiele i teraz pragnie równie wiele oddać innym. Martin filantrop, Martin guru odpowiedzialności korporacyjnej, Martin uzdrowiciel, Martin pojący spragnionych i oferujący bezdomnym dach nad głową, Martin u boku premierów i prezydentów, Martin w towarzystwie sławnych aktorów i muzyków. Martin dyskutujący o zrównoważonym rolnictwie z księciem Walii, Martin i były senator Stanów Zjednoczonych szukający rozwiązania problemu globalnego ocieplenia, Martin wraz z fotogeniczną rodziną: piękną francuską żoną Monique i nastoletnimi dziećmi, Alexandrem i Charlotte. Nie mogło też zabraknąć zdjęć Martina na corocznym Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, gdzie finansista regularnie wygłaszał płomienne przemówienia, apelujące do sumień biznesmenów.

Zgromadzenie tylu danych w tak krótkim czasie byłoby niemożliwe, gdyby nie wcześniejsza praca kogoś, kto nigdy nie przekroczył progu sali 456C. Śledztwo Rafaela Blocha, zakończone dla niego tak tragicznie, okazało się nieocenionym źródłem wiedzy. To właśnie wśród jego materiałów Eli Lawon odnalazł prawdziwy skarb, w którego zrozumieniu pomogła mu Rimona Stern.

Nieoznakowana brązowa teczka zawierała kilka odręcznych notatek na temat Keppler Werk GmbH. To niewielkie przedsiębiorstwo metalurgiczne z Magdeburga zostało dyskretnie nabyte przez Landesmanna w 2002 roku i następnie, dużym nakładem kosztów, gruntownie zmodernizowane. Niemiecka fabryka wytwarzała teraz najnowocześniejsze, eksportowane na cały świat zawory przemysłowe. Uwagę zespołu Gabriela zwróciła jednak nie sama aparatura, lecz adresy jej odbiorców. Okazało się, że większość z nich leży na dobrze znanej analitykom Biura trasie irańskiej, wiodącej przez kraje dawnego Związku Radzieckiego i brzegiem Pacyfiku.

Odkrycie to, dokonane czwartego dnia pracy, okazało się przełomowe. Uzi Nawot niezwłocznie nadał pracom zespołu oficjalny kryptonim „Arcydzieło” i pośpieszył z meldunkiem na ulicę Kapłana w Jerozolimie. Premier pragnął szczegółów, tym razem Uzi mógł je dostarczyć. Okazało się, że projekt Gabriela nie dotyczy już tylko skradzionego obrazu Rembrandta i zrabowanego

majątku ofiar Zagłady, lecz sprawy strategicznej wagi dla Państwa Izraela. Martin Landesmann flirtował z Iranem. I Bóg wie, z kim jeszcze.

Już od następnego dnia Landesmann znalazł się pod ścisłą, choć dyskretną obserwacją. Jej pierwsze materialne ślady pochodziły z charytatywnego przyjęcia w Montrealu, gdzie funkcjonariusze Biura sfotografowali przyjazd i wyjazd Świętego Martina w towarzystwie nieodstępującego go nawet na krok szefa ochrony, Jonasa Brunnera. Kolejną okazją do wzbogacenia dokumentacji fotograficznej był przylot prywatnego odrzutowca Landesmanna na międzynarodowe lotnisko w Genewie, skąd finansista opancerzoną limuzyną Mercedes Maybach 62 S udał się do swojej rezydencji Villa Elma nad Jeziorem Genewskim. Wkrótce wyszło na jaw, że Martin bardzo rzadko pojawia się w kwaterze głównej korporacji GVI przy Quai de Mont-Blanc i że centrum decyzyjnym jego rozległego imperium jest Villa Elma, w której przechowuje swoje największe tajemnice.

Informacje napływały coraz szerszym strumieniem. Piękne zdjęcia Martina, niekompletne nagrania prowadzonych przez niego rozmów. Nadal brakowało informacji, na które czekał zespół. Słyszeli melodię, ale nie znali słów, jak ujmował to Gabriel.

Okazało się też, że informatycy nie są w stanie sforsować zabezpieczeń ani w systemie komputerowym, ani w telefonie komórkowym Landesmanna. Pracownicy zespołu czuli się jak sfera psów gończych, w żaden sposób niemogących nadążyć za sprytnym lisem. Po dziesięciu dniach obserwacji mieli już dosyć zdjęć Landesmanna wsiadającego do samolotu lub zeń wysiadającego. Wszyscy zrozumieli, że muszą znaleźć nowy pomysł na przedostanie się do królestwa finansisty, wdarcie się do jego komputera i komórki. Potrzebowali wtyczki.

Po upływie kolejnego tygodnia, podczas obserwacji paryskiego mieszkania Landesmanna, zespołowi Gabriela w końcu dopisało szczęście. Pod dom przy Quai de Bourbon 21 na północnym brzegu île Saint-Louis, o 21:05 podjechała limuzyna ze smagłą kobietą o ciemnych, krótkich modnie ostrzyżonych

włosach i dużych, inteligentnych oczach. Z jej rozmowy z szoferem można było wywnioskować, że jest Brytyjką. Kod cyfrowy przy drzwiach wprowadziła bez wahania, tak jakby to robiła nie pierwszy raz. Dwie godziny później zobaczyli ją, jak podziwia widok na Sekwanę rozpościerający się z okna mieszkania. Tuż za nią w swobodnej pozie stał Martin. Kobieta była półnaga, więc charakter ich spotkania nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Wyjechała następnego dnia o 8:15 czekającym na nią mercedesem. Śledzący ją członkowie zespołu zobaczyli, że na Gare du Nord wsiadła do odjeżdżającego o 9:13 do Londynu pociągu Eurostar. Po kolejnych trzech dniach inwigilacji Gabriel znalazł jej nazwisko, numer telefonu i datę urodzenia. Co najważniejsze, wiedział też, gdzie przyjaciółka Landesmanna pracuje.

Ta ostatnia informacja spowodowała, że Uzi Nawot natychmiast określił obserwowaną kobietę jako absolutnie nieprzydatną z ich punktu widzenia. Podczas emocjonalnej wymiany zdań nawet posunął się do stwierdzenia, że Gabriel musi być niespełna rozumu.

- Najwyraźniej zaszkodziło ci powietrze Kornwalii! - krzyknął w pewnym momencie. - Nie zbliżamy się do takich osób. Unikamy ich za wszelką cenę. Usuń ją z listy, znajdź kogoś innego.

Z olimpijskim spokojem Gabriel obalał po kolei przytaczane argumenty, uspokajał, przypominał Nawotowi o wyjątkowo szczelnej ochronie tajemnic Landesmanna. Kobieta, którą obserwowali w Paryżu, powtarzał, jest przysłowiowym wróblem w garści, na podobną szansę będą musieli czekać kolejne miesiące. W końcu, zgodnie z przewidywaniami Gabriela, Nawot skapitulował. Zrozumiał, że gdy w grę wchodzi Iran, muszą ryzykować więcej niż zwykle. Zarówno globalny zasięg imperium Landesmanna, jak i narodowość kobiety będącej na celowniku wywiadu oznaczały, że Biuro potrzebowało zagranicznego partnera. Może nawet dwóch. Gdy Nawot poprosił o spotkanie, Brytyjczycy natychmiast zgodzili się pełnić rolę gospodarza. W jednej kwestii Gabriel i Nawot byli zgodni: idąc na wojnę z takim człowiekiem jak Landesmann, musieli zabrać z sobą Ariego Szamrona. Do pojedynku z rewolwerowcem nóż nie wystarczy.

44.

MARAIS, PARYŻ

Kilka lat temu w ręce Maurice'a Duranda wpadł artykuł opisujący perypetie pracownika prywatnej agencji ochrony, Christopa Meilego, który pewnego styczniowego popołudnia 1997 roku patrolował centralę Union Bank of Switzerland na ulicy Bahnhofstrasse w Zurychu. Ten pobożny katolik i ojciec dwojga dzieci podczas rutynowego obchodu zauważył w pomieszczeniu służącym do niszczenia niepotrzebnych akt dwa duże pojemniki z dokumentami z czasów drugiej wojny światowej. W jednym z pudeł Meili znalazł dwie teczki opisujące transakcje UBS z hitlerowskimi Niemcami. Pamiętając, że od niedawna pozbywanie się tego rodzaju dokumentacji stało się niezgodne z prawem, strażnik ukrył obydwie teczki pod mundurem i wyniósł do domu. Następnego dnia rano przekazał je pracownikom Izraelskiego Ośrodka Kulturalnego. Od tego momentu jego życie się skomplikowało.

Kierownik ośrodka niezwłocznie zwołał konferencję prasową, na której napiętnował niszczenie ważnych dokumentów przez UBS. Bank szybko przyznał się do błędu, wskazując jako winnego jednego z pracowników archiwum. Jednocześnie od tego momentu zaczął się koszmar Christopa Meilego. Strażnik w trybie natychmiastowym został zwolniony z pracy, wkrótce usłyszał zarzuty złamania szwajcarskiego prawa dotyczącego tajemnicy bankowej. Meili, okrzyknięty w wielu krajach świata „bohaterem archiwów”, w swojej ojczyźnie stał się obiektem publicznych prześladowań, w pewnym okresie nawet grożono mu śmiercią. Po pewnym czasie amerykański senat udzielił mu politycznego azylu w Stanach Zjednoczonych, dokąd Meili, ku zażenowaniu władz szwajcarskich, przeprowadził się z całą rodziną.

Maurice Durand szanował Szwajcara za odwagę, jednak uważał jego zachowanie, a zwłaszcza zwrócenie się ze swoim problemem do nieznaney mu

osoby, za nieprzemyślane. Teraz, o dziwo, zdecydował się na podjęcie podobnej decyzji. Mimo ciągłego naruszania co najmniej dwóch z dziesięciorga przykazań, był osobą religijną i kierującą się swoistym kodeksem moralności. Postanowił, że nie sprzeda obrazu splamionego krwią i nie wyrzuci na śmietnik dokumentów umieszczonych za jego płótnem. Czuł, że gdyby postąpił inaczej, popełniłby ciężki grzech zarówno wobec Boga, jak i historii.

Tego popołudnia Durand zamknął swój sklep wcześniej niż zwykle i wyruszył w drogę, by osobiście dostarczyć osiemnastowieczną lornetkę teatralną jednej ze swoich najbardziej cenionych klientek, Hannie Weinberg.

W życiu bezdzietnej pięćdziesięcioletniej madame Weinberg ważne były dwie sprawy: kolekcja francuskich zabytkowych przyrządów optycznych oraz walka z wszelkimi przejawami nietolerancji rasowej i religijnej. Pierwsze hobby przywiodło Hannę do Antiquités Scientifiques i Maurice'a Duranda, druga pasja skłoniła ją do założenia Centrum Studiów nad Antysemityzmem we Francji. Swój ośrodek nazwała imieniem Izaaka Weinberga, dziadka ze strony ojca, schwytanego w Paryżu 16 lipca 1942 roku w *Jeudi Noir*, w Czarny Czwartek, a następnie wywiezionego do Auschwitz i tam zamordowanego. Walka Hanny Weinberg z antysemityzmem przysporzyła jej zarówno wielu zwolenników - łącznie z prezydentem Francji - jak i zdeklarowanych wrogów. Ośrodek Weinberga stał się adresem wielu gróźb, często kierowanych pod adresem samej Hanny. Maurice Durand był jedną z niewielu osób, znających jej aktualny adres w Czwartej Dzielnicy Paryża, przy rue Pavée 24.

Hanna ubrana w ciemny sweter, plisowaną wełnianą spódnicę i grube pończochy czekała na klatce schodowej przed dawnym mieszkaniem swojego dziadka. Miała orli, szlachetnie wykrojony nos i czarne włosy poprzetykane pasemkami siwizny. Serdecznie powitała Duranda, całując go w oba policzki, i zaprosiła do środka. Mieszkanie było duże, z eleganckim holem wejściowym i biblioteką przylegającą do salonu. Stało w nim wiele zabytkowych mebli, niektóre obite były wyblakłym materiałem w wytłaczane wzory, w oknach wisiały grube aksamitne kotary, na kominku cicho tykał pozłacany zegar. Przez chwilę Durandowi wydawało się, że powrócił do świata Antiquités Scientifiques.

Przekazał Hannie przyniesioną lornetkę teatralną, opowiedział jej o ostatnich

nabytkach. Otwierając teczkę, rzucił niedbałym tonem, że przez przypadek natknął się na kilka dokumentów, które mogłyby ją zainteresować.

- Czego dotyczą?
- Prawdę mówiąc, nie wiem. Mam nadzieję, że pani je rozszyfruje.

Wręczył jej woskowaną kopertę z trzema cienkimi arkuszami papieru i obserwował, jak Hanna Weinberg ją otwiera.

- Znalazłem to w środku starego teleskopu, który niedawno kupiłem.
- Co za dziwne notatki!
- Też tak uważam.
- Od kogo pan kupił teleskop?
- Proszę mnie zrozumieć, nie mogę...

Uniosła dłoń ze zrozumieniem.

- Nie musi pan mi niczego mówić. Wiem, że obowiązuje pana dyskrekcja wobec klientów.

- Dziękuję pani za właściwą ocenę sytuacji, w której się znalazłem. Pozostaje jednak pytanie, czego dotyczą te zapiski?

- Nazwiska są bezsprzecznie żydowskie, całość zaś ma związek z jakimiś transakcjami finansowymi. Przy każdym nazwisku widnieje suma w szwajcarskich frankach i szereg ośmiu cyfr.

- Papier wygląda na wyrób z czasów wojny.

Ostrożnie dotknęła brzegu jednej z kartek.

- Ma pan rację, jest bardzo lichy. Aż dziwne, że się zachował w tak dobrym stanie.

- Czym mogą być te szeregi cyfr?
- Na to pytanie nie znam odpowiedzi.

Durand się zawahał.

- Może to numery jakichś kont, madame Weinberg?

Hanna Weinberg podniosła wzrok.

- Konta w Szwajcarii?

- W tych sprawach pani jest ekspertem - powiedział Durand z szacunkiem.

- Tak naprawdę, to wcale nie. Ale wracając do naszych cyfr, rzeczywiście

mogą to być numery kont bankowych. - Znów spojrzała uważnie na kartki. - Kto sporządził tę listę? I w jakim celu?

- Może w ośrodku jest ktoś, kto wiedziałby więcej?

- Nie mamy nikogo, kto zajmuje się wyłącznie sprawami finansowymi. A jeżeli pana przypuszczenie co do cyfr jest słuszne, to potrzebujemy kogoś, kto zna się na szwajcarskim systemie bankowym.

- Czy pani zna taką osobę, madame?

- Jestem pewna, że znajdę kogoś z odpowiednimi kwalifikacjami. - Spojrzała na niego uważnie. - Czy właśnie tego pan oczekuje?

Durand skinął głową.

- Mam jeszcze jedną małą prośbę. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby moje nazwisko nie zostało nigdzie ujawnione. Ze względu na pracę, pani rozumie. Niektórzy klienci mogliby...

- O to nie musi pan się martwić, Maurice. Pana tajemnica nie wyjdzie poza próg tego mieszkania. Daję słowo honoru.

- Zadzwoń pani, gdy dowie się czegoś interesującego?

- Oczywiście.

- Dziękuję, madame. - Durand zamknął teczkę i zerknął na Hannę Weinberg z konspiracyjnym błyskiem w oku. - Zawsze miałem słabość do tajemnic.

Stojąc w oknie biblioteki, Hanna Weinberg obserwowała, jak Durand niknie w gęstniejącym mroku rue Pavée. Znów przyjrzała się liście.

Katz, Stern, Hirsch, Greenberg, Kaplan, Cohen, Klein, Abramowitz, Stein, Rosenbaum, Herzfeld...

Nie miała pewności, czy Durand powiedział jej całą prawdę, ale mimo wszystko zamierzała dotrzymać danego mu słowa. Co powinna zrobić z listą? Potrzebowała eksperta. Kogoś ze znajomością szwajcarskiego systemu bankowego.

Wysunęła górną szufladę biurka, które kiedyś należało do jej dziadka, i wyjęła z niej klucz. Otworzyła nim drzwi na końcu ciemnego korytarza i weszła do swojego dawnego pokoju dziecięcego. Wszystko wyglądało tu tak, jakby

czas się zatrzymał. Łóżko z koronkowym baldachimem, półki pełne pluszowych zwierzątek i zabawek, wyblakły plakat amerykańskiego aktora, dawnego obiektu jej westchnień. Nad wiejską komodą, schowany w cieniu, wisiał obraz Vincenta van Gogha, *Marguerite Gachet przy toaletce*. Obraz ten kilka lat temu Hanna pożyczyła Izraelczykowi o imieniu archanioła. Przy pożegnaniu mężczyzna zostawił jej numer telefonu, pod którym, w razie potrzeby, mogła go znaleźć. Poczwała, że nadszedł czas na odnowienie starej znajomości.

45.

THAMES HOUSE, LONDYN

Zarówno sala konferencyjna, jak i ustawiony wzdłuż jej całej długości prostokątny stół o lśniącym blacie były ogromne. Szamron rozparty w przepastnym fotelu obrotowym, wpatrzony w gmach MI6 po drugiej stronie rzeki, przypominał skrzata podziwiającego Szmaragdowe Miasto krainy Oz. Obok niego ze starannie skrzyżowanymi na piersi rękami siedział Gabriel i obserwował dwóch mężczyzn po drugiej stronie stołu. Adrian Carter, ubrany dzisiaj w źle dopasowaną marynarkę i pomięte spodnie z gabardyny, był szefem Działu Operacji Tajnych CIA, siedzący po jego prawej ręce Graham Seymour piastował stanowisko zastępcy dyrektora MI5.

Mężczyźni sprawiali wrażenie członków tajnego stowarzyszenia. Każdy reprezentował swój kraj, jednak osobiste więzy między nimi były wystarczająco silne, by przetrwać próbę czasu i kaprysy politycznych zwierzchników. Wszyscy wykonywali zadania, których nikt inny nie chciał się podjąć, żaden z nich nie bał się odpowiedzialności. Walczyli ramię w ramię, zabijali, czasami przelewali krew za innych. Te wspólne przejścia spowodowały, że posiadali wyjątkową umiejętność zgadywania swoich myśli i nastrojów. Dzisiaj Szamron i Gabriel nie mieli wątpliwości, że po angloamerykańskiej stronie stołu panuje napięcie.

- Coś nie tak, panowie? - spytał Szamron.

Graham Seymour skrzywił się i zerknął na Cartera.

- Nasi amerykańscy kuzyni twierdzą, że mam problem.

- Podpadłeś Adrianowi?

- Nie - powiedział Carter. - My Grahama nadal uwielbiamy, to Biały Dom ma na jego temat inne zdanie.

- Naprawdę? - Gabriel spojrzął na Seymoura. - Musiałeś nieźle nabroić, Graham.

- Amerykański wywiad zaliczył wczoraj wpadkę. Poważną wpadkę - powiedział Anglik. - Biały Dom ogłosił stan najwyższej gotowości. Wszystkim puszczają nerwy, szuka się winnych. Niestety, wiele osób uważa, że to wszystko moja wina.

- Co to za wpadka?

- Pakistańczyk z brytyjską wizą pobytową usiłował zdetonować ładunek wybuchowy na pokładzie samolotu lecącego z Kopenhagi do Bostonu. Na szczęście robił to tak nieudolnie, że jego sąsiedzi zdążyli go obezwładnić.

- Dlaczego wszyscy uważają, że to twoja wina?

- Dobrze pytanie. Już jakieś cztery tygodnie temu powiadomiliśmy Amerykanów, że ten facet zadaje się ze znanymi nam radykałami i że może być niebezpieczny. Według Białego Domu ostrzeżenia, które zawarłem w swoim raporcie, nie były wystarczająco przekonujące. - Seymour zerknął na Cartera. - Oczywiście mogłem zamieścić ogłoszenie na ten temat w „New York Timesie”, ale po krótkim namyśle uznałem ten pomysł za zbyt ekscentryczny.

Gabriel spojrzął na Cartera.

- Co się stało?

- Nazwisko przesłane z Londynu zostało wpisane do naszej bazy danych z błędem. Z tego powodu zamachowiec nie znalazł się na naszej liście osób mających zakaz podróży samolotem.

Zdegustowany Seymour potrząsnął głową.

- Słyszałem już, że pewien dziesięcioletni amerykański skaut nie potrafi usunąć swojego nazwiska z tej listy, ale nadal nie rozumiem, w jaki sposób nie udało mi się umieścić na niej groźnego terrorysty. Facet dostał od Amerykanów bezterminową wizę i pozwolenie na wlot do Stanów na bilecie w jedną stronę, no to wsiadł na pokład samolotu z bagażem podręcznym pełnym materiału wybuchowego.

- Tak to rzeczywiście wyglądało, Adrianie? - spytał Gabriel.

- Mniej więcej - przyznał Adrian z nieszczęśliwą miną.

- No to dlaczego czepiają się Grahama?

- Ze względów politycznych - odparł Carter bez wahania. - Zauważ, że w otoczeniu naszego nowego prezydenta znalazło się kilka osób, które uważają,

że już nie prowadzimy wojny z terrorystami. Mnie samemu zabroniono używania tego rodzaju określeń. Więc gdy coś rzeczywiście się zdarzy...

- Ludzie prezydenta szukają kozła ofiarnego.

Carter tylko skinął głową.

- To dlatego dobrali się do Grahama? - spytał Gabriel ze zdziwieniem. - Lojalnego przyjaciela i sojusznika od początku wojny z terroryzmem?

- Wytknąłem to doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa, ale w ogóle nie chciał ze mną na ten temat rozmawiać. Wydaje się, że on sam w każdej chwili może stracić pracę. Co do Grahama, to da sobie radę. Jest jedynym człowiekiem na Zachodzie, który zajmuje się zagadnieniem terroryzmu dłużej ode mnie.

Rozległ się cichy pomruk komórki Seymoura. Anglik naciśnięciem klawisza przekierował połączenie na automatyczną sekretarkę, wstał i nalał sobie filiżankę kawy. Był ubrany w świetnie skrojony ciemnoszary garnitur, pod szyją miał krawat w barwach swojego pułku. Jego regularne rysy i gęste, posrebrzone siwizną włosy sprawiały, że przypominał aktora reklamującego drogie i bezużyteczne gadżety. Początkowo, ale przez krótki czas, był pracownikiem operacyjnym, jednak znaczną część swojego zawodowego życia spędził za zamkniętymi drzwiami kierownictwa MI5. Walczył z wrogami Wielkiej Brytanii, studiując raporty i biorąc udział w spotkaniach zarządu. Jego szlachetne rysy najczęściej można było podziwiać w świetle halogenowej lampy stojącej na biurku, najczęściej zaś pokonywana trasa wiodła z jego pokoju do gabinetu szefa centrali.

- Jak wygląda śledztwo w sprawie kradzieży obrazu Rembrandta? - zapytał Seymour.

- Rozszerzyliśmy je na inne sprawy.

- Słyszałem o tym.

- Co słyszałeś, Grahamie?

- Wiem, że po tym, jak wyszedłeś z pracowni Christophera Liddella z gumową rękawiczką pełną materiału dowodowego, poleciałeś najpierw do Amsterdamu, a stamtąd do Argentyny. Po dwóch dniach twojego pobytu w Buenos Aires w zamachu bombowym zginął jeden z najbardziej znanych argentyńskich bojowników o prawa człowieka. - Seymour zrobił krótką

przerwę. - Czy zabijał jeden z twoich starych wrogów, czy też ktoś, komu podpadłeś niedawno?

- O zamach podejrzewamy Martina Landesmanna.
- Czyżby? - Seymour strzepnął ze spodni niewidoczny pyłek.
- Nie wyglądasz na zaskoczonego, Grahamie.
- Bo wcale mnie nie zaskoczyłeś.

Gabriel spojrzał na Adriana Cartera, kreślącego jakieś bohomazy w notatniku.

- Co o tym myślisz, Adrianie?

Carter oderwał się na chwilę od swojego zajęcia.

- Zdradzę ci, że nigdy nie wierzyłem w cnotę Świętego Martina. Ale opowiedz nam wszystko, co wiesz, Gabrielu. Pod koniec takiego dnia jak dzisiejszy z chęcią wysłucham czegoś ciekawego.

Adrian Carter bardziej przypominał księdza lub doktora niż szefa najpotężniejszej tajnej organizacji świata. Bardzo mało osób wiedziało, że przed swoim awansem na siódme piętro centrali w Langley brał aktywny udział w operacjach prowadzonych w tak różnych regionach świata jak Polska, Ameryka Środkowa czy Afganistan. Łatwiej było go sobie wyobrazić w roli profesora sprawdzającego wypracowania studentów czy terapeuty wysłuchującego spowiedzi cierpiącego na kompleks niższości pacjenta.

Jego legendarna umiejętność słuchania ułatwiła mu szybkie pokonanie szczyblu kariery zawodowej. Teraz Carter siedział w bezruchu, opierając podbródek na dłoniach zaciśniętych w pięści. Poruszył się tylko raz, aby sięgnąć po fajkę, co stało się sygnałem dla Szamrona do dobytcia swojej smrodliwej broni. Wzmianka Seymoura o zakazie palenia w sali konferencyjnej nie przyniosła żadnego skutku. Szamron, który już wcześniej poznał historię opowiedaną przez Gabriela, rozglądał się wokół z uczuciem pobłażania. Pamiętał początki swojej kariery, kiedy szczytem jego biurowych marzeń była elektryczność i bieżąca woda. Przepych centrali brytyjskich służb specjalnych zawsze go śmieszył. Uważał, że pieniądze wydane na efektowne budynki i modne meble powinno się przeznaczyć na zdobywanie tajemnic wroga.

- Żeby wszystko było jasne - powiedział Graham Seymour po opowieści Gabriela - trzeba od razu stwierdzić, że już udało ci się pogwałcić kilka punktów naszego porozumienia. Pozwoliliśmy ci zamieszkać w Zjednoczonym Królestwie, bo miałeś status emeryta, a jedyne zajęcie, jakie mogłeś wykonywać, miało być powiązane ze sztuką. Gdy po zamachu bombowym w Buenos Aires zażądałeś pomocy swoich starych znajomych z Biura, twoje zajęcie przestało mieć związek ze sztuką. Nie mówię już o tym, że premier Izraela niedawno zlecił ci szczegółowe śledztwo w sprawie Martina Landesmanna. Co do tej ostatniej sprawy, to całkiem prywatnie uważam, że tego rodzaju decyzja powinna zapaść już dawno temu.

- Czy macie jakieś ciekawe informacje o Martinie, o których my możemy jeszcze nie wiedzieć?

- Kilka lat temu Ministerstwo Skarbu wzięło pod lupę brytyjskich obywateli, posiadających konta w zagranicznych rajach podatkowych. Podczas śledztwa okazało się, że spora grupa naszych podatników, zazwyczaj tych z wątpliwymi źródłami dochodów, ma rachunki w instytucji zwanej Meissner Privatbank of Liechtenstein. Dalsze dochodzenie wykazało, że Meissner Privatbank nie był żadnym bankiem, lecz pralnią brudnych pieniędzy. Teraz zgadnijcie: kto był jej właścicielem?

- Global Vision Investments z Genewy?

- Tak. Oczywiście nie bezpośrednio, lecz poprzez firmy zależne. Chłopcy ze skarbowki, spodziewając się pochwał i wyróżnień, właśnie szykowali się do publicznego ogłoszenia wyników swojej pracy, gdy nagle z góry dostali polecenie natychmiastowego zaniechania śledztwa.

- Podano jakieś powody?

- Żadnych - odparł Seymour. - Wszyscy jednak się domyślili, że na Downing Street dziesięć nie chcą się narazić inwestorom w Zjednoczonym Królestwie, zaczynając walkę z człowiekiem, uważanym przez wielu za patrona biznesu.

Carter postukał cybuchem o brzeg popielniczki, tak jak sędzia stuka w sali sądowej młotkiem. Powoli zaczął napełniać fajkę kolejną porcją tytoniu.

- Czy chcesz coś dodać, Adrianie? - spytał Gabriel.

- Zentruni Security.

- Co to jest?
- Korporacyjna firma ochroniarska z Zurychu. Kiedy parę lat temu amerykańskie firmy działające w Szwajcarii zorientowały się, że są poddawane inwigilacji, zwróciły się do naszej administracji rządowej o pomoc. Oczywiście sprawa trafiła do CIA.

- I co?
- Okazało się, że wszystkie te firmy współpracowały z Zentrum Security. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że Zentrum świadczy nie tylko typowe usługi ochroniarskie, lecz również działa na lukratywnym rynku konsultacji międzynarodowych.

- Co to za konsultacje?
- Przede wszystkim pomoc w zawieraniu umów z podmiotami zagranicznymi, firmami albo agencjami rządowymi.

- Jakiego rodzaju umów?
- Najczęściej takich, które nie mogą być zawarte legalnie - odparł Carter.
- Teraz zgadnij, kto jest właścicielem Zentrum Security.

- Znów Global Vision Investments?

Carter przytaknął.

- Czy Zentrum pomagało niemieckiej firmie Keppler Werk GmbH z Magdeburga?

- Akurat Keppler nie pojawił się na ekranie naszego radaru - odparł Carter. - Pamiętaj, że dzisiaj interesy z Iranem robią tysiące firm. Najwięcej chińskich, gotowych handlować nawet z diabłem, ale bardzo dużo jest też firm niemieckich. Każdy myśli o swoim rynku i w tak trudnych czasach, jakie mamy teraz, nikt nie zaprzęta sobie głowy błahostkami w rodzaju irańskich ambicji nuklearnych. Według naszych danych, z Irańczykami handluje ponad tysiąc siedemset niemieckich przedsiębiorstw, a wiele z nich dostarcza im bardzo zaawansowanych technicznie produktów. Próbujemy przekonywać Niemców o konieczności ograniczania kontaktów przemysłowych z tym regionem świata, ale bez skutku. Flirtują z reżimem ajatollahów tylko z jednego powodu - z chciwości.

- Co za ironia losu - powiedział Szamron. - Kraj odpowiedzialny za Zagładę podczas drugiej wojny światowej robi interesy z reżimem, który grozi

Izraelowi powtórką Zagłady.

Na chwilę zapanowała grobowa cisza. Przerwał ją Gabriel.

- Musimy znaleźć odpowiedź na pytanie: czy Martin Landesmann eksportuje do Iranu produkty znajdujące się na zakazanej liście? Jeżeli tak, to jakie? I jak je tam dostarcza?

- W jaki sposób zamierzasz się tego dowiedzieć? - spytał Seymour.

- Chcę umieścić w jego otoczeniu naszego agenta.

- Życzę ci powodzenia, ale pamiętaj, że Martin jest bardzo ostrożny.

- Nie aż tak bardzo, jak ci się wydaje. - Gabriel położył na stole zdjęcie zrobione w Paryżu. - Poznajesz ją?

- Wszyscy ją znają. - Graham dotknął zdjęcia czubkiem wskazującego palca. - Gdzie to zdjęcie zostało zrobione?

- Przed paryskim apartamentem Martina. Spędziła z nim noc.

- Jesteś tego pewny?

- Czy chcesz zobaczyć pozostałe zdjęcia?

- Broń Boże! - wykrzyknął Seymour. - Nigdy nie lubiłem operacji wkra-
czających w sprawy sercowe. Są takie nieprzewidywalne.

- Życie jest nieprzewidywalne, Grahamie. I to właśnie sprawia, że tacy ludzie jak ty i ja mają ręce pełne roboty.

- Może i masz rację. Ale jeżeli ten werbunek ci się nie uda, to tym razem na pewno wyleją mnie z pracy. - Seymour ponownie przyjrzał się zdjęciu i powoli pokręcił głową. - Czy Martin nie mógł po prostu przespać się z jakąś kelnerką?

- Ma świetny gust.

- Wstrzymam się z komentarzem aż do momentu, kiedy ją osobiście spotkasz. To ostra zawodniczka. Najprawdopodobniej odprawi cię z kwitkiem. - Seymour zamilkł na chwilę. - Oczywiście istnieje też inna możliwość.

- Jaka?

- Może ona go kocha?

- Kiedy usłyszysz, co mam jej do powiedzenia, to przestanie.

- Nie bądź taki pewny. Miłość jest ślepa.

- Tak - rzekł Gabriel. - Już gdzieś to słyszałem.

46.

THAMES HOUSE, LONDYN

Następnego dnia o godzinie 11:45 Graham Seymour opuścił Downing Street 10 z wymaganymi podpisami ministerialnymi, a operacja pod kryptonimem Arcydzieło uzyskała oficjalny status wspólnego projektu amerykańsko-angielsko-izraelskiego. Łatwość, z jaką Seymour uzyskał akceptację wspólnej akcji wywiadów, świadczyła zarówno o jego mocnej pozycji w gabinecie premiera, jak i realistycznym podejściu polityków do planowanej operacji. Mandaryni z Whitehall zrozumieli, że upadek Landesmanna spowoduje, iż ucierpią również firmy brytyjskie, a bezpośredni udział w demontażu szwajcarskiego imperium jest najlepszym zabezpieczeniem interesów jego udziałowców.

Amerykanom, jak na razie, wystarczała rola doradcy. W kilka godzin po zebraniu w Thames House Adrian Carter wszedł do swojego odrzutowego gulfstreama V i poleciał do Langley. Gabriel Allon nie chciał przekazywać kierownictwa operacji nawet tak zaufanej osobie jak Graham Seymour, więc zdecydował się pozostać na miejscu. Sytuacja ta stworzyła niemały problem dla działu prawnego MI5. Dopiero po dłuższej debacie prawnicy orzekli, iż udział funkcjonariuszy obcego wywiadu w operacji na terytorium Zjednoczonego Królestwa jest dopuszczalny, jeśli zagraniczni agenci wcześniej zaakceptują brytyjskie reguły gry.

O godzinie drugiej po południu Gabriel znów zasiadł za ogromnym stołem sali konferencyjnej na dziewiątym piętrze i wysłuchał wszystkiego, co mieli mu do powiedzenia prawnicy MI5. Początek spotkania poświęcono szczegółowemu podsumowaniu dotychczasowych poczynań Gabriela na terytorium Zjednoczonego Królestwa. Przedstawiona przez stronę brytyjską lista okazała się imponująco kompletna. Potem zaczęto omawiać zasady, które miałyby obowiązywać podczas operacji Arcydzieło. Ustalono, że ze względu na

wyjatkową pozycję zawodową osoby przeznaczonej do werbunku działania Gabriela muszą być szczególnie ostrożne. Stosowanie jakiejkolwiek formy przymusu czy szantażu jest kategorycznie zabronione. Izraelska akcja inwigilacji na terenie Zjednoczonego Królestwa ma być natychmiast zakończona, a w przyszłości tego rodzaju działania mogą prowadzić tylko pracownicy MI 5.

- Proszę to podpisać - powiedział jeden z prawników, podsuwając Gabrielowi skomplikowany formularz i imponujące złote pióro.

- I niech Bóg ma pana w swojej opiece, jeżeli choćby jedno z tych ustaleń zostanie złamane.

Gabriel nie miał złych zamiarów, przynajmniej na tym etapie operacji, więc we wskazanym miejscu posłusznie nabazgrał coś nieczytelnego i wyszedł na korytarz. Tam czekał już na niego Nigel Whitcombe, młody pracownik operacyjny MI5, który przeszedł swój chrzest bojowy podczas akcji przeciwko Iwanowi Charkowowi. Za nieco świętoszkowatym obliczem Nigela krył się lotny umysł, zdolny do zrozumienia specyficznej filozofii każdego przestępcy.

- Dostałeś niezły wycisk, prawda?

- Na szczęście bez ran czy siniaków.

- Tak, w tym są naprawdę dobrzy. - Whitcombe odłożył „The Economist” sprzed dwóch tygodni i wstał. - Chodźmy już, nie chcę przegapić pierwszego aktu przedstawienia.

Zjechali windą na najniższy poziom budynku i jasno oświetlonym korytarzem dotarli do drzwi z napisem CENTRUM OPERACYJNE. Na umieszczonym przy wejściu panelu z klawiaturą Whitcombe wstukał kod dostępu i wprowadził Gabriela do środka. Z przodu pomieszczenia wisiały monitory kamer wideo, obserwowane przez grupkę funkcjonariuszy. Seymoura nie było w sali, widocznie już przygotowywał się do akcji. Whitcombe dotknął ramienia Gabriela i wskazał na środkowy ekran.

- Oto twoja dziewczyna.

Gabriel zerknął w górę i zdążył zobaczyć, jak lśniący od deszczu samochód osobowy przejeżdża przez bramę nowoczesnego, surowo wyglądającego budynku. W lewym dolnym rogu monitora widniał adres nagrywającej kamery: Wood Lane, Hammersmith. Dziesięć minut później Whitcombe zwrócił uwagę

Gabriela na ekran z dziennikiem BBC. Jeden z techników zwiększył głośność przekazu i wszyscy obecni na sali usłyszeli zapowiedź prezentera: *Nowe oskarżenia pod adresem...*

Whitcombe spojrział na Gabriela i uśmiechnął się.

- Mam przecucie, że czeka nas ciekawy wieczór.

Jedna z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie brytyjskiej prasy, Zoe Reed, ostatnie kilka godzin spędziła w świetle telewizyjnych jupiterów. Wystąpienia Zoe, bardzo niewygodne dla rządzącej Partii Pracy, dotyczyły udziału jednego z posłów labourzystowskich w aferze łopówkarskiej Empire Aerospace. Najpierw reporterka pojawiła się w BBC, później w Sky News, CNBC i pod koniec wieczoru w CNN International.

Po wyjściu ze studia CNN przy Great Marlborough Street 16 Zoe zorientowała się, że dotychczas płynnie realizowany plan dnia uległ zakłóceniu. Najpierw zniknął przydzielony jej przez „Financial Journal” samochód z szoferem. Gdy sięgała po komórkę, podszedł do niej ubrany w prochowiec mężczyzna w średnim wieku i wskazał na stojącą po przeciwnej stronie ulicy lśniącą limuzynę marki Jaguar. Zmęczona Zoe, nie zastanawiając się długo, przebiegła przez jezdnię i wsunęła się na tylny fotel samochodu. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie jest jedynym pasażerem limuzyny. Tuż obok niej, z telefonem komórkowym przy uchu, siedział elegancko ubrany mężczyzna o regularnych rysach twarzy i gęstych, siwych włosach. Mężczyzna odłożył komórkę na bok i spojrział na Zoe tak, jakby na nią czekał.

- Dobry wieczór, panno Reed. Nazywam się Graham Seymour. Pracuję w służbach specjalnych na jednym z kierowniczych stanowisk. Może pani zweryfikować moje słowa, rozmawiając telefonicznie z osobą, z którą właśnie się połączyłem. - Wręczył Zoe telefon. - Moja przełożona. Jestem pewny, że zna pani jej głos, bo miesiąc temu przeprowadziła z nią pani wywiad. Osobiście uważam, że była pani dla niej trochę niesprawiedliwa, ale ogólnie mówiąc, artykuł uważam za wyśmienity.

- To z tego powodu teraz rozmawiamy?

- Oczywiście że nie, panno Reed. Spotkaliśmy się, bo mamy poważny problem dotyczący bezpieczeństwa całego kraju. Potrzebujemy pani pomocy.

Zoe ostrożnie podniosła telefon do ucha.

- Dobry wieczór, kochanie - usłyszała głos znanej jej starszej kobiety. - Nie obawiaj się Grahama, trafiłaś w dobre ręce. I przyjmij moje przeprosiny za zakłócenie wieczoru, naprawdę nie mogliśmy postąpić inaczej.

Gdy jaguar ruszył w drogę, w pokoju operacyjnym Thames House rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

- Przedstawienie się rozpoczęło - powiedział Nigel Whitcombe. - Jeśli chcemy zobaczyć drugi akt, musimy się pośpieszyć.

47.

HIGHGATE, LONDYN

Bezpieczny dom kontrwywiadu MI5 mieścił się w cichym zaułku w Highgate. Był to solidny dwupiętrowy gmach z czerwonej wiktoriańskiej cegły, ozdobiony wysokimi kominami na przeciwnych końcach dachu. Gabriel Allon i Nigel Whitcombe siedząc przed ekranami kamer wideo w pokoju na piętrze, obserwowali przyjazd Zoe Reed. Dwie grzeczenie uśmiechnięte funkcjonariuszki odebrały od dziennikarki płaszcz, teczkę i telefon komórkowy, a Graham Seymour wprowadził ją do nieco zatęchłego, ale przytulnego salonu przypominającego londyński klub. Zoe ze sceptyczną miną stanęła przed wiszącą nad kominkiem okropną reprodukcją ze sceną myśliwską. Zaproszona przez Grahama usiadła w skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

Seymour podszedł do stojącego przy ścianie kredensu z napojami i powoli nalał z termosu dwie filiżanki kawy. Czuł, że czekająca go rozmowa nie będzie łatwa. Zoe Reed nie była przeciętną osobą, a jej związek z Martinem Landemannem w żadnym przypadku nie powinien być wykorzystany jako środek nacisku. Niewłaściwa taktyka utrudniłaby osiągnięcie celu akcji i mogłaby zrujnować karierę Seymoura. Werbunek, tak zresztą jak i przesłuchanie, powinien się umiejętnie odwoływać do dominujących cech charakteru rozmówcy. Seymour wiedział, że Zoe Reed nienawidzi korupcji i że nie żywi najmniejszego respektu dla władzy. Miał też nadzieję, że jego rozmówczyni nie jest kobietą, która łatwo pogodzi się z faktem, że została oszukana.

Trzymając w rękach dwie filiżanki gorącej kawy, ostrożnie wkroczył na pole minowe ludzkich emocji. Podał kawę Zoe i jakby od niechcenia poprosił dziennikarkę o podpisanie leżącego przed nią na stole dokumentu.

- Co to jest?

- Zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej - powiedział Seymour przeproszającym tonem. - Obawiam się, że zanim zaczniemy tę rozmowę, będzie pani musiała je podpisać. To oczywiste, że informacje, które pani zaraz przekaze, nie mogą trafić na szpalty „Journala”. Tak naprawdę, ten podpis spowoduje...

- Że mam zakaz rozmowy na ten temat nawet z członkami mojej rodziny.
- Spojrzała się na niego wyzywająco. - Znam prawo, panie Seymour. Czyżby pan zapomniał, z kim pan rozmawia?

- Rozmawiam z jedną z najlepszych i najbardziej poważanych brytyjskich dziennikarek, więc robię wszystko, aby nasze spotkanie zachowało charakter prywatny. Dlatego proszę panią o złożenie podpisu.

- To bezwartościowy papier. - Nie mogąc się doczekać odpowiedzi Seymoura, Zoe z ostentacyjnym westchnieniem złożyła podpis na leżącym przed nią formularzu. - Proszę - powiedziała, popychając dokument i długopis w kierunku Seymoura. - A teraz chciałabym poznać powód, dla którego się tutaj znalazłam.

- Potrzebujemy pani pomocy, panno Reed. To wszystko.

Choć Seymour nic nie wspomniał o patriotyzmie, w rzeczywistości odwołał się do niego. Taktyka okazała się skuteczna.

- Dlaczego po prostu nie zadzwoniliście do mnie? Po co te szpiegowskie numery?

- Nie mogliśmy tego zrobić w jawny sposób, panno Reed. Jest pani śledzona, a w pani telefonie ktoś założył podsłuch.

- Kto, na litość boską, mógłby mnie śledzić?

- Martin Landesmann.

Seymour zrobił wszystko, by wprowadzenie tego nazwiska do ich rozmowy wypadło jak najdelikatniej. Dziennikarka się zarumieniła, jednak już po krótkiej chwili umiejętnie zapanowała nad emocjami. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że jej zachowanie dostarczyło Gabrielowi odpowiedzi na dwa ważne pytania. Po pierwsze, stało się jasne, że ujawnienie związku z Landesmannem jest dla niej niewygodne. Po drugie, udowodniła, że nawet w trudnej sytuacji potrafi zachować zimną krew.

- Chyba pan żartuje - powiedziała spokojnie.
- Jestem zastępcą dyrektora MI5, panno Reed, i nie mam czasu na żarty.

Powinna pani wiedzieć, że Martin Landesmann jest celem śledztwa prowadzonego przez Zjednoczone Królestwo i dwóch naszych sojuszników. Chcę jeszcze dodać, że śledztwo to nie obejmuje pani.

- Co za ulga - powiedziała Zoe. - Więc dlaczego się tutaj znalazłem?

Seymour powoli realizował zaplanowany scenariusz.

- Powiadomiono nas, że utrzymuje pani bliskie kontakty z Martinem Landesmannem. Chcielibyśmy wykorzystać tę sytuację w naszym śledztwie.

- Wywiad, który przeprowadziłam z Martinem Landesmannem, nie oznacza jeszcze bliskiego kontaktu.

Seymour uniósł dłoń, przerywając Zoe. Spodziewał się tego rodzaju reakcji, jednocześnie nie chciał przytąpywać jej na kłamstwie.

- Oczywiście nie stoi pani przed sądem, panno Reed. Nie ma pani obowiązku prawnego, żeby z nami rozmawiać. Wszyscy popełniamy błędy, ja sam nie jestem wyjątkiem i nie chcę nikogo osądzać. Musimy jednak być wobec siebie szczerzy, bo na żadne inne zachowanie po prostu nie mamy już czasu.

Widać było, że Zoe starannie zastanawia się nad sensem słów Seymoura.

- Może więc pan jako pierwszy odkryje karty, panie Seymour.

Grała na zwłokę, to było oczywiste. Seymour, z kamienną twarzą, natychmiast wykorzystał swoją szansę.

- Około półtora roku temu przeprowadziła pani wywiad z Martinem Landesmannem. Była to jego pierwsza i jak dotąd jedyna wypowiedź dla prasy. Wiemy, że od tego czasu utrzymuje z nim pani regularne kontakty osobiste. Wasze ostatnie spotkanie miało miejsce w jego paryskim apartamencie w île Saint-Louis. - Seymour przerwał na chwilę, zbierając myśli. - Ale nie to jest ważne.

Tym razem Zoe dała próbkę swojego wybuchowego temperamentu.

- To nie jest ważne, tak? - wycodziła przez zęby. - Od jak dawna za mną chodzicie?

- W ogóle za panią nie chodzimy.

- To ma być przykład szczerości?

- Mówię prawdę. Śledziliśmy Martina Landesmanna. Odwiedzając go w Paryżu, wpadła pani w nasz kocioł.

- To jakiś fachowy zwrot?

- To po prostu fakt.

Zoe użyła ulubionej taktyki dziennikarzy na całym świecie: nie wiedziała, jak zareagować, więc wyraziła oburzenie.

- Jeżeli uzyskał pan tę wiedzę w taki sposób, to i tak prawo zabrania panu wykorzystania jej.

- Dlatego musiałem udać się po odpowiednie pozwolenie do ministra spraw wewnętrznych, którego podpis mogę pani w każdej chwili zaprezentować. Ale chciałbym ponownie podkreślić, że nie interesuje nas pani życie osobiste. Spotkaliśmy się tutaj, ponieważ chcę się z panią podzielić pewnymi tajnymi informacjami.

Nawet możliwość dostępu do tajnych informacji nie zmieniła wojowniczego nastroju Zoe.

- Najwyższy czas, żebym skontaktowała się ze swoim adwokatem.

- To nie jest potrzebne, panno Reed.

- A może wydawcą?

- Lathamem? Wątpię, czy chciałby się w taką sytuację angażować.

- Tak pan myśli? A jak zareagowałiby moi czytelnicy na artykuł o szpiegowaniu dziennikarzy przez MI5?

Po latach kontaktów z prasą Seymour dobrze wiedział, że brytyjscy czytelnicy byliby bardziej zainteresowani romansem Martina Landesmanna niż kolejnym skandalem z udziałem wywiadu. Milczał jednak, spoglądając na sufit. Chciał, by emocje opadły. W pokoju operacyjnym na piętrze dwaj mężczyźni słuchający tego słownego pojedynku mieli mieszane uczucia. Nigel Whitcombe obawiał się, że Zoe Reed jest już definitywnie stracona, z kolei Gabriel uważał jej opór za dobry znak. Szamron twierdził, że rekrutowana do wywiadu osoba, która zbyt łatwo zgadza się na wszystko, nie zasługuje na pełne zaufanie.

- Niestety - podjął rozmowę Seymour - Martin Landesmann nie jest człowiekiem, za jakiego pani go uważa. Jego nieskazitelnym rynkowy wizerunek to tylko zasłona dymna. Nie panią pierwszą oszukał. Landesmann jest zaangażowany

w proceder prania brudnych pieniędzy, unikania podatków, szpiegostwo korporacyjne i inną, jeszcze gorszą działalność. - Seymour przerwał na moment, by pozwolić Zoe na zrozumienie powagi sytuacji. - Martin Landesmann jest niebezpieczny, panno Reed. Wyjątkowo niebezpieczny. Nie lubi reporterów, oczywiście z wyjątkiem pani, nie z powodu swojej skromności. Ten człowiek boi się ujawnienia swojej prawdziwej działalności. Jakiś czas temu jeden z pani kolegów po fachu został zamordowany, bo zadał Landesmannowi niewygodne pytania.

- Martin Landesmann mordercą? Czy pan zwariował? To jeden z najbardziej poważanych biznesmenów świata. Mój Boże, on praktycznie...

- Jest świętym? - Seymour pokręcił przecząco głową. - Tak jak inni słyszałem o dobrych uczynkach Świętego Martina, ale na pani miejscu z jego kanonizacją jeszcze bym trochę poczekał. Istnieją mocne dowody na to, że Landesmann jest cynicznym oszustem. Dzisiaj daję pani szansę na poznanie prawdy.

Zoe zastanowiła się przez chwilę. Słowo „prawda” musiało zrobić swoje. Obserwując ekran monitora, Gabriel dostrzegł w oczach Zoe pierwsze oznaki niezdecydowania.

- Nie daję mi pan niczego - odparła ze złością Zoe. - Jak dotychczas widzę tylko próbę szantażu. Czy nie widzi pan w tym niczego nieetycznego?

- Całe życie zawodowe spędziłem w brytyjskiej służbie wywiadowczej, panno Reed. Jestem przyzwyczajony do poruszania się w sytuacjach, które rzadko są biało-czarne. Widzę świat takim, jaki jest naprawdę, nie używam różowych okularów. Poza tym chciałbym jeszcze raz podkreślić, że w żaden sposób pani nie szantażujemy. Cały czas ma pani możliwość wyboru.

- Jaki więc, według pana, mam wybór?

- Pierwsza opcja to pani zgoda na udzielenie nam pomocy, oczywiście ograniczonej do krótkiego czasu i niewielu spraw. Nikt się o niej nie dowie, chyba że pani złamie prawo o tajemnicy państwowej. A to pani zdecydowanie odradzam.

- A druga opcja?

- Zawożę panią do domu i całkowicie zapominamy o naszym spotkaniu.

Zoe robiła wrażenie, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- A co z tym całym błotem, którym pan i pana sojusznicy obrzuciliście mnie i Martina? Pewno trafi do jakiejś teczki, która będzie czekała na właściwy moment. A jak się wychylę czy zrobię coś, co zdenerwuje rząd Jej Królewskiej Mości, zebrane przez was informacje zostaną użyte przeciwko mnie.

- Gdybyśmy naprawdę tak działali, nie dopuścilibyśmy do publikacji pani artykułów o korupcji w Empire Aerospace. Rzeczywisty świat bardzo się różni od świata seriali telewizyjnych. Celem naszych służb bezpieczeństwa jest obrona brytyjskich obywateli, nie ich szykanowanie. Nie jesteśmy Rosjanami, na litość boską. Daję pani słowo, że jeśli pani teraz stąd wyjdzie, materiał, o którym mówiliśmy, zostanie natychmiast zniszczony.

Zawahała się.

- A jeżeli nie wyjdę?

- To usłyszysz pani bardzo ciekawą historię od bardzo interesującego mężczyzny. - Seymour wychylił się do przodu, krzyżując palce obu rąk i opierając łokcie na kolanach. - W swojej branży ma pani reputację prawdziwej profesjonalistki, panno Reed. Liczę, że ten fakt pomoże pani pozbyć się uczucia niesmaku, jakie nasza rozmowa mogła u pani pozostawić. Powtórzę raz jeszcze: wszystko, co pani wie o Landesmannie, jest kłamstwem. Stoi pani przed niepowtarzalną szansą zdemaskowania skorumpowanego i niebezpiecznego człowieka. Może pani sprawić, że życie nas wszystkich stanie się nieco lepsze.

W pokoju na górze Nigel Whitcombe i Gabriel z zapartym tchem wpatrywali się w ekrany monitorów. Whitcombe, jak później zdradził, był przekonany o porażce. Z kolei Gabriel, widząc w Zoe bratnią duszę o olbrzymim poczuciu odpowiedzialności za los innych, nie tracił nadziei. Widział, że sentyment, jaki Zoe dotychczas żywiła dla Martina, powoli ustępuje pod naporem faktów. W pewnej chwili dziennikarka podniosła oczy na Grahama Seymoura i zdecydowanym głosem spytała:

- Kim jest ten interesujący mężczyzna?

- To agent wywiadu obcego państwa. Sam fakt, że chce spotkać się z dziennikarką, świadczy o powadze sytuacji. Chcę panią uprzedzić, że mogła go pani już wcześniej poznać. Przypominam jeszcze raz, że nie wolno pani

opisywać ani jego, ani spraw, o których pani wkrótce usłyszysz. Powiniennem też dodać, że jakiegokolwiek pytania dotyczące jego osoby pozostaną bez odpowiedzi.

- Nadal nie powiedział mi pan, co miałabym robić.
- On panią poinstruuje. Czy mam go tutaj zaprosić, panno Reed? Czy też odwieźć panią do domu?

48.

HIGHGATE, LONDYN

Gabriel cicho wszedł do saloniku. Mogło się wydawać, że Zoe nie zauważyła jego obecności. Po chwili jednak odwróciła głowę i przyjrzała mu się dokładnie. Lampa oświetlała tylko połowę jej twarzy, resztę pozostawiając w cieniu. Wygląda jak portret Starych Mistrzów, pomyślał Gabriel. Reporterka wstała i wyciągnęła rękę.

- Mam na imię Zoe - powiedziała. - Kim pan jest?

Gabriel rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Grahama Seymoura i uściśnął podaną mu dłoń.

- Przyjacielem.

- To wymijająca odpowiedź.

Seymour chciał się włączyć do rozmowy, ale Gabriel uciszył go lekkim ruchem ręki.

- Obawiam się, że tego rodzaju zachowanie jest wpisane w zawód, który wykonujemy. Wymagamy prawdy, sami ukrywając się za parawanem.

- Czy ma pan zamiar mnie okłamywać?

- Nie, Zoe. Jeżeli pani mnie wysłucha, to pozna pani tylko prawdę.

- Wysłucham, ale to wszystko. Nie mam zamiaru zobowiązywać się do niczego.

- Czyżby pani obawiała się zaangażowania?

- Nie - odparła, patrząc mu w oczy. - A pan?

- Niektórzy twierdzą, że angażuję się aż za bardzo.

- W co?

- Zależy mi na tych samych sprawach, co pani, Zoe. Nie chcę, by mocniejsi wykorzystywali słabszych i kradli ich dorobek. I nie lubię ludzi otwarcie handlujących z reżimami, których celem jest starcie mojego kraju z mapy świata.

Zerknąwszy na Seymoura, Zoe wróciła wzrokiem do Gabriela.

- Mówi pan o Iranie.
- Tak.
- To oznacza, że jest pan Izraelczykiem.
- Tak.
- A drugie obce państwo zaangażowane w tę operację?
- To Stany Zjednoczone.
- No pięknie. - Usiadła i znów przyjrzała mu się uważnie.
- Czy chciałaby pani jeszcze mnie o coś zapytać, Zoe?
- Tak, o nazwisko.
- Podejrzewam, że już się pani domyśliła.

Ciemne oczy Zoe wpatrzyły się w jego twarz.

- Nazywa się pan Gabriel Allon i to pan uratował córkę amerykańskiego ambasadora przed Westminster Abbey.

- Jeżeli mnie pamięć nie myli, Elizabeth Halton została odbita z rąk porywaczy przez dwóch funkcjonariuszy stołecznej policji z wydziału SO dziewiętnaście.

- To tylko próba zatuszowania pana udziału w operacji. Porywacze zażądali, żeby to właśnie pan przekazał im okup, ponieważ chcieli zabić zarówno Elizabeth Halton, jak i pana. Nikt nie wie, jak im się pan wymknął i jak zabił później szefa kidnaperów gdzieś na północy Londynu.

- Nie można wierzyć wszystkiemu, co piszą gazety, Zoe.
- Czy rzeczywiście pan to zrobił? - spytała, mrużąc oczy. - Czy to tylko plotki? Czy to prawda, że torturował pan porywacza, by uratować życie Elizabeth Halton?

- A jeżeli tak, to co?
- Jako zdeklarowana dziennikarka lewicy byłabym tym oburzona.
- A gdyby była pani na miejscu Elizabeth Halton?
- Wtedy na pewno bym się modliła, żeby ten łajdak umarł w jak największych mękach. - Cały czas obserwowała go uważnie. - Czy powie mi pan w końcu, co się tam zdarzyło?

- Ale gdzie?

Zoe zmarszczyła brwi.

- Domaga się pan prawdy, a sam nie chce powiedzieć niczego o sobie.
- Nie znam wszystkich pani tajemnic, Zoe.
- Tak mi przykro - rzuciła ironicznie. - A co jeszcze chciałby pan o mnie wiedzieć?

- W tej chwili nie mam zamiaru niczego się dowiadywać. Chcę tylko, żeby pani mnie wysłuchała. Moja opowieść dotyczy skradzionego obrazu Rembrandta, żydowskiej fortuny zagrabionej w latach Zagłady, argentyńskiego dziennikarza Rafaela Blocha i niemieckiej firmy Keppler GmbH z Magdeburga. - Gabriel zawiesił głos. - Firmy, której niejawnym właścicielem jest Martin Landesmann.

- Tego rodzaju sprawy dobrze się sprzedają na rynku mediów. - Zoe zerknęła na Grahama Seymoura. - Czy to też podlega tajemnicy państwowej? Seymour skinął twierdząco głową.

- Szkoda.

Zoe spojrzała na Gabriela i poprosiła go, żeby opowiedział całą historię.

Przejścia Leny Herzfeld ją wzruszyły, problemy Petera Vossa zafascynowały, śmierć Rafaela Blocha i Alfonsa Ramireza zasmuciła, ale dopiero długa lista grzechów Martina Landesmanna sprawiła, że reporterka poczuła prawdziwą złość. Jej początkowe wahanie powoli ustępowało miejsca gniewowi, narastającemu wraz z każdą rewelacją przekazywaną przez Gabriela.

- Więc Martin Landesmann sprzedaje Iranowi urządzenia do produkcji broni jądrowej?

- To właśnie podejrzewamy, Zoe.

- Tylko podejrzewacie?

- W pracy wywiadu jest niewiele pewników, ale niektóre fakty są tu bezdyskusyjne. Martin sprzedaje zaawansowane technicznie urządzenia i przerzuca je trasą sponsorowaną przez państwo ajatollahów. Zarabia na tym ogromne pieniądze. Wiemy, że robi wszystko, aby swój proceder ukryć przed światem. Izrael śledzi irański proces budowy broni atomowej, więc nasze informacje na ten temat muszą być jak najdokładniejsze. W tym przypadku chcemy się dowiedzieć, co dokładnie Martin im sprzedaje. - Zamilkł na chwilę. - Dlatego prosimy panią o pomoc.

- Mnie? Wszystko, co wiem o interesach Martina, zawarłam w artykule, który według pana Seymoura nie oddaje całej prawdy. W jaki sposób mam się dowiedzieć, co Martin wysyła Irańczykom?

- To nie będzie takie trudne, Zoe - odparł Gabriel. - Ale zanim do tego przejdziemy, chciałbym się dowiedzieć od pani kilku rzeczy.

- A mianowicie?

- Jak to się stało? W jaki sposób zadała się pani z tym człowiekiem?

Uśmiechnęła się cierpko.

- Może w Izraelu obowiązują inne zwyczaje, panie Allon, ale u nas w Wielkiej Brytanii sprawy sercowe są uważane za prywatne. No, chyba że jest się politykiem czy znanym piłkarzem.

- Mogę panią zapewnić, Zoe, że nie mam najmniejszego zamiaru wypytwać o pani życie intymne.

- Więc co chce pan wiedzieć?

- Zacznijmy od czegoś prostego. Jak się poznaliście?

Zoe zastanowiła się na chwilę.

- To było dwa lata temu, w Davos. Martin właśnie wygłosił swoje coroczne przemówienie, jak zwykle robiąc wielkie wrażenie. Po wysłaniu raportu z pokoju prasowego skierowałam się do hotelu Belvedere. Powinien pan wiedzieć, że w Davos dzieje się najwięcej na przyjęciach koktajlowych i w dobrych hotelach. W barze zobaczyłam typowy obrazek - mieszankę gwiazd filmowych, polityków i biznesmenów.

- I Martina?

Skinęła głową.

- Wraz ze swoim towarzystwem siedział gdzieś w kącie sali, odgradzony od reszty ścianą ochroniarzy. Zamówiłam kieliszek wina i wpadłam w arcy-nudne towarzystwo jakiegoś afrykańskiego ministra finansów, przekonującego mnie o konieczności anulowania długów Czarnego Kontynentu. Po dziesięciu minutach rozmowy, gdy zaczęły mnie nachodzić myśli samobójcze, poczułam na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Facet miał ciemny garnitur, jasne, ostrzyżone na jeża włosy i mówił z niemieckim akcentem. Powiedział, że nazywa się Jonas Brunner i że jego pracodawca, Martin Landesmann, zaprasza mnie do swojego stolika na drinka. Oczywiście się zgodziłam.

- Czego Landesmann chciał?
- Od miesięcy uprzykrzałam się, prosząc go o wywiad. Martin powiedział, że chce zobaczyć na własne oczy najbardziej upartą kobietę świata.
- Czy uważała pani za normalne, że ktoś taki sam się do pani zwrócił?
- To nie miał być reportaż, po którym zostaje tylko spalona ziemia. Tym razem chciałam napisać o bogatym człowieku pomagającym innym. Powiedziałam Martinowi, że chcę pokazać moim czytelnikom, jaki jest po zejściu ze sceny.
- Wasze pierwsze spotkanie było oczywiście nieoficjalne?
- Całkowicie.
- O czym rozmawialiście?
- Niespodziewanie dla mnie samej, dużo mówiliśmy o charakterze mojej pracy, moich zainteresowaniach, mojej rodzinie. Sprawy Martina pozostawały tabu.
- Czy zrobił na pani wrażenie?
- Ogromne. To wyjątkowo przystojny i niewyobrażalnie bogaty człowiek. Poza tym zazwyczaj ci, z którymi się spotykałam, chcieli mówić przede wszystkim o sobie.
- Spodobał się pani?
- Raczej zaintrygował. Nie zapominajmy też, że marzyłam o tym wywiadzie.
- A Martin?
- W miarę upływu wieczoru Martin zaczął ze mną flirtować. Tak delikatnie, po swojemu. Wreszcie spytał, czy nie zjadłabym z nim kolacji w jego apartamencie, sugerując, że moglibyśmy się poznać lepiej. Kiedy powiedziałam mu, że uważam jego propozycję za niewłaściwą, wyglądał na bardzo zdziwionego. Widać było, że zwykle dostawał to, o co prosił.
- A wywiad?
- Myślałam, że już po wszystkim, ale los chciał inaczej. Scott Fitzgerald miał rację, twierdząc, że bogaci ludzie myślą całkiem inaczej niż pozostali. Niż pan czyja. Bogaci chcą mieć wszystko. A coś, czego nie mogą od razu dostać, tylko zaostrza ich apetyt.

- A Martin chciał pani.
- Wszystko na to wskazywało.
- Więc nie zrezygnował.
- Działał spokojnie i konsekwentnie. Dzwonił co kilka dni, rozmawialiśmy, wymienialiśmy swoje spostrzeżenia na różne tematy. Brytyjska polityka. Bank of England i polityka monetarna. Deficyt budżetowy Ameryki. - Zamilkła, po chwili dodała: - To było bardzo sexy.

- Ale nic osobistego?
- Jeszcze nie - odparła. - Po miesiącu zadzwonił do mnie późnym wieczorem i powiedział jedno słowo: Tak. Wsiadłam do najbliższego samolotu lecącego do Genewy i spędziłam trzy następne dni w jego twierdzy. Nawet dla tak doświadczonej dziennikarki jak ja to było niesamowite przeżycie. Kiedy artykuł się ukazał, spowodował sensację, stając się obowiązkową lekturą wszystkich polityków i biznesmenów na świecie. Ten wywiad ugruntował moją pozycję jako jednej z czołowych dziennikarek branży finansowej.

- Co o tym sądził Martin?
- Nie miałam zielonego pojęcia.
- Rozmowy telefoniczne się urwały?
- Kompletna cisza w eterze. - Zamilkła na chwilę. - Muszę przyznać, że byłam tym trochę rozczarowana, bo bardzo chciałam usłyszeć jego opinię. Wreszcie po dwóch tygodniach znów zadzwonił.

- Co powiedział?
- Chciał uczcić to, że przeżył atak ostrego pióra Zoe Reed. Zaprosił mnie na kolację. Nawet dodał, że mogę wziąć ze sobą partnera.

- Zaproszenie zostało przyjęte?
- Bez wahania. I przyszedłam sama. Zjedliśmy kolację w Londynie, w L'Autre Pied. Potem pojechałam z nim do hotelu. A później - Zoe zawiesiła głos - pozwoliłam się wziąć do łóżka.

- Żadnych rozterek związanych z etyką zawodową? Żadnych wyrzutów sumienia z powodu romansu z żonatym mężczyzną?

- Oczywiście czułam się nieswojo, nawet przyrzekłam sobie, że to już się nie powtórzy.

- Ale się powtórzyło.

- I to już następnego dnia.
- Zaczęliście się widywać regularnie?

Kiwnęła głową.

- Gdzie?

- Poza Londynem. Tutaj moja twarz jest zbyt znana. Spotykaliśmy się na kontynencie, zazwyczaj w Paryżu, czasami w Genewie, parę razy w jego górskim domu w Gstaad.

- Jak się porozumiewacie?

- Normalnie, panie Allon. Martin posiada bezpieczny system komunikacji.

- Bo ma powody, żeby się obawiać podsłuchów - powiedział Allon. - Kiedy macie się znów zobaczyć?

- Po tym, co mi pan naopowiadał? - uśmiechnęła się Zoe. - Rzeczywiście zaplanowaliśmy spotkanie za cztery dni, w Paryżu. W tydzień później powinienam polecieć do Genewy na coroczną galę bożonarodzeniową, którą Martin organizuje w Villa Elma. Każdego roku trzystu bardzo bogatych ludzi ma zaszczyt spędzić kilka godzin w samym sercu jego imperium. Cena wstępu na galę wynosi sto tysięcy euro, płatne na konto fundacji One World. Nawet przy takiej cenie wielu chętnych jest odprawianych z kwitkiem. Ja oczywiście nie muszę płacić, bo Martin lubi, jak jestem przy nim. - Zamilkła, po chwili dodała: - Nie przypuszczam, żeby Monique była z tego zadowolona.

- Wie o waszym romansie?

- Na pewno coś podejrzewa. Małżeństwo Martina i Monique to wielka gra pozorów. Mieszkają pod jednym dachem, ale tylko to ich łączy.

- Czy Martin kiedykolwiek wspominał o opuszczeniu żony?

- Ależ pan staroświecki, panie Allon. - Zoe kpiąco zmarszczyła brwi. - Samo przebywanie w towarzystwie Martina jest fajną przygodą. A kiedy się to skończy...

- On wróci do swojego życia, pani do swojego?

- Czy nie jest tak zawsze?

- Może i tak - odparł Gabriel. - Ale dla pani to wcale nie będzie takie łatwe.

- Dlaczego?

- Bo pani go kocha.

Na policzkach Zoe pojawił się ciemny rumieniec.

- Czy to takie widoczne?

- Niestety, tak.

- I mimo to chce mnie pan wykorzystać jako pomocnika?

- Wykorzystać? Nie, Zoe, nie mam zamiaru pani wykorzystywać. Pani zgoda na przystąpienie do naszej operacji będzie dla mnie zaszczytem. Jestem też pewien, że będzie to dla pani niepowtarzalna okazja poznania spraw, o jakich się nie śniło innym brytyjskim reporterom.

- W takim razie przejdźmy do szczegółowego omówienia mojej roli w planowanej akcji, panie Allon.

- Chcę, żeby pani ponownie zobaczyła się z Martinem w jego paryskim mieszkaniu. Poproszę, żeby właśnie tam wyświadczyła mi pani przysługę.

Minęła już północ, gdy limuzyna z Zoe Reed i Grahamem Seymourem cicho ruszyła spod domu w Highgate. W pięć minut później na ulicę wyszedł Gabriel w towarzystwie Nigela Whitcombe'a. Wsiadli do samochodu Nigela i pojechali cichymi ulicami Londynu, kierując się na południe. Whitcombe'owi nie zamykały się usta, jego partner ograniczył swój udział w rozmowie do okazjonalnych pomruków i potakiwań. Przy Marble Arch Gabriel wysiadł i poszedł dalej piechotą. W służbowym mieszkaniu przy Bayswater Road czekał na niego Ari Szamron w chmurze papierosowego dymu.

- I co? - spytał Szamron.

- Udało się.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Trzy dni.

Szamron się uśmiechnął.

- No to do roboty.

49.

HIGHGATE, LONDYN

Nawet dla przyzwyczajonych do pośpiechu funkcjonariuszy wywiadu czas na przygotowanie operacji był wyjątkowo krótki. Trzy dni na zrobienie z brytyjskiej dziennikarki wyszkolonego szpiega to naprawdę niewiele. W tym czasie musiała poznać podstawy fachu oraz nauczyć się tajników dwóch kluczowych dla sukcesu operacji urządzeń: chronionego przed podsłuchem telefonu komórkowego Martina Landesmanna i jego laptopa Sony VAIO Z Series.

Zadanie skomplikowało się jeszcze bardziej, gdy Gabriel zdecydował, że Zoe nie powinna przerywać pracy zawodowej. Oznaczało to, że szkolenia mogły się odbywać tylko wieczorem, po kolejnym wyczerpującym dniu pracy biurowej. Graham Seymour powoli tracił wiarę w powodzenie przedsięwzięcia, podobnie myśleli Amerykanie, którzy przyglądali się operacji coraz uważniej. Gabriel się nie poddawał. Randka w Paryżu musiała dojść do skutku, każda próba przesunięcia terminu spotkania mogłaby wzbudzić podejrzenia Landesmanna. Gabriel nie chciał, by Zoe z głową pełną tajemnic zdradziła się jakimś nieopatrznym gestem i skończyła jak Rafael Bloch.

Miejszem szkoleń był bezpieczny dom wywiadu w Highgate, który na jakiś czas musiał porzucić wygląd prywatnego klubu. Wszędzie na ścianach zawisły mapy, fotografie, wykresy, pokoje zostały zajęte przez Izraelczyków, bardziej przypominających zabieganych studentów niż doświadczonych pracowników wywiadu. Powitano Zoe jak dawno oczekiwaną przyjaciółkę, po chwili wszyscy stoczyli się przy stole na krótki posiłek złożony z curry. Przyjazna atmosfera panująca w zespole była jak najbardziej autentyczna. Podane przez członków grupy imiona - już mniej. Zoe najbardziej polubiła towarzystwo absolwenta Oksfordu Jossiego, ale intrygowała ją również atrakcyjna kobieta z długimi, ciemnymi włosami, która przedstawiła się jako Rachel.

Krótki czas szkolenia oznaczał konieczność skupienia się na samych podstawach szpiegowskiego fachu. Tuż po kolacji Zoe trafiła na „taśmę produkcyjną”. Przechodziła z pokoju do pokoju, od wykładu do wykładu, poznawała różne aspekty pracy wywiadowczej. Dowiedziała się, jak unikać inwigilacji, w jaki sposób utrzymywać kontakty w terenie, jak poruszać się w miejscach publicznych, jak ukrywać strach i emocje. Poznała też kilka metod walki wręcz. - Jest naturalnie agresywna - powiedziała Rimona Gabrielowi, przyciskając wóreczek z mrożonym groszkiem do spuchniętego oka. - Ma morderczy lewy łokieć.

Po pierwszym wieczorze ćwiczeń wszyscy jednogłośnie uznali Zoe za nadzwyczaj pojętną uczennicę. W ustach zespołu Gabriela był to ogromny komplement. Wrodzone umiejętności reporterskie Zoe umożliwiały jej wyjątkowo sprawne gromadzenie i sortowanie informacji oraz korzystanie z nich. Nawet Dina, chodząca baza danych światowego terroryzmu, zauważyła, że Zoe ma wprost fenomenalną pamięć. - Jest przyzwyczajona do pracy w pośpiechu - stwierdziła. - Im większa presja, tym lepiej pracuje.

Wieczorne szkolenie kończyło się w małym gabinecie na piętrze, gdzie pod okiem Gabriela Zoe ćwiczyła niedawno poznane procedury. Wiedziała, że jedna pomyłka może oznaczać porażkę całej operacji i śmiertelne niebezpieczeństwo, że czyhające za progiem wilki tylko czekają na jej potknięcie. Musiała pracować szybko i bezszelestnie. Szybkość była jej cechą wrodzoną, gorzej z pracą w absolutnej ciszy. Dopiero pod koniec drugiego wieczoru nagranie z sesji treningowej nie wykazało żadnego słyszalnego dla ludzkiego ucha hałasu.

Ekspresowe szkolenie Zoe było tylko jednym z wielu problemów, z którymi musiał sobie poradzić Gabriel. Wynajmował samochody, przerzucał dodatkowych ludzi na miejsce akcji i szukał bezpiecznego mieszkania na prawym brzegu Sekwany. Codziennie też brał udział w spotkaniach z kierownictwem bratnich agencji. Do prac zespołu Gabriela włączyli się inni: zespół MI6 do spraw Iranu, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Obrony. Liczba gości w Highgate była coraz większa. Gabriel miał świadomość, że współpraca z inną służbą wywiadowczą, nawet sprzymierzoną, niesie ze sobą ryzyko zdekspirowania własnych procedur operacyjnych.

Pracowali w domu należącym do kontrwywiadu brytyjskiego, ich każde słowo mogło być nagrywane i analizowane przez MI5. Stanowiło to cenę, jaką musieli zapłacić za brytyjski udział w akcji przeciw wrogowi Państwa Izraela. I za obecność Zoe.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Gabriel zrezygnował ze śledzenia ruchów Zoe na terytorium brytyjskim, pozostawiając to MI5. Mimo zastrzeżeń swoich prawników, Graham Seymour rozszerzył monitoring Zoe na jej telefon i komputer w „Financial Journal”. Ani nasłuch rozmów telefonicznych, ani analiza jej korespondencji elektronicznej nie ujawniły jednak niczego, co mogłoby zagrozić planowanej akcji. Martin Landesmann, właściciel i dyrektor zarządzający Global Vision Investments z Genewy, milczał.

Ostatniego wieczoru Zoe przyjechała do Highgate wyjątkowo skupiona. Jeśli nawet bała się najbliższej przyszłości, nie dała tego po sobie poznać. Bez wahania wkroczyła na „taśmę produkcyjną” i raz jeszcze przeszła z pokoju do pokoju, od rozmowy do rozmowy. Tak jak zwykle, jej wieczór zakończył się w gabinecie na piętrze. Gabriel wyłączył światło i uważnie słuchał, jak Zoe ćwiczy wyuczone procedury po raz ostatni.

- Zrobione - rzuciła. - Jaki miałam czas?
- Dwie minuty czternaście sekund.
- Dobrze.
- To bardzo dobrze.
- Jakiś hałas?
- Absolutnie nic.
- Kończymy?
- Jeszcze nie. - Gabriel włączył światło i spojrzał na nią poważnie. - Jeszcze może się pani rozmyślić, Zoe. Dopadniemy go jakoś inaczej. I zapewniam, że nawet zmiana decyzji nie zmieni naszego uznania dla pani.

- Tak, wierzę panu. - Zamilkła na chwilę. - Chciałabym jednak zdradzić coś na swój temat. Nie zmieniam raz podjętych decyzji, nie łamię obietnic i nie cierpię popełniać błędów.

- Mamy takie same przypadłości, Zoe.

- Tak właśnie mi się wydawało.

Zoe podniosła używany do ćwiczeń telefon.

- Jakieś ostatnie uwagi?
- Mój zespół dobrze przygotował panią do akcji, Zoe.
- Tak. - Podniosła wzrok. - Ale oni nie dorastają panu do pięt.

Gabriel wyjął telefon z jej dłoni.

- Proszę poruszać się cicho, lecz szybko. Niech się pani nie skrada jak włamywacz. Zanim pani coś zacznie robić, proszę najpierw to sobie wyobrazić. Ochroniarze to nasz problem, poradzimy sobie z nimi. Pani ma się zająć tylko Martinem.

- Mogę sobie nie poradzić z udawaniem, że go nadal kocham.
- Ludzie to urodzeni kłamcy. Kręcą i oszukują setki razy każdego dnia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Martin Landesmann jest mistrzem kłamstwa, ale z pani pomocą pokonamy go jego własną bronią. Umysł ludzki jest jak zbiornik, który można napełniać i opróżniać. Z chwilą pani wejścia do mieszkania Martina my przestaniemy istnieć. Będzie tylko Martin. Czy pani tego chce, czy nie, musi pani spędzić z nim jeszcze jedną noc.

- A potem?
- Potem wróci pani do swojego wcześniejszego życia i zapomni o tym, co się stało.

- A jeżeli to będzie niemożliwe?

- Nasz umysł jest jak zbiornik. Otwieramy zawór i pamięć wycieka.

Powiedziawszy to, Gabriel odprowadził ją na dół do czekającego przed bramą rovera MI5. W samochodzie od razu wyjęła komórkę i zadzwoniła do biura, żeby w czasie krótkiej podróży do Hampstead nie tracić cennego czasu. Ponieważ parę godzin wcześniej telefon ten trafił w uzdolnione ręce Mordechaja, zespół Gabriela mógł teraz śledzić każdą rozmowę Zoe. Najpierw usłyszeli jej słowa skierowane do kierowcy rovera, a następnie dyskusję z redaktorem naczelnym „Financial Journal”, Jasonem Turnburym. Po pięciu minutach pracownicy Gabriela weszli w posiadanie zawartości telefonicznej skrzynki pocztowej Zoe, treści jej wszystkich SMS-ów i kilkumiesięcznej historii poruszania się po Internecie. Ściągnęli też kilkadziesiąt zdjęć z pamięci telefonu - na jednym z nich obnażony do pasa Martin opalał się na tarasie swojego górskiego domu w Gstaad.

Zdjęcie Martina spowodowało głośną kłótnię w bardzo potocznej hebrajszczyźnie, praktycznie niezrozumiałej poza Izraelem. Trapiiony problemami w życiu osobistym Jakow natychmiast wniósł o natychmiastowe przerwanie operacji. - Istnieje tylko jeden powód, dla którego kobieta trzyma tego rodzaju zdjęcia. Ona nadal go kocha. Zaraz po tym, jak dzisiaj wieczorem wejdzie do mieszkania Landesmanna, pogrąży nas wszystkich. - Dopiero Dinie, smutnej Dinie, udało się go przekonać. - Czasami kobieta lubi popatrzeć na kogoś, kim pogardza. Jestem pewna, że Martin jest teraz dla Zoe najbardziej znieawidzonym człowiekiem na świecie. I że pragnie jego upadku nie mniej niż my.

W godzinę później z Genewy zadzwonił Martin, mówiąc, że nie może się doczekać spotkania w Paryżu. Kontakt był krótki, zachowanie Zoe nienaganne. Po zakończeniu rozmowy reporterka bezzwłocznie zadzwoniła do Highgate, meldując o zdarzeniu. W chwilę potem zespół usłyszał coś, co rozwiąło wszystkie wątpliwości.

- Drań - mruknęła Zoe pod nosem, kładąc się do snu.

Następnego poranka na dziewiątym piętrze Thames House Gabriel zobaczył nadzwyczaj liczną reprezentację urzędników z Whitehall. Po godzinie wnikliwej indagacji Gabriel musiał solennie obiecać, że w razie wpadki na francuskim terytorium nikt nie wspomni o brytyjskim czy amerykańskim udziale w prowadzonej operacji. Nie było żadnych formularzy do podpisania, więc Gabriel złożył przyrzeczenie, unosząc do góry prawą dłoń. Gdy wyszedł z sali, Seymour zaproponował mu podwiezienie do stacji St Paneras.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - spytał Gabriel, gdy samochód skręcił w Horseferry Road.

- Chciałem z tobą zamienić kilka słów na osobności.

- Na jaki temat?

- Na temat komórki Zoe. - Seymour spojrzał na Gabriela i zmarszczył brwi. - Zawarliśmy umowę, z której wynika, że tylko my możemy prowadzić inwigilację Zoe. Wczoraj dowiedziałem się, że już zdążyłeś zlekceważyć te ustalenia.

- Przecież nie mogłem jej wysłać do mieszkania Martina bez nasłuchu.

- Pamiętaj o jednym: w momencie jej powrotu na terytorium brytyjskie

wasz nasłuch się kończy. Jak dotychczas współpraca przebiegała bez zakłóceń, więc postarajmy się, żeby tak zostało, dobrze?

- Największe zakłócenie powstanie, jeśli stracimy Zoe w Paryżu.
- Ale to jej nie grozi, prawda?
- Na pewno nie, jeżeli nikt mi nie będzie przeszkadzał w kierowaniu operacją.

Seymour spojrział przez okno na Tamizę.

- Nie muszę ci przypominać, że w tej chwili kariera zawodowa kilku osób, w tym moja, jest w twoich rękach. Rób, co trzeba, aby wejść do telefonu i komputera Landesmanna, ale pamiętaj o jednym: nasza dziewczyna musi wrócić do domu.

- Taki jest mój plan.

- Tak - powiedział zamyślony Seymour. - Ale wiesz, jakie bywają plany. Nie zawsze kończą się sukcesem. Nasza administracja najbardziej boi się katastrof, zwłaszcza tych na terytorium francuskim.

- Czy chciałbyś być osobiście na miejscu i nadzorować akcję?

- Dobrze wiesz, Gabrielu, że nasze prawo zabrania mi działalności poza brytyjskim terytorium.

- Jak możesz zdobyć jakiegokolwiek informacje wywiadowcze, skoro musisz przestrzegać tych wszystkich zasad?

- Nie jesteśmy tacy, jak wy. Jesteśmy Brytyjczykami. Nam zasady nie przeszkadzają.

50.

MAYFAIR, LONDYN

Tak jak w przypadku większości spraw związanych z operacją Arcydzieło, wybór centrum operacyjnego był przedmiotem ożywionej dyskusji. Z dwóch powodów, praktycznego i statutowego, budynek MI5 został uznany za niewłaściwy w przypadku nadzorowania działań poza terytorium brytyjskim. Nie pomógł nawet fakt, że akcja miała się rozgrywać tuż za miedzą, bo w Paryżu. MI6, co było do przewidzenia, zaproponowało umieszczenie centrum w Vauxhall Cross. To z kolei natrafiło na zdecydowany sprzeciw Grahama Seymoura, z coraz mniejszym skutkiem walczącego o niedopuszczenie sławnego rywala do operacji, którą uważał za swoją. Ponieważ Izraelczycy w Londynie nie mieli, przynajmniej oficjalnie, swojego centrum, do gry musieli wejść Amerykanie. Zarządzanie akcją z biura CIA miało wiele zalet, zarówno politycznych, jak i czysto praktycznych. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że amerykańskie możliwości techniczne zdecydowanie przewyższają brytyjskie. Po ostatniej wizycie w ogromnych podziemiach agencji przy Grosvenor Square Seymour stwierdził, że Amerykanie mogliby stamtąd kierować działaniami wojennymi, a nikt w Whitehall nawet by o tym nie wiedział. - Kto, do licha, pozwolił im na budowę takiego kompleksu? - spytał premier. - Pan, panie premierze - odparł Seymour.

Po podjęciu decyzji o lokalizacji centrum operacyjnego nastąpił czas na ustalenie składu obserwatorów akcji. Zgodnie z tradycją, lista chętnych okazała się wyjątkowo długa - tak długa, że Seymour musiał przypomnieć niektórym kolegom z branży, że w grę wchodzi działanie wywiadu, a nie premiera na West Endzie. Co więcej, operacja ta mogła dostarczyć delikatnego w swej treści materiału dowodowego, więc musiała być prowadzona z nadzwyczajną dyskrecją. Uzgodniono więc, że wszyscy zainteresowani zostaną jak najszybciej

poinformowani o wynikach operacji, jednak zaproszenia do centrum uzyskali tylko szefowie trzech agencji biorących w niej udział. Członkowie tajnego stowarzyszenia od brudnej roboty, którzy nigdy nie bali się konsekwencji swoich działań, musieli być na posterunku.

Centrum operacyjne CIA znajdowało się dziesięć metrów pod powierzchnią południowo-zachodniej części Grosvenor Square. Tuż nad głowami jego pracowników każdego dnia ustawiała się długa kolejka po amerykańską wizę, w której niejedyn raz czaili się złoczyńcy, pragnący przenieść wojnę na terytorium Ameryki. Seymour uważał tę sytuację za dość zabawną.

Ośrodek CIA oficjalnie nie istniał, więc nie miał nazwy. Wtajemniczeni określali go po prostu jako aneks. Jego sercem było pomieszczenie o wyglądzie amfiteatru, w którym szeregi ogromnych ekranów pokazywały obrazy z każdego miejsca na naszej planecie. Przylegała do niego oszklona, zabezpieczona przed podsłuchem sala spotkań, ochrzczone mianem akwarium. Z drugiej strony sali widniał co najmniej tuzin pomalowanych na szaro drzwi, prowadzących do biur amerykańskich agencji antyterrorystycznych i wywiadowczych, których nazw nawet pracujący od dawna w branży Graham Seymour nie był w stanie zapamiętać. Amerykański system bezpieczeństwa przypominał mu amerykańskie samochody - duże, efektowne, ale niekoniecznie najbardziej wydajne.

Gdy Graham Seymour wszedł do aneksu tuż po godzinie osiemnastej, Adrian Carter już tkwił w swoim fotelu stojącym na podeście w tyle sali. Po prawej siedział Ari Szamron z objawami nadmiernego pobudzenia nikotyną. Seymour zajął miejsce z drugiej strony Cartera i podniósł wzrok na wznoszącą się przed nimi ścianę monitorów. Środkowy ekran właśnie pokazywał zrobiony kamerą przemysłową statyczny obraz gmachu „Financial Journal”.

Ostatnie godziny londyńskiej pracy Zoe znalazły się pod troskliwą obserwacją agencji wywiadowczych trzech różnych państw. Dzień reporterki zaczął się źle, opóźnienie metra na znanej z problemów Northern Line wyniosło dwadzieścia minut. Zirytowana Zoe dotarła do pracy dopiero o godzinie 9:45. Po południu zjadła lunch w towarzystwie jednego ze swoich informatorów w przyjemnym bistro niedaleko katedry St Paul. Wracając do biura, wstąpiła do drogerii Boots po kilka drobiazgów, których wywiadowcy MI5 nie byli w stanie

zidentyfikować. Kilka nieprzyjemnych godzin spędziła z firmowym prawnikiem, omawiając sposoby uniknięcia grożącego jej procesu o zniesławienie osób związanych z aferą korupcyjną w Empire Aerospace. Pod koniec dnia wysłuchała od Jasona Turnbury'ego kolejnej nagany za tradycyjne już przekroczenie miesięcznego budżetu wydatków.

Wyszła z redakcji o 18:15, kilka minut później niż zalecił jej Gabriel. Nieprzypadkowo przejeżdżająca taksówka w ekspresowym tempie zawiozła ją na stację St Paneras. Szybko przeszła kontrolę paszportową i ruszyła w stronę peronów. Tuż przed wejściem do pociągu zagadnął ją nieznanemu mężczyzna o wyglądzie lubieżnego finansisty, reklamujący się jako jej największy fan.

Szczęśliwie dla Zoe okazało się, że miejscówka jej wielbiciela znajduje się w innym wagonie. Obok niej usiadła znajoma z Highgate, cicha, ciemnowłosa dziewczyna o imieniu Sally. W pobliżu Zoe dostrzegła też innych znajomych: szczupłego Maxa o rozwichrzonych włosach, staromodnie ubranego Davida i dwóch innych. Nikt nie musiał przekazywać centrali na Grosvenor Square informacji, że wszyscy zdążyli na pociąg - telewizja przemysłowa zrobiła to za nich.

- Jak dotąd nieźle - powiedział Szamron, nie spuszczać wzroku z ekranu. - Teraz czas na głównego aktora.

W centrum operacyjnym już wiadano, że Martin Landesmann spóźni się na spotkanie w Paryżu. Po godzinie porannego treningu wioślarskiego na Jeziorze Genewskim w towarzystwie doradców polecił swoim odrzutowcem do Wiednia na pertraktacje z przedstawicielem dużego koncernu chemicznego. O trzeciej po południu zakończył rozmowy, wtedy też zaczął padać lekki śnieg. Od tego momentu scenariusz dnia się skomplikował. Gdy Martin i jego towarzysze dotarli na lotnisko Schwechat, rozpętała się burza śnieżna.

Przez następne dwie godziny Martin z cierpliwością godną mnicha siedział w lotniskowej poczekalni dla VIP-ów, a jego doradcy gorączkowo próbowali uzyskać pozwolenie na wylot samolotu. Napływające prognozy nie nastrajały optymistycznie. Planowe rejsy były opóźnione, portowi lotniczemu groziło całkowite zamknięcie. Mimo wszystko o piątej po południu odrzutowiec Landesmanna w drodze wyjątku uzyskał pozwolenie na start i o wpół do

szóstej już leciał do Paryża. Zgodnie z poleceniem Gabriela, nikt z pracowników wywiadu nie próbował fotografować przybycia Martina na Le Bourget ani jego odjazdu w konwoju kilku mercedesów klasy S. Trzy samochody skierowały się do Hôtel de Crillon, jeden do kremowej kamienicy na Île Saint-Louis.

Gabriel Allon stojący w oknie mieszkania operacyjnego na brzegu Sekwany po raz pierwszy zobaczył z bliska swojego przeciwnika. Martin wysiadł z samochodu, otworzył drzwi do budynku i wszedł do środka. W ręce trzymał elegancką skórzaną teczkę z laptopem. Tak jak wszystkie publiczne wystąpienia Martina, scena ta nie trwała długo. To nic. I tak temu wzorowi cnót wszelakich wkrótce zdejmujemy maskę, pomyślał Gabriel. Z niechęcią zdał sobie sprawę, że profesjonalizm Szwajcara może budzić podziw.

Podniósł do oczu lornetkę na podczerwień i przyjrzał się miejscu akcji. Jakow siedział w zaparkowanym na brzegu Sekwany peugeocie, Oded we wciśniętym w uliczkę przylegającą do domu Martina hatchbacku renault, Mordechaj w fordzie furgonetce pod Pont Marie. Wszyscy byli przygotowani na bezsenną noc. Czuwali także trzej mężczyźni rozparci w czarnym stojącym przy Quai de Bourbon 21 mercedesie klasy S: Henri Cassin, paryski kierowca Martina, i dwóch zawodowych ochroniarzy z Zentrum Security. Usłyszawszy ostry trzask zakłóceń w eterze, Gabriel odłożył lornetkę i obrócił się do Chiary, ślęczącej nad laptopem monitorującym komórkę Zoe.

- Jakiś problem?

Chiara potrząsnęła głową przecząco.

- Jej pociąg wjechał w tunel.

- Gdzie teraz jest?

- Właśnie dojeżdża do stacji.

Gabriel odwrócił się do okna i znów podniósł lornetkę do oczu. Martin stał na brzegu tarasu, wzrok miał skierowany na rzekę, komórkę Nokii przy uchu.

Po kilku sekundach z komputera Chiary Gabriel usłyszał dwutonowy sygnał, a po nim głos Zoe.

- Dzień dobry, kochanie.

- Gdzie jesteś?

- Właśnie wjeżdżam na stację.

- Jaką miałaś podróż?
- Całkiem znośną.
- Jak było w pracy?
- Niewyobrażalnie źle.
- Co się stało?
- Prawnicy, kochanie. To wszystko wina prawników.
- Potrzebujesz mojej pomocy?
- Niestety tak.
- Do zobaczenia za chwilę.

Skończyli rozmowę. Chiara podniosła wzrok znad komputera.

- Daje sobie radę.
- Tak. Ale pamiętaj, że kłamstwa przez telefon są łatwe. Gorzej, gdy stajesz z kimś twarzą w twarz.

Gabriel wrócił do swojego punktu obserwacyjnego. Martin znów rozmawiał przez komórkę, tym razem nie mogli go podsłuchać.

- Czy Zoe już wysiadła z pociągu?
- Właśnie wychodzi na peron.
- Idzie w dobrym kierunku?
- I to bardzo szybko.
- Mądra dziewczyna. Miejmy nadzieję, że dotrze do samochodu, zanim ktoś jej ukradnie torebkę.

Zoe nie mogła zrozumieć, dlaczego aspirujący do miana najbardziej prestiżowej linii kolejowej świata Eurostar kończy swój bieg w miejscu tak mało atrakcyjnym jak Gare du Nord. Ten niegościnnie nawet w świetle dziennym dworzec zimą o 22:17 wyglądał wręcz odpychająco. Papierowe kubki i opakowania po jedzeniu leżały wokół przepelnionych koszy na śmieci, między pasażerami snuli się oszołomieni narkomani, zmęczeni emigranci siedzieli na zniszczonych walizkach, oczekując pociągów donikąd. Kiedy Zoe wyszła na plac Napoleona III, natychmiast otoczyli ją uliczni sprzedawcy. Szybko przeszła obok nich z pochyloną głową i w milczeniu wsiadła do czekającego na nią czarnego samochodu z tabliczką REED za szybą.

Ruszyli. Serce Zoe zabiło w przyśpieszonym tempie. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie poprosić kierowcy o powrót na stację. Gdy spojrzała za

siebie, na drodze dostrzegła sylwetkę motocyklisty w kasku. Rozpoznała go po butach - był to znajomy szczupły chłopak o jasnych oczach, mówiący z rosyjskim akcentem.

Uprzejmie dała do zrozumienia kierowcy, że nie ma ochoty na rozmowę. Musiała się skupić przed akcją. Po raz kolejny przećwiczyła w pamięci wyuczone procedury, następnie zamknęła oczy i próbowała myśleć o czymś innym. Niestety, okazało się to niemożliwe. Powtarzała sobie jak mantrę, że nadal ma być sobą - tylko o kilka dni musi cofnąć się w przeszłość. Powinna znów stać się osobą sprzed spotkania z Grahamem Seymourem, kobietą utrzymującą swoją znajomość z Martinem w tajemnicy, w imię miłości gotową do poświęcenia swojej reputacji zawodowej.

Umysł jest jak zbiornik, otworzysz zawór i pamięć wycieknie, powiedział Gabriel.

W takim nastroju Zoe Reed życzyła kierowcy dobrej nocy i wysiadła z samochodu. Wprowadziła kod dostępu na panelu przy drzwiach budynku, weszła do eleganckiej windy. To już nie jest bezpieczny dom w Highgate, pomyślała. Nie ma tu staroświecko ubranego Davida czy zielonookiego zabójcy, Gabriela Allona. W mieszkaniu będzie tylko Martin Landesmann. Po chwili zobaczyła go w drzwiach mieszkania z butelką jej ulubionego wina montrachet, poczuła jego wargi na swoich ustach, usłyszała ciepłe słowa powitania.

Chcąc nie chcąc, musisz spędzić z nim jeszcze jedną noc.

A potem?

Potem wrócisz do swojego wcześniejszego życia i zapomnisz o tym, co się stało.

Wiadomość o przyjeździe Zoe pojawiła się na ekranach centrum operacyjnego w Londynie o godzinie 21:45 czasu miejscowego. Łamiąc wszelkie obowiązujące w aneksie zasady, Ari Szamron natychmiast zapalił jednego ze swoich cuchnących tureckich papierosów. Pozostawało tylko czekanie. Boże, jak on nie lubił czekać.

51.

ÎLE SAINT-LOUIS, PARYŻ

Miał na sobie ciemnoszary sweter z kaszmirowej wełny, spodnie w kolorze grafitu i czarne zamszowe buty. Gama szarości dobrze pasowała do jego srebrnych włosów i okularów w jasnych oprawkach, tworząc nastrój jezuickiej powagi. Tak właśnie Martin chce być widziany przez innych, pomyślała Zoe. Jako liberalny, europejski myśliciel, nie tylko syn szwajcarskiego bankiera. Z niepokojem uświadomiła sobie, że jej myśli wchodzą na niebezpieczne terytorium. Nie wiesz o nim nic, powiedziała sobie. Nie słyszałaś o Lenie Herzfeld, nazistowskim przestępcy Kurcie Vossie czy obrazie Rembrandta. Od tej chwili istnieje tylko Martin. Martin, który właśnie otworzył butelkę Montrachet i uważnie rozlewał ciemnozłote wino.

- Zamyśliłaś się, Zoe. - Podał jej kieliszek i lekko uniósł swój. - Na zdrowie.

Zoe wzięła się w garść.

- Wybacz. Miałam naprawdę ciężki dzień.

Współczująca mina Martina nie wypadła zbyt przekonująco. Wypił łyk wina i odstawił kieliszek na brzeg znajdującego się w środku imponującej kuchni długiego stołu z granitowym blatem. Jedna z wpuszczonych w sufit halogenowych lamp, jak reflektor teatralny, oświetlała gospodarza. Martin odwrócił się, otworzył dobrze zaopatrzoną przez gospozię lodówkę. Wyjąwszy z niej kilka białych kartoników z gotowym jedzeniem, ustawił je w szeregu na blacie stołu. Martin, uświadomiła sobie Zoe, wszystko robił starannie.

- Wydawało mi się, że możemy rozmawiać o wszystkim, Zoe.

- Bo możemy.

- Dlaczego więc nie chcesz mi opowiedzieć o swoim dniu pracy?

- Bo czas, jaki spędzamy razem, jest na to zbyt krótki. Ostatnią rzeczą, jaką chcę z tobą robić, jest omawianie jakichś nudnych szczegółów mojej pracy.

Martin przyjrzał się jej uważnie z miną, jaką przybierał w Davos, odpowiadając na pytania z audytorium. Zaczął otwierać pojemniki z jedzeniem. Jego dłonie wyglądały jak wyrzeźbione w białym marmurze. Prozaiczne czynności nabierały cech surrealizmu. Wszystko jest tu iluzją, pomyślała Zoe. Tak samo jak jego fundacja, dobroczynność czy postępowe poglądy polityczne.

- Mimo wszystko opowiedz - powiedział.

- Chcesz się ponudzić?

- Nigdy się z tobą nie nudzę, Zoe. Zawsze potrafisz mnie czymś zaskoczyć.

Rozległ się cichy sygnał nokii. Martin wyjął ją z kieszeni i gdy zobaczył, kto dzwoni, bez słowa odłożył na bok.

- Co mówiłaś?

- Grozi mi sprawa sądowa.

- Ze strony Empire Aerospace?

Zoe była zaskoczona.

- Przeczytałeś mój artykuł?

- Czytam wszystko, co piszesz, Zoe.

Oczywiście. Nagle przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Grahamem Seymourem. *Jest pani śledzona, a pani telefon jest na podłuchu...*

- I co o tym sądzisz?

- Poruszyłaś bardzo ciekawe tematy. Jeżeli rzeczywiście Empire Aerospace i brytyjscy politycy są winni korupcji, to powinni stanąć przed sądem.

- Czy jesteś o tym przekonany do końca?

- O ich winie? - Zmarszczył czoło w skupieniu i starannie umieścił porcję zielonej fasolki w rogu prostokątnej tacy. - Oczywiście są winni, Zoe. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego wszyscy w Londynie udają zaskoczenie. W branży zbrojeniowej opłacanie zagranicznych polityków jest prawie zasadą.

- Może i jest - zgodziła się Zoe. - Ale to wcale nie oznacza, że tego rodzaju zachowanie jest słuszne.

- Oczywiście masz rację.

- Czy myślałeś kiedyś o tym?

Martin położył dwie porcje zapiekanki obok zielonej fasolki.

- O czym?
- O daniu łapówki jakiemuś politykowi?

Uśmiechnął się lekko i położył na tacy kilka kawałków nadziewanej piersi kurczaka.

- Wydaje mi się, że znasz mnie wystarczająco dobrze, by znać odpowiedź na to pytanie. Jestem bardzo wybredny w wyborze firm, które kupuję. Nawet się nie zbliżam do zbrojeniówki.

To prawda, pomyślała Zoe. Zamiast tego masz takie fabryki, jak chemiczny koncern w Wietnamie, który zatruwa rzeki w promieniu stu kilometrów, przędzalnię opartą na niewolniczej sile roboczej w Tajlandii czy brazylijski agrobiznes niszczący dżunglę, do której obrony tyle razy publicznie nawoływałeś. Albo niewielką firmę w Magdeburgu, prowadzącą ożywiony handel z irańskimi wyznawcami pokrewnej filozofii rasowej. Zorientowała się, że jej myśli znów zbczyły z bezpiecznego toru. Dosyć tego, postanowiła.

Martin dołożył kilka plasterów francuskiej szynki i zaniósł tacę do jadalni, gdzie czekał na nich nakryty stół. Zoe zatrzymała się przy oknie, by przez chwilę obserwować płynącą w dole Sekwanę. W tym czasie Martin z powagą napełnił jej talerz i dolał wina. Dopiero gdy nałożył jedzenie również dla siebie, spytał o szczegóły oskarżenia, o którym wspomniała Zoe.

- Celowe ignorowanie faktów - powiedziała Zoe. - I tym podobne bzdury.
- Czy to tylko sztuczka prawna?
- W najgorszym wydaniu. Mój reportaż jest nie do podważenia.
- Nieźle znam dyrektora generalnego Empire. Jeżeli chcesz, mogę z nim porozmawiać.

- I wszystko wyciszyć?

Martin nie odpowiedział.

- Dziękuję za propozycję, Martin, ale dam sobie radę.
- Czy masz za sobą zarząd?

- Chwilowo tak, ale wiem, że Jason Turnbury jest jak chorągiewka na wietrze.

- Jason wkrótce odejdzie.

Zaskoczona Zoe spojrzała na Martina.

- Skąd te wiadomości?
- Przecież wiem wszystko. Jeszcze tego nie zauważyłaś?

Zoe zarumieniała się i uśmiechnęła trochę zbyt pogodnie.

- Mówisz to tak często, że zaczynam ci wierzyć.
- Powinnaś też wiedzieć, że sytuacja finansowa twojego tygodnika wygląda gorzej, niż ci się wydaje. Jason ma szalupę ratunkową, w każdej chwili może przejść do centrali Lathama. Jednak cała reszta kierownictwa, łącznie z pracownikami redakcji, najprawdopodobniej zostanie zwolniona.

- Jak długo możemy się utrzymać na rynku?
- Jeżeli nikt was nie kupi lub nie zainwestuje w firmę dużych pieniędzy, wasz koniec jest bliski.

- Skąd to wiesz?
- Tydzień temu Latham zaproponował mi kupno „Journala”.
- Żartujesz. To by jeszcze bardziej skomplikowało nasz związek.
- Nie martw się, Zoe. Powiedziałem mu, że nie jestem zainteresowany.

Media nie mieszczą się w naszej głównej strategii rozwoju, to tylko ułamek naszego potencjału. Zresztą, po co inwestować w gazetę, która przynosi straty.

- Uniósł telefon komórkowy. - Nie można oczekiwać zapłaty za coś, co jest bezwartościowe.

- A co z „Journalem”?
- Ktoś chce wam pomóc.
- Kto?
- Wiktor Orłow.

Zoe знаła to nazwisko. Orłow był jednym z pierwszych rosyjskich oligarchów, którzy na demontażu radzieckiego imperium zarobili miliardy. Tak jak większość jemu podobnych po jakimś czasie został zmuszony do opuszczenia swojego kraju. Mieszkał teraz w Anglii, w jednej z najdroższych londyńskich rezydencji.

- Kilka miesięcy temu Wiktor dostał brytyjskie obywatelstwo - powiedział Martin. - Chce uczcić to zdarzenie, kupując jedną z brytyjskich gazet. Uważa, że nabycie „Journala” da mu przepustkę do londyńskiego towarzystwa,

na czym mu bardzo zależy. Jednak, przede wszystkim, chce użyć waszej gazety jako narzędzia do walki ze swoimi wrogami w Rosji. Jeżeli ten zamiar mu się powiedzie, „Journal” całkowicie zmieni swój charakter.

- A jeżeli nas nie kupi?

- To wkrótce znikniecie z rynku. Pamiętaj, Zoe, nie wolno ci się przyznać, że usłyszałaś to ode mnie.

- Możesz być spokojny.

- Mam taką nadzieję.

Zoe roześmiała się mimowolnie, dziwiąc się łatwości, z jaką przeszli na swój zwykły ton swobodnej rozmowy. Wiedziała, że nie powinna z tym walczyć. Tak samo jak nie powinna spoglądać na leżący przy łokciu Martina telefon komórkowy czy spoczywający na stole kuchennym laptop.

- Jak dobrze znasz Wiktora?

- Dosyć dobrze. - Martin zabrał się za jedzenie. - Wprosił się na moją kolację za tydzień w Villa Elma.

- Jak to zrobił?

- Wypisał czek na milion euro dla fundacji One World. Tak prywatnie, to ani Wiktor, ani jego metody zarabiania pieniędzy mi się nie podobają, ale chcę dać ci możliwość poznania nowego właściciela twojej gazety. - Spojrzał na nią poważnie. - Bo tam będziesz, prawda?

- To zależy, czy zapewnisz mi bezpieczeństwo.

- O co ci chodzi?

- O twoją żonę. Mówię o Monique.

- Monique ma swoje życie, ja mam swoje.

- Ciekawe, co powie na skandaliczny dekolt w sukni od Diora, w której wystąpi partnerka jej męża.

- Więc dostałaś mój prezent?

- Tak, dostałam. Naprawdę nie powinienes.

- Oczywiście że powinienem. Mam nadzieję, że włożysz ją w przyszłym tygodniu.

- Jestem pewna, że ci się spodoba.

Patrząc w talerz, spytał od niechcienia.

- Chcesz z kimś przyjść?

- Jason chciałby się tu pokazać, ale jeszcze się nie zdecydowałam.
- Może byś przyszła z kimś innym, a nie ze swoim dawnym kochankiem?
- Nie byliśmy kochankami, lecz totalną porażką.
- Jemu nadal na tobie bardzo zależy.

Spojrzała figlarnie.

- Coś mi się wydaje, że Martin Landesmann jest zazdrosny.
- Nie jestem zazdrosny, Zoe, po prostu nie lubię być oszukiwany.

Zoe spoważniała.

- Jeżeli się zastanawiasz, czy w moim życiu oprócz ciebie jest jeszcze ktoś inny, to ci mogę powiedzieć, że nie, nie mam nikogo innego. Na dobre i na złe tylko ty.

- Na pewno?
 - Na pewno. A jeżeli tego chcesz, to z przyjemnością zaraz ci to udowodnię.
- Skończ kolację, Zoe.
- Już skończyłam - odparła Zoe z uśmiechem.

Zgarbiony nad komputerem Gabriel siedział w mieszkaniu na brzegu Sekwany i, przyciskając pięści do skroni, nasłuchiwał z zamkniętymi oczami. Ukryty w nim pod tysiącem ran i blizn zwyczajny człowiek domagał się wyciszenia głośnika, profesjonalizm jednak mu na to nie pozwalał. *Dla twojego dobra, Zoe. Żebyś była bezpieczna.*

Z podniesionym do oczu noktowizorem podszedł do okna, by sprawdzić swoich ludzi. Jakow był w Peugeotzie. Oded w Renault. Mordechaj w Fordzie furgonetce. Michał i Jossi popijali piwo na nabrzeżu Sekwany w towarzystwie jakichś młodocianych chuliganów. Rimona i Dina siedziały na skuterach przed Hôtel de Ville. Zaszyfowanym sygnałem radiowym kazał wszystkim się mel-dować. Nocni żołnierze Gabriela po kolei karnie się zgłaszali.

Skierował lornetkę na drzwi budynku o kremowej fasadzie, przed którymi w świetle ulicznej lampy przechadzał się ochroniarz z Zentrum Security. Wiem, co czujesz, Zoe, pomyślał Gabriel. Czekać może być piekłem.

52.

ÎLE SAINT-LOUIS, PARYŻ

Blade światło księżycy wpadało przez odsłonięte okno, malując jasnoblękitny kształt rombu na zmiętej satynowej pościeli ogromnego łóżka Martina. Leżąc w milczeniu Zoe słuchała cichego szumu budzącego się do życia brzegu Sekwany. Gdzieś w oddali rozbrzmiewała hałaśliwa kłótnia pijanej pary. Martin sapnął, po chwili jego oddech znów odzyskał swój rytm. Zoe spojrzała na zegarek przy łóżku. 3:28. Wydawało jej się, że czas stoi w miejscu.

Uważnie przyjrzała się Martinowi, który po zakończeniu drugiego aktu miłosnego dyskretnie odsunął się na brzeg łóżka i przed godziną usnął. Leżał nieruchomo na brzuchu, z ręką wyciągniętą w jej stronę. Był nagi do pasa, ugięte w kolanach nogi wyglądały jak przygotowane do biegu. We śnie na jego twarzy malował się wyraz wzruszającej, wprost dziecięcej niewinności. Zażenowana Zoe odwróciła wzrok. Uliczna kłótnia pijanej pary dobiegła końca, zastąpił ją pomruk męskich, niemieckich głosów. Wszystko zgodne z planem, pomyślała. O 3:30 zmieniają się strażnicy Zentrum Security.

Nie bój się ochroniarzy, powiedział Gabriel ostatniego wieczoru w Highgate. My sobie z nimi poradzimy. Zajmij się Martinem, to twoje najważniejsze zadanie.

Martin nadal leżał w bezruchu. Tak jak Zoe. Przesuwały się tylko wskazówki zegara.

3:32...

Poruszaj się cicho, lecz szybko. Nie skradaj się jak włamywacz.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie miejsca, gdzie leżały cztery przedmioty, do których musiała dotrzeć. Dwa z nich, pendrive i komórka, schowane były w jej torebce przy łóżku. Nokia Martina została na stole w jadalni, laptop Sony stał na kuchennym blacie.

*Zanim coś zaczniesz robić, najpierw spróbuj to sobie wyobrazić. Gdy do-
trzesz do jego telefonu i komputera, a następnie zrobisz to, czego cię nauczy-
łem, życie Martina stanie się otwartą księgą.*

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej dwa przedmioty, ześlizgnęła się z łóżka. Nie zwracając uwagi na rozrzucone po podłodze ubrania, z głośno bijącym sercem wyszła z sypialni. Wbrew radom Gabriela jeszcze raz spojrzała za siebie. Wydawało się, że Martin nadal mocno śpi. Przymknęła drzwi i cicho ruszyła w stronę jadalni. Nieuprzątnięte talerze nadal leżały na stole, obok nich telefon. Złapała go, skierowała się do kuchni, po drodze wybierając numer w swojej komórce. Gabriel odezwał się po jednym sygnale.

- Rozłącz się. Licz do sześćdziesięciu. I do roboty.

Połączenie urwało się, gdy Zoe wchodziła do kuchni. W ciemności na brze-
gu granitowego blatu dostrzegła zarys komputera Sony VAIO, zostawionego
przez Martina w stanie czuwania. Zoe natychmiast go wyłączyła i w jeden z
portów USB wcisnęła pendrive'a. Znow podniosła nokię i wpatrzyła się w jej
ekran, odliczając w myślach.

Dwadzieścia pięć... dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem... dwadzieścia
osiem...

Po rozmowie z Zoe Gabriel natychmiast wysłał do całego zespołu zakodo-
wany sygnał, że operacja wkroczyła w decydującą fazę. Teraz tylko Mordechaj
miał zadanie do wykonania, musiał włączyć urządzenie spoczywające na tyl-
nym siedzeniu furgonetki - miniaturową wieżę przekaźnikową, która miała za
zadanie przechwytywać rozmowy z komórki Martina. Jej sygnał, choć skiero-
wany tylko na budynek przy Quai de Bourbon 21, mógł chwilowo zablokować
wszystkie rozmowy telefoniczne w okolicy île Saint-Louis. Nikt z zespołu
zbyttno się tym nie przejął. Wpatrując się w ciemne okna sypialni Martina
Landesmana, Gabriel nie przestawał odliczać.

- Pięćdziesiąt siedem... pięćdziesiąt osiem... pięćdziesiąt dziewięć...
sześćdziesiąt... Teraz, Zoe, teraz...

W tym momencie na klawiaturze komórki Martina Zoe zaczęła wybierać
numer, który w Highgate przećwiczyła setki razy. Po wprowadzeniu ostatniej
cyfry nacisnęła klawisz połączenia i uniosła telefon do ucha. Usłyszała poje-
dynczy sygnał, po którym nastąpiła seria ostrych pisków. Na ekranie telefonu

ukazało się okno dialogowe z pytaniem, czy chce zainstalować nowy program. Szybko wybrała opcję TAK. Po kilku sekundach zobaczyła wiadomość ŁADOWANIE W TOKU.

Ostrożnie odłożyła telefon na blat stołu. Włączyła laptop, naciskając klawisz F8. Komputer wyświetlił menu, z którego Zoe kliknięciem wybrała opcję logowania przy użyciu programu z pendrive'a. Kilka sekund później na ekranie ukazała się wiadomość o rozpoczęciu przekazywania danych. Transfer miał trwać godzinę i piętnaście minut, w tym czasie pendrive musiał tkwić w porcie USB. Oznaczało to konieczność kolejnej wizyty w kuchni, by usunąć wtyczkę z pamięcią przenośną po ukończeniu zadania.

Przyciemniła ekran komputera, znów podniosła z blatu komórkę Martina. Aktualizacja programu już się skończyła, teraz Zoe musiała telefon wyłączyć, a potem ponownie go włączyć. Zrobiła to, szybko sprawdzając listę niedawnych kontaktów. Z ulgą zauważyła, że nie było na niej wykonanego przez nią przed chwilą połączenia. Ostatnia wychodząca rozmowa, według pamięci telefonu, odbyła się o 10:18, kiedy Martin zadzwonił do Monique w Genewie, a ostatni telefon z zewnątrz - podczas przygotowań gospodarza do kolacji. Zoe dostrzegła imię dzwoniącej osoby.

Monique...

Odłożyła komórkę na miejsce, otworzyła lodówkę. Z górnej półki zdjęła litrową butelkę wody Volvie. Cicho zamknęła drzwiczki i ruszyła w kierunku jadalni, gdzie odłożyła komórkę Martina na swoje miejsce. Wracając do sypialni, zauważyła, że drzwi są uchylone tak, jak je zostawiła. Nieruchomy Martin leżał na łóżku, od jego jasnej skóry odbijał się blask księżyca. Cicho podeszła do swojej strony łóżka, wsunęła komórkę do torebki. Wślizgując się w satynową pościel, spojrzała na kochanka. Martin miał otwarte oczy i już nie wyglądał jak niewinne dziecko. - Już zaczynałem się martwić o ciebie, Zoe. Gdzie ty byłeś?

Nawet podczas pozornie najprostszycy operacji czas potrafi stanąć w miejscu. Takiego właśnie wrażenia doznał Gabriel o 3:36 rano w Paryżu, czekając na odpowiedź Zoe. Nie przekazał wiadomości o problemie do Londynu, nie

poinformował o nim swojego zespołu. Stał przy oknie z lornetką przy oczach i Chiara u boku i robił to, co każdy doświadczony pracownik wywiadu zrobiłby na jego miejscu. Wstrzymywał oddech.

Wydawało mu się, że milczenie Zoe trwa wiecznie. Dopiero przy ponownym odsłuchaniu nagrania zorientował się, jak bardzo się mylił. Dokładnie po trzech sekundach Zoe napomknęła o okropnym pragnieniu, żartobliwie skarciła Martina za rozrzucenie jej ubrań po podłodze i wreszcie zaproponowała wykorzystanie pobudki o 3:36 rano we właściwy sposób.

Stojąc przy oknie w towarzystwie żony, Gabriel po raz kolejny słuchał, jak Zoe kocha się z człowiekiem, którego miała znienawidzić. W godzinę i piętnaście minut później usłyszał, że wstała z łóżka i usunęła pendrive'a z laptopa w kuchni. Wiedział, że zawartość twardego dysku Martina już trafiła do komputera w budynku z wiktoriańskiej cegły w Highgate.

Londyńscy partnerzy Gabriela nigdy nie usłyszeli nagrań z tej nocy w Paryżu. Nie musieli. Dowiedzieli się tylko, że rano o 8:15 Zoe pojawiła się przed drzwiami kamienicy przy Quai de Bourbon 21 i natychmiast wsiadła do czekającego czarnego mercedesa z jej nazwiskiem za przednią szybą. Samochód odwiózł ją na pełen narkomanów i natrętnych sprzedawców dworzec Gare du Nord. Tym razem zaczepił ją jakiś wyjątkowo uparty Ukraińiec z dredami i w brudnej skórzanej kurtce, który dał jej spokój dopiero wtedy, gdy do Zoe podszedł krótko ostrzyżony ciemnowłosy mężczyzna.

Ten sam mężczyzna siedział obok Zoe w pociągu do Londynu. Choć w jego paszporcie widniało nazwisko Leighton Smith, w rzeczywistości nazywał się Jakow Rossman i był częścią czteroosobowej obstawy Zoe w drodze powrotnej. Na dworcu St Paneras opiekę nad dziennikarką przejęli funkcjonariusze MI5, którzy najpierw odwieźli ją do pracy samochodem udającym taksówkę, a następnie sfotografowali wejście Zoe do gmachu „Journala”. Zgodnie z umową, Gabriel zarządził natychmiastowe usunięcie podsłuchu z telefonu reporterki. Uczestnicy operacji Arcydziało mieli teraz inne zajęcie - słuchali głosu Martina Landesmanna.

53.

HIGHGATE, LONDYN

Sieci komputerowe i urzędnicy komunikacyjni można skutecznie chronić przed zewnętrzną penetracją, jednak gdy atak następuje od wewnątrz, nawet najlepiej strzeżony system staje się bezbronny. Kilka linijek umiejętnie sformułowanego programu może go zmusić zarówno do natychmiastowego podzielenia się swoimi tajemnicami, jak i robienia tego przez najbliższe miesiące, a nawet lata. Maszyna to szpieg idealny. Nie chce pieniędzy, nie potrzebuje ciągłej kontroli, nie wymaga miłości. Motywy jej działania nigdy nie są podejrzane, bo nie istnieją. Jest pracownikiem wiarygodnym, gotowym do nieustannej pracy, nieulegającym depresji, nieprzejawiającym niezdrowych skłonności do nadużywania alkoholu i innych używek. Nie ma partnera życiowego, który jej dokucza, ani dzieci, będących źródłem ciągłych rozczarowań. Nie czuje się samotna. Nie zna strachu. Nie wie, co to wypalenie zawodowe. Jej jedyna słabość to brak umiejętności samodzielnego nadążania za najnowszą technologią.

Sposób, w jaki został zorganizowany i przeprowadzony atak na Martina Landesmanna, w dwudziestym pierwszym wieku nie jest czymś wyjątkowym. Czasy, gdy do inwigilacji w domu lub biurze używano zasilanych bateriami urządzeń przekazujących dane drogą radiową, należą już do przeszłości. Dziś odbywa się to najczęściej za pomocą przenośnych urządzeń takich jak komórka czy laptop. Funkcjonariusze wywiadu nie muszą się martwić o słabnące akumulatory przekaźników, bo ładowanie baterii stało się zmartwieniem właścicieli telefonów czy laptopów. Nie muszą też spędzać długich godzin w prowizorycznych punktach nasłuchu, ponieważ do zdobytych w ten sposób tajemnic mają dostęp w Internecie.

Centrum komputerowe operacji Arcydzieło mieściło się w wiktoriańskim budynku z czerwonej cegły, ukrytym w cichym zaułku londyńskiego

przedmieścia Highgate. Po powrocie z całodobowej pracy w Paryżu zespół Gabriela bezzwłocznie przystąpił do analizy ogromnej ilości zdobytego materiału. W jednej chwili życie najbardziej tajemniczego, stroniącego od rozgłosu biznesmena świata stało się otwartą księgą. Podczas śniadaniowego spotkania z premierem Uzi Nawot z dumą zameldował, że jego zespół „nie odstępuje Martina nawet na krok”.

Słuchali jego rozmów telefonicznych, czytali jego pocztę elektroniczną, zaglądali mu przez ramię, gdy surfował w sieci. Siadali z nim do stołu negocjacyjnego, razem jedli lunch, schowani w kieszeni marynarki chodzili na przyjęcia. Wspólnie spali, kąpali się, trenowali, słuchali kłótni z Monique. Towarzyszyli mu podczas wypadu do Sztokholmu, gdzie zostali zmuszeni do spędzenia okropnego wieczoru przy muzyce Wagnera. Cały czas znali współrzędne miejsca jego pobytu, a gdy podróżował, wiedzieli, z jaką szybkością się przemieszcza. Potwierdzili też wcześniejsze doniesienia, że Święty Martin najwięcej czasu spędza w Villa Elma, w swoim obszernym biurze z pięknym widokiem na Jezioro Genewskie, znajdującym się w południowo-wschodniej części rezydencji i położonym dokładnie na wysokości 1238 stóp nad poziomem morza.

Tak ogromny dopływ informacji miał swoje minusy. Zawsze istniało realne niebezpieczeństwo, że coś naprawdę ważnego może utonąć w tsunami nieistotnych danych. Wiedząc o tym, Gabriel kazał kilku osobom ze swojego zespołu zająć się najcennieszą zdobyczą paryskiej operacji - laptopem. Od tej pory, gdy Martin otwierał plik, ludzie Gabriela robili to samo. Szpieg w komputerze, co trzydzieści minut, dodatkowo wysyłał filmy wideo, nakręcone wcześniej wmontowaną w system minikamerą. Nagrania te, każdego dnia przez mniej więcej godzinę, ukazywały Martina siedzącego przed klawiaturą. Gabrielowi wydawało się, że patrzący na nich z ekranu mężczyzna chce zajrzeć do środka centrum operacyjnego w Highgate i sprawdzić, kto wdziera się w tajemnice jego życia.

Przechowywane w laptopie Martina pliki były kodowane, ale dla dwóch pracujących w dziale technicznym geniuszy komputerowych po MIT nie stanowiło to żadnej przeszkody. Komputer wypłutł tysiące dokumentów, ujawniających nawet najmniejsze szczegóły działalności imperium Landesmanna.

Niestety, wiedza ta, za którą na pewno wiele by dali rynkowi rywale szwajcarskiego potentata, z punktu widzenia celu operacji okazała się bezwartościowa, bo nie zawierała żadnych wiadomości na temat handlu firmy Keppler GmbH z Irańczykami. Nieustępliwy Gabriel polecił zespołowi szukanie potrzebnych im informacji nie w zapisanych plikach, lecz dokumentach już usuniętych. Wiedział, że nie można pozbyć się żadnego pliku, nie pozostawiając po nim śladu. Tak jak w przypadku odpadów radioaktywnych, życie zapisów komputerowych jest prawie wieczne. Bardzo ciekawy okazał się kosz na pulpicie laptopa, a zwłaszcza jeden z wrzuconych tam przez Martina folderów, jak dotąd opierający się próbom przywrócenia jego wcześniejszej zawartości.

Ponieważ Arcydzieło było projektem międzynarodowym, ciężko wypracowane owoce działalności zespołu natychmiast przekazywano do CIA i MI6. Mimo że każda ze stron stosowała odmienną interpretację irańskich intencji, wyznawała różne style badawcze i broniła partykularnych interesów swojego państwa, atmosfera rozmów w Highgate pozostawała koleżeńska. Dla Amerykanów i Brytyjczyków nuklearne ambicje Iranu oznaczały tylko zakłócenie ich polityki regionalnej, dla Izraela - zagrożenie podstaw jego istnienia. Gabriel nie angażował się w spory polityczne, bo jego zadania były innej natury.

Każdego wieczoru w Thames House odwiedzał pozbawione okien pomieszczenie, gdzie urzędował Nigel Whitcombe, kierujący teraz inwigilacją Zoe Reed. Jak większość pracujących tu mężczyzn, Nigel był fanem reporterki i wykorzystywał każdą okazję, by Zoe oglądać. Ciągła obserwacja dziewczyny tylko potwierdzała jej zdyscyplinowanie. Każdy kontakt z Martinem zgłaszała pracownikom agencji w Highgate, ostatnio przesłała zostawioną przez niego na automatycznej sekretarce wiadomość głosową.

- Co było w wiadomości? - spytał Gabriel.
- Banaly. Często myślę o naszym spotkaniu, *kochanie*. Nie mogę się doczekać twojej następnej wizyty, *kochanie*. Coś niezrozumiałego o sukience. - Whitcombe wyprostował dokumenty leżące rias nienagannie czystym małym biurku. - Wkrótce musimy podjąć decyzję, czy Zoe powinna się pojawić na organizowanym przez Martina przyjęciu, czy też ma zachorować. Na przykład na świńską grypę.

- Wiem.
- Czy mogę coś zasugerować?
- Proszę bardzo.
- Świńska grypa.
- Boję się, że Martin zacznie coś podejrzewać.
- Wolę podejrzliwego Landesmanna niż martwą brytyjską reporterkę. Nie mówiąc już o końcu mojej kariery.

Kiedy tuż po północy Gabriel wrócił do Highgate, w swojej poczcie elektronicznej znalazł zakodowaną wiadomość z Bulwaru Króla Saula. Informowano go, że pewna znajoma osoba z Paryża chce z nim porozmawiać o czymś, co się wiąże z prowadzoną przez niego operacją. Gabriel miał przeczucie, że sprawa jest ważna. Ponieważ nie mógł opuścić Londynu, do Paryża wysłał kogoś w zastępstwie. Z tego właśnie powodu Eli Lawon, mistrz monitoringu osobistego, archeolog i tropiciel zaginionych majątków z czasów Zagłady, jeszcze tego samego dnia o pierwszej po południu siedł rue des Rosiers o dwadzieścia kroków za paryską bojowniczką o pamięć, Hanną Weinberg.

54.

MARAIS, PARYŻ

Hanna Weinberg skręciła w prawo, w rue Pavée, i zniknęła w bramie kamienicy numer 24. Lawon jeszcze dwukrotnie przespacerował się po ulicy. Gdy uzyskał pewność, że nikt ich nie śledził, stanął przed wejściem do budynku. W spisie lokatorów pod numerem 4B zobaczył nazwisko Bertrand. Naciśnął guzik dzwonka i spokojnie zwrócił twarz do kamery monitoring.

- *Oui?*

- Chciałbym się zobaczyć z madame Weinberg.

Cisza, po chwili pytanie.

- Kim pan jest, monsieur?

- Nazywam się Eli Lawon. Jestem...

- Słyszałam o panu, monsieur Lawon. Chwileczkę.

Usłyszawszy brzęczyk, Lawon pchnął drzwi. Przeciął wilgotną sień, wszedł do holu i schodami ruszył w górę. Na czwartym piętrze czekała na niego Hanna Weinberg ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Po wprowadzeniu gościa do mieszkania i zamknięciu drzwi gospodyni uśmiechnęła się i z powagą wyciągnęła do niego dłoń.

- Dziękuję za wizytę, monsieur Lawon. Pana działalność ma wielu zwolenników w Centrum Weinberga.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł skromnie Lawon. - Obserwuję panią i wiem, że centrum wykonuje świetną robotę. I to w coraz trudniejszych warunkach.

Robimy wszystko, co w naszej mocy. - W jej głosie usłyszał smutek. Słyszeliśmy o zamachu w Wiedniu. To było szokiem dla nas wszystkich.

- Zajmujemy się bardzo drażliwymi sprawami.

- Tak, i to dla obydwóch stron. - Zmusiła się do uśmiechu. - Właśnie miałam zamiar napić się kawy.

- Z chęcią będę pani towarzyszyć.

Wprowadziła gości do salonu, sama zniknęła w kuchni. Lawon przyglądał się otaczającym go starym, dostojnym meblom. Brał udział w staraniach Biura o nawiązanie kontaktu z Hanną Weinberg i znał historię jej rodziny. Wiedział nawet, że w pokoju na końcu korytarza wisi jeden z mniej znanych obrazów Vincenta van Gogha, *Marguerite Gachet przy toaletce*, będący częścią niedawnej krwawej operacji wywiadu z udziałem Gabriela Allona. Do salonu wróciła gospodyni, wręczyła Lawonowi filiżankę *café au lait* i usiadła.

- Zakładam, że to nie jest wizyta grzecznościowa, monsieur Lawon.

- Ma pani rację, madame.

- Zjawił się pan tutaj z powodu znalezionych dokumentów, prawda?

Lawon skinął głową i popijał kawę w milczeniu.

- Nie wiedziałam, że pan jest związany z... - zamilkła.

- Z czym? - spytał Lawon.

- Z izraelskim wywiadem - powiedziała cichym głosem.

- Ja? Czy ja rzeczywiście wyglądam na człowieka wywiadu?

Przyjrzała się mu uważnie.

- Raczej nie.

- Po zamachu w Wiedniu wróciłem do mojej pierwszej miłości, archeologii. Teraz pracuję na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, ale nadal mam dużo znajomości w środowisku zajmującym się odzyskiwaniem utraconych w latach Zagłady żydowskich majątków.

- Skąd pan wie o dokumentach?

- Po tym, jak pani zadzwoniła do naszej ambasady, jeden z jej pracowników skontaktował się z Yad Vashem. W instytucie mam wielu przyjaciół, którzy wiedzieli, że wkrótce będę leciał do Paryża, więc poproszono mnie o spotkanie z panią.

- W jakich interesach pan tu przyleciał?

- Mam tu konferencję naukową.

- Rozumiem. - Wypiła łyk kawy.

- Czy dokumenty są u pani, madame Weinberg?

Skinęła głową.

- Czy mógłbym je zobaczyć?

Spojrzała na niego znad brzegu filiżanki, tak jakby chciała jeszcze raz się upewnić co do jego intencji, następnie wstała i weszła do biblioteki. Wróciła ze złożoną wpół kopertą. Lawon poczuł, że serce mu przyśpiesza.

- To papier woskowy? - zapytał, siląc się na spokój.

Potaknęła.

- W takim opakowaniu to dostałam.

- A dokumenty?

- Są w środku. - Podała zawiniątko Lawonowi i powiedziała: - Niech pan uważa, papier jest już bardzo kruchy.

Lawon rozchylił kopertę i ostrożnie wyjął trzy cienkie kartki. Drżącymi rękami wsunął na nos półokrągłe okulary i zaczął czytać:

- Katz, Stern, Hirsch, Greenberg, Kapłan, Cohen, Klein, Abramowitz, Stein, Rosenbaum, Herzfeld...

Herzfeld...

Wpatrzył się w to nazwisko, potem podniósł wzrok na Hannę Weinberg.

- Od kogo pani to dostała?
- Obawiam się, że nie mogę tego powiedzieć.
- Dlaczego?
- Bo pewnej osobie obiecałam dyskrecję.
- Nie powinna pani tego zrobić.

Zauważyła nowy ton w głosie Lawona.

- Ten dokument coś panu mówi?

- Tak. Wiem też, że z jego powodu ginęli ludzie. Osoba, od której pani go otrzymała, jest w niebezpieczeństwie, madame Weinberg. Pani też.

- Akurat to nie jest dla mnie nowością. - Milczała, mierząc go wzrokiem.

- Czy rzeczywiście przyjechał pan tutaj na prośbę przyjaciela z Yad Vashem?

Lawon się zawahał.

- Nie, madame Weinberg. Nie powiedziałem pani całej prawdy.
- Kto pana tu przysłał?

- Nasz wspólny znajomy. - Lawon podniósł dokument. - To on powinien poznać nazwisko człowieka, który dał pani tę listę.

- Dostałam ją od Maurice'a Duranda.

- Czym się ten Durand zajmuje?

- Jest właścicielem małego antykwariatu z aparaturą naukową. Powiedział mi, że znalazł dokumenty w środku starego teleskopu, który naprawiał.

- Taak... - mruknął Lawon sceptycznie. - Czy zna pani dobrze Duranda?

- Kupuję u niego już od wielu lat. - Skinęła głową w kierunku okrągłego stołu z tuzinem zabytkowych lornetek. - To moje hobby.

- Gdzie jest jego sklep?

- W Ósmej Dzielnicy.

- Muszę się z nim natychmiast zobaczyć.

Hanna Weinberg wstała.

- Pojedziemy tam razem.

55.

RUE DE MIROMESNIL, PARYŻ

Centrum Weinberga mieściło się tuż za rogiem rue de Rosiers. Hanna i Lawon zatrzymali się tam na chwilę, by zrobić kilka kserokopii znalezionej listy i zostawić je w bezpiecznym miejscu. Z oryginałem ukrytym w skórzanej teczce Lawona pojechali metrem na stację Miromesnil i po dwuminutowym spacerze dotarli do Antiquités Scientifiques. Na drzwiach antykwariatu wisiała wywieszka OUVERT. Lawon przez chwilę podziwiał wystawę, wreszcie chwycił za klamkę. Okazało się, że drzwi są zamknięte. Hanna nacisnęła guzik dzwonka.

Mężczyzna, który ich przywitał, wzrostem i wagą przypominał Lawona, jednak na tym podobieństwo się kończyło. Garderoba Izraelczyka była licha i pognieciona, Francuz zaś był ubrany w elegancki niebieski garnitur, a pod szyją miał dużą muszkę w kolorze wina beaujolais nouveau. Długie, niechlujne włosy Lawona kontrastowały ze starannie przyciętą, okalającą łysinkę na czubku głowy fryzurą gospodarza. Durand z powagą ucałował Hannę w oba policzki i niespodziewanie mocno uścisnął dłoń jej towarzysza. Mężczyźni oszaczowali się wzrokiem.

- Ma pan piękny sklep, monsieur Durand.
- Dziękuję - odpowiedział Francuz. - To mój azyl przed burzą.
- Jaką burzą, monsieur?
- Współczesnością - odparł Durand bez wahania.

Lawon uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Rozumiem pana doskonale.
- Naprawdę? A czym się pan zajmuje, monsieur?
- Jestem archeologiem.

- Fascynujące! - wykrzyknął Durand. - W młodości bardzo lubiłem archeologię, nawet zastanawiałem się nad studiami w tym kierunku.

- Dlaczego pan tego nie zrobił?

- Z powodu brudu.

Zaskoczony Lawon pytająco uniósł brwi.

- Nie cierpię brudu - uściślił Durand.

- Tak, to faktycznie przekreśla jakiegokolwiek plany związane z archeologią.

- W czym się pan specjalizuje, monsieur? - spytał Durand.

- W archeologii biblijnej. Pracuję przede wszystkim w Izraelu.

W oczach Duranda pojawił się podziw.

- W Świętym Kraju?

Lawon zawahał się, skinął głową.

- Zawsze chciałem tam pojechać. Gdzie prowadzicie badania?

- W Galilei.

Durand był wyraźnie poruszony.

- Czy pan jest wierzący, monsieur Durand?

- Nawet bardzo. A pan, monsieur?

- Tylko czasami - odparł Lawon.

Durand spojrzał na Hannę Weinberg.

- Mam nową dostawę lornetek, najciekawsze odłożyłem dla pani. Może chciałaby pani je teraz zobaczyć?

- Dzisiaj jestem tutaj, bo mój przyjaciel chciałby z panem coś omówić.

Durand spojrzał na Lawona. W jego wzroku, oprócz dotychczasowego zainteresowania, pojawiła się czujność.

- W czym mogę panu pomóc?

- Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

- Ależ oczywiście.

Durand wskazał ręką drzwi na zapleczu sklepu. Lawon wszedł pierwszy, usłyszał za sobą dźwięk zamykanych drzwi. Gdy się obrócił, wyraz twarzy Duranda nie był już taki przyjazny.

- O co chodzi?

- O to. - Lawon wyjął z torby zawiniątko w woskowym papierze. Durand nie spuszczał z niego wzroku.
- Przekazałem to madame Weinberg pod warunkiem, że moje nazwisko nie zostanie wspomniane.
- Nie chciała pana zdradzić, jednak udało mi się w końcu ją przekonać.
- Musi pan mieć ogromną siłę perswazji.
- Tak naprawdę to wcale nie było trudne. Powiedziałem jej tylko, że znalezione przez pana dokumenty mają związek ze śmiercią wielu osób. Twarz Duranda pozostawała nieporuszona.
- Większość osób po usłyszeniu tego rodzaju rewelacji poczułaby się nieswojo - rzucił Lawon.
- Może jestem ulepiony z innej gliny, monsieur. Lawon włożył zawiniątko z powrotem do torby.
- Słyszałem, że znalazł pan ten spis wewnątrz teleskopu.
- Tak, w pięknym egzemplarzu z końca osiemnastego wieku. Mosiądz i drewno. Dollond z Londynu.
- Niesamowite - odparł Lawon. - Bo jeszcze niedawno te papiery były schowane w obrazie Rembrandta zatytułowanym *Portret młodej kobiety*. Wiem, że obraz ten został skradziony, a podczas napaści zginął człowiek. Ale nie to mnie interesuje. Nie zamierzam też się dopytywać, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tych dokumentów. Chcę tylko ostrzec pana, że ten spis jest obiektem poszukiwań prowadzonych przez bardzo niebezpiecznych ludzi. I że ludzie ci myślą, że jest nadal ukryty w obrazie. - Lawon zawiesił głos. - Czy pan rozumie powagę sytuacji, monsieur Durand?
- Chyba tak - odparł Durand ostrożnie. - Ale nie mam nic wspólnego z żadnymi obrazami, ani Rembrandta, ani innych malarzy.
- Na pewno, monsieur?
- Przykro mi, ale to prawda.
- Ale może pan coś gdzieś usłyszał? Może któremuś z pana przyjaciół obita się o uszy jakaś informacja, która mogłaby nas zaprowadzić do skradzionego obrazu?
- Nie utrzymuję żadnych kontaktów z ludźmi ze świata sztuki. To snobistyczne towarzystwo, które patrzy z góry na ludzi mojego pokroju.

Lawon przekazał rozmówcy wizytówkę.

- Gdyby pan dowiedział się o Rembrandcie nawet czegoś pozornie nieistotnego, proszę o kontakt. Gwarantuję panu całkowitą dyskrecję. Proszę się nie martwić, chcemy tylko odzyskać obraz, reszta nas nie obchodzi. I proszę uważać na siebie. Nie chciałbym, żeby panu się coś stało.

Durand wsunął wizytówkę do kieszeni. W widoczny sposób zależało mu na zakończeniu tej rozmowy.

- Chciałbym panu pomóc, monsieur, ale nie mogę. Jeżeli to wszystko, to już wrócę do sklepu.

- Tak, to wszystko. Dziękuję panu za czas, który mi pan poświęcił.

- Jestem do usług.

Durand otworzył drzwi. Lawon ruszył do wyjścia, ale po chwili stanął.

- Jeszcze jedno, panie Durand.

- Tak?

- Niech pan pamięta, że Bóg patrzy na nas. I że nie możemy go zawieść.

- Na pewno o tym nie zapomnę, monsieur Lawon.

Zapadał zmrok, gdy Eli Lawon i Hanna Weinberg pożegnali się na Place de la Concorde. Hanna pojechała metrem z powrotem do Marais, Eli Lawon ruszył piechotą w kierunku izraelskiej ambasady przy rue Rabelais 3. Już na miejscu polecił miejscowemu kierownikowi Biura wysłać człowieka do ochrony Hanny Weinberg i poddać pełnej inwigilacji Maurice'a Duranda. Zażądał też, aby samochód ambasady zawiózł go jak najszybciej na lotnisko Charles'a de Gaulle'a.

- Kierowca musi być uzbrojony - powiedział. - Kiedyś wyjaśnię wam, dlaczego.

Udało mu się kupić bilet w klasie ekonomicznej na samolot Air France, wylatujący do Londynu o 20:50. Tuż przed jedenastą zmęczony stanął przed drzwiami bezpiecznego domu w Highgate. W środku przywitał go radosny tumult.

Lawon spojrzął na Gabriela.

- Czy ktoś mi w końcu powie, co tutaj się dzieje?

- Zawory, pompy próżniowe, autoklawy, systemy zasilające i powrotne, przełączniki częstotliwości, obudowy silników, pompy molekularne, śmigła, magnesy.

- Sprzedaje im wirówki?

- Nie tylko wirówki - powiedział Gabriel. - Święty Martin Landesmann sprzedaje Irańczykom wszystko, co jest im potrzebne do budowy instalacji wzbogacania uranu.

- Myślałem, że tylko mnie się dzisiaj udało.

- Co masz?

- Nic wielkiego. - Lawon podniósł do góry zawiniątko z dokumentami. - Tylko spis bankowych rachunków Kurta Vossa w Zurychu.

Część czwarta

ODSŁONIĘCIE

56.

THE PLAINS, VIRGINIA

Farma leżała pięćdziesiąt mil na zachód od Waszyngtonu, tam gdzie dolina Shenandoah przechodzi w pierwsze wzniesienia gór Blue Ridge. Mieszkańcy położonej przy autostradzie Johna Marshalla osady The Plains byli przekonani, że właścicielem posiadłości jest jakiś wpływowy adwokat z Waszyngtonu, mający wielu przyjaciół w rządzie. Tylko w ten sposób można było wytłumaczyć fakt, że w okolicach farmy, o każdej porze dnia i nocy, krążyły czarne limuzyny i samochody terenowe.

Pewnego przeraźliwie zimnego dnia w połowie grudnia w The Plains pojawiło się wyjątkowo dużo gości zmierzających w tym samym kierunku. Wszyscy skręcali w lewo przy stacji paliw BP i minimarkecie, w prawo za torami kolejowymi, wreszcie mniej więcej milę jechali drogą stanową 601. Był piątek, zbliżało się Boże Narodzenie, więc mieszkańcy osady uważali, że u ich sąsiada szykuje się tradycyjne świąteczne spotkanie waszyngtońskich lobbystów i polityków. Pracownicy agencji wywiadowczej CIA, będącej faktycznym właścicielem farmy, nie robili nic, aby tubylców wyprowadzić z błędu.

Na wyposażonej w skomplikowany system bezpieczeństwa bramie wjazdowej widniało - losowo wybrane przez komputer w Langley - nazwisko Hewitt. Wzdłuż szutrowej drogi przez posiadłość płynął wąski strumień, po drugiej stronie rozciągała się rozległa łąka. Wszędzie zalegały półmetrowe zasy. Niedawna burza śnieżna, która przeszła nad całym stanem, stała się przedmiotem kolejnej zażartej debaty parlamentarnej. Przeciwnicy teorii globalnego ocieplenia twierdzili, że opady śniegu są najlepszym potwierdzeniem ich poglądów, prorocy zmiany klimatu utrzymywali, że nadzwyczaj gwałtowna burza śnieżna jest oznaką problemów, przed jakimi stoi nasza planeta. Tylko analitycy

z Langley podchodzili do tej dyskusji z dystansem. Wiedzieli, że dwie osoby mogą obserwować to samo zjawisko i wysnuwać z niego całkowicie rozbieżne wnioski. Takie reguły rządzą życiem, na podobnych zasadach opiera się też szpiegowska praca.

Źwirowana droga prowadziła do stojącego na wzniesieniu dwukondygnacyjnego domu farmerskiego z miedzianym dachem i werandą na każdym poziomie. Mimo że znajdujący się przed nim parking został odśnieżony, nie wszystkie samochody osobowe i terenówki z armady, która zjechała na farmę, mogły się na nim zmieścić. Pojazd z najważniejszymi uczestnikami konferencji musiał zatrzymać się dalej, a jego pasażerowie byli zmuszeni przebrnąć ostatnie pięćdziesiąt metrów przez zasypy śnieżne. Gabriel wysforował się do przodu, Uzi Nawot szedł o krok za nim, grupkę gości zamykał Szamron oparty o ramię Rimony.

Wejście izraelskiej delegacji zostało powitane dyskretnymi oklaskami przez stojących w holu uczestników konferencji. Brytyjczycy przysłali tylko dwie osoby - Grahama Seymoura z MI5 i Edmunda Radcliffa z MI6. Kontyngent amerykański był o wiele liczniejszy. Oprócz Adriana Cartera CIA reprezentowali także zastępca kierownika działu wywiadu, Shepard Cantwell i Tom Walker, czołowy specjalista od spraw Iranu. Na spotkanie przyjechali też pracownicy innych agencji - Blanchard z Rządowego Biura Wywiadu, Redmond z Agencji Wywiadu Ministerstwa Obrony, Cynthia Scarborough z Narodowej Rady Bezpieczeństwa, Steven Clark z FBI. Powód, dla którego ta ostatnia instytucja została zaproszona do stołu obrad, miał pozostać na zawsze jedną z tajemnic operacji Arcydzieło.

Wszyscy usiedli przy stole w salonie, za imiennymi tabliczkami, przed czarnymi notesami i filiżankami słabej kawy. Po przedstawieniu celu spotkania Adrian Carter przeszedł do prezentacji w PowerPoincie. Na ekranie ukazała się mapa Iranu z czterema wyraźnie zaznaczonymi punktami. Carter skierował na nie czerwony promień wskaźnika laserowego, odczytując ich nazwy.

- Buszehr, Arak, Isfahan, Natanz. Kluczowe lokalizacje irańskiego programu jądrowego. Wszyscy znamy te miejsca, ale przyjrzyjmy się im jeszcze raz. Buszehr to budowana z niemiecką i rosyjską pomocą elektrownia jądrowa. W Isfahanie jest instalacja do przetwarzania rudy uranu na gaz

heksafluorowy i tlenek uranu. W Araku powstała fabryka ciężkiej wody. Wreszcie w Natanzu Iran umieścił najważniejszą aparaturę do wzbogacania uranu. - Mówca zawiesił głos. - Przynajmniej taka jest wersja oficjalna.

Carter opuścił wskaźnik laserowy i odwrócił się twarzą do audytorium.

- Nasze kraje od dawna podejrzewają, że te cztery lokalizacje to tylko wierzchołek góry lodowej. W rzeczywistości Iran buduje większą sieć tajnych laboratoriów wzbogacania uranu. Dzięki naszym sojusznikom z Tel Awiwu uzyskaliśmy dowody potwierdzające nasze obawy. Od nich też dowiedzieliśmy się, że właściciel firmy Global Vision Investments, Martin Landemann, pomaga Irańczykom w realizacji ich zamierzeń.

Carter spojrzał w stronę izraelskiej delegacji.

- Przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny wszyscy mieliśmy taki sam dostęp do niedawno uzyskanej wiedzy, ale dopiero Rimonie Stern udało się zdobyte dane właściwie zinterpretować. Przypominam tym, którzy jej jeszcze nie znają, że Rimona ma stopień majora izraelskiej armii, jest świetną funkcjonariuszką operacyjną i jednym z najbardziej doświadczonych analityków wywiadu. Dodam też ku przestrodze, że jej wujkiem jest sam Ari Szamron. A więc uważajcie!

Szamron z uśmiechem obserwował, jak Rimona wstała, wyszła na środek sali i bez słowa wyświetliła kolejny obraz prezentacji z mapą Iranu. Tym razem zaznaczono na niej tylko jeden punkt - święte miasto Kom.

- Kom stanowi dowód, że mułlowie kłamią - powiedziała Rimona. - Wszelkie deklaracje, że ich program atomowy ma służyć celom pokojowym, można między bajki włożyć. Dlaczego ukryli aparaturę do wzbogacania uranu w podziemiach góry na środku pustyni? Dlaczego nie chcieli, żeby zobaczyli ją wysłannicy agendy ONZ, Międzynarodowej Agencji Atomowej? Wiemy, że Kom nie rozwiązuje całości irańskich problemów. Tamtejsza instalacja zawiera tylko trzy tysiące wirówek typu IR-1 zdolnych do wyprodukowania wzbogacanego uranu na potrzeby tylko jednej bomby atomowej co dwa lata. To z pewnością nie zaspokaja nuklearnych ambicji Iranu. Sam Kom jest niegroźny - stwierdziła Rimona. - Ale jeśli na terenie Iranu działają inne instalacje tego typu? Dwie fabryki z sześcioma tysiącami wirówek zdolnymi do produkcji

uranu wystarczającego do jednej bomby rocznie? Albo cztery instalacje z dwunastoma tysiącami wirówek? Albo osiem?

Zabrał głos Tim Walker, odpowiednik Rimony z CIA.

- W takim przypadku Iran uzyska uran, który mu pozwoli na budowę znaczącego arsenału nuklearnego w ciągu kilku miesięcy. Mułlowie mogliby wtedy wyrzucić inspektorów Agencji Atomowej z kraju i w jednostronny sposób ogłosić się mocarstwem atomowym. Jeżeli ich sieć instalacji atomowych jest dobrze ukryta, będziemy bezradni.

- Racja - odparła Rimona. - Ale co się stanie, jeżeli zawodne irańskie wirówki IR-1 zostaną zastąpione na przykład typem P-2, używanym w Pakistanie? Albo czymś lepszym niż P-2 - na przykład aparaturą najwyższej jakości produkowaną w Europie?

Tym razem odpowiedział Adrian Carter.

- W krótkim czasie Iran stanie się zagrożeniem dla całego świata.

- Znowu racja. Z przykrością muszę stwierdzić, że właśnie jesteśmy świadkami ostatniego scenariusza. Gdy cywilizowany świat dyskutował, zwlekał i bezsilnie rozkładał ręce, Irańczycy potajemnie realizowali swoje plany nuklearne, stosując uświęcone ich tradycją metody zwodzenia przeciwnika, *khod'eh* i *taqiyya*. Blef i oszustwo doprowadziły Iran do przedsięwzięcia nuklearnego, a Martin Landesmann pomagał im na każdym etapie ich drogi. Ten człowiek sprzedaje im nie tylko pojedyncze wirówki, lecz również aparaturę próżniową, pompy i zawory umożliwiające łączenie pojedynczych instalacji w ciągi produkcyjne. Krótko mówiąc, Martin Landesmann zaopatruje Islamską Republikę Iranu we wszystko, co jest niezbędne do uruchomienia fabryki wzbogacania uranu.

- Jak on to robi? - spytał Carter.

- W ten sposób... - odpowiedziała Rimona.

Następny obraz prezentacji ukazał rozciągający się od Europy Zachodniej po Morze Japońskie kontynent Eurazji. W Niemczech, Austrii, Szwajcarii i Belgii widniała sieć kilkunastu firm z branży technicznej, wśród nich Keppler Werk GmbH z Magdeburga. Z wszystkich firm prowadziły przerywane linie

do miasta Shenzhen w południowych Chinach, gdzie znajdowała się centrala koncernu XTE Hardware and Equipment.

- Zgadnijcie, kto jest właścicielem XTE Hardware and Equipment? - spytała Rimona.

- Global Vision Investments - odpowiedział Adrian Carter.

- Tak. Oczywiście nie bezpośrednio, bo łańcuszek właścicieli obejmuje kilka podstawionych firm - dodała Rimona z gorzkim uśmiechem. - Pan Landesmann ma w Chinach potężnego partnera - prywatną firmę, która, naszym zdaniem, jest sterowana przez chiński Urząd Bezpieczeństwa.

- Czyli wywiad - mruknął Steven Clark z FBI.

- Właśnie. - Rimona podeszła bliżej do ekranu z mapą. - Landesmann funkcjonuje podobnie jak Irańczycy. Swoją działalność prowadzi na całym świecie, potrafi ją dobrze maskować, w każdej sytuacji ma rezerwy i plany awaryjne. Co najgorsze, jest całkowicie nietykalny, bo handluje asortymentem podwójnego użytku, robiąc to w sposób pozornie przypadkowy. Nie sprzedaje Irańczykom całych ciągów produkcyjnych, bo jest na to zbyt przebiegły, zamiast tego przekazuje najróżniejsze elementy kontrolowanej przez siebie firmie XTE Hardware and Equipment. To Chińczycy montują je w całość i odsprzedają dalej, do Dubaju i Malezji, skąd wirówki trafiają do Iranu.

- Od jak dawna trwa ten proceder? - spytała Cynthia Scarborough.

- Nie mamy precyzyjnych danych na ten temat, ale możemy wyciągać pewne wnioski na podstawie daty zakupu Keppler Werk GmbH przez Landesmanna. To był rok dwa tysiące drugi. Od tego czasu Landesmann regularnie zwiększa swoje tajne portfolio dotyczące europejskich firm technologicznych.

- Więc mówimy o dłuższym okresie.

- Tak.

- A to oznacza, że budowa tajnej sieci instalacji wzbogacających uran może być bardzo zaawansowana.

- Też tak uważamy. Ostatnie posunięcia Iranu wydają się potwierdzać nasze przypuszczenia.

- Jakie posunięcia?

- Po pierwsze, zaczynają wszystko chować. Wasze zdjęcia satelitarne pokazują, że coraz więcej instalacji atomowych trafia pod ziemię. Nie tylko w

Kom. Tunele powstały już w Isfahanie i Natanzu, nowe w Metfazie, Khojirze czy Parchinie są w budowie. Drażenie tuneli w górach nie jest ani łatwe, ani tanie. Irańczycy chcą tam chować swoje fabryki, chroniąc je w ten sposób przed atakami z powietrza.

- Jeszcze coś? - spytał Shepard Cantwell z CIA.

- Tak, Natanz - odpowiedziała Rimona.

- Co się tam dzieje?

- Irańczycy przewieźli do tamtejszego naziemnego magazynu cztery tony niskoprocentowej rudy uranu, czyli praktycznie cały swój zapas. Tak jakby chcieli nas zachęcić do ataku. Dlaczego to zrobili?

- Podejrzewam, że masz swoją teorię na ten temat.

- Gospodarka Iranu jest w opałach. Zdesperowana brakiem perspektyw młodzież irańska coraz częściej, nie zważając na represje, wychodzi na ulice. Każdy atak z zewnątrz byłby mułom na rękę, ponieważ uwiarygodniłby ich filozofię.

- Ale czy w tym celu muszą poświęcać swój cały zapas uranu?

- Nasz atak mógłby być powodem do wyproszenia z kraju inspektorów z Organizacji Narodów Zjednoczonych i wymówienia Umowy o Nierozprze-strzenianiu Broni Jądrowej. Oczywiście w tym czasie bez trudu załatwiliby sobie kolejne dostawy uranu dla swoich wirówek.

- Tak, wtedy mogliby już otwarcie dążyć do wyprodukowania broni jądrowej - powiedziała Cynthia Scarborough. - Tak jak to robi Korea Północna.

- Zgadza się.

- Jakie są rekomendacje?

Rimona wyłączyła laptop.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że powinniśmy ich zatrzymać.

Uczestnicy tego typu spotkań w pewnym momencie dzielą się na dwie grupy. Do jednej trafiają ci, którzy zbierają informacje, do drugiej pozostali, którzy zdobyte dane analizują. Tuż po zakończeniu prezentacji Rimony Adrian Carter bezceremonialnie uniósł się z fotela i zaczął przetrząsać kieszenie marynarki w poszukiwaniu fajki. Czterech innych mężczyzn wstało wraz z nim i ruszyło przez hol do salonu z kominkiem. Przez chwilę Szamron ogrzewał pocętkowane ze starości dłonie przy otwartym ogniu, następnie usiadł na najbliższym krześle. Obok niego przycupnął Uzi Nawot. Gabriel rozpoczął wolny spacer wokół pomieszczenia. Graham Seymour i Adrian Carter rozparli się na przeciwległych końcach kanapy. Jak zwykle Seymour wyglądał jak model reklamujący firmę odzieżową, Carter zaś jak lekarz przygotowujący się do przekazania złych wiadomości swojemu pacjentowi.

- Jak długo to potrwa? - spytał Carter. - Ile im zajmie zbudowanie pierwszej bomby atomowej?

Szamron i Gabriel pozwolili, by ich nominalny przełożony zabrał głos jako pierwszy.

- Międzynarodowa Agencja Atomowa twierdzi, że Irańczycy już w tej chwili posiadają wszystko, co jest im potrzebne do budowy bomby. Jeżeli Martin Landesmann sprzeda im wirówki najnowszej generacji, a dostawy paliwa nuklearnego będą ciągłe...

- Jak długo, Uzi? - powtórzył Carter.

- Rok. Może nawet krócej.

Carter zanurzył fajkę w woreczku z tytoniem.

- Chciałbym podkreślić, że moi szefowie z 1600 Pennsylvania Avenue jednoznacznie odradzają Izraelowi atak na irańskie instalacje atomowe.

- Poglądy Białego Domu są nam dobrze znane.
- Powtarzam, by uniknąć niejasności.
- Rozumiemy. Izrael nie chce atakować Iranu. Wiemy, że ten kraj to nie jakiś tam odłam PLO, lecz prawdziwe Imperium Perskie, i każdy cios z naszej strony spotkałby się z natychmiastowym odwetem. W rzeczywistości Iran, finansując Hezbollah i Hamas, już od dawna jest w stanie globalnej wojny z Żydami i ich państwem.

- Mogą podpalić swój region i zamienić go w strefę nieustającej wojny - dodał Carter. - Cena ropy wystrzeli w górę, świat pograży się w kolejnej recesji. A wszyscy będą uważali, że winowajcą jest Izrael.

- Jak zawsze - powiedział Szamron. - Do tego też się przyzwyczailiśmy.

Carter zapalił fajkę i następne pytanie zadał zza obłoku dymu.

- Macie całkowitą pewność, co do tej chińskiej firmy?

- Obserwujemy XTE już od dłuższego czasu. Korespondencja, którą znaleźliśmy w laptopie Landesmanna, potwierdziła nasze podejrzenia - powiedział Nawot. - Ale czy chiński trop to dla ciebie niespodzianka?

- Nic mnie nie zdziwi, gdy mówimy o Chinach. Iran jest ich drugim co do wielkości dostawcą ropy naftowej, a państwowe chińskie koncerny energetyczne zainwestowały dziesiątki miliardów dolarów w rozwój irańskich instalacji gazowych i naftowych. Nie mamy wątpliwości, że w Pekinie Iran to nie wróg, lecz sojusznik. Potencjał nuklearny Iranu nie jest dla Państwa Środka żadnym problemem, w rzeczywistości mogą taką sytuację uważać za sprzyjającą ich planom.

- Bo to ograniczyłyby amerykańskie wpływy w rejonie Zatoki Perskiej.

- Właśnie - potaknął Carter. - Ponieważ w rękach Chińczyków znajdują się setki miliardów dolarów amerykańskiego długu, nie wolno nam robić niczego, co by mogło ich rozdrażnić. Wiele razy zwracaliśmy Pekinowi uwagę, że z chińskich portów do Iranu płynie rzeka towarów i urzędzeń, które nie powinny tam trafiać. Reakcja jest zawsze ta sama. Obiecują, że przyjrzą się temu. I nic nie robią.

- Tego rodzaju rozmowy nie mają sensu - powiedział Nawot. - Zresztą tak samo rzecz ma się ze Szwajcarami, Niemcami, Austriakami czy innymi

dostawcami. To tylko strata czasu. Interesy narodowe i zwykła chciwość są kartami, które trudno przebić. Zresztą, wracając do naszej operacji, nie chcemy, żeby rząd Szwajcarii się dowiedział, że szpiegujemy ich najbogatszego biznesmena.

- Ile wirówek mógł im sprzedać Landesmann?
- Nie wiemy.
- Jak dawno była pierwsza dostawa?
- Tego też nie wiemy.
- A ostatnia?
- Znów nie wiemy.

Carter machnął ręką, odganiając dym sprzed twarzy.

- W porządku, powiedzcie, co wiecie.
- Handel ten trwa i jest dla Martina bardzo opłacalny. Co najważniejsze, dowiedzieliśmy się, że następna duża dostawa wyjdzie z Chin do Dubaju i stamtąd trafi do Iranu.

- Skąd te wiadomości?
- Znaleźliśmy je na twardym dysku laptopa Martina we wcześniej usuniętym, zakodowanym pliku z e-mailem niejakiego Ulricha Müllera.

Carter w milczeniu żuł ustnik fajki.

- Müllera? - spytał. - Jesteś tego pewny?
- W stu procentach - odparł Nawot. - Dlaczego pytasz?
- To nazwisko pojawiło się podczas naszej obserwacji Zentrum Security. Müller to były funkcjonariusz DAP, szwajcarskiej agencji bezpieczeństwa. Drań pierwszej wody. Znajomość Müllera i Landesmanna trwa już od dawna. On jest człowiekiem do brudnej roboty.

- Na przykład do przemytu instalacji atomowych z Europy przez południowe Chiny do Iranu.

- Martin potrzebuje takich ludzi, bo nie chce, żeby w jego holdingu GVI figurowały firmy otwarcie handlujące z Iranem.

Carter zamilkł, bacznie przyglądając się Nawotowi i Szamronowi. Gabriel nie przerywał swojej wędrówki po pokoju.

- Ostatnie uwagi Rimony stwarzają wrażenie, że już macie jakiś plan działania - stwierdził Carter. - Graham i ja, jako wasi partnerzy operacyjni,

chcielibyśmy poznać wasze zamiary.

Nawot spojrzął na Gabriela, który wreszcie się zatrzymał.

- Przydatność materiałów z laptopa Martina jest ograniczona. Nadal nie wiemy wszystkiego. Nie znamy wielkości dostaw, terminów, metod płatności, firm spedycyjnych.

- Zakładam, że wiesz, gdzie tego rodzaju informacje można znaleźć.

- W komputerze na zachodnim brzegu Jeziora Genewskiego, na wysokości tysiąca dwustu trzydziestu ośmiu stóp nad poziomem morza.

- Villa Elma?

Gabriel skinął głową.

- Chcesz się tam włamać? - spytał Carter z niedowierzaniem. - Naprawdę myślisz o włamaniu na drugie piętro jednej z najlepiej strzeżonych szwajcarskich rezydencji? Czy wiesz, że ten kraj słynie z żelaznej kontroli życia swoich obywateli?

Nie słysząc odpowiedzi, Carter spojrzął na Szamrona i Nawota.

- Nie muszę ci przypominać o trudnościach prowadzenia operacji w Szwajcarii, prawda, Ari? Pamiętasz wpadkę Biura sprzed dziesięciu lat, kiedy to wszyscy wasi pracownicy trafili do aresztu za założenie podsłuchu w telefonie osoby podejrzanej o terroryzm?

- Nikt nie mówi o włamaniu do Villa Elma.

- No to jak tam wejdiesz?

Tym razem odpowiedział Gabriel.

- Za cztery dni Martin Landesmann wydaje charytatywne przyjęcie dla trzystu swoich najbogatszych znajomych. Mamy zamiar tam się pojawić.

- Naprawdę? W jaki sposób? Przebierzecie się za kelnerów i wejdziecie z tacą pełną kawioru? Czy wieszacie się w towarzystwo?

- Będziemy tam oficjalnie, Adrianie.

- A zaproszenia? Gabriel się uśmiechnął.

- Już jedno mamy.

- Zoe? - spytał Graham Seymour.

Gabriel skinął głową.

- Czy przypominasz sobie, co jej przyrzekłem podczas rekrutacji? Jej zaangażowanie miało się ograniczyć do jednej, krótkiej akcji.

- Byłem tam, więc pamiętam.
- To dobrze, bo ja swoje obietnice traktuję poważnie. Po wykonaniu przez nią zadania mieliśmy już się do niej nie zbliżać.
- Sytuacja się zmieniła.
- Więc teraz chcesz, by podczas eleganckiego przyjęcia włamała się do dobrze strzeżonego biura? Tego rodzaju zadanie byłoby trudne nawet dla najbardziej doświadczonego agenta. Dla nowicjuszki jest niemożliwe.
- Nie chcę, żeby Zoe włamywała się do biura. Jej jedynym zadaniem będzie pojawienie się na przyjęciu. - Graham zawiesił głos.

- W towarzystwie partnera, oczywiście.

- Partnera, którego ty wybierzesz?

Gabriel potaknął.

- Masz już kandydatów? - spytał Adrian Carter.

- Jednego.

- Jeżeli nie wybierzesz ani Ariego, ani Lawona, zostanie tylko Michał.

- Świetnie wygląda we fraku.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale po tym, co przeszedł w Rosji, może jeszcze nie być gotowy do następnej akcji.

Gabriel skinął głową.

- Jest gotowy.

Carterowi zgasła fajka, więc natychmiast napchał do niej nową porcję tytoniu.

- Chciałbym przypomnieć, że w tej chwili obserwujemy każdy ruch Martina w laptopie i telefonie. Jeżeli proponowana operacja w Genewie nie wypali, stracimy tę możliwość.

- A jeśli Martin wymieni telefon, a jego informatyk znajdzie naszego szpiega w laptopie?

- Do czego zmierzasz?

- Nasze okno do świata Martina w każdej chwili może zostać zamknięte. Ot, tak - stwierdził Gabriel, pstrykając palcami dla większego efektu. - Mamy szansę, by dostać się do Villa Elma bez żadnego problemu. Wiemy, jak bliscy celu są Irańczycy, uważam więc, że musimy wykorzystać każdą szansę, żeby ich powstrzymać.

- Przekonałeś mnie. Ale nasza dyskusja nie będzie miała sensu, jeżeli Zoe odmówi nam pomocy. - Carter spojrzał na Seymoura.

- Myślisz, że się zgodzi?

- Mam nadzieję, że tak. Ale nasz premier znów będzie musiał zatwierdzić jej udział w operacji. Moi rywale na drugim brzegu Tamizy też będą chcieli wtrącić swoje trzy grosze.

- Nie pozwolimy im na to - powiedział Gabriel. - To jest nasza operacja, nie ich.

- Z chęcią przekażę im twoje stanowisko - powiedział Graham, rzucając wymowne spojrzenie w stronę stojącego w holu przedstawiciela MI6. - Jest jednak jeszcze jeden aspekt tej sprawy, o którym zapomnieliśmy.

- Jaki?

- Co według ciebie powinniśmy zrobić, gdy faktycznie dotrzemy do przesyłanych wirówek?

- Gdy tylko je znajdziemy... - Gabriel zamilkł na chwilę. - Powiedzmy, że opcje działania są wprost nieograniczone.

Gerald Malone, dyrektor generalny Latham International Media, uderzył po południu. O godzinie piętnastej do wszystkich pracowników „Journala” trafił e-mail napisany w typowym dla Malone'a, suchym stylu. Ostatnie próby zmniejszenia kosztów okazały się niewystarczające, aby zapewnić dziennikowi zyskowność, kierownictwu Latham International Media nie pozostało nic innego jak natychmiastowa redukcja etatów, zwłaszcza w dziale wydawniczym.

Komórce reportażu śledczego udało się wyjść z opresji bez szwanku. Jak się później okazało, był to prezent pożegnalny dla Zoe od Jasona Turnbury'ego, który właśnie przechodził do pracy w centrali. Tej samej centrali, która jednym komunikatem zamieniła jego „Journal” w dymiące zgłiszcza.

Zoe siedziała przy swoim biurku i obserwowała pakujących się kolegów. Jako jedna z nielicznych przeżyła katastrofę i miała poczucie winy. Smętne pożegnania utwierdziły ją w przekonaniu, że nadszedł czas na zmianę. W Nowym Jorku już czekała na nią praca w telewizji. Często wracała myślami do nadzwyczajnych kobiet i mężczyzn, których niedawno poznała w Highgate. Brakowało jej towarzystwa Gabriela i jego zespołu, ich uporu w dążeniu do celu, niezachwianej wiary w słuszność obranej drogi. Kiedyś czuła to samo, zaczynając pracę w redakcji „Journala”. Z przyjemnością wspominała koleżeńską atmosferę w budynku kontrwywiadu i wrażenie przynależności do większej rodziny. Hałaśliwej, kłótlivej, drażliwej, często dysfunkcyjnej, lecz mimo wszystko rodziny.

Wszystko wskazywało na to, że po kilku wieczorach w Highgate rodzina ta już z niej zrezygnowała. W pociągu z Paryża krótko ostrzyżony mężczyzna ze śladami młodzieńczego trądziku na twarzy dyskretnie pogratulował jej sukcesu

misji, jednak od tego czasu zapanowała cisza. Żadnych telefonów, e-maili, spotkań w metrze czy na ulicy. Nawet nie dostała oczekiwanego zaproszenia do centrali MI5, gdzie miała nadzieję usłyszeć podziękowanie za dobrze wykonaną robotę. Czasami zdawało jej się, że jest śledzona, ale kładła to na karb przewrażliwienia. Nawet nie wiedziała, czy jej wysiłek przyniósł spodziewane efekty. Wydawało jej się, że ze swojego zadania wywiązała się dobrze, ale czy zdobyte informacje rzeczywiście spełniły oczekiwania Gabriela i Grahama Seymoura? Z drugiej strony miała świadomość, że nie powinna oczekiwać zbyt wiele, bo praca służb specjalnych rządzi się swoimi prawami.

Przeczytała kiedyś, że czas, który jest potrzebny kobiecie, by mogła odzyskać równowagę po zerwaniu z partnerem, zazwyczaj jest równy okresowi trwania związku. W jej przypadku reguła ta się nie sprawdziła. Świadomość obłudy Martina spowodowała, że Zoe natychmiast go znienawidziła. Nie zerwała z nim tylko na wyraźną prośbę Grahama Seymoura, który obawiał się, że tego rodzaju ruch zdemaskuje prowadzoną operację. Nie miała najmniejszej ochoty ani na bal charytatywny w Genewie, ani na dalszą znajomość z Martinem.

Niewesołe myśli Zoe przerwało pojawienie się w sali konferencyjnej Jasona Turnbury'ego, który wygłosił mowę, podkreślając, jakim zaszczytem była dla niego praca z tak utalentowanym i zaangażowanym zespołem. Gdy po tej ceremonii pogrzebowej pracownicy redakcji ruszyli w stronę wind, wyglądali jak grupka rozbitków cudem ocalałych z jakiejś katastrofy. Większość z nich poszła do starego pubu niedaleko budynku „Journala” i zaczęła pijatykę. W odruchu solidarności Zoe przyłączyła się do towarzystwa, lecz zaraz tego pożałowała. Gdy miała już dość ocierania łez i poklepywania ramion, wyslizgnęła się na deszczową ulicę.

Nigdzie nie było taksówki, więc poszła pieszo przez Southwark Bridge. Nad Tamizą dął lodowaty wiatr, mała parasolka Zoe nie zapewniała ochrony przed prawie poziomo zacinającym deszczem. Na drugim końcu mostu przez ścianę ulewy dostrzegła znajomą sylwetkę mężczyzny ubranego w płaszcz przeciwdeszczowy. Funkcjonariusz MI5, który tak niedawno zagadnął ją przed budynkiem CNN, uniósł rękę, za chwilę do Zoe podjechał jaguar. Uchylając tylne drzwi, Graham Seymour zaprosił ją do środka.

- Słyszałem, że w redakcji poląła się krew - rzucił Seymour, gdy samochód ruszył.

- Czy istnieje coś, o czym jeszcze pan nie słyszał?
- To było w wiadomościach BBC.

Jaguar skręcił w lewo, w Upper Thames Street.

- Moja stacja metra jest po drugiej stronie.
- Musimy porozmawiać.
- Tak myślałam.
- Zastanawialiśmy się, jakie ma pani plany na weekend.
- Jakaś łatwa książka. Parę płyt DVD. Może spacer po Hampstead Heath,

jeżeli nie będzie padało.

- To nie brzmi zbyt interesująco.
- Lubię się nudzić. Zwłaszcza po ostatnim wypadzie do Paryża.
- Mamy pewną propozycję, która może się pani spodobać.
- Co ty razem? Włamanie do banku? Likwidacja komórki Al-Kaidy?
- Nic z tego. Chodzi tylko o pojawienie się na przyjęciu i o zniewalający

wygląd.

- Z tym dam sobie radę. Będzie potrzebne jakieś szkolenie? Wracamy do

Highgate?

- Nie od razu. Najpierw zje pani kolację w Mirabelle.
- Z kim?
- Ze swoim nowym kochankiem.
- Ciekawe. Jak wygląda?
- Młody, przystojny, bogaty. Rosjanin.
- Ma jakieś nazwisko?
- Michaił Daniłow.
- Szlachetne.

- W rzeczywistości Michaił w ogóle nie jest szlachetny, dlatego chcemy, żeby towarzyszył pani na sobotnim przyjęciu w domu Martina Landesmanna.

59.

HIGHGATE, LONDYN

Tym razem operacja Arcydzieło wymagała od uczestników wzajemnego zauroczenia. Razem jedli lunch, wspólnie oglądali wystawy na Bond Street, spacerowali wśród straganów Covent Garden, objęci wchodzili do kina przy Leicester Square. Zoe nigdy nie rozmawiała w pracy o swoim życiu osobistym, jednak wszyscy natychmiast dostrzegli jej szampański nastrój. Plotki rozprzestrzeniały się z szybkością pożaru. Ktoś twierdził, że rosyjski kochanek Zoe zarobił grube miliony na handlu moskiewskimi nieruchomościami i we właściwym momencie wycofał się z rynku. Inna frakcja redakcyjna utrzymywała, że młody człowiek wzbogacił się na handlu ropą. W czeluściach działu przygotowywania publikacji do druku pojawiła się kąśliwa wersja o handlu bronią i powiązaniach Rosjanina z niechlubnej pamięci Iwanem Charkowem.

Pracownicy „Journala” nigdy nie poznali prawdy o wysokim, uderzająco przystojnym cudzoziemcu, afiszującym się z ich koleżanką. Nie wiedzieli, że Zoe i jej partner spędzali dużo czasu w wiktoriańskim domu z czerwonej cegły, położonym w końcu cichego zaułka w Highgate. Już pierwszego dnia po wejściu do salonu Zoe przekonała się, że jej paryska eskapada przyniosła spodziewany efekt. Głos Martina dobywał się ze stojącego w kącie komputera, nieprzerwany podsłuch trwał już od trzech dni. Mimo satysfakcji z powodzenia misji, sytuacja ta wprawiła ją w zakłopotanie. Tak, myślała, Martin na pewno sobie zasłużył na ingerencję w życie prywatne, ale czy tego rodzaju działania służb wywiadowczych nie stanowią zagrożenia dla zwykłych ludzi?

Telefonia komórkowa dała państwu możliwość inwigilacji rozmów, korespondencji i poglądów wszystkich obywateli. Nowy wspaniały świat Aldousa Huxleya stał się faktem.

Zespół pracujący w Highgate powiększył się o dwie osoby - osiemdziesięciolatka o zmęczonych oczach i masywnego mężczyznę z rudoczerwonymi włosami. Zoe zauważyła, że obydwoj przybysze są traktowani z wyjątkowym respektem, nigdy jednak się nie dowiedziała, że do zespołu Gabriela dołączyli właśnie szefowie izraelskiego wywiadu.

Chociaż jej rola w Genewie miała się ograniczać do wprowadzenia Michała na przyjęcie, Zoe musiała być przygotowana na każdy scenariusz. Szkolenie reporterki polegało tym razem na szczegółowej nauce historii poznania przystojnego Rosjanina, który miał ją najpierw zauroczyć, a później wykorzystać do uzyskania zaproszenia na galę Martina. Taka wersja znajomości z Michałem miała stanowić jej alibi, gdyby planowana operacja się nie powiodła. Spacerowali więc po New Bond Street, robili wycieczki do Covent Garden, obejrzeli przydługi film w kinie przy Leicester Square.

- Niech pani magazynuje w pamięci najdrobniejsze szczegóły - powtarzał Gabriel. - Tak jak przy pisaniu reportażu.

Podczas ostatnich sesji w Highgate przepływ informacji nie był jednostronny. Jako jedyna osoba znająca bajkową rezydencję Martina nad Jeziorem Genewskim, Zoe często przejmowała rolę nauczyciela. To ona opisała zasady kontroli gości przy głównym wejściu od rue de Lausanne i narysowała plan rozmieszczenia strażników na terenie budynku. Autentyczne zaangażowanie Zoe w pracę zespołu doprowadziło do tego, że Szamron zasugerował Uziemowi Nawotowi natychmiastowe wciągnięcie reporterki na etat Biura.

- Mam przeczucie, że naszym brytyjskim partnerom by się to nie spodobało - odpowiedział Nawot.

- Partnerstwo między agencjami wywiadu jest jak małżeństwo oparte tylko na pociągu fizycznym: intensywne, lecz szybko wygasające.

- Nie wiedziałem, że pan zna się na tych sprawach, szefie.

- Jestem szpiegiem, Uzi, w tej branży znajomość tajemnic ludzkich serc to sprawa kluczowa.

Obecność kilku silnych osobowości na tak małej przestrzeni stwarzała wiele niebezpieczeństw, ale na szczęście obyło się bez większych spięć. Przynajmniej wtedy, gdy w pobliżu była Zoe. Gabriel zachował kontrolę operacyjną,

Nawot jeździł na spotkania wywiadów w Thames House. Była to jego pierwsza okazja zaprezentowania się na forum międzynarodowym. Zachowanie Nawota, jego powaga i dogłębna znajomość omawianych zagadnień zrobiły duże wrażenie na uczestnikach obrad. Wszyscy byli zdania, że na najbliższe lata Biuro trafiło w dobre ręce, i mieli nadzieję, że sukces operacji nad Jeziorem Genewskim jeszcze bardziej umocni pozycję Uziego. Porażki, która mogła złamać mu karierę, nikt nie brał pod uwagę.

Pamiętając o porażkach doznanych w przeszłości, Gabriel cały czas ostrzegał zespół przed nadmierną pewnością siebie w związku z powodzeniem operacji paryskiej. To prawda, mówił, operacja paryska była sukcesem, ale tym razem znajdują się na terenie Martina. Wiele rzeczy będzie sprzyjało gospodarzowi, który, tak jak jego ojciec, potrafi być śmiertelnie niebezpieczny. Martin Landesmann już raz zabił reportera, który wpadł na trop jego powiązań z Iranem, i na pewno nie zawaha się zabić znowu - nawet swojej kochanki.

Czasami, w chwilach refleksji nad dotychczas przebytą krętą drogą, Gabriel tylko potrząsał głową w zadumie. Wszystko zaczęło się w Amsterdamie, w śnieżnobiałym saloniku Leny Herzfeld... Myślał o Lenie, o liście nazwisk i numerów kont bankowych. *Katz, Stern, Hirsch, Greenberg, Kaplan, Cohen, Klein, Abramowitz, Stein, Rosenbaum, Herzfeld...* Szamron twierdził, że to niewidzialni członkowie zespołu Gabriela.

Każdego dnia Szamron siadał na drewnianej ławeczce na szczycie wzgórza Parliament Hill i przez mniej więcej godzinę konferował z Gabrielem. Ostatnie spotkanie przed wyjazdem do Szwajcarii zaczął od omówienia kluczowej dla operacji roli Michaiła.

- Czy Michaił potrafi się dostać do biura Martina i zostać tam niezauważony przez godzinę i piętnaście minut? A jeżeli ktoś spostrzeże jego nieobecność na przyjęciu? Zbyt wiele zależy od jednego człowieka.

- Uważasz, że może nie wytrzymać nerwowo?

- Nie o to mi chodzi. Jeszcze niedawno Michaił był wrakiem człowieka. Prawie takim samym jak ty i Chiara. W Rosji ucierpiał tak bardzo, że boję się o jego umiejętność kalkulacji racjonalnego ryzyka.

- Przeszedł szkolenie w Sayeret i Biurze, Ari. Gdy jutrzejszego wieczoru

wejdzie na przyjęcie, nie będzie Michailem Abramowem, lecz kimś innym - rosyjskim milionerem i partnerem Zoe Reed.

- Czy musiałeś przelać moje sto tysięcy euro na rachunek fundacji Martina?

- Pan Daniłow chciał tego.

- Naprawdę?

- Pan Daniłow chce zrobić dobre wrażenie. Nie chce być uważany za skąpca. Jest wystarczająco bogaty, żeby za siebie płacić.

- Miejmy nadzieję, że pan Daniłow podejmie właściwą decyzję co do komputera Martina. Kładzie na szali nie tylko swoje bezpieczeństwo, lecz również bezpieczeństwo Zoe. Nie wspomnę już o karierze twojego przyjaciela Uziego Nawota. - Szamron zapalił papierosa. - Słyszałem, że polubili go w Thames House i Vauxhall Cross.

- A ty co o nim myślisz?

- Muszę przyznać, że jego międzynarodowy debiut zrobił na mnie dobre wrażenie. A ta operacja - oczywiście jeżeli się uda - może przejść do historii Biura jako jeden z naszych największych sukcesów. Trudno mi uwierzyć, że na początku Uzi nie chciał w ogóle o niej słyszeć. - Szamron zerknął na Gabriela. - Może to go czegoś nauczyło i następnym razem nie będzie podchodził do twoich propozycji jak pies do jeża.

Gabriel nie odpowiedział.

- Na liście uczestników akcji w Genewie nie ma Chiary - powiedział Szamron. - Zakładam, że zrobiłeś to świadomie. .

- Nie jest tym zachwycona, ale chciałem, żeby została w Londynie z tobą i Uzim.

- Może ty powinieneś zrobić to samo. - Przez chwilę Szamron palił w milczeniu. - Nie muszę ci przypominać, że podczas twojej ostatniej wizyty w Szwajcarii doszło do rozlewu krwi. Być może Szwajcarzy dowiedzą się o twoim przyjeździe. A to znaczy, że jeżeli coś jutro nie wypali, możesz mieć duże problemy z wydostaniem się z tego kraju. I to na długo.

- Nie pozwolę, żeby ktoś inny zajął moje miejsce w Genewie, Ari.

- Wiedziałem, że tak odpowiesz. Więc tylko pamiętaj o jedenastym przykazaniu: nie daj się złapać.

- Masz jeszcze jakieś inne rady?
- Dopilnuj, żeby Zoe Reed wróciła do domu cała i zdrowa. - Szamron rzucił papierosa na ziemię. - Nie chcę, żeby udany londyński debiut Uziego po jednym dniu zakończył się katastrofą.

Piętą achillesową Biura były paszporty. W większości przypadków agenci nie mogli używać swoich prawdziwych dokumentów, bo jako obywatele Izraela nie mieli prawa wjazdu do wielu państw świata. W niektórych krajach, na przykład w Szwajcarii, traktowano ich bardzo podejrzliwie. Z tego powodu, po długiej rundzie negocjacji, wspólnie zdecydowano, że na czas wyjazdu do Genewy zespół Gabriela dostanie fałszywe paszporty amerykańskie lub brytyjskie, które powinny zagwarantować brak problemów na granicy. Mimo wszystko Gabriel podjął rutynowe środki ostrożności i podzielił zespół na trzy grupy, podróżujące różnymi trasami i samolotami.

Sam Gabriel wyleciał z Heathrow o świcie liniami KLM o 5:05. W Amsterdamie miał przesiadkę, na lotnisku Geneva International wylądował o 10:00 jako amerykański obywatel David Albright, pracownik funduszu hedgingowego z Greenwich w stanie Connecticut. W walizce miał ubrania, które nie były jego, w teczce niósł wykresy rynkowe, których nie rozumiał. Tak naprawdę, gdy o świcie wyjeżdżał z Highgate, prawie wszystko, co miał przy sobie, było fałszywe. Prawdziwa była tylko obserwująca go z okien wiktoriańskiego domu śliczna kobieta o ciemnych, bujnych włosach. I schowana w zamykanej na suwak kieszeni teczki stara lista nazwisk i numerów kont bankowych.

Pierwsze z długiej kolumny samochodów dostawczych pojawiły się pod Villa Elma już o dziewiątej rano. Odjeżdżały, zostawiając na eleganckim dziedzińcu Martina Landesmanna towary i ludzi, niczym łupy wojenne. Były tam skrzynie z alkoholem i obłożone lodem pojemniki z przywiezionymi drogą lotniczą krabami z Alaski. Stoły i krzesła, obok nich lśniące drewniane skrzynie ze szkłem, porcelaną i srebrnymi sztucami. Podium dla pełnej orkiestry. Piętnastometrowa choinka do holu wejściowego i jej ozdoby, mogące rozświetlić średniej wielkości miasteczko. Zespół techników, dźwigających najwyższej jakości sprzęt audiowizualny. Dwie ubrane w mundury polowe kobiety w towarzystwie gromadki dzikich zwierząt. Projekторы kinowe wniesiono do środka rezydencji, bo gospodarz miał zamiar zaprezentować gościom całogodzinny film poświęcony niebezpieczeństwom globalnego ocieplenia. Czas na pokazywanie tego rodzaju materiału nie był najszcześniejszy, ponieważ, jak na złość, cała Europa właśnie walczyła z atakiem najsrozszej od wielu lat zimy.

Intensywne przygotowania w Villa Elma wyraźnie kontrastowały ze spokojem panującym w położonym o milę dalej hotelu Kempinski. Tutaj, w urządzonym z przepychem lobby, panowała atmosfera wiecznego wieczoru. Pod niskim sufitem z galaktyką świateł pracownicy hotelu rozmawiali ściszonymi głosami, jakby obawiali się obudzić śpiące dzieci. W pustawym salonie palił się w ozdobnym kominiku niemrawy gazowy ogień, złote zegarki i naszyjniki z pereł bezskutecznie uwodziły blaskiem na wystawach butików. Zazwyczaj o trzeciej po południu w lobby panował gwar, dzisiaj królowała tu cisza. Kierownictwo hotelu tłumaczyło to pogodą i załamaniem rynku nieruchomości w znanym z ekstrawaganckich projektów budowlanych emiracie nad Zatoką Perską. Na domiar złego w niedawnym referendum Szwajcarzy opowiedzieli się za wprowadzeniem zakazu budowy

minaretów na terenie konfederacji, narażając się znanym z hojności turystom muzułmańskim. Tak jak większość tutejszych obywateli, kierownictwo hotelu Kempinski zaczynało wątpić w zdrowy rozsądek administracji państwowej w Bernie.

Wszyscy bardzo się ucieszyli, gdy o godzinie 15:15 do hotelu weszła brytyjska reporterka, której twarz znali telewidzowie na całym świecie. Zoe Reed podeszła do recepcji w towarzystwie obwieszzonego złotem Rosjanina, Michaiła Daniłowa. Zamówili oddzielne pokoje. Daniłow wysłał koszulę i frak do wyprasowania, a następnie udał się do siłowni, gdzie odbył, według relacji świadków, prawdziwie morderczy trening. Panna Reed przez kilka minut oglądała wystawy sklepów w lobby, później skierowała kroki do salonu piękności, by poprawić fryzurę i makijaż przed przyjęciem w Villa Elma. Oprócz dwóch pracownic, dostrzegła w salonie funkcjonariuszkę wywiadu z Highgate. Wcześniej w lobby zauważyła mężczyznę, którego znała jako Davida. Staromodnie ubrany gość ze znużoną miną kartkował magazyn „Vogue” i głośno psioczył na jakość obsługi.

Tuż przed piątą Zoe opuściła salon i poszła na górę, by się szykować do wyjścia. Sąsiedni pokój zajmował jej partner, Michaił Daniłow. Na tym samym korytarzu zamieszkał też zielonooki mężczyzna o skroniach przyprószonej siwizną, legitymujący się paszportem Davida Albrighta, wiceprezesa funduszu inwestycyjnego Markham Capital Advisers z Greenwich w stanie Connecticut. Gabriel Allon nie był sam. Po drugiej stronie małego biurka w jego apartamencie siedział Eli Lawon. Obaj mężczyźni mieli przed sobą laptopy, a na uszach słuchawki. Lawon prowadził monitoring Zoe Reed, Allon śledził ruchy Martina Landesmanna. Zoe właśnie słuchała wiadomości BBC. Martin do godziny 17:03 udzielał ostatnich wskazówek swojemu ochroniarzowi Jonasowi Brunnerowi, później odbył krótką rozmowę z kierownikiem przyjęcia i poszedł do pokoju w południowo-wschodniej części budynku, znajdującego się na wysokości 1238 stóp nad poziomem morza. Gabriel usłyszał osiem znajomych dźwięków przy wprowadzaniu kodu otwierającego zamek do gabinetu, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, szmer palców na klawiaturze komputera. Widocznie przed przyjęciem Martin jeszcze miał coś do zrobienia. Gabriel przekazał słuchawki Lawonowi i wyszedł na korytarz.

Na klamce pokoju Zoe wisiał napis NIE PRZESZKADZAĆ. Gabriel zapukał dwa razy, odczekał chwilę, ponownie zapukał dwa razy. Uchyliła drzwi na bezpieczną szerokość.

- W czym mogę panu pomóc? - spytała z udawaną irytacją.
- Może mnie pani wpuścić do środka, Zoe. Sprawdziliśmy pokój, nie ma podsłuchu.

Zoe otworzyła drzwi szerzej i usunęła się na bok. Była boso, miała na sobie tylko biały frotowy płaszcz kąpielowy.

- Tak wystąpi pani dzisiaj wieczorem?
- Wolę to od sukni, którą mi kupił Martin.
- Gdyby pani z niej zrezygnowała, byłby bardzo rozczarowany.
- Nic dziwnego.

Gabriel podszedł do biurka, podniósł komórkę Zoe i ją wyłączył.

- Czy chce mi pan powiedzieć coś na temat telefonu? - spytała Zoe.
- To zwykła ostrożność, nic więcej.
- Jasne - powiedziała ironicznie. - A ja tu wpadłam na kilka godzin tylko dlatego, by się dowartościować w towarzystwie Martina.

Gabriel w milczeniu odłożył komórkę z powrotem na blat biurka.

- Po akcji nie zapomnijcie tego odłączyć. - Usiadła na brzegu łóżka. - Nawet nie wiem, jak to wszystko się nazywa.

- Ale co?

- No to, co zrobiliśmy z telefonem i laptopem Martina.

- Urodziłem się w drugiej połowie siedemnastego wieku, Zoe. Nie znam się na takich rzeczach.

- Może przynajmniej słyszał pan coś na ten temat?

- Nasi technicy określają to różnie - rycie, wejście tylnymi drzwiami. Ja najbardziej lubię zwrot „przejęcie”.

- To znaczy?

- Kiedy docieramy do telefonu osoby będącej naszym celem, mówimy, że go przejmujemy. To samo jest w przypadku penetracji konta bankowego czy systemu bezpieczeństwa. A jeżeli dzisiaj wieczorem Michał dostanie się do gabinetu Martina...

- Wtedy znajdziemy wirówki.

Wypowiedź Zoe była dla Gabriela miłym zaskoczeniem.

- Tak - powiedział ze skinieniem głowy. - Jeżeli szczęście nam dopisze, znajdziemy wirówki.

- Jakie mamy szanse?

- Trudno powiedzieć.

- Podejrzewam, że nie pierwszy raz robi pan coś takiego.

Gabriel się zawahał.

- Już od pewnego czasu prowadzimy w Europie tajną wojnę z eksportem europejskiej technologii do Iranu. Komputery naszych przeciwników to najlepsze źródła danych.

- Na przykład?

- Nie dam pani przykładu, Zoe.

- Może być coś czysto hipotetycznego.

- Dobrze. Powiedzmy, że hipotetyczny naukowiec z Iranu przyjeżdża na hipotetyczną konferencję w Berlinie i tenże naukowiec w swoim hipotetycznym komputerze ma instrukcję budowy bardzo realnej głowicy jądrowej.

- I to wszystko ma miejsce w czasie, gdy irański prezydent twierdzi, że jego program atomowy ma służyć celom pokojowym.

- Dokładnie.

- Więc rzeczywiście budują głowicę jądrową?

- Bez wątpienia - odparł Gabriel. - I są coraz bliżej celu. Ale żeby faktycznie stać się mocarstwem jądrowym, potrzebują stałego dopływu wysoko wzbogaconego uranu. A to wymaga wirówek. Dobrych wirówek, bez zanieczyszczeń, o stałej prędkości obrotu, które nie psują się co chwila.

- Wirówek Martina - szepnęła Zoe.

Gabriel zamilkł. Zoe zerknęła na zegar przy łóżku.

- Jeżeli nie zamierza mi pan pomagać przy ubieraniu, muszę pana wyprosić.

- Jeszcze chwilę, Zoe - powiedział Gabriel. - Gdy Michaił zniknie, pani nie może wyglądać na samotną. Musi pani znaleźć sobie innego kompana, rozmawiać z kimś. W żadnym wypadku nie może pani być sama ani wyglądać na zdenerwowaną. Wprost przeciwnie, musi pani stać się duszą towarzystwa. Czy wyrażam się jasno?

- Myślę, że dam sobie radę.

Gabriel uśmiechnął się lekko, za chwilę jednak spowaźniał.

- Teraz jeszcze raz proszę mi powiedzieć, co pani robi, gdyby Michaił został złapany.

- Mam się go wyprzeć. Mam powiedzieć, że mnie oszukał. I mam jak najszybciej opuścić przyjęcie.

- Zostawiając Michaiła zdanego na samego siebie.

Zamilkła na chwilę.

- Nie chcę tego mówić.

- Musi pani to powiedzieć.

- Dobrze: zostawiając Michaiła zdanego na samego siebie.

- Niech się pani nie waha, Zoe. I nie zastanawia zbyt długo. Jeżeli jakiś ochroniarz Martina spróbuje panią zatrzymać, niech pani krzyczy na niego tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli. Martin, chcąc nie chcąc, będzie musiał panią wypuścić. Czy zrozumiała mnie pani?

Kiwnęła głową.

- Więc proszę powtórzyć.

- Podniosę rwestes. I zostawię Michaiła zdanego na samego siebie.

- Bardzo dobrze. Ma pani jeszcze jakieś pytania?

Zoe pokręciła przecząco głową. Gabriel wstał i podał jej telefon.

- Niech go pani włączy po moim wyjściu. I na przyjęciu nie rozstaje się z nim ani na chwilę.

Gabriel ruszył w kierunku drzwi.

- Właściwie mam jedno pytanie, panie Allon.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Co się wydarzyło wtedy pod Londynem?

- Nie ma żadnego wtedy pod Londynem, tak samo jak nie istnieje dom w Highgate. Nasz umysł jest jak zbiornik: otwieramy zawór i pamięć wycieka.

Gabriel wyszedł, nie oglądając się za siebie. Zoe włączyła komórkę i zaczęła się ubierać.

Okazało się, że są kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego samochodu dla

Zoe Reed i Michała Daniłowa. Próba wynajęcia limuzyny w Zurychu zakończyła się niepowodzeniem, bo wszystkie luksusowe samochody zostały zarezerwowane przez gości Martina. Trzeba było szybko coś kupić. Gabriel zajął się tym osobiście, wybierając czarnego mercedesa klasy S ze wszystkimi możliwymi dodatkami. Zapłacił czekiem, wystawionym na jedno z operacyjnych kont Nawota. Kiedy wiadomość o tym dotarła do Highgate, Szamron wpadł w furję. Czy Biuro może wydawać sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na samochód? Do tego niemiecki?

O godzinie 18:15 nowy czarny mercedes majestatycznie wtoczył się na podjazd hotelu Kempiański. Siedzący za jego kierownicą Jakow, wyglądający jak sternik tankowca na zdradzieckim morzu, poinformował odźwiernego, że przyjechał po pana Daniłowa. Odźwierny zadzwonił do Daniłowa, ten z kolei wiadomość o przyjeździe samochodu przekazał pannie Reed i panu Albrightowi z Markham Capital Advisers. Pan Albright przesłał przełożonym w Londynie wiadomość o treści ZARAZ WYJAZD, następnie wrócił wzrokiem do ekranu komputera. Czerwone światełko mrugało w południowo-wschodniej części Villa Elma, na wysokości 1238 stóp nad poziomem morza.

61.

MAYFAIR, LONDYN

Wiadomość z Genewy rozbłysła na monitorach centrum operacyjnego na Grosvenor Square. Na podniesieniu w ostatnim rzędzie foteli jak zwykle siedzieli Graham Seymour, Adrian Carter i Ari Szamron. Tego wieczora, nie patrząc na wcześniejsze ustalenia, do akwarium zaproszono jeszcze dwie osoby - Uziego Nawota i Chiarę Allon. Wpatrzona w monitory piątka obserwatorów wyglądała jak pasażerowie czekający na mocno opóźniony samolot. Szamron już kręcił w palcach swoją starą zapalniczkę zippo. Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

- Czy ktoś zna definicję słowa „zaraz”?
- Za chwilę - pośpieszył z pomocą Graham Seymour.

Szamron ponuro zmarszczył brwi i spojrzał na Chiarę, która szybko coś napisała w swoim laptopie. Po niedługim czasie na ekranach pojawiła się kolejna wiadomość. **WŁAŚNIE WYJEŹDŹAMY.**

- Co się stało? - zapytał Szamron.
- Zaciął się suwak w sukni Zoe.
- Już naprawiony?
- Tak, przez pana Albrighta z Markham Capital Advisers.

Michał stał przy windach na szóstym piętrze hotelu Kempniński i krytycznie przyglądał się sobie w ozdobnym, przydymionym lustrze. Ubrany był z wyrafinowaną prostotą: w smoking od Brioniego, białą koszulę i staroświecką muszkę, której elegancki węzeł był wynikiem niepozobawionego momentów historii wysiłku trzech agentów izraelskiego wywiadu. Z tyłu, pod przystosowaną do potrzeb misji marynarką, Michał ukrył dwa niezbędne dla sukcesu operacji urządzenia.

Nachylił się do lustra, poprawił spadający mu na czoło jasny kędzior. Jeszcze niedawno mieszkał w zapyziałym bloku na przedmieściach Moskwy, a jego rówieśnicy bili go i wyzywali tylko dlatego, że nosił nazwisko żydowskiego patriarchy. Dopiero po przyjeździe do Izraela nauczył się bronić swojego honoru. Dziś wieczorem miał stanąć do walki z człowiekiem, który cynicznie pomagał irańskim mułom w spełnianiu ich chorych marzeń. Na jeden wieczór Michaił Abramow musiał znów przedzierzgnąć się w prawdziwego Rosjanina o czysto rosyjskim nazwisku i autentycznie dużym koncie bankowym.

W korytarzu usłyszał odgłos zamykanych drzwi, po chwili podeszła Zoe. W sukni od Diora wyglądała olśniewająco. Na użytek kamer hotelowych Michaił ucałował ją w obydwie policzki i cofnął się o krok, by jej się lepiej przyjrzeć.

- Mam przecucie, że będziesz dzisiaj w centrum zainteresowania.
- Obyś ty nie znalazł się w takiej sytuacji.

Michaił roześmiał się i wszedł za Zoe do windy. Na dole w lobby Jossi i Rimona siedzieli przy kominku i pili kawę, Dina z Mordechajem rozmawiali z konsjerżem o restauracjach. Michaił ujął Zoe za łokieć, razem ruszyli ku wyjściu. Po paru krokach zatrzymał ich odźwierny z zakłopotanym wyrazem twarzy.

- Obawiam się, że mamy problem, panie Daniłow.
 - Tak?
 - Nadmiar samochodów.
 - O co chodzi? - spytał Michaił niecierpliwym tonem bogatego człowieka.
- Śpieszmy się.

Odźwierny odwrócił się i wskazał na zaparkowanego na wprost drzwi obrotowych czarnego mercedesa klasy S, przy którym z nieruchomą twarzą i ręką na klamce tylnych drzwi stał Jakow.

- To pana samochód, panie Daniłow.
- Tak, ale w czym problem?

Odźwierny machnął ręką w kierunku innego mercedesa, tym razem maybacha 62 S oraz dwóch eleganckich mężczyzn w ciemnych płaszczach. Jednego z nich, starszego, Michaił znał z fotografii. Był to Jonas Brunner.

- Po pannę Reed przyjechał ten samochód.

- Kto go przysłał?
- Pan Martin Landesmann.
- Proszę poinformować tych dwóch dżentelmenów, że panna Reed pojedzie na przyjęcie w moim towarzystwie.

- Ale oni twierdzą, że panna Reed musi jechać z nimi.

Michaił poprosił Zoe, żeby poczekała w lobby, i wyszedł na zewnątrz. Jonas Brunner natychmiast zbliżył się do niego i przedstawił.

- Chciałbym wiedzieć, o co tutaj chodzi - niecierpliwie rzucił Michaił.
- Pan Landesmann zapewnia państwu transport na przyjęcie. Przepraszamy za brak wcześniejszej informacji na ten temat.

- Przepraszamy?

- Pracuję dla pana Landesmanna.

- W jakim charakterze?

- Osobistego doradcy, w pewnym sensie - odparł Brunner wymijająco.

- Rozumiem. Proszę więc podziękować pracodawcy za grzeczność, ale pojedziemy własnym samochodem.

- Obawiam się, że pan Landesmann byłby głęboko urażony taką sytuacją.

- Brunner wskazał ręką maybacha. - Mam nadzieję, że państwo nie zrobią mu takiej przykrości.

Michaił odwrócił się i spojrzał na Zoe, która wyglądała na rozbawioną. On sam nie traktował tego zdarzenia w kategoriach rozrywki. Landesmann zmusił go do podjęcia pierwszej decyzji znacznie wcześniej, niż Michaił się spodziewał. Odmowa wyglądałaby podejrzanie, zgoda oznaczałaby oddanie inicjatywy przeciwnikowi. Michaił Abramow chciał jechać własnym samochodem, Michaił Daniłow, dbając o pozory, musiał przystać na propozycję gospodarza przyjęcia. Spojrzał więc na Brunnera z lekkim uśmiechem.

- Jazda samochodem pana Landesmanna będzie dla nas przyjemnością. Czy dać wolne mojemu kierowcy, czy też będziemy go jeszcze potrzebować?

- Po przyjęciu odwieziemy pana do hotelu, panie Daniłow.

Michaił odwrócił się i skinął do Zoe, by wyszła na zewnątrz. Brunner z uśmiechem otworzył tylne drzwi maybacha.

- Dobry wieczór, panno Reed.

- Dobry wieczór, Jonas.
- Wygląda pani pięknie.
- Dziękuję.

Jakow obserwował, jak maybach skręca w ciemną Quai de Mont-Blanc, następnie uniósł lewy nadgarstek do ust.

- Słyszałeś?
- Słyszałem - odparł Gabriel.
- Co mam robić?
- Jedź za nimi. Ostrożnie.

Gdy w trzydzieści sekund później na monitorach londyńskiego centrum rozbrzysła nowa wiadomość, Szamron ze złością spojrział na Nawota.

- Ile mnie kosztował ten samochód, Uzi?
- Sto dwadzieścia pięć tysięcy, szefie.
- A ile wyniosła darowizna dla fundacji Martina?
- Sto tysięcy.
- Kiedyś ukradłem rosyjskiego miga za mniejszą sumę.
- Co mam robić, szefie?
- Zrób wszystko, by ten samochód przeżył noc bez szwanku. Chcę odzyskać pieniądze, które na niego wyłożyłem.

Pojechali na północ, wzdłuż brzegu jeziora, zakłócając letarg genewskiej dzielnicy dyplomatycznej. Zoe siedząca w fotelu za kierowcą oparła dłonie na udach, złączone w kolanach nogi przechyliła na bok. Michaił przez okno obserwował jezioro.

- Pierwszy raz w Genewie, panie Daniłow?
- Nie. Dlaczego pan pyta?
- Podoba się panu nasze jezioro.
- Zawsze je lubiłem.
- Więc przyjeżdża tu pan częściej?
- Dwa razy w roku.
- W interesach?
- A jaki może być inny powód?
- Przyjeżdżają do nas także turyści.
- Naprawdę? - Czy pan przesłuchuje wszystkich gości Martina Landesmanna, panie Brunner? Czy tylko znajomych jego kochanki? - zastanawiał się Michaił.

Jeżeli Zoe myślała podobnie, nie dała tego po sobie poznać. Dużymi, ciemnymi oczami zerknęła ciepło na Michaiła i znów patrzyła prosto przed siebie. Zbliżali się do Ogrodu Botanicznego. Pałac Narodów przesunął się z boku jak olbrzymi transatlantyk i zginął we mgle. Wyjrzawszy przez okno, Michaił dostrzegł w bocznym lusterku bacznie obserwujące go oczy Jonasa Brunnera.

- Pan Landesmann prosił mnie, żebym panu podziękował za szczodre wsparcie fundacji One World. Jeżeli czas mu pozwoli, pan Landesmann chciałby podziękować panu osobiście.

- To naprawdę niepotrzebne.
- Rozumiem, ale kto mu to powie?
- Mogę spróbować - odparł Michał jowialnie.

Wydawało się, że Brunner nie zrozumiał żartu. Uznając przesłuchanie za zakończone, sztywno się odwrócił i mruknął kilka niemieckich słów do mikrofonu na przegubie. Opuścili dzielnicę dyplomatyczną, jechali teraz z dużą prędkością po rue de Lausanne. Wysokie żywoptoty i kamienne ogrodzenia po obydwóch stronach ulicy kryły za sobą jedne z najdroższych i najbardziej ekskluzywnych rezydencji na świecie. W miarę oddalania się od centrum posesje wyglądały coraz okazalej, jednak żadna z nich nie mogła się równać z elegancją Villa Elma. Po prawej stronie wjazdu na teren rezydencji Landesmanna stał piętrowy budynek ochrony, czujnie wystawiając wieżyczkę ponad wypiełgnowany żywoptot. Rząd oczekujących na wjazd limuzyn zatrzymał się przy brzegu jezdni, wymachujący notesami żołnierze Zentrum Security sprawdzali zaproszenia i powoli wpuszczali gości do środka. Brunner dał znak kierowcy, by jechał dalej.

Strażnicy się rozstąpili i przepuścili maybacha bez słowa. Na szczycie okolonego drzewami podjazdu Villa Elma pyszniła się jak tort weselny. Rząd limuzyn stał przed wejściem do budynku, wydmuchując w mroźne powietrze dyskretne obłoczki spalin. Tym razem Brunner kazał kierowcy stanąć w kolejce. Przez ramię spojrzął na Zoe.

- Kiedy będzie pani chciała opuścić przyjęcie, proszę powiadomić jednego z ochroniarzy. Samochód jest do pani dyspozycji. - Odwrócił się do Michała. - Życzę miłego wieczoru, panie Daniłow.

- Jestem pewien, że będzie udany.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do budynku. Michał wysiadł pierwszy i podał rękę Zoe.

- Co się działo przed hotelem? - szepnęła Zoe przed drzwiami wejściowymi.

- Pan Landesmann chciał zaznaczyć swoje prawa wobec ciebie.
- Tylko to?
- Jesteśmy tu, więc chyba nic więcej.

Konspiracyjnie ścisnęła mu ramię.

- Dał pan sobie świetnie radę, panie Daniłow.
- Nie tak dobrze jak pani, panno Reed.

Wkroczyli do wysokiego holu wejściowego. Natychmiast podeszli do nich pracownicy obsługi w liberii. Jeden z nich wziął płaszcz Michaiła, drugi zajął się etolą Zoe.

Z ozdobnymi kartami recepcyjnymi stanęli w krótkim rzędzie obwieszonych klejnotami kobiet i wpatrzonych w Zoe mężczyzn.

U stóp bajecznie rozświetlonej choinki stał Martin Landesmann w całej swej krasie. Martin delikatnie ściskający dłonie. Martin szepczący konfidencko. Martin kiwający z zatroskaniem głową. Monique i dzieci spełniali rolę stylowych dodatków gospodarza, tak jak prosty zegarek Patek Philippe na jego przegubie czy dwóch ochroniarzy Zentrum Security, stojących z pozorną dyskrecją za jego plecami. Wyższa o parę centymetrów od swojego męża Monique miała na sobie suknię bez rękawów, ukazującą jej zgrabne, szczupłe ramiona. Długie ciemne włosy zczesasała do tyłu. Wydawało się, że Martin nie dostrzega jej urody, bo wzrok miał skierowany na gości. Michaił i Zoe wręczyli karty recepcyjne pracownikowi obsługi i spokojnie czekali na wywołanie swoich nazwisk.

Scena, która wkrótce się rozegrała, została uwieczniona przez jednego z wynajętych fotografów. Na włączonym do dokumentów późniejszego śledztwa zdjęciu Martin z kwaśną miną ścisnął dłoń stojącego przy Zoe Michaiła, a Monique odwraca głowę w przeciwną stronę.

Krótkie spotkanie zostało zarejestrowane przez nasłuch z dwóch źródeł. Komórka Zoe spoczywała w jej kopertowej torebce, nokię N900 zaś, wbrew prośbie Monique, Martin wsunął do wewnętrznej kieszeni smokingu. Gabriel wysłuchał nagrania trzy razy, wreszcie wysłał wiadomość do Londynu. Gdy goście weszli do głównej sali przyjęcia, orkiestra zaczęła grać *Nadchodzi zwycięstwo* Haendla. Zoe nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Niedaleko Villa Elma znajduje się niewielka, nieskazitelnie czysta stacja paliw Agip z minimarketem, sprzedającym smaczne genewskie pieczywo.

Wieczorem, gdy zatrzymał się tam Jakow, chleb był już czerstwy. Izraelczyk kupił duży kubek słodkiej kawy z mlekiem, bombonierkę szwajcarskich czekoladek, paczkę amerykańskiej gumy do żucia i wrócił do samochodu. Wiedział, że musi się przygotować na długie czuwanie. Powinien być na terenie Villa Elma, jednak ruch Martina spowodował, że akurat ta część planu wzięła w łeb. Czy był to zwykły gest zazdrosnego mężczyzny, czy też coś bardziej przemyślanego? Niezależnie od motywu, Zoe i Michaił zostali sami, zdani całkowicie na łaskę Martina, otoczeni przez jego strażników. Niestety, znów nie udało się wszystkiego przewidzieć.

Przyjęcie wydawał Martin, ale to był wieczór Zoe. Zoe błyszczała, olśniewała. Zoe była gwiazdą. Zoe wybijała się ponad tłum gości, ponieważ była od nich inna. Nie posiadała majątku, nie kupowała. Nie pożyczła na procent, nie wydobywała ropy z dna Morza Północnego. Za to była piękna, inteligentna i występowała w telewizji. Paroma słowami mogła zrobić z każdego człowieka celebrytę, kolejnego Martina Landesmanna.

Przede wszystkim słuchała, odzywała się tylko wtedy, gdy uważała to za konieczne. W dyskusji nie stawała po czyjejkolwiek stronie, ponieważ była prawdziwą profesjonalistką. Flirtowała z młodym właścicielem gigantycznego producenta oprogramowania ze Stanów Zjednoczonych, zносиła zaloty niewyobrażalnie bogatego saudyjskiego księcia, udzielała wyważonych rad Wiktorowi Orłowowi, przyszłemu właścicielowi dziennika „Financial Journal”. Stroniący od rozgłosu mediolański miliarder zaproponował Zoe dostęp do tajemnic swojego imperium w zamian za przychylny mu artykuł, wybitny brytyjski aktor i zwolennik ekologicznego stylu życia błagał ją o większe wsparcie koncepcji rolnictwa zrównoważonego. Podczas parady zwierząt zagrożonych wymarciem opiekuńcy menażerii poprosiły Zoe o zaopiekowanie się rysiemi. Gdy kot przytulił pysk do policzka reporterki, stu pięćdziesięciu mężczyzn westchnęło z rozmarzeniem.

Przez cały wieczór przystojny Michał Daniłow nie oddalał się od Zoe. Widać było, że jest dumny z popularności swojej partnerki. Ścisnął dłonie, rozdawał lśniące wizytówki, niezobowiązująco umawiał się na spotkania w Londynie. Zachowywał się jak idealny, pewny siebie towarzysz pięknej kobiety, któremu w niczym nie przeszkadza jej powodzenie. On grała pierwsze skrzypce, on stanowił nierzucające się w oczy tło jej popisów. Nikt nie zauważył, że

gdy trzystu zaproszonych gości ruszyło na projekcję filmu o Martinie, partner pięknej reporterki zniknął. Pomieszczenie balowe zostało przekształcone w salę kinową, wyposażoną w rzędy półkoliście ustawionych, tęczo kolorowych krzeseł. Na rozpiętym ogromnym ekranie widniało wszechobecne logo fundacji One World, przed audytorium stała mównica, którą swoją obecnością za chwilę miał zaszczyścić Martin. Gdy Zoe zajęła miejsce w ostatnim rzędzie, natychmiast przysiadł się do niej saudyjski książę. Prosząc reporterkę o artykuł na temat rozwoju saudyjskich pól naftowych, arabski nabab nie omieszkał złapać ją za kolano. Przrzekając rozważenie książęcej propozycji, Zoe usunęła rękę natręta. Wreszcie, witany rześzystymi oklaskami audytorium, przy mikrofonie pojawił się gospodarz.

Zoe już wcześniej słyszała przemówienia Martina. Wiedziała, że w jednej chwili potrafi być profesorem, a w następnej przedzierzgnąć się w rewolucjonistę. Tym razem gospodarz nawoływał zaprzyjaźnionych bogaczy do stawiania na pierwszym miejscu sprawiedliwości społecznej, a nie czystego zysku. Mówił o poświęceniu i służbie, otwartych granicach i otwartych sercach. Żądał tworzenia świata opartego nie na gromadzeniu majątku, lecz na zasadach zrównoważonego rozwoju i godności ludzkiej. Jeszcze niedawno Zoe z pewnością wyraziłaby głośną aprobatę dla jego słów i przyłączyła się do ogólnego aplauzu, dzisiaj tylko złożyła dłonie do lekkich oklasków. Gdy światła przygasły, zaczęła się rozglądać. Logo One World zniknęło, na ekranie pojawiło się pomarańczowe słońce, bezlitośnie prażące wysuszony pustynny teren. Zawodzenie solowych skrzypiec tworzyło przejmujący podkład muzyczny.

- Czy coś się stało, panno Reed? - spytał saudyjski książę.

- Obawiam się, że zgubiłam partnera - odpowiedziała Zoe, niedbale wzruszając ramionami.

- To może być moją szansą.

Zoe się uśmiechnęła.

- Czy pan też uwielbia filmy o niebezpieczeństwie wyczerpania paliw kopalnych?

- Chyba wszyscy je lubią - odparł rozentuzjasmowany Saudyjczyk.

Wysuszona pustynia ustąpiła miejsca zatopionej wiosce przybrzeżnej w Bangladeszu. Zoe dyskretnie zerknęła na zegarek, zapamiętując godzinę.

Dziewięćdziesiąt minut, powiedział Gabriel. Jeżeli Michał nie wróci w ciągu dziewięćdziesięciu minut, prosz o swój samochód i wyjeżdżaj. Plan okazał się niedoskonały, Zoe miała teraz tylko limuzynę Martina i kierowcę z Zentrum Security.

Dzięki nadajnikowi w komórce Martina zespół Gabriela dowiedział się o istnieniu schodów łączących kuchnię dla personelu z gabinetem gospodarza. Tędy Martin zawsze wchodził na piętro, wracając z porannego treningu wioślarskiego na Jeziorze Genewskim, wspinając się z poziomu 1226 stóp na poziom 1238 stóp. Niekiedy zatrzymywał się w apartamencie sypialnym, by zamienić kilka słów z Monique, ale zazwyczaj kierował kroki prosto do swojego biura. Przed wejściem do środka wprowadzał osiem cyfr na znajdującej się przy drzwiach klawiaturze systemu bezpieczeństwa. Właśnie te cyfry wkrótce miały stanąć między Michałem a najściślej chronionymi sekretami gospodarza.

Michał najpierw musiał dyskretnie dostać się do kuchni. Zadanie to ułatwił mu fakt, że ubrani na czarno ochroniarze Martina bronili dostępu tylko do niektórych części budynku. Kuchnia okazała się całkowicie niestrzeżona. Wiodącym do niej korytarzem biegali w pośpiechu liczni kelnerzy, więc nikt nie zwrócił uwagi na szczupłego blondyna, który pojawił się tam z pustą tacą. Nikt też nie zauważył, że po chwili przybysz odłożył przyniesioną tacę na blat stołu i, jak gdyby nigdy nic, wszedł na tylną klatkę schodową.

Dzięki technologii GPS Michał dokładnie wiedział, jak ma się poruszać. Na górze skręcił w prawo i słabo oświetlonym korytarzem przeszedł jedenaście metrów. Później ruszył w lewo, aż do podwójnych drzwi, zamykających mały hol przed gabinetem Martina. Tak jak przypuszczał, drzwi były zamknięte tylko na klamkę. Otworzył ich jedno skrzydło i wsunął się w ciemność. Ze schowanej pod marynarką szaszki wyjął małą latarkę z ultrafioletowym światłem. Widmowy, niebieski promień oświetlił klawiaturę systemu bezpieczeństwa i co najważniejsze, wyraźnie ukazał odciski palców Martina na klawiszach 2, 4, 6, 8, 9 i OTWÓRZ.

Michał błyskawicznie zdjął pokrywę klawiatury. Z szaszki wyjął drugi przedmiot wielkości iPod'a, z numerowanymi klawiszami i parą przewodów

zakończonych zaciskami i wpiął go w obnażoną elektronikę zamka. Wprowadził cyfry 2, 4, 6, 8, 9. Gdy nacisnął klawisz AKCEPTUJ, w ułamku sekundy do pamięci systemu bezpieczeństwa została włoczona każda możliwa kombinacja użytych cyfr. Zamek z cichym trzaskiem ustąpił. Michaił odłączył urządzenie, z powrotem założył pokrywę klawiatury. Cicho wślizgnął się do gabinetu Martina, zamykając za sobą drzwi. W pokoju przy futrynie wisiała druga klawiatura systemu bezpieczeństwa, na której wcisnął klawisz ZAMKNIJ. Stalowe bolce przesunęły się z głuchym łoskotem, blokując drzwi.

W gabinecie panowały egipskie ciemności, ale Michaił nie potrzebował światła. Wiedział, że wyłączony kilka godzin wcześniej komputer znajduje się o trzynaście stóp dalej, w kierunku godziny drugiej. Włożył przyniesiony z sobą pendrive marki Sony do jednego z portów USB i, naciskając klawisz F8, włączył komputer. Kilka wprowadzonych instrukcji zainicjowało natychmiastowy transfer całej zawartości twardego dysku, na ekranie ukazało się okienko dialogowe z wiadomością: POZOSTAŁY CZAS ŁADOWANIA 1:14:32...

Teraz mógł tylko czekać. Wpiął słuchawkę w swoją miniaturową krótkofalówkę i wpatrzył się w ekran komputera.

- Działa? - spytał Michaił.
- Działa - odparł Gabriel.
- Pamiętajcie o mnie.
- Bez obawy.

Gabriel przerwał połączenie. Michaił siedział w ciemnościach i obserwował odliczanie czasu w okienku dialogowym. POZOSTAŁY CZAS ŁADOWANIA 1:13:47...

Serwer, do którego trafiała zawartość twardego dysku z Villa Elma, znajdował się tuż przy oszklonej sali konferencyjnej londyńskiego centrum operacyjnego zwanej akwariem, a londyński monitor wyświetlał te same wiadomości, co ekran komputera Martina w Genewie. Jedyne Szamron nie podzielał entuzjazmu, jaki zapanował w sali. Doświadczenie mówiło mu, że na świętowanie sukcesu jest jeszcze za wcześnie. Sytuacja w każdej chwili mogła ulec zmianie, elementów układanki było zbyt wiele, by myśleć o ich skutecznej

kontroli. Pracownik Biura w gabinecie Martina, siedmioro funkcjonariuszy w luksusowym genewskim hotelu, mercedes na stacji benzynowej w jednej z najbezpieczniejszych dzielnic świata. Nie wspominając już o sławnej brytyjskiej reporterce, właśnie oglądającej film o problemach globalnego ocieplenia w towarzystwie bardzo bogatego saudyjskiego księcia. Czy coś może nas zaskoczyć? - zastanawiał się Szamron, nerwowo bawiąc się zapalniczką. Co, do cholery, może się za chwilę zdarzyć?

64.

ZURYCH

Dla małej Konfederacji Szwajcarskiej ostatnie tygodnie okazały się trudne. Największe banki tego kraju, zagrożone niewypłacalnością, zostały zmuszone do przełknięcia gorzkiej pigułki, jaką było zwrócenie się do państwa o pomoc. Wyczuwając właściwy moment, zagraniczne instytucje podatkowe natychmiast zaczęły się domagać od Szwajcarów zniesienia rygorystycznych, obowiązujących od wieków zasad ochrony klientów. Tego deszczowego wieczoru na Bahnhofstrasse w Zurychu panowała upiorna cisza. Szwajcarscy urzędnicy bankowi niczym gnomy wpełzli do swoich kryjówek i czekali na odwrócenie koła fortuny. Tym razem to nie banki szwajcarskie, lecz amerykańskie wpędziły świat w globalną recesję. Te same banki, które do niedawna uchodziły za symbol moralności.

Gospodarka działa jak dynamiczny ekosystem, w którym zagrożenie jednego gatunku nie musi oznaczać problemów dla całości. Zmiany w układzie sił stwarzają nowe szanse. Właściciele przedsiębiorstwa mieszczącego się w ponurym budynku biurowym na Kasemenstrasse, nad kanałem Sihl, mieli tego świadomość. Co prawda zapotrzebowanie na świadczone przez nich usługi było niezależne od cyklu gospodarki, lecz problemy rynkowe jeszcze bardziej przyspieszały dynamikę rozwoju.

Kierowany przez Ulricha Müllera wydział Kellergruppe, pomimo swojej nazwy - *Keller* to po niemiecku piwnica - wcale nie mieścił się w podziemiach gmachu Zentrum Security, lecz zajmował przestronne pomieszczenia na jego najwyższym piętrze. Elegancja biura jednoznacznie świadczyła o zasługach tego wydziału dla końcowego wyniku finansowego firmy. Kilku wyższych rangą pracowników grupy miało dzisiaj dyżur, nadzorując dwie wymagające szczególnej uwagi operacje: szantaż w Berlinie i „zamknięcie rachunku”

w Mexico City. Pilniejsza była ta druga, dotycząca pewnego wścibskiego prokuratora, który nieroztropnie wtrącał się w cudze sprawy. Mokłą robotę zlecono miejscowemu specjalście, na co dzień pracującemu dla baronów narkotykowych. Właśnie tak wydział pracował najczęściej. Zawodowi przestępcy, z których usług korzystał, nigdy nie znali swojego faktycznego zleceniodawcy. Tego rodzaju taktyka ograniczała do minimum szkody, jakie mogłyby zaistnieć w przypadku niepowodzenia operacji.

Mimo wagi prowadzonych w Berlinie i Mexico City działań, Ulricha Müllera w centrali nie było. Jego dawny podwładny, pracownik szwajcarskiej agencji bezpieczeństwa wewnętrznego DAP, poprosił go tego wieczoru o spotkanie na opuszczonym parkingu przy zachodnim brzegu Jeziora Genewskiego. Karl Huber twierdził, że ma do przekazania ważną informację, która nie może być omawiana ani przez telefon, ani w żadnym pomieszczeniu. Głos Hubera brzmiał nieswojo, ale Müller doskonale wiedział, że ten człowiek zawsze przesadza.

Zerknął na zegarek i rozejrzał się po parkingu. Z południa zbliżał się samochód. Huber, pomyślał Müller, punktualnie. Samochód skręcił i ze zgaszonymi światłami zatrzymał się w pobliżu. Pełen profesjonalizm. Po chwili człowiek z DAP rozsiadł się w samochodzie Müllera z laptopem na kolanach. Wyglądał jakby wracał z pogrzebu bliskiej osoby.

- Co się stało, Karl?
- Zobacz, co się stało.

Huber włączył komputer i kliknął jedną z ikon na pulpicie. Po kilku sekundach usłyszeli głos właściciela Zentrum Security, rozmawiającego ze swoją żoną w wyjątkowo intymny sposób. Wysoka jakość dźwięku świadczyła o tym, że mikrofon nasłuchowy musiał się znajdować gdzieś blisko. Przez chwilę Müller słuchał nagrania, następnie niecierpliwym ruchem ręki polecił swojemu byłemu podwładnemu je wyłączyć.

- Skąd to masz?

Huber w milczeniu skierował wzrok do góry.

- Onyx?

Huber kiwnął głową.

- Jakie źródło?

- Komórka Landesmanna.
- Dlaczego szwajcarska agencja bezpieczeństwa wewnętrznego podsłuchuje prywatne rozmowy Martina Landesmanna?

- To nie my. Robi to ktoś inny. Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze?

- Jego laptop.

Müller zbladł.

- Co widzicie?

- Wszystko, Ulrich. Absolutnie wszystko.

- Onyx?

Huber potaknął.

- Onyx.

Dwaj mężczyźni nie mówili o przezroczystej formie kryształu, lecz o szwajcarskim systemie nasłuchu, będącym okrojoną wersją amerykańskiego Projektu Echelon Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, NSA. Tak jak jego większy brat, Onyx może podsłuchiwać komunikację przewodową i bezprzewodową na całym świecie oraz śledzić ruch w Internecie. Wkrótce po wdrożeniu go w 2005 roku stacja nasłuchu Onyxa w Wysokich Alpach zwróciła uwagę na korespondencję egipskiego ministra z ambasadorem w Londynie. Przechwycony materiał naprowadził analityków na trop jednej z najbardziej strzeżonych tajemnic naszego globu - tajnych więzień CIA, w których przetrzymywano więźniów Al-Kaidy.

Ulrich Müller od razu dostrzegł ironię zaistniałej sytuacji. Onyx, zaplanowany i zbudowany, aby bronić interesów Szwajcarii, niechcący natknął się na machlojki jednego z jej najwybitniejszych biznesmenów.

- Jak Onyx go znalazł? - spytał Müller.

- Komputer to potrafi.

- Kiedy?

- Wkrótce po tym, jak zawartość twardego dysku komputera Landesmanna trafiła na satelitę, Onyx znalazł w niej kilka poszukiwanych słów kluczy. Cały materiał został automatycznie zakwalifikowany do przeglądu przez

centralę w Zimmerwald. Po kilku godzinach analityk spostrzegł, że źródłem informacji jest nie tylko komputer, lecz również telefon. Moje biuro zostało o tym powiadomione dopiero dzisiaj, ale monitoring Landesmanna trwa już od kilku dni. Parę godzin temu agencja dostała polecenie zajęcia się tą sprawą.

Müller zamknął oczy. Katastrofa zbliżała się wielkimi krokami.

- Od jak dawna telefon Landesmanna jest na podsłuchu?
- Tego ci nie powiem - Huber wzruszył ramionami. - Co najmniej tydzień.

- A komputer?

- Analitycy twierdzą, że nasłuch w obydwóch urządzeniach został zainstalowany jednocześnie.

- Jakie słowa spowodowały, że materiał został skierowany do przeglądu?

- Nazwy pewnych produktów wysłanych we wschodni region Zatoki Perської oraz firma w Shenzhen, XTE Hardware and Equipment. - Huber zamilkł na chwilę. - Słyszałeś coś o niej?

- Nie - odparł Müller.

- Czy Landesmann ma z nią jakieś kontakty?

Müller uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że nasze spotkanie ma oficjalny charakter, Karl.

- Nie przesadzaj.

Müller odchrząknął i powiedział:

- O ile się orientuję, pan Landesmann nie handluje z żadną chińską firmą XTE Hardware and Equipment z Shenzhen.

- Dobrze wiedzieć. Ale mogę ci zdradzić, że DAP myśli inaczej.

- O czym ty mówisz?

- Powiem ci tylko tyle, że jest wywierana presja, żebyśmy zarządzili pełne śledztwo w sprawie Landesmanna.

- Możesz coś z tym zrobić?

- Próbuję.

- No to próbuj jeszcze bardziej. Płacimy ci wystarczająco dużo, aby naszym klientom takie historie się nie przytrafiały. A co dopiero szefowi.

Huber się skrzywił.

- Może powiesz to jeszcze głośniejsze? Jestem pewien, że stacja nasłuchowa Onyxa w Valais ma kłopoty z odbiorem.

Müller milczał.

- Jeden aspekt tej sprawy działa na waszą korzyść - powiedział Huber. - DAP i policja federalna nie są zbyt chętni, aby teraz, w czasie światowego kryzysu gospodarczego, zaczynać potencjalnie niewygodne śledztwo przeciwko komuś tak popularnemu jak twój szef. Martin ostatnio uchodzi za świętego patrona Szwajcarii. Możesz być pewny, że jego przyjaciele w rządzie nie zaryzykują żadnego ruchu, który mógłby zepsuć jego reputację skarbu narodowego.

- Ale?

- Zawsze istnieje niebezpieczeństwo przecieku do prasy, tak jak w przypadku egipskiego faksu o tajnych więzieniach CIA. Gdyby tak się stało... - Huber zawiesił głos złowieszczco. - Sprawy mogłyby zajść za daleko.

- Zasłużysz sobie na wdzięczność Zentrum, jeżeli uda ci się utajnić tę historię.

- A bardziej konkretnie?

- Pieniądze zostaną przekazane na twój rachunek w poniedziałek rano.

Huber zamknął laptop.

- Pamiętaj o jednym. Ten, kto założył podsłuch, zna się na rzeczy. I nie był sam.

- Ktoś mu pomaga?

- Muszą mieć wtyczkę. Kogoś, kto ma dostęp do telefonu i komputera Landesmanna. Na twoim miejscu stworzyłbym listę podejrzanych, przykuł wszystkich kajdankami do kaloryfera i sprawdził ich lojalność.

- Dziękuję za radę, Karl. My stosujemy inne metody.

Huber uśmiechnął się ironicznie.

- Takie jak wobec Rafaela Blocha?

Ulrich Müller szybko ruszył w kierunku centrum Zurychu, rozważając wszystkie potencjalne skutki nowej sytuacji. *Wtyczka... Ktoś z dostępem do telefonu i komputera Martina...* Nie można było wykluczyć zdrady jakiegoś pracownika, ale taka możliwość była mało prawdopodobna. Wszyscy

zatrudnieni w GVI po wstępnym, rygorystycznym sprawdzeniu ich przeszłości poddawani byli regularnej weryfikacji. Zdrajca musiał być kimś bliskim dla Martina. Może jego kochanka?

Zaparkował przed gmachem na Kasernenstrasse i szybko wjechał na górę. Pracownik Kellergruppe chciał zdać mu sprawozdanie z przebiegu akcji w Berlinie i Meksyku, ale Müller go zignorował. Wszedł do swojego pokoju i po chwili namysłu kazał sobie przynieść listę gości wieczornego przyjęcia w Villa Elma, sporządzoną i sprawdzoną przez Zentrum Security. Na samym końcu zestawienia zobaczył nazwisko, którego szukał. Złapał za telefon i zaczął machinalnie wybierać numer komórki Martina. Zdając sobie sprawę z pomyłki, szybko zakończył połączenie. Zamiast tego zadzwonił do Jonasa Brunnera. Po trzech sygnałach usłyszał jego szept.

- Gdzie jesteś?
- W sali balowej.
- Co to za hałas?
- Film pana Landesmanna.

Müller cicho zaklął.

- Czy widzisz tę brytyjską reporterkę?

Brunner po chwili odpowiedział.

- Siedzi w tylnym rzędzie.
- Z partnerem?

Kolejny moment ciszy.

- Nie, tam go nie ma.
- Cholera!
- O co chodzi?

Zamiast odpowiedzi Brunner przekazał ochroniarzowi Martina zestaw precyzyjnych instrukcji.

- Ilu masz dzisiaj ludzi? - spytał go pod koniec rozmowy.
- Czterdziestu.

Müller przerwał połączenie i szybko wybrał numer firmowego działu transportu.

- Potrzebny mi śmigłowiec.
- Dokąd?
- Kiedy wystartuję, będę wiedział.
- Kiedy?
- Natychmiast.

Jak na tak rośłego mężczyznę, Jonas Brunner poruszał się wyjątkowo lekko. Podszedł niepostrzeżenie do Martina i szepnął mu kilka słów do ucha. Wiadać było, że przekazana wiadomość stanowiła zaskoczenie dla gospodarza przyjęcia. Martin sięgnął do przedniej kieszeni marynarki, wyjął z niej telefon i szybko go wyłączył. Ekran nokii rozbłysnął i po chwili ściemniał. Martin podał komórkę Brunnerowi, wstał i wyszedł za ochroniarzem z sali balowej. Obserwowało go kilka osób, między innymi słynna brytyjska reporterka, siedząca obok saudyjskiego księcia o ogromnym majątku. Kiedy Martin zniknął z pola widzenia, Zoe wróciła wzrokiem na ekran. Czuła, że ogarnia ją strach. Próbowała z nim walczyć. Może Martin po prostu ma już dosyć filmu? Wiedziała jednak, jak wygląda znudzony Martin. Tym razem Martin nie był znudzony, lecz wściekły.

Gabriel zdjął słuchawki, sprawdził łącza, aktualny status transmisji, wcisnął kilka klawiszy. Zdenerwowany spojrzał na Lawona.

- Odbierasz audio z telefonu Zoe?
- Tak, wyraźnie. Dlaczego pytasz?
- Bo utraciłem kontakt z telefonem Martina.
- Żadnych sygnałów GPS?
- Kompletnie nic.
- Widocznie wyłączył telefon.
- Ale dlaczego?
- Dobre pytanie.
- Co robimy?

Gabriel wpisał cztery wyrazy do komputera i kliknął ikonę WYŚLIJ. Połączył się z Michailem.

- Chyba mamy problem.
- Jaki?

Gabriel opisał sytuację.

- Co radzisz?
- Siedź cicho.
- A jak tu wejdą ochroniarze?
- Natychmiast wyciągnij pendrive'a z portu USB.
- I co dalej?

Gabriel przerwał połączenie.

Meldunek Gabriela natychmiast pojawił się na monitorach londyńskiego centrum operacyjnego. TELEFON MARTINA WYŁĄCZONY - CZEKAM NA SUGESTIE. Adrian Carter cicho zaklął, Uzi Nawot zamknął oczy i zrobił głęboki wydech.

- Ludzie często wyłączają telefony - powiedział Graham Seymour.
- To prawda - odparł Nawot. - Ale nie Martin. Jego komórka jest zawsze włączona.

- Tam znajduje się twój człowiek, Uzi. Decyzja należy do ciebie.
- Ile jeszcze czasu potrzeba na transfer wszystkich danych?
- Dwadzieścia jeden minut. Z małym hakiem.
- Jakie są szanse ukończenia zadania?
- Myślę, że pół na pół.

Szamron ze stoickim spokojem przyglądał się Nawotowi, tak jakby chciał mu powiedzieć, że właśnie w takich momentach hartuje się stal.

- Potrzebuję lepszych szans niż pół na pół - powiedział Nawot.
- Więc czekamy?

Nawot kiwnął głową.

- Czekamy.

Michał cicho podszedł do okna, nieznacznie rozchylił zasłony i wyjrzał na zewnątrz. Patrolowany przez strażnika ogród znajdował się o siedem metrów

niżej. Ten fakt nie miał żadnego znaczenia, ponieważ kuloodpornych okien gabinetu i tak nie można było otworzyć. Michaił wrócił do biurka i na ekranie komputera sprawdził pozostały czas transferu. 18:26... 18:25... 18:24...

Siedzę dalej, pomyślał. Ale co z Zoe?

Biuro ochrony znajdowało się na parterze rezydencji, niedaleko pomieszczeń kuchennych. Jonas Brunner wszedł do niego razem z Martinem, który natychmiast zadzwonił do Ulricha Müllera w Zurychu.

- Dlaczego kazałeś mi wyłączyć telefon?
- Bo jest na podsłuchu.
- Na podsłuchu?
- Twoja komórka jest źródłem informacji dla całego świata. Tak samo jak twój laptop.

Naturalnie blada twarz Landesmanna przybrała odcień kredowobiały.

- Czyja to sprawka?
- Tego jeszcze nie wiem. Ale myślę, że ci, co to zrobili, są dzisiaj wśród twoich gości.

- Co ty mówisz?

Müller wyjawiał swoje podejrzenia. Martin wysłuchał go w milczeniu, następnie rzucił telefon na biurko.

- Co mam robić, panie Landesmann?
- Znajdź tego Rosjanina.
- A co z Zoe?
- Daj mi paru ludzi, zajmę się nią osobiście.

Po kilku minutach Brunner uzyskał pewność, że Michaił Daniłow nie ogląda wraz z innymi gośćmi najnowszego filmu fundacji One World. Nie miał jednak pojęcia, kiedy partner Zoe Reed opuścił salę, nie znał też aktualnego miejsca jego pobytu. Wiedział tylko, gdzie powinien zacząć swoje poszukiwania.

Wziął ze sobą czterech najlepszych ludzi. Bez pośpiechu weszli na tylne schody, a kiedy byli już niewidoczni, wyciągnęli pistolety SIG-sauer P226. Na

górze poruszali się w milczeniu, gruby dywan tłumił odgłos ich kroków. Po przejściu jedenastu metrów skręcili w lewo i po chwili bezszelestnie otworzyli zamknięte tylko na klamkę drzwi do holu przed gabinetem Martina. Brunner wsunął się do środka i zatrzymał się przed wiszącą na ścianie klawiaturą panelu bezpieczeństwa. Wybrał osiem cyfr i nacisnął klawisz OTWÓRZ. Z ręką na klamce czekał, aż wysunięte bolce wrócą na swoje miejsce, pozwalając mu wejść do środka.

Gdy projekcja filmu w sali balowej dobiegała końca, Martin usiadł koło Monique.

- Muszę ci coś powiedzieć - szepnął, patrząc na ekran.
- To nie czas ani miejsce na rozmowę, Martinie.
- Obawiam się, że to bardzo ważne.

Monique spojrzała na męża.

- Coś nabroićś.
- Potrzebuję twojej pomocy.
- A jeżeli ci nie pomogę?
- To stracimy wszystko.

Mężczyzna, który jak dziki kot skoczył na Brunnera i jego ludzi, dysponował dwoma atutami. Po pierwsze jego wzrok w ciągu ostatniej godziny przyzwyczał się do ciemności, po drugie zdobył wyszkolenie bojowe, którego brakowało jego przeciwnikom. Pracownicy ochrony, choć byli kiedyś żołnierzami, nie mieli umiejętności szczupłego, błękitnookiego Rosjanina, wyszkolonego przez formację Sajeret Matkal. Krav maga, oficjalna sztuka walki izraelskich sił zbrojnych i agencji wywiadu, może nie zachwycać pięknem, lecz bez wątpienia jest skuteczna.

Michaił walczył w ciszy. Kantem dłoni rozbił dwa nosy, uderzeniem łokcia złamał kość policzkową, mierzonym ciosem uszkodził tchawicę. Jednak przeciwników było zbyt wielu. W końcu przygnietli go swoim ciężarem do podłogi i pozbawili przytomności. Na parterze rozległ się głośny aplauz. Właśnie dobiegł końca film dokumentalny fundacji One World, a Święty Martin po raz

kolejny zbierał gratulacje od zaproszonych gości.

Kiedy ucichły odgłosy walki, Gabriel w słuchawkach usłyszał Jonasa Brunnera, który nakazał swoim ludziom zniesienie pana Daniłowa do piwnicy. Gdy sygnał Michaiła zniknął, Gabriel zrozumiał, że dalsze próby komunikacji są bezcelowe. Zadzwoił do Zoe i zacisnął powieki. *Odbierz telefon, Zoe. Odbierz ten cholerny telefon.*

Wychodząc z sali, Zoe poczuła na ramieniu lekki dotyk. Gdy się odwróciła, ku swojemu zdziwieniu zobaczyła przyjaźnie uśmiechniętą Monique Landesmann. Mimowolnie się rumieniąc, odwzajemniła uśmiech.

- Obawiam się, że nikt nas sobie jeszcze nie przedstawił, Zoe. - Monique wyciągnęła dłoń. - Martin wiele mi o tobie opowiadał. Bardzo podziwia to, co robisz.

- Gdyby wszyscy biznesmeni byli tacy jak pani mąż, pani Landesmann, nie miałabym kogo opisywać.

Zoe plotła, co jej ślina na język przyniosła, Monique robiła wrażenie, że bierze wszystko za dobrą monetę.

- Mam nadzieję, że film ci się podobał. Martin jest z niego bardzo dumny.

- Ma ku temu powody, prawda?

Monique lekko dotknęła ręki Zoe.

- Chciałabym z tobą coś omówić, Zoe. Czy możemy zamienić kilka słów na osobności?

Zoe zawahała się, jednak po chwili przyjęła propozycję gospodyni.

- Wspaniale. Chodźmy tędy.

Przeszły przez wysokie podwójne drzwi po drugiej stronie sali balowej i znalazły się w marmurowym, oświetlonym żyrandolami korytarzu. Na jego końcu Zoe zobaczyła mały, ozdobny salonik, wyglądający jak z pałacu w Wersalu. Monique zatrzymała się przed wejściem i skinieniem ręki zaprosiła Zoe do środka. Po chwili reporterka poczuła, jak ktoś zaciska dłoń na jej ustach, inne ręce wyrwały jej torebkę. Próbowwała walczyć, ale bezskutecznie. Próbowała krzyknąć, ale nie mogła. Gdy ochroniarze unieśli ją w górę, spojrzała w bok, szukając pomocy gospodyni. Monique już nie było, zaproszeni goście nie mogli zbyt długo pozostawać sami.

Martin stał na środku salonu, jak zwykle otoczony wianuszkiem wielbicieli. Monique podeszła do niego, poufale ujmując go za rękę.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak, kochanie - szepnęła, muskając wargami jego policzek. - Ale jeśli jeszcze raz mnie zdradzisz, zniszczę cię.

Jeszcze przed nadejściem ostatniej wiadomości od Gabriela w londyńskim centrum operacyjnym zapanowała ponura cisza. Adrian Carter i Graham Seymour, obydwaj anglikanie, siedzieli z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Nawot, krzyżując ręce na potężnej klatce piersiowej, stał ramię w ramię z Szamronem, nerwowo obracającym w palcach zapalniczkę. Chiara nie przestawała przeglądać ciągle napływającej zawartości twardego dysku komputera Landesmanna.

- Martin nie może ich zabić w swoim domu - rzucił Carter.
- Masz rację - powiedział Szamron. - Pewno wywiezie ich w Alpy i tam się z nimi rozprawi.
- Może twoi ludzie przechwycą ich podczas wyjazdu z Villa Elma - wyraził przypuszczenie Seymour.
- Chciałbym wam przypomnieć, że na terenie posesji parkuje dwieście czarnych limuzyn, które będą wyjeżdżać mniej więcej w tym samym czasie. Poza tym Martin ma dostęp do jeziora i kilka szybkich motorówek. - Szamron zamilkł na chwilę. - Czy ktoś wie, gdzie w Genewie można teraz wynająć łódź?
- Mam paru przyjaciół w DAP - powiedział Carter bez widocznego entuzjazmu. - Kilkakrotnie pomogli nam w walce z Al-Kaidą.
- To twoi przyjaciele - powiedział Nawot. - Nie nasi. Mogę cię zapewnić, że DAP tylko czeka na okazję, żeby nam utrzczyć nosa.
- Zastanów się chwilę, Uzi. Czy czyjaś urażona duma nie jest mniejszym złem niż śmierć dwojga ludzi - jednego z waszych najlepszych agentów i czołowej brytyjskiej reporterki?
- Tu nie chodzi o dumę, Adrianie. Po prostu nie chcę, żeby mój cały zespół wylądował w szwajcarskim więzieniu.

- Załatwię to tak, że nikt nie trafi do aresztu.
- Czy zapomniałeś o człowieku, który kieruje akcją z hotelu Kempinski? -

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Nawot kontynuował. - Nie mam zamiaru powie-
rzać losu Gabriela i jego zespołu twoim znajomym z DAP. Jeżeli trzeba będzie
z nimi rozmawiać, zrobimy to sami.

- To twoja operacja, Uzi. Jakie masz plany?

Nawot spojrzął na Szamrona.

- Ile procent zawartości twardego dysku Martina dostaliśmy, zanim trans-
fer został przerwany? - spytał Szamron.

- Mniej więcej dziewięćdziesiąt.

- W takim razie szanse na znalezienie czegoś ciekawego są bardzo duże.
Na twoim miejscu jak najszybciej ściągnąłbym tu informatyków z Highgate i
zaczął całodobową analizę nowego materiału.

Uzi zerknął na Seymoura.

- Jak szybko mogą tu dotrzeć? - spytał.

- Z eskortą policyjną w ciągu dwudziestu minut.

Seymour sięgnął po telefon. Szamron cicho przysunął się do Nawota.

- Mogę ci coś poradzić, Uzi?

- Oczywiście.

- Szybko wydostań Gabriela, Lawona i resztę zespołu z hotelu Kempin-
ski, bo za chwilę do ich drzwi zapuka szwajcarska policja.

Kamienne schody schodziły spiralą w głąb podziemi starej rezydencji. Pię-
ciu najlepszych ochroniarzy Zentrum znosiło Zoe w piwniczny mrok. Czterech
trzymało ją za ręce i nogi, zadaniem piątego było uciszenie jakichkolwiek pro-
testów z jej strony. Widziała ich twarze, wszyscy byli jej znajomymi z po-
przedniego życia. Życia przed oświeceniem. Przed prawdą. Przed fabryką
Keppler Werk GmbH z Magdeburga i XTE Hardware and Equipment z
Shenzhen w Chinach. Przed Gabrielem...

Weszli do pustego korytarza z wilgotnymi ścianami i wygiętym w łuk skle-
pieniem. Piwnica wyglądała jak bezkresny, cuchnący jeziorną wilgocią alpejski
tunel. Zoe znów zaczęła się wyrывać, w końcu jeden z ochroniarzy nacisnął jej
szyję w taki sposób, że reporterkę całkowicie sparaliżowało.

Na końcu głównego korytarza rzucili ją na ziemię i skrępowali srebrną taśmą klejącą. Najpierw nogi w kostkach, później przeguby, wreszcie usta. Olbrzymi ochroniarz, jednym ruchem zarzuciwszy sobie Zoe na ramię, skrzył w mniejszy korytarz i wszedł do niewielkiego, ciemnego pomieszczenia. Tam postawił Zoe na nogi i spytał ją, czy może oddychać. Gdy twierdząco skinęła głową, zadał jej mocny cios w brzuch. Zgięła się w pół i osunęła się na ziemię, spazmatycznie łapiąc oddech.

- A teraz? Czy panna Reed nadal może oddychać?

Nie mogła już niczego. Ani oddychać, ani widzieć, ani słyszeć. Wiła się z bólu, myślała, że za chwilę się udusi z braku tlenu. Nie wiedziała, jak długo trwała agonia. Po pewnym czasie zorientowała się, że nie jest sama. Tuż koło niej, twarzą do ziemi, leżał nieprzytomny, zakrwawiony, związany Michaił. Próbując go ocucić, położyła mu głowę na ramieniu. Michaił nawet nie drgnął. Wpadła w panikę i rozplakała się.

Jonas Brunner stał w swoim gabinecie przed biurkiem, przypatrując się leżącym na nim przedmiotom. Portfel od Bally'ego z kartami kredytowymi i dokumentami na nazwisko Michaił Daniłow. Klucz do pokoju w hotelu Kempinski. Latarka ze światłem ultrafioletowym. Pendrive marki Sony. Małe urządzenie elektroniczne z klawiaturą numeryczną, dwa przewody zakończone zaciskami. Miniaturowe radio ze słuchawką nieznanego producenta. Cała kolekcja świadczyła o jednym: nieprzytomny, zakrwawiony człowiek, który przed chwilą trafił do piwnicy Villa Elma, był profesjonalistą. Brunner podniósł telefon i zadzwonił do Ulricha Müllera, który siedział w śmigłowcu lecącym nad Zurychem.

- Jak długo przebywał w biurze?
- Tego nie wiemy. Godzinę, może trochę dłużej.
- Co z komputerem?
- Był podłączony do Internetu.
- Gdzie ich trzymasz? Brunner odpowiedział.
- Możesz ich wywieźć z domu tak, żeby nikt nie widział?
- Nie ma problemu.
- Bądź ostrożny, Jonas. On nie jest przecież sam.

- Co z nimi zrobimy?
- Zadam im kilka pytań. W cztery oczy.
- Dokąd ich zawieźć?
- Na wschód - odpowiedział Müller. - Wiesz gdzie. Brunner wiedział.
- A co z Monique i Martinem?
- Po wyjściu ostatniego gościa niech wsiadają do śmigłowca.
- Monique nie będzie zadowolona.
- Nie ma wyboru.

Połączenie się urwało. Brunner westchnął i odłożył telefon.

Kierownictwo hotelu Kempinski już się przyzwyczyło do tego, że bogaci goście często zmieniali swoje plany wyjazdowe. Tego wieczoru obłączenie recepcji było jednak wyjątkowe. Pewna amerykańska para stwierdziła, że wyjeżdżają, bo ich dziecko wpadło w poważne tarapaty. Inna para, tym razem brytyjska, poprosiła o rachunek, cały czas kłócąc się między sobą, również w momencie wsiadania do wynajętego volvo. Pięć minut później łagodnie wyglądający mężczyzna z rozczochranymi włosami zamówił taksówkę na Gare de Cornavin. Tuż po nim poprosił o rachunek milczący zielonooki gość z siwymi skroniami, który ze stoickim spokojem zniósł pięćminutowe oczekiwanie na swoje audi A6.

Personel hotelowy nie mógł nawet podejrzewać, że wszystkie wymówki pospiesznie wyjeżdżających gości były nieprawdziwe. W dziesięć minut później obydwie pary, amerykańska i brytyjska, zaparkowały przy rue de Lausanne, a cierpliwy zielonooki mężczyzna o skroniach posrebrzonych siwizną skierował się do hotelu Métropole, gdzie zameldował się już nie jako David Albright z Greenwich w stanie Connecticut, lecz Heinrich Kiever z Berlina. Natychmiast po wejściu do pokoju Gabriel zaczął na klamce wywieszkę NIE PRZESZKADZAĆ i nawiązał bezpieczną łączność ze swoim zespołem. Po chwili do drzwi zapukał Eli Lawon.

- Coś nowego? - spytał Lawon.
- Tylko jedno - odpowiedział Gabriel. - Pierwsi goście zaczynają wychodzić z przyjęcia.

Zoe słyszała odgłos zbliżających się kroków. Nie wiedziała, czy idzie pięciu, czy pięćdziesięciu ludzi. Już od godziny leżała w bezruchu na wilgotnej podłodze, głowę miała opartą na ramieniu Michaiła. Miała wrażenie, że w jej ciasno skrępowane taśmą ręce ktoś wbija tysiące igieł, drżała z zimna i ze strachu. Michaił jeszcze nie odzyskał przytomności, na szczęście cały czas oddychał głęboko i regularnie.

Kroki ucichły, Zoe usłyszała zgrzyt zawiasów ciężkich drzwi. Najpierw zobaczyła światło latarki na ścianach piwnicy, za chwilę rozpoznała człowieka, który wszedł do środka. Spojrzawszy obojętnie na Michaiła, Jonas Brunner podszedł do Zoe i zerwał srebrną taśmę zaklejającą jej usta. Gdy Zoe zaczęła wzywać pomocy, Brunner uciszył ją dwoma siarczystymi policzkami.

- Co ty, na litość boską, wyrabiasz, Jonas? Przecież...

- To, na co ty i twój przyjaciel zasługujecie - powiedział, przerywając jej w pół słowa. - Okłamywałaś nas, Zoe. Jeżeli nie powiesz nam prawdy, wpakujesz się w jeszcze gorsze kłopoty.

- Kłopoty? Czy ty oszalałeś, Jonas?

Brunner tylko się uśmiechnął.

- Gdzie jest Martin?

- Pan Landesmann - odpowiedział Brunner z naciskiem - właśnie żegna się ze swoimi gośćmi. Prosił, żebym się wami zajął.

- Zajął się? Popatrz na mojego przyjaciela, Jonas. Jest nieprzytomny i potrzebuje doktora.

- Tak jak kilku moich najlepszych ludzi. Sprowadzę tu doktora, kiedy się dowiem, dla kogo pracuje.

- Nie pracuje dla nikogo, idioto. Jest milionerem.
- Lubisz ludzi z pieniędzmi, prawda, Zoe?
- Gdyby nie oni, nadal wypisywałbyś mandaty za złe parkowanie w jakiejś zapyziałej alpejskiej wiosce.

Nie spodziewała się zadanego wierzchem dłoni ciosu, który odrzucił jej głowę do tyłu, na zakrwawioną szyję Michaiła. Wydało jej się, że Michaił drgnął. Czuła promieniujący ból policzka, w ustach miała smak krwi. Zaciśnęła powieki i przypomniała sobie słowa Gabriela. *Jesteś Zoe Reed... Tacy ludzie jak Landesmann nie są dla ciebie przeciwnikiem... Nikt nie może ci mówić, co masz robić, nikt nie może cię krzywdzić.* Znów otworzyła oczy i w półmroku zobaczyła bladą twarz prześladowcy.

- Dla kogo pracujesz? - spytał Brunner.
- Dla londyńskiego „Financial Journal”. Uderzając mnie, popełniłeś cholerny błąd, Jonas.
- A dzisiaj wieczorem? - spytał Brunner cierpliwie, jak nauczyciel rozmawiający z tępym uczniem. - Dla kogo pracujesz dzisiaj?
- Dla nikogo. Zostałam tu zaproszona przez Martina i bawiłam się świetnie, aż do momentu, kiedy ty i twoi kompani wrzuciliście mnie do tej śmierdzącej piwnicy. Co tu, do diabła, się dzieje?

Jonas przypatrywał się jej przez chwilę, później przeniósł wzrok na Michaiła.

- Jesteś tutaj, bo ten człowiek to szpieg. Złapaliśmy go, kiedy podczas projekcji filmu kradł zawartość komputera pana Landesmanna.
- Szpiegiem? To nie żaden szpieg, lecz biznesmen z branży naftowej. Brunner podsunął jej pod oczy mały srebrny przedmiot.
- Poznajesz to?
- To pendrive, Jonas. Prawie wszyscy to mają.
- To prawda. Ale nie wszyscy mają takie cuda. - Brunner podniósł do światła latarkę z ultrafioletowym światłem, urządzenie zakończone przewodami z zaciskami i miniaturowe radio ze słuchawką.
- Twój przyjaciel jest pracownikiem agencji wywiadowczej, Zoe. Podejrzewamy, że ty też.

- Chyba żartujesz, Jonas. Jestem reporterką.

- No to dlaczego wprowadziłaś szpiega na przyjęcie pana Landesmanna?

Zoe spojrzała Brunnerowi prosto w oczy. Nie użyła własnych słów, napisał je dla niej człowiek, który oficjalnie nie istniał.

- Nie znam Michała aż tak dobrze, Jonas. Poznałam go przypadkiem, na jakimś przyjęciu. Bardzo mu na mnie zależało. Kupował mi drogie prezenty. Zabierał mnie do eleganckich restauracji. Traktował mnie bardzo dobrze. Ale teraz myślę...

- Że co, Zoe?

- Może to wszystko rzeczywiście było grą? Może on cały czas chciał mnie oszukać?

Brunner pogłaskał ją po bolącym policzku, Zoe z obrzydzeniem odwróciła głowę.

- Chciałbym ci wierzyć, Zoe, ale najpierw muszę wszystko sprawdzić. Wiesz sama, że żaden dobry reporter nie opiera się na wiadomościach tylko z jednego źródła.

- Za kilka minut zadzwoni mój wydawca z pytaniem o przyjęcie. Jeżeli nie będę mogła z nim rozmawiać, to...

- Załóż, że nadal się świetnie bawisz, i zostawi wiadomość w poczcie głosowej.

- Co najmniej trzystu gości widziało mnie na przyjęciu, Jonas. Jeżeli nie wypuścisz mnie w tej chwili, nikt z nich nie potwierdzi mojego wyjścia.

- Mylisz się, Zoe. Wszyscy zobaczyli, jak opuszczasz party w towarzystwie pani Landesmann, z którą ucięłaś sobie miłą pogawędkę przed odjazdem z Michałem Daniłowem.

- Czy zapomniałaś, że nie mamy tu swojego samochodu?

- To prawda, ale pan Daniłow uparł się, żeby go odebrał jego własny szofer. Dam głowę, że to też pracownik wywiadu. - Brunner uśmiechnął się kwaśno. - Pozwól, że jeszcze raz przedstawię ci fakty. Twój przyjaciel szpieg popełnił poważnie przestępstwo na terytorium Szwajcarii, ale jego nieobecności na pewno nikt nie zgłosi na policję. Oznacza to, że możecie zniknąć z powierzchni ziemi i pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje.

- Już ci mówiłam, Jonas, że...

- Wiem, wiem - uciął Brunner ostro. - Ale muszę to wszystko zweryfikować.

Machnął latarką, do piwnicy weszło kilku ochroniarzy. Na usta Zoe wróciła srebrna taśma, reporterka tym razem została ciasno owinięta grubymi wełnianymi kocami, uniemożliwiającymi jakikolwiek ruch. W otaczającym ją mroku Zoe widziała teraz tylko jedno - leżącego na podłodze piwnicy, nieprzytomnego, związanego Michaiła w zakrwawionej koszuli.

Gdy jeden z ochroniarzy spytał Zoe, czy nie ma trudności z oddychaniem, tym razem milczała. Żołnierze Zentrum Security potraktowali pytanie kolegi jako świetny żart, z którego nie przestawali się śmiać, wynosząc Zoe z piwnicy. Szli wolno, w tempie konduktu pogrzebowego. Nie trafiła jednak do grobu, lecz do bagażnika samochodu. Kiedy ruszyli w drogę, wpadła w popłoch. *Nie ma już bezpiecznego domu w Highgate.* Ani dziewczyny o imieniu Sally, ubranego w tweedy Davida czy zielonookiego zabójcy, Gabriela Allona. Został tylko Martin. Martin, którego kiedyś kochała i który teraz chce ją zabić.

Pierwsi goście zaczęli opuszczać przyjęcie o północy. Najpierw wyszło tylko kilka osób, wkrótce ruszył tłum. Z bramy posiadłości wylała się rzeka stali i przyciemnionych szyb. Prawie wszystkie samochody były czarne i niemieckie, więc, tak jak to przepowiedział Szamron, znalezienie Zoe czy Michała okazało się niemożliwe. Dwie trzecie tej kolumny skierowało się do Genewy, reszta ruszyła w kierunku Lozanny i Montreux. Siedzący w trzech zaparkowanych w pobliżu samochodach ludzie Gabriela obserwowali przejeżdżające pojazdy. Może w którymś z nich z przodu siedzi dwóch ludzi? Może jakiś samochód jedzie podejrzenie szybko? Może ma zbyt obciążony bagażnik?

Dwa razy podjęto pościg, dwa razy trzeba było pogodzić się z porażką. Dina i Mordechaj przez kilka kilometrów gonili jadące wzdłuż jeziora bmw, Jossi i Rimona przez pewien czas śledzili mercedesa SL coupé, który, jak się okazało, kluczył po Genewie w poszukiwaniu kolejnego przyjęcia. Jakow ze swojego punktu obserwacyjnego na stacji benzynowej jak dotychczas nie dostrzegł niczego podejrzanego. Siedział z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy i czuł się odpowiedzialny za pozostawienie Zoe i Michała na pastwę losu. Po całych latach sprawnego kierowania siatką szpiegowską w najgorszych dziurach Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy bał się, że dzisiaj po raz pierwszy pozna gorzki smak porażki. I tylko pomyśleć, że wszystko to dzieje się nad nobliwym Jeziorem Genewskim...

Niestety, wraz z każdym szeptanym przekazem przepływającym między zespołem Gabriela a nowym centrum zarządzania w hotelu Métropole widmo katastrofy stawało się coraz bardziej realne. Eli Lawon utrzymywał łączność z pracownikami w terenie i informował Londyn o każdym nowym zdarzeniu. Gabriel monitorował komunikację radiową ze swojego stanowiska przy oknie,

widząc po drugiej stronie jeziora płonące jak pochodnie światła Villa Elma.

Dopiero o pierwszej w nocy teren rezydencji Martina spowiła ciemność, oznaczająca oficjalne zakończenie corocznej gali. Wkrótce Gabriel usłyszał łopot wirników i zobaczył światła pozycyjne śmigłowca lądującego na trawniku przed rezydencją. Po minucie postoju helikopter uniósł się w górę i poleciał nad jeziorem w kierunku wschodnim. Lawon podszedł do stojącego w oknie Gabriela. Obserwowali razem, jak światła helikoptera powoli giną w mroku nocy.

- Myślisz, że odlecieli z Michałem i Zoe?
- Trudno powiedzieć - odparł Gabriel. - Ale sądzę, że na pokładzie są tylko Martin i Monique.
- Ciekawe, dokąd lecą.
- O tej porze tylko jedno miejsce przychodzi mi do głowy.

Okazało się, że dzięki Grahamowi Seymourowi dwóch informatyków Biura potrzebowało tylko piętnastu minut na przebycie kilku mil dzielących bezpieczny dom w Highgate od centrali operacyjnej przy Grosvenor Square. Na miejscu dołączyli do nich czterej czarodzieje komputerowi z MI5 oraz grupa analityków od spraw irańskich z CIA i MI6. O północy komputer, przy którym uparcie siedziała Chiara, był otoczony przez tuzin pracowników czterech agencji wywiadowczych. Kierownicy operacji Arcydzieło nie opuszczali swoich foteli, ponuro wpatrując się w migające na ekranach ostatnie komunikaty operacyjne.

- Nasz czarny charakter prawdopodobnie już uciekł z miejsca zbrodni - powiedział Graham Seymour, ze znużeniem kryjąc twarz w dłoniach. - Myślicie, że Michał i Zoe są jeszcze na terenie rezydencji?

- Tego nie można całkowicie wykluczyć - odparł Carter. - Ale Martin nie jest facetem, który zostawia po sobie bałagan. A to oznacza, że mamy coraz mniej czasu.

- To prawda - przyznał Szamron. - Uważam jednak, że kilka okoliczności nam sprzyja.

- Czyżby? - rzucił Seymour sceptycznie, wskazując ręką rząd monitorów.

- Z tego miejsca, gdzie siedzę, wszystko wskazuje na to, że wkrótce Zoe i Michaił znikną bez śladu.

- Nikt nie zniknie - odparł z przekonaniem Szamron. - Przynajmniej w najbliższym czasie. - Z namaszczeniem zapalił kolejnego cuchnącego papierosa. - Martin nie jest głupi. Będzie chciał się najpierw dowiedzieć, dla kogo Michaił i Zoe pracują. I jak wiele wiedzą. Uzyskanie takich informacji zajmie mu trochę czasu, zwłaszcza w przypadku Michaiła, który przeszedł odpowiednie szkolenie i łatwo się nie podda.

- Mogą jednak pójść na skróty - powiedział Seymour. - Przecież Zoe nie wytrzyma długo.

- Zgadzam się z Grahamem - stwierdził Carter. - Żeby uratować naszych, musimy się zacząć dogadywać.

- Z kim? - spytał Nawot.

- Wybór na tym etapie jest ograniczony. Kontaktujemy się albo ze szwajcarską agencją bezpieczeństwa, albo z Martinem.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że obydwie opcje mogą oznaczać to samo? Szwajcarska służba DAP ma za zadanie ochronę nie tylko interesów konfederacji, lecz również działalności jej oligarchów. Hierarchia jej celów może być bardzo płynna.

- Nie zapominaj też - dodał Szamron - że Landesmann jest właścicielem Zentrums Security, pełnego byłych funkcjonariuszy DAP. Jak zaczepimy Martina, to ten od razu zwróci się o pomoc do rządu. Stracimy dotychczasowy dorobek naszego śledztwa.

- Wirówki? - Seymour głośno sapnął i pogardliwie wpatrzył się w szereg cyfrowych zegarów wiszących na ścianie centrum operacyjnego. - Chciałbym wam coś jednoznacznie wyjaśnić, panowie. Rząd Jej Królewskiej Mości nie ma zamiaru dopuścić do sytuacji, w której może ucierpieć jedna z brytyjskich poddanych. Dlatego, jeśli zaistnieje taka potrzeba, nawiążemy samodzielny kontakt z rządem Szwajcarii.

- Zawrzecie oddzielny pokój? Czy to masz na myśli?

- Nie mam niczego na myśli. Informuję was, że moja cierpliwość się wyczerpuje.

- Czy mogę ci przypomnieć, Graham, że niebezpieczeństwo grozi nie tylko obywatelce twojego kraju? I że gdy zwrócisz się do szwajcarskiej agencji bezpieczeństwa, zdekonspirujesz całą naszą operację?

- Wiem o tym, Ari. Obawiam się jednak, że dla mnie dziewczyna jest ważniejsza od twojego agenta. I twojej operacji.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że prowadzimy ją sami - powiedział Nawot ironicznie.

Seymour odpowiedział milczeniem.

- Ile dasz nam czasu, Graham?

- Do szóstej rano czasu londyńskiego. To siódma rano w Genewie.

- Bardzo mało.

- Rozumiem wasz punkt widzenia - odparł Seymour. - Ale to wszystko.

Szamron zwrócił się do Nawota.

- Zespół w Genewie już przestał być nam potrzebny, od tej chwili staje się ciężarem.

- Wycofujemy ich?

- Natychmiast.

- To im się nie spodoba.

- Trudno. - Szamron wskazał informatyków i analityków ślęczących przy komputerach akwarium. - Sukces naszej misji zależy teraz tylko od nich.

- A jeżeli do szóstej rano niczego nie znajdą?

- To zaczniemy rozmawiać. - Szamron zgasił papierosa w popielniczce. - Zawsze tak robimy.

Zgodnie z najlepszą tradycją Biura, wiadomość, która w dwadzieścia sekund później ukazała się na ekranie laptopa Gabriela, była krótka i całkowicie pozbawiona dwuznaczności. Nikogo nie zaskoczyła - zespół wziął już pod uwagę taką ewentualność. Jednak decyzja o porzuceniu niedokończonych operacji nigdy nie jest łatwa.

- Mamy wyjechać.

- Daleko? - spytał Lawon.

- Do Francji.

- Co my będziemy robić we Francji? Zapalać świece? Trzymać kciuki?
- Tutaj grozi nam więzienie.
- No to ci powiem, że bez Michaiła i Zoe nigdzie nie wyjadę - powiedział

Lawon. - Myślę, że inni również.

- Nie macie wyboru. To rozkaz z Londynu.
- Od kiedy słuchasz Uzięgo?
- To nie Uzi podjął taką decyzję.
- Szamron?

Gabriel skinął głową.

- W takim razie rozkaz dotyczy również ciebie?
- Oczywiście.
- A ty masz zamiar go zignorować?
- Całkowicie.
- Wiedziałem, że to powiesz.

- To ja ją zwerbowałem, Eli, wyszkoliłem i wysłałem tutaj. W żadnym wypadku nie zostawię jej w rękach morderców Rafaela Blocha.

Lawon wiedział, że Gabriel podjął decyzję, z której już się nie wycofa.

- To wszystko nie zdarzyłoby się, gdyby udało mi się powstrzymać cię od podróży do Argentyny. Siedziałbyś teraz w Kornwalii i obserwował zachód słońca w towarzystwie swojej pięknej żony. A tak znów musisz dyżurować w jakimś zapomnianym przez Boga hotelu.

- Gdybym nie pojechał do Argentyny, nikt by się nie dowiedział, że u źródeł fortuny Martina Landesmana leży zrabowany żydowski majątek. I że, na domiar złego, nasz Szwajcar prowadzi nielegalny handel z reżimem, który otwarcie mówi o konieczności powtórki Zagłady.

- To kolejny powód, dla którego powinienesz pozwolić swojemu staremu przyjacielowi zostać dzisiaj z sobą.

- Mój stary przyjaciel przed chwilą dostał rozkaz ewakuacji. Zresztą i tak przysporzyłem ci kłopotów, które wystarczyłyby na dwa zwykłe ludzkie życia.

Lawon uśmiechnął się blade.

- W takim razie przyrzeknij mi, że będziesz ostrożny. Nie chcę stracić brata z powodu transportu głupich wirówek.

Gabriel milczał. Lawon położył dłonie na jego głowie, na chwilę zamknął

oczy. Pocałował go w policzek i cicho wyszedł z pokoju.

Wart grubo ponad sto tysięcy dolarów mercedes benz klasy S bezszelestnie podjechał pod drzwi hotelu Métropole. Samochód, który według oryginalnego planu miał tylko przewieźć parę młodych ludzi na eleganckie przyjęcie, spełniał teraz funkcję łodzi ratunkowej, najdroższej łodzi ratunkowej w długiej i skomplikowanej historii działań izraelskich służb wywiadowczych. Gdy Eli Lawon wsiadł do środka, kierowca w nieprzepisowy sposób włączył się do ruchu i przez Pont du Mont-Blanc ruszył w kierunku francuskiej granicy.

Gabriel obserwował, jak tylne światła mercedesa giną w mroku nocy. Usiadł do komputera i jeszcze raz przeczytał ostatnią zaszyfowaną wiadomość z londyńskiego centrum operacyjnego. Szósta rano czasu Greenwich, siódma rano w Szwajcarii... O tej godzinie Graham Seymour miał zamiar wszcząć alarm i powiadomić o wszystkim miejscowe władze. Gabriel, Nawot i Szamron mieli dwie i pół godziny na znalezienie lepszego wyjścia z sytuacji. Wyjścia, które by nie dekonspirowało izraelskiej operacji i jednocześnie nie dawało Martinowi czasu na skuteczną obronę.

W londyńskim akwariium informatycy i analitycy nadal szukali materiałów na twardym dysku Martina, mogących posłużyć jako karta przetargowa w końcowej rozgrywce. Gabriel swoje atuty miał przy sobie. Była to lista nazwisk i numerów kont, schowana przez ostatnie sześćdziesiąt lat w obrazie o wymiarach 104 na 86 centymetrów, namalowanym przez Rembrandta van Rijna i zatytułowanym *Portret młodej kobiety*. Izraelczyk ostrożnie położył trzy stroniczki kruchego papieru na biurku, telefonem komórkowym zrobił im zdjęcie i wysłał kolejny meldunek do Londynu. Wiadomość od Gabriela, podobnie jak otrzymany niedawno rozkaz z centrum operacyjnego, była krótka i jednoznaczna. Potrzebował numer telefonu Ulricha Müllera. Teraz.

Sto kilometrów na północny wschód od Genewy, w samym sercu Alp, leży jeden z najbardziej ekskluzywnych kurortów świata, Gstaad. Przyjeżdżają tu nie tylko ludzie sławni i bogaci, lecz również tacy, którzy mają coś do ukrycia. Martin Landesmann, właściciel Global Vision Investments i dyrektor zarządzający fundacji One World, spełniał te warunki. Gstaad, jak powiedział Martin w jedynym udzielonym wywiadzie, jest miejscem, w którym może odzyskać spokój ducha, pomarzyć o lepszym świecie i zapomnieć o codziennych kłopotach. Do niedawna rozbrzmiewał tu rodzimy dialekt Martina, jednak ostatnio ceny w Gstaad tak bardzo poszybowały w górę, że pojawiało się tu coraz mniej Szwajcarów.

Zamożni turyści mogą dojechać do Gstaad samochodem. Wąska dwupasmowa droga zaczyna się przy wschodnim brzegu Jeziora Genewskiego i, wiążąc się wzdłuż lodowców Les Diablerets, prowadzi do Wyżyny Berneńskiej. Bardzo bogaci unikają niewygód podróży naziemnej i wolą do Gstaad polecieć samolotem albo śmigłowcem i wylądować na lotnisku w pobliskim Saanen. Helikopter Landesmanna właśnie siadał na ziemi, tak jak zwykle przy sławnym hotelu Gstaad Palace, oddalonym tylko o milę od domu Martina. Ulrich Müller, w płaszczu z postawionym kołnierzem, czekał na brzegu wyasfaltowanego placu i obserwował opadający powoli z czarnego nieba dwusilnikowy AW139.

Śmigłowiec mógł w swojej wykonanej na zamówienie kabinie wygodnie pomieścić dwunastu pasażerów. Dzisiaj wysiadło z niego tylko osiem osób - rodzina Landesmannów i czterech ochroniarzy Zentrum Security. Dobrze znający szefa Müller od razu dostrzegł, że nastrój pasażerów jest daleki od normalnego. Opiekuńczo obejmując ramiona Alexandra i Charlotte, Monique

wysforowała się do przodu, za chwilę cała trójka zniknęła w oczekującym mercedesie SUV. Martin podszedł do Müllera i bez słowa podał mu stalową walizkę. Gdy Müller ją otworzył, w środku zobaczył portfel firmy Bally z plikiem kart kredytowych i dokumentów na nazwisko Michaił Daniłow, klucz do pokoju w hotelu Kempniński, latarkę na ultrafiolet, pendrive marki Sony, elektroniczne urządzenie z numerowaną klawiaturą, przewodami i zaciskami oraz miniaturowe radio ze słuchawką, nieznanego producenta.

Na temat Szwajcarii krąży wiele legend. Jedną z nich jest twierdzenie, że ten mały alpejski region jest ośrodkiem prawdziwej tolerancji etnicznej i różnorodności kulturowej. Rzeczywiście, cztery różne kultury potrafią tu pokojowo współżyć już od siedmiuset lat, lecz cały czas to bardziej małżeństwo z rozsądku niż z miłości. Rozmowa, która właśnie miała miejsce, była tego potwierdzeniem: poważne sprawy w Szwajcarii są omawiane tylko w języku niemieckim.

- Gdzie on jest?

Müller milcząco ruszył głową w lewo.

- Czy odzyskał już przytomność? - spytał Landesmann.

Müller potaknął.

- Coś powiedział?

- Twierdzi, że był kiedyś pracownikiem FSB i że przyjmuje zlecenia od prywatnych rosyjskich agencji ochrony. Mówi, że został wynajęty przez grupę rosyjskich oligarchów, aby wykraść ci tajemnice rynkowe.

- Jak się dostał do mojego telefonu i laptopa?

- Utrzymuje, że z zewnątrz.

- Jaka jest w tym wszystkim rola Zoe?

- Podobno dowiedział się o waszym związku i postanowił wykorzystać ją do uzyskania zaproszenia na przyjęcie. Mówi, że ją oszukał i że ona nic nie wie.

- To brzmi wiarygodnie - powiedział Landesmann.

- Tak - przyznał Müller. - Gdyby nie coś jeszcze.

- Co?

- Sposób jego walki z moimi ludźmi. Ten człowiek został wyszkolony przez jakąś elitarną jednostkę lub agencję wywiadowczą. Nie jest zwykłym zabijaką z FSB, to prawdziwy mistrz walki wręcz.

- Izraelczyk?
- Bardzo prawdopodobne.
- Jeżeli tak, to co w tym robi Zoe?
- Dziewczyna może rzeczywiście nic nie wiedzieć. Ale nie powinniśmy wykluczyć możliwości, że została zwerbowana przez Mossad. Wprowadzanie swoich ludzi, zwłaszcza kobiet, w otoczenie osób inwigilowanych jest dla nich typowe.

Landesmann zerknął w kierunku czekających samochodów. Rodzina na pewno już się niecierpliwiła.

- Ile danych przechwycił Onyx?
- Wystarczająco dużo, by zarządzono śledztwo.
- Możesz je powstrzymać?
- Właśnie nad tym pracuję. Pamiętaj jednak, że jeśli nawet przyjazne nam biuro DAP ma wątpliwości, to gdy materiał ten trafi do innej agencji, nie unikniemy dużych kłopotów.

- Jesteś moim głównym konsultantem do spraw bezpieczeństwa, Ulrich. Co mi radzisz?

- Najpierw musimy się dowiedzieć, z kim naprawdę mamy do czynienia i jak wiele wiedzą.

- A potem?

- Będziemy działać po kolei, Martin. A teraz ty zrób coś dla mnie. Nie używaj dzisiaj telefonu, okay? - Müller podniósł wzrok na ciemne niebo. - Onyx słucha. I możesz być pewny, że nie tylko Onyx.

70.

KANTON BERNEŃSKI, SZWAJCARIA

Zoe nie miała pojęcia, dokąd jedzie. Wiedziała tylko, że droga jest pełna zakrętów i że cały czas prowadzi w górę. Pierwszy wniosek był oczywisty, bo na zakrętach samochód zarzucał, z kolei o coraz większej wysokości nad poziomem morza świadczył dyskomfort odczuwany w uszach. Po ciosie, który otrzymała niedawno, bolał ją brzuch i ogarniały coraz większe mdłości. Na szczęście na przyjęciu u Martina była zbyt zdenerwowana, by jeść, więc teraz nie musiała się obawiać, że w razie wymiotów udusi się pod szczelnie zakrywającą jej usta taśmą.

Temperatura powietrza ciągle spadała. Na początku nie stanowiło to dla Zoe większego problemu, teraz jednak, mimo grubych koców, w które była szczelnie zawinięta, zimno przenikało do każdej części jej ciała. Była tak zmarznięta, że nawet przestała się trząść.

Próbując odwrócić swoją uwagę od niewesołej rzeczywistości, starała się myśleć o czymś zupełnie innym. Na niby pisała artykuł do „Journala”, czytała ulubione fragmenty *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen, ponownie przeżywała pierwsze spotkanie z Martinem Landesmannem w hotelu Belvedere w Davos, kiedy to podszedł do niej Jonas Brunner i spytał, czy chciałaby wypić drinka w towarzystwie Martina. W najnowszej wersji zdarzeń Zoe nie przyjmowała zaproszenia, mówiła Brunnerowi, żeby poszedł do diabła, i wracała do przerwanej dyskusji z afrykańskim ministrem finansów na jeden z najbardziej fascynujących tematów, jaki kiedykolwiek słyszała. Alternatywne wcielenie Zoe nigdy nie spotkało Martina Landesmanna, nigdy nie przeprowadziło z nim wywiadu, nigdy się w nim nie zakochało ani z nim nie spało. Żaden agent MI5 nie zaczął jej przed londyńskim studium CNN ani nie zawoził do bezpiecznego domu w Highgate. *Nie istnieje żaden bezpieczny dom w Highgate*, przypomniła

sobie. Nie ma dziewczyny o imieniu Sally, staromodnie ubranego Davida ani zielonookiego zabójcy, Gabriela Allona.

Poczuła, że samochód zwalnia. Droga stała się nierówna, prawdopodobnie zjechali z utwardzonej nawierzchni. Po chwili samochód wpadł w lekki poślizg, przechylił się na bok i zatrzymał. Silnik zgasł. Zoe usłyszała trzask otwieranych i zamykanych drzwi, wreszcie ktoś otworzył bagażnik. Poczuła, że jest unoszona w górę. Znowu ujęło ją czterech mężczyzn i poniosło jak trumnę przez cmentarz. Tym razem podróż była krótka. Tragarze położyli dziennikarkę na ziemi, zerwali krępującą ją taśmę, a następnie, obracając Zoe dwukrotnie wokół jej osi, zdjęli z niej kokon z koców.

Wszędzie panowały egipskie ciemności. Przeniesiono ją kawałek dalej, posadzono na krzesło i przymocowano taśmą do jego oparcia. Kiedy rozbłysło światło, krzyknęła.

71.

KANTON BERNEŃSKI, SZWAJCARIA

Przywiązany do krzesła Michaił miał spętane ręce i nogi, a na ustach taśmę. Odzyskał już przytomność. Z brody ściekała mu strużka krwi, widocznie przed chwilą został uderzony. Siedział bez marynarki, w poszarpanej, zakrwawionej koszuli. Koło niego na betonowej podłodze leżały karty kredytowe, dokumenty, pendrive i latarka na ultrafiolet. Zoe przeniosła wzrok z rozspanych drobiazgów na wysokiego mężczyznę, stojącego przed Michaiłem. Nieznajomy miał na sobie wełniane palto narzucone na granatowy garnitur, jego jasne włosy były przyprószone siwizną. W jednej ręce z widocznym obrzydzeniem trzymał pistolet, w drugiej miniaturowe radio Michaiła. Na pistolecie widać było ślady krwi. Tak, pomyślała Zoe. Tacy ludzie nie używają pięści. Wydawało jej się, że gdzieś już go widziała. Może w towarzystwie Martina? Była jednak zbyt zdenerwowana, by sobie to teraz przypomnieć.

Rozejrzała się szybko. Wylądowała w jakiejś szopie magazynowej z falistej blachy, śmierdzącej rdzą i zużyтым olejem silnikowym, nad jej głową bczywały stare świetlówki. Przyszło jej na myśl, że właśnie w tym miejscu mógł zginąć Rafael Bloch, którego ciało zostało później przewiezione przez granicę i porzucone we francuskich Alpach. Zaraz jednak zrezygnowała z takich rozważań. *Rafael Bloch? Nie znam tego nazwiska.* Spojrzała na Michaiła. Patrzył na nią tak, jakby chciał jej coś przekazać. Przez dłuższą chwilę Zoe nie odwracała od niego wzroku, wreszcie zerknęła na swoje ręce. W tym momencie elegancko ubrany mężczyzna podszedł do niej i zerwał taśmę z jej ust. Zoe krzyknęła z bólu, natychmiast żałując swojej słabości.

- Kim jesteś? - spytała ze złością. - I czego ode mnie chcesz?
- Wiesz dobrze, dlaczego się tu znalazłaś, Zoe. Dzięki twojemu współpracowi, panu Daniłowowi, już wszyscy wiemy.

Mówił po angielsku prawie bez obcego akcentu, z precyzją szwajcarskiego zegarka.

- Zwariowałaś? Zostałam zaproszona...

- Nie, Zoe. Jesteś szpiegiem. Przyjechałaś do Genewy z zamiarem kradzieży danych z komputera Martina. W Szwajcarii to bardzo poważne przestępstwo.

- Chyba nie aż takie, jak porwanie i napaść.

Mężczyzna w garniturze się uśmiechnął.

- No tak, Zoe Reed zawsze była znana z ciętego języka. Dobrze, że przynajmniej to nie okazuje się kłamstwem.

- Jestem reporterką, idioto. A kiedy stąd wyjdę, odnajdę cię i zniszczę.

- Ale ty wcale nie jesteś reporterką, Zoe. Twoja praca w „Financial Journal” to tylko przykrywka. Dwa lata temu brytyjskie służby wywiadowcze zainteresowały się działalnością pana Landesmanna. Wtedy dostałaś polecenie nawiązania z nim intymnych relacji i szpiegowania go. Udawałaś, że chodzi ci tylko o reportaż. Dwadzieścia dwa miesiące temu nawiązałaś z nim kontakt w Davos.

- Co za bzdury. Martin próbował mnie poderwać w Davos, nawet zaprosił mnie na kolację do swojego pokoju.

- Jonas Brunner i jego zespół pamiętają inną wersję tamtego wieczoru. Twierdzą, że zachowywałaś się wtedy raczej nachalnie. Nie zapominaj, że to ich zeznania trafią do szwajcarskiej policji. - Na chwilę zamilkł. - Oczywiście możemy to rozegrać inaczej, Zoe. Jeżeli powiesz nam całą prawdę, wkrótce zakończymy tę nieprzyjemną sprawę.

- Nie przyznaję się do niczego oprócz głupoty. Byłam idiotką, że uwierzyłam kłamstwom Martina.

- Jakim kłamstwom, Zoe?

- Święty Martin - powiedziała Zoe głosem pełnym wzdargi.

Mężczyzna zamilkł na chwilę. Gdy się znowu odezwał, nie patrzył na Zoe, lecz na trzymany w ręce pistolet.

- Powiedz wszystko, Zoe. Przyznaj się do swoich grzechów. Ujawnij prawdę. Nie jesteś reporterką. Twój przełożeni w Londynie kazali ci uwieść

pana Landesmanna i wykraść jego tajemnice.

- Niczego nie powiem, bo to kłamstwo. Kochałam Martina.
- Naprawdę? - Podniósł oczy znad pistoletu, tak jakby usłyszane słowa go zaskoczyły. Spojrzał najpierw na Zoe, potem na Michaiła.
- No to skąd wziął się pan Daniłow? Też go kochasz?
- Znam go bardzo krótko.
- On twierdzi, że razem pracujecie nad sprawą pana Landesmanna.
- Wierutna bzdura. Z nikim nie pracuję nad żadną sprawą, zresztą skąd to przypuszczenie, że w ogóle istnieje jakaś sprawa Landesmanna?
- Od pana Daniłowa.

Spojrawszy po raz pierwszy od początku przesłuchania na swojego towarzysza niedoli, Zoe spostrzegła, że ten nieznacznie pokręcił głową. Zauważył to również ich prześladowca i powoli podszedł do Michaiła. Kolbą pistoletu mocno uderzył go w twarz, rozcinając mu skórę na kości policzkowej, następnie złapał go za włosy i przystawił mu broń do głowy. Strażnik stojący z drugiej strony więźnia szybko się cofnął. Mężczyzna wcisnął lufę pistoletu w skroń Michaiła i ponownie spojrzął na Zoe.

- Ostatnia szansę na spowiedź, Zoe. Jeżeli tego nie zrobisz, pan Daniłow umrze. A jeśli on umrze, to ty też. Nie możemy pozwolić sobie na świadków, prawda? Przyznaj się, Zoe. Powiedz mi całą prawdę.

Mrużąc oczy z bólu, Michaił już nie krył się z wiadomością, którą chciał przekazać Zoe. Kręcił gwałtownie głową i coś niezrozumiale krzyczał w taśmę kneblującą mu usta. Dostał dwa kolejne ciosy pistoletem. Zoe zamknęła oczy.

- Odłóż pistolet.
- Zrobię to wtedy, kiedy powiesz mi całą prawdę.
- Odłóż pistolet. - Otworzyła oczy. - Powiem ci wszystko, co chcesz usłyszeć.
- To zaczynaj.
- Najpierw przestań go maltretować.
- Za chwilę zrobię coś gorszego, jeżeli nie zaczniesz mówić. Przyznaj się, że jesteś szpiegiem.

- Nie jestem szpiegiem.
- Więc dlaczego im pomagasz?
- Bo mnie o to poprosili.
- Kto cię poprosił?
- Wywiad brytyjski.
- Tylko oni?
- Nie, również wywiad izraelski.
- Kto kieruje operacją?
- Nie wiem.
- Kto jest kierownikiem, Zoe?
- Nie znam jego prawdziwego nazwiska.
- Kłamiesz, Zoe. Jak ten człowiek się nazywa?
- Na imię ma Gabriel.
- Gabriel Allon?
- Tak, Gabriel Allon.
- Czy był dziś w Genewie?
- Nie wiem.
- Odpowiedz mi, Zoe. Był w Genewie?
- Tak.
- Sam czy z innymi?
- Z innymi.
- Powiedz mi, kto jest w jego zespole. Chcę znać wszystkie nazwiska.

Cyfrowy zegar na ścianie londyńskiego centrum operacyjnego wskazywał godzinę 05:53:17. Do wyznaczonego przez Grahama Seymoura końcowego terminu operacji brakowało już tylko niecałe siedem minut. Szamron z przygnębieniem wpatrywał się we wskazówki. To dziwne, pomyślał. Kiedy byłem młodszy, czas w takich sytuacjach włókł się jak żółw. Dlaczego dzisiaj tak galopuje? Przez chwilę się zastanawiał, czy to nie kolejna oznaka starości. Tak, to właśnie czas jest teraz jego najbardziej nieprzejednanym wrogiem.

Miał przykrą świadomość, że Biuro przeżyło już wiele tego rodzaju porażek. Wiedział, co się prawdopodobnie zdarzy w ciągu kilku kolejnych godzin. Kiedyś, dawno temu, można było oczekiwać, że Europejczycy w trudnej sytuacji im pomogą. Teraz jest inaczej. Europa straciła cierpliwość do Izraela. Szamron był pewien, że ich udział w śledztwie przeciw Landesmannowi nie spotka się ze zrozumieniem europejskich salonów władzy. Co prawda Brytyjczycy i Amerykanie też formalnie uczestniczyli w prowadzonej operacji, ale w sytuacji kryzysowej na pewno wszystkiego się wyprą. Do aresztu trafią nie obywatele Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, lecz Izraelczycy: Jossi Gawisz, Dina Sarid, Jakow Rossman, Rimona Stern, Gabriel Allon... Autorzy największych sukcesów Biura. Dzisiaj los chciał inaczej. Święty Martin był górą.

Szamron spojrział na Nawota, który siedział w miejscu wydzielonym dla FBI z uchem przyciśniętym do słuchawki bezpiecznego telefonu i rozmawiał z premierem. Obudził szefa rządu, by zakomunikować mu o zbliżającej się katastrofie dyplomatycznej. To naprawdę nieprzyjemna sytuacja. Szamron wyobraził sobie tyradę, której wysłuchuje właśnie Nawot, i poczuł wyrzuty sumienia.

Szef izraelskiego wywiadu był od samego początku przeciwny tej operacji, a teraz płacił za szaleństwo kogoś innego. Oczywiście Szamron miał zamiar bronić Uziego przed konsekwencjami porażki, ale wiedział, że takie sytuacje rządzą się swoimi prawami. Muszą polecieć głowy, a Nawot może stracić swój fotel dyrektora.

Szamron znów spojrzął na zegar. 05:56:38... Za trzy i pół minuty Graham Seymour skontaktuje się ze szwajcarską policją. Analitykom zostały tylko trzy i pół minuty na znalezienie czegoś, co pozwoliłoby zespołowi Gabriela wyjść z opresji z honorem. Wszyscy pracowali jak szaleni, Chiara wlepiła oczy w ekran nad ich głowami. Sam Szamron nie mógł im pomóc. Wiedział, jak włączyć komputer, nic więcej. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak się poruszać w świecie informacji cyfrowych. Tylko młodzi dają sobie z tym radę, rozmyślał Szamron ponuro. Kolejny dowód na to, że jego czasy minęły.

Znów zerknął na zegar. 05:58:41... Graham Seymour już spoglądał na telefon stojący tuż przy jego prawym łokciu. Godzinę temu wprowadził do pamięci aparatu numer szwajcarskiego biura DAP, teraz do nawiązania kontaktu wystarczyło naciśnięcie klawisza.

Wskazówki przesuwwały się nieubłaganie. 05:59:57... 05:59:58... 05:59:59... 6:00:00...

Seymour podniósł słuchawkę i spojrzął na Szamrona.

- Przepraszam cię, Ari, ale wasz czas się skończył. Wiem, że to nie moja sprawa, ale uważam, że Gabriel i jego ludzie powinni jak najszybciej wyjechać ze Szwajcarii.

Anglik nacisnął na klawisz szybkiego wybierania i podniósł słuchawkę do ucha. Szamron zamknął oczy, czekając na nieuniknione. Wiedział, że słowa, które za chwilę padną, będą mu się śnić do końca życia. Jednak zamiast głosu Seymoura usłyszał trzask gwałtownie otwartych drzwi i triumfalny okrzyk Chiary.

- Mamy go, Graham! Odłóż słuchawkę! Mamy go!

Seymour przerwał połączenie, jednak słuchawkę nadal trzymał w dłoni.

- Co macie?

- Następna dostawa wirówek opuszcza Shenzhen za sześć tygodni i dociera do Dubaju w połowie marca. Płatność na konto w Meissner Privatbank of Liechtenstein.

- Źródło informacji?
- Zaszifrowany plik tymczasowy, kiedyś dołączony do e-maila.
- Kto go pisał?
- Ulrich Müller.
- Muszę to zobaczyć.

Chiara wręczyła Seymourowi wydruk dokumentu. Po przestudiowaniu go Anglik odłożył słuchawkę.

- Zyskałeś jeszcze godzinę, Ari.

Szamron zwrócił się do Chiary.

- Możesz bezpiecznie przesłać ten dokument Gabrielowi?
- Bez problemu.

Znaleziona wiadomość zajmowała pięć stron. Informatycy zaszyfrowali ją i przesłali Gabrielowi bezpiecznym połączeniem w formacie PDF. Plik pojawił się w komputerze Gabriela o godzinie 07:05 czasu lokalnego, wraz z numerem telefonu komórkowego Ulricha Müllera i jego adresem internetowym. Gabriel szybko napisał e-mail, dołączył do niego dwa dokumenty PDF i wybrał numer Müllera. Nikt nie odbierał telefonu. Po chwili Gabriel zadzwonił ponownie.

Ulrich Müller właśnie przejeżdżał koło oświetlonej fasady hotelu Gstaad Palace, gdy telefon zadzwonił po raz pierwszy. Nie znając wyświetlonego numeru, nie odebrał połączenia. Sygnał umilkł, po chwili telefon znów zadzwonił. Tym razem Müller czuł, że musi się odezwać. Nacisnął na klawisz odbioru i podniósł komórkę do ucha.

- *Ja?*
- Dzień dobry, Ulrich.
- Kto mówi?
- Nie poznajesz mojego głosu?

Müller już wiedział, z kim rozmawia. Słyszał ten głos na podsłuchu z

Amsterdamu i Mendozy.

- Skąd masz mój numer? - spytał.
- Czy prowadzisz, Ulrich? Wydaje mi się, że właśnie siedzisz za kierownicą samochodu.
- Czego chcesz, Mon?
- Chcę, żebyś się zatrzymał. Mam zamiar ci coś pokazać.
- O czym mówisz?
- Za chwilę wyślę ci e-mail, który powinieneś dobrze przestudiować. Jak to zrobisz, oddzwon do mnie. - Przerwa. - Czy mój numer ci się wyświetlił?
- Tak.
- Dobrze. Więc po przeczytaniu zadzwoń. Od razu. Jeżeli tego nie zrobisz, moje następne telefony będą do szwajcarskiej policji i biura DAP.
- Nie potrzebujesz mojego adresu, Allon?
- Nie, Ulrich, już go mam.

Połączenie zostało przerwane. Müller zjechał na pobocze drogi i zatrzymał samochód. Po trzydziestu sekundach otrzymał e-mail.

- O kurwa!

Gdy Müller oddzwonił, Gabriel natychmiast odebrał telefon.

- Ciekawy materiał, co, Ulrich?
- Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.
- Nie marnuj mojego czasu, Ulrich. Zanim przejdziemy do szczegółów, chcę wiedzieć, czy moi ludzie jeszcze żyją.
- Nic im nie jest.
- Gdzie są?
- Nie twoja sprawa.
- Mylisz się.
- Pod moją opieką.
- Mam nadzieję, że są właściwie traktowani.
- Popełnili poważne przestępstwo w domu Martina Landesmanna.
- Jeśli ich skrzywdziłeś, odpowiesz za to osobiście, tak jak twój szef.
- Pan Landesmann nic o tym nie wie.

- Próbujesz wziąć na siebie całą winę, Ulrich, ale to się nie uda. Nie tym razem.

- Czego chcesz?
- Rozmowy z Martinem.
- To niemożliwe.
- Moje żądanie nie podlega negocjacji.
- Zobaczę, co da się zrobić.
- Pośpiesz się, Ulrich. Mój następny telefon będzie do biura szwajcarskiej policji federalnej.
- Potrzebuję trzydziestu minut.
- Daję ci pięć.

Przywiązani do krzesel, z ustami zaklejonymi taśmą, Zoe i Michaił siedzieli twarzą w twarz w szopie magazynowej. Uciekając przed mrozem, strażnicy wyłączyli światło i schronili się w swoich samochodach. Ciemność była przytłaczająca, zimno nieludzkie. Zoe chciałaby przeprosić Michaiła za zdradę szczegółów operacji, opatrzyć jego rany. Chciałaby też mieć świadomość, że ktoś ich poszukuje. Niestety, wszystko to pozostawało w sferze marzeń.

W ogromnym drewnianym budynku górskiej rezydencji Martina Landesmanna paliły się wszystkie światła. Ulrich Müller szybko przejechał przez strzeżoną bramę i zatrzymał się na końcu długiego podjazdu. Przed wejściem do domu stało dwóch ochroniarzy, przytupując z zimna. Müller bez słowa wkroczył do środka. Landesmann siedział w salonie przed kominkiem. Ubrany był w spłowiałe dzinsy i gruby, zapinany na suwak sweter, w dłoni trzymał kryształowy kieliszek z koniakiem. Podnosząc palec do ust, Müller wręczył mu telefon. Landesmann spokojnie przejrzał dwa pliki przesłane przez Gabriela. Gdy skończył, Müller odebrał od niego komórkę, wyłączył i wsunął ją do kieszeni palta.

- Czego chce? - spytał Landesmann.
- Swoich ludzi. I rozmowy z tobą.

- Powiedz mu, żeby się odpierdolił.
- Próbowałem.
- Jest w Szwajcarii?
- Wkrótce się dowiemy.

Landesmann podszedł z kieliszkiem do kominka.

- Ściągnij go tutaj, Ulrich. Ale najpierw się postaraj, żeby trochę spokojnie.

Müller włączył telefon. Wychodząc z salonu, usłyszał trzask rozbijanego kryształowego kieliszka.

W dziesięć sekund później zadzwonił telefon Gabriela.

- O mały włos byś się spóźnił, Ulrich.
- Pan Landesmann chce się z tobą zobaczyć.
- Postępuje rozsądnie.
- Teraz posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj. Za dziewięćdziesiąt minut będę na parkingu przy deptaku w Gstaad. Przyjedź tam. I pamiętaj, bez żadnych sztuczek. Jeżeli do dziesiątej rano nie będę mógł porozmawiać ze swoimi ludźmi, to e-mail, który ci wcześniej wysłałem, trafi do każdej agencji wywiadu, każdego ministerstwa sprawiedliwości i wszystkich policji świata. Czy mnie zrozumiałeś, Ulrich?

- Deptak w Gstaad, za dziewięćdziesiąt minut.

- Dobrze. Teraz dopilnuj, żeby moim pracownikom nie działa się krzywda. Jeżeli coś będzie nie tak, osobiście za to zapłacisz. Żarty się skończyły.

Gabriel się rozłączył i szybko napisał ostatnią wiadomość do Londynu. Zapakował komputer i ruszył w kierunku windy.

73.

KANTON BERNEŃSKI, SZWAJCARIA

Drzwi szopy się uchylły, Zoe poczuła na szyi podmuch mroźnego powietrza. Zamknęła oczy i po raz pierwszy od wielu lat zmówiła krótki pacierz. Co teraz? - pomyślała. Następna sesja przesłuchania? Kolejna podróż w bagażniku? A może Martin zdecydował się na ostateczne rozwiązanie problemu wścibskiej reporterki? Już od pewnego czasu układała w myślach treść swojego nekrologu. Brakowało jej tylko kilku szczegółów, między innymi rodzaju swojej śmierci. Wiedziała, że ta wiedza nadal jest zarezerwowana dla Martina i jego zbirów.

Otworzyła oczy i spojrzała na Michaiła. Twarz chłopaka oświetlił promień szarego, wpadającego przez uchylone drzwi światła. Usłyszała, że ktoś podchodzi do niej z tyłu. Dwóch mężczyzn. Jeden z nich, tym razem ostrożnie, usunął taśmę z jej ust, drugi ostrożnie rozwiązał ręce i nogi. W tym samym czasie dwóch innych strażników uwolniło Michaiła, a trzeci zaczął smarować maścią i bandażować jego rany na głowie. Pracowali w milczeniu, z typową dla Szwajcarów dokładnością. Dali swoim więźniom koce i wyszli tak samo nagle, jak się pojawili, zamykając za sobą drzwi.

- Co się dzieje? - wykrztusiła Zoe.
- Nie co, tylko kto. Gabriel się dzieje.
- O czym ty mówisz?

Michaił przycisnął palec do ust.

- Ani słowa.

Gdy wiadomość od Gabriela rozbłysła na monitorach londyńskiego centrum operacyjnego, zgromadzeni odetchnęli z ulgą, a potem zapanowała wśród nich radość. Nawet na twarzy Grahama Seymoura, który ostatnie kilka minut

spędził w stanie bliskim zapaści, pojawił się blady uśmiech. Tylko dwie osoby nadal nie podzielały powszechnego entuzjazmu. Ari Szamron i Chiara wiedzieli, że operacja, teraz całkowicie zależna od osoby, którą obydwójce kochali, jeszcze się nie skończyła. Musieli czekać. Czekać i zaklinać rzeczywistość. Oby po raz ostatni...

Prowadząca w kierunku wschodnim wypielegnowana droga nr 63 była pusta. Trzymając obie ręce na kierownicy audi, Gabriel nie przekraczał dozwolonej prędkości. Po lewej stronie za oknami samochodu przesuwwały się starannie utrzymane winnice, które sprawiały wrażenie kolumn wojskowych maszerujących w głąb wzgórz regionu Vaud. Po prawej ręce Gabriela rozciągało się Jezioro Genewskie. Na horyzoncie w niebo piał się masyw Alp Sabaudzkich, u podnóża nadal spowity mgłą. Tylko najwyższe wierzchołki były rozświetlone pierwszymi promieniami wschodzącego słońca.

Minął Montreux. Za Aigle skręcił w drogę nr 11 i wjechał w dolinę Vallée des Ormons. Prowadząca w górę dwupasmowa droga miała mnóstwo niespodziewanych, ostrych zakrętów. Kilka kilometrów za Les Diablerets Gabriel przeciął granicę kantonów Vaud i berneńskiego. Na znakach drogowych natychmiast ukazał się język niemiecki, zmieniła się też architektura mijanych osiedli. Na niebie nad Alpami Berneńskimi zawisło słońce. Gdy Gabriel wjeżdżał na przedmieścia Gstaad, było już jasno.

Zatrzymał się na skraju największego parkingu w centrum miasta. Wiedział, że najpóźniej za godzinę miejsce to zaroi się od turystów. Teraz stał tu tylko sfatygowany volkswagen bus z trzema snowboardzistami popijającymi piwo.

Nie gasząc silnika, obserwował zegar na desce rozdzielczej. Minął termin, jaki dał Müllerowi. Odczekał jeszcze dziesięć minut i sięgnął po telefon. Właśnie wybierał numer, gdy na parking z dużą prędkością wjechał srebrny mercedes GL-450 SUV, który minął snowboardzistów i zatrzymał się o kilka metrów od audi Gabriela. W mercedesie siedziało czterech mężczyzn ubranych w granatowe kurtki narciarskie z logo Zentrum Security. Jeden z nich, Jonas Brunner, otworzył tylne drzwi po stronie pasażera. Wsiadł.

Gabriel wyłączył silnik, włożył telefon do schowka i wysiadł. Brunner

przypatrzył mu się uważnie. Widać było, że niepozorna postura Gabriela jest dla niego zaskoczeniem.

- Słyszałem, że mówisz po niemiecku.
- Lepiej niż ty - odparł Gabriel.
- Masz przy sobie broń?
- Nie.
- A telefon?
- Został w samochodzie.
- Radio?
- W samochodzie.
- Nadajnik?

Gabriel pokręcił przecząco głową.

- Muszę cię zrewidować.
- Nie mogę się tego doczekać.

Gabriel wszedł przez tylne drzwi mercedesa i usiadł na środkowym fotelu.

Brunner wsunął się za nim i zamknął drzwi.

- Obróć się i uklęknij.
- Tutaj?
- Tutaj.

Gabriel zrobił, co mu kazano. Szczegółowa rewizja zaczęła się od butów, a zakończyła na włosach. Po dopełnieniu formalności Gabriel znów usiadł. Brunner dał znak kierowcy, samochód ruszył.

- Mam nadzieję, że sprawiło ci to przyjemność, Brunner.
- Zamknij się, Allon.
- Gdzie moi ludzie?

Brunner nic nie odpowiedział.

- Dokąd jedziemy?
- Niedaleko. Po drodze jeszcze gdzieś się zatrzymamy.
- Na kawę?
- Tak, Allon. Na kawę.
- Mam nadzieję, że nie skrzywdziłeś dziewczyny. Jeśli jej się coś stało, gorzko tego pożałujesz.

Pojechali na wschód, wzdłuż wąskiej doliny przy lodowcu. Droga raz kryła się w mroku lasu, raz oślepiała otwartą przestrzenią. Ochroniarze w granatowych kurtkach milczeli. Ramię Brunnera było twarde jak skała. Siedzący z drugiej strony Gabriela strażnik cały czas zginał i prostował grube palce, jak muzyk przygotowujący się do występu. Gabriel nie miał żadnych złudzeń co do wcześniej wspomnianej przerwy w podróży. Wszystko to było częścią uświęconego tradycją scenariusza, tak jak aperitif przed obiadem.

W końcu doliny dwupasowa szosa przeszła w wąski, ostro pnący się w górę trakt. Widać było, że jakiś czas temu przejechał tędy pług śnieżny, mimo to koła mercedesa buksowały na śliskiej drodze. Zatrzymali się przy samotnym lasku świerkowym na wysokości około trzystu metrów nad doliną. Dwóch mężczyzn z przodu wysiadło natychmiast, po chwili dołączył do nich trzeci, dotychczas siedzący przy Gabrielu. Nie poruszył się tylko Jonas Brunner.

- Obawiam się, że rewizję będziesz wspominał lepiej.
- To już teraz twoi ludzie mają mnie obić przed rozmową z Martinem?
- Wychodź, Allon. Miejmy to już z głowy, bo się śpieszę.

Wysiadając z samochodu, Gabriel tylko głośno westchnął.

Jonas obserwował, jak jego trzech najlepszych ludzi zniknęło z Gabrielem w głębi lasu. Spojrzał na zegarek. Pięć minut, powiedział im. Nie bijcie za mocno, macie tylko go zmiękczyć. Tak, żeby podczas nadchodzącej rozmowy był bardziej skłonny do ustępstw. Brunner też chciałby wziąć udział w zabawie, ale nie mógł, bo musiał jak najszybciej poinformować Müllera o ostatnich wydarzeniach.

Właśnie wybierał numer przełożonego, gdy kątem oka zobaczył wychodzącą z zagajnika samotną sylwetkę. Zerknął na zegarek i ściągnął brwi. Co prawda zalecił swoim ludziom umiar, ale dwie minuty mogły nie wystarczyć na człowieka takiego jak Allon. Dopiero gdy przyjrzał się lepiej podchodzącemu mężczyźnie, zdał sobie sprawę z pomyłki. Na obronę było jednak za późno. Izraelczyk jednym szarpnięciem otworzył drzwi samochodu i wycelował SIG-sauera P226, pistolet stanowiący wyposażenie pracowników Zentrum, w twarz

zaskoczonego Brunnera.

- Twierdzisz, że mówisz po niemiecku, więc słuchaj uważnie. Najpierw jednak daj mi swój pistolet. Powoli, Brunner, bez sztuczek.

Brunner ostrożnie sięgnął pod marynarkę i wyjął broń. Trzymając pistolet za lufę, przekazał go Gabrielowi.

- Teraz telefon.

Brunner usłuchał.

- Masz radio?

- Nie.

- Nadajnik?

Brunner przecząco pokręcił głową.

- Szkoda, bo wkrótce mógłby ci się przydać. Teraz siadaj za kierownicą.

Szwajcar bez sprzeciwu wsunął się na fotel kierowcy i uruchomił silnik.

Gabriel z pistoletem gotowym do strzału usiadł za nim.

- Dokąd jedziemy, Jonas?

- Niedaleko.

- Już nie stajemy po drodze?

- Nie.

Brunner wrzucił bieg i ruszył do przodu, w górę.

- Gratulacje, Jonas. Dostarczyłeś mi broni, sam stałeś się zakładnikiem.

Nieźła robota.

- Czy moi ludzie żyją?

- Dwóch na pewno, co do trzeciego nie mam pewności.

- Chcę zadzwonić po doktora.

- Nie marudź, Jonas.

74.

KANTON BERNEŃSKI, SZWAJCARIA

Wspięli się kolejne trzysta metrów i znaleźli wysoko nad doliną, na skraju półki pokrytej błyszczącym w słońcu śniegiem i lodem. Na środku lodowca Gabriel dostrzegł AW139 z wyłączonymi silnikami. Martin Landesmann stał przy ogonie śmigłowca, miał przylegające do twarzy okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał jak turysta, który zrobił sobie chwilową przerwę w podróży. Obok niego nerwowo kręcił się Ulrich Müller. Widząc w lusterku wstecznym pytające spojrzenie Brunnera, Gabriel kazał mu zatrzymać samochód i wyłączyć silnik.

- Daj mi kluczyki.

Brunner wyjął kluczyki i podał je Gabrielowi.

- Obie ręce na kierownicę, Jonas. Nie ruszaj się.

Gabriel wysiadł, po chwili stuknął w okno kierowcy kolbą pistoletu. Brunner wyszedł na zewnątrz z podniesionymi rękami.

- Idziemy, Jonas. Bez pośpiechu. Nie denerwujmy Martina.

- On nie lubi, jak ktoś mówi mu po imieniu.

- Zapamiętam to. - Gabriel szturchnął Brunnera w plecy lufą pistoletu. -

W drogę.

Brunner ruszył w kierunku śmigłowca, Gabriel szedł tuż za nim. Na ich widok Ulrich Müller zachował spokój, na twarzy Martina pojawiło się zaskoczenie. Po komendzie Gabriela Brunner zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków od swoich pracodawców. Izraelczyk uniósł pistolet i wycelował w Müllera.

- Masz broń? - spytał Gabriel po niemiecku.

- Nie.

- Rozchył palto.

Müller rozpiął guziki i rozchylił poły palta.

- Teraz marynarkę.

Müller usłuchał bez sprzeciwu. Nie miał broni.

Gabriel spojrzął na pilota.

- A on?

- To nie Izrael - powiedział Müller. - Jesteś w Szwajcarii. U nas piloci śmigłowców nie są uzbrojeni.

- Co za ulga - Gabriel zwrócił się do Landesmanna. - A ty, Martin? Masz broń?

Landesmann milczał. Gabriel powtórzył pytanie po francusku. Szwajcar, z uśmiechem wyższości, odpowiedział w tym samym języku.

- Nie bądź śmieszny.

Allon Gabriel wrócił do niemieckiego.

- Wierzę ci. Wiem, że tacy jak ty nie brudzą sobie rąk, kiedy mogą się wysługiwać innymi.

- Skończyłeś, Allon?

- Dopiero zaczynam, Martin. A może Święty Martin? Nigdy nie pamiętam, jak powinienem się do ciebie zwracać.

- Spróbuj „pan Landesmann”.

- Tak, to już słyszałem. Zakładam, że znalazłeś czas na przestudiowanie dokumentów, które ci przesłałem dzisiaj rano?

- Te dokumenty nic nie znaczą.

- Gdyby tak było, nie przyjechałbyś na to spotkanie.

Landesmann obdarzył Gabriela morderczym spojrzeniem.

- Skąd je masz? - spytał.

- Informacje o planowej dostawie wirówek do Islamskiej Republiki Iranu?

- Nie, Allon. Pozostałe dokumenty.

- Mówisz o spisie nazwisk z numerami kont? O pieniądzach, które trafiły do banku twojego ojca?

- Skąd je masz? - powtórzył Landesmann spokojnie.

- Od Leny Herzfeld, Petera Vossa, Alfonsa Ramirez, Rafaela Blocha i pewnej młodej kobiety, która przez wiele lat przechowywała listę w ukryciu.

Twarz Landesmanna pozostawała bez wyrazu.

- Nic ci te nazwiska nie mówią, Martin? - Gabriel spojrział na Müllera. - A może tobie?

Żaden nie kwapił się z odpowiedzią.

- Pomogę wam - powiedział Gabriel. - Lenie Herzfeld, młodej holenderskiej Żydówce, obraz Rembrandta uratował życie. Peter Voss to porządny człowiek, próbujący odkupić grzechy ojca. Alfonso Ramirez miał dowód, że w małym prywatnym banku w Szwajcarii spoczywał majątek zagrabiony ofiarom Zagłady, a Rafael Bloch był argentyńskim dziennikarzem, który natrafił na twoje powiązania z niemiecką firmą Keppler Werk GmbH.

- A ta młoda kobieta? - spytał Landesmann.

- Olej na płótnie, sto cztery na osiemdziesiąt sześć centymetrów - odpowiedział Gabriel. - Ale to cię nie dziwi, prawda? Poszukujesz jej od dawna, bo wiesz, że jest dla ciebie śmiertelnie niebezpieczna.

Landesmann zignorował ostatnią uwagę Gabriela i zapytał:

- Czego ty właściwie chcesz, Allon?

- Odpowiedzi na kilka pytań - odparł Gabriel. - Kiedy poznałeś całą prawdę o swoim banku? Kiedy dowiedziałeś się, że twój ojciec ukradł pieniądze Kurtowi Vossowi?

Na twarzy Landesmanna pojawiło się wahanie.

- Mam listę, Martin. Wyszło szydło z worka.

- Ojciec powiedział mi wszystko na kilka miesięcy przed swoją śmiercią - wyznał Landesmann po dłuższym milczeniu. - Pieniądze, obraz, wizyta żony Vossa, Carlos Weber...

- Twój ojciec przyznał się do zabójstwa Webera?

- On tego nie zrobił - odparł Landesmann. - Zlecił to komuś.

- Komu?

Landesmann spojrział na Müllera.

- Jego poprzednikowi.

- Tacy ludzie są tu niezmiernie przydatni, prawda? Ukrywanie brudnej przeszłości to wasza narodowa tradycja. Tak jak czekoladki czy sterylne ulice.

- Ulice niestety nie są już tak czyste, jak kiedyś - powiedział Landemann. - Zwłaszcza w niektórych okolicach. Mamy tu zbyt wielu cholernych cudzoziemców.

- Słyszę, że nie wyrzekłeś się całkowicie swoich szwajcarsko-niemieckich korzeni, Martin. Ojciec byłby z ciebie dumny.

- To on doradził mi wyjazd z Zurychu. Słusznie przewidział, że tutejsze banki pewnego dnia będą musiały zapłacić za aktywność w czasie drugiej wojny światowej. Uważał, że przede wszystkim powinienem dbać o swoją reputację.

- Twój ojciec był bardzo sprytnym człowiekiem. - Gabriel na chwilę zamilkł. - Zbudowałeś imperium na fundamentach zbrodni, Martin. Czy kiedykolwiek miałeś w związku z tym wyrzuty sumienia? Czy ta świadomość nigdy nie spędzała ci snu z powiek?

- To nie była moja zbrodnia, Allon, lecz mojego ojca. Jak głosi twoja religia, synowie nie mogą odpowiadać za grzechy ojców.

- Chyba że syn wykorzystuje skradzioną przez ojca fortunę do budowy ogólnoswiatowego holdingu o nazwie Global Vision Investments.

- Nawet nie przypuszczałem, że pisma Ezechiela zawierają tak dokładne odniesienia.

Gabriel zignorował jego sarkazm.

- Dlaczego się nie przyznałeś, Martin? Przecież wartość zagrabionego majątku to ułamek całej wartości twojego imperium.

- Ułamek wartości? - Martin potrząsnął głową. - Pamiętasz niedawny skandal z udziałem banków szwajcarskich? Jesień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku? Każdego dnia pojawiały się nowe dowody naszej współpracy z nazistowskimi Niemcami. Nazywano nas szwajcarskimi paserami Hitlera. Czyhano na nas za każdym rogiem. Gdyby prawda o GVI przedostała się do prasy, holding stałby się obiektem nieustających ataków. Procesy sądowe ciągnęłyby się latami. Dekadami. Potomkowie Żydów z każdego kraju, w którym działał Kurt Voss, mogliby się z nami procesować bez końca. Specjaliści od odszkodowań grupowych nie daliby nam spokoju. Stracilibyśmy absolutnie wszystko. Dlaczego? Bo mój ojciec zgrzeszył pięćdziesiąt lat temu? Wybacz mi, Allon, ale to nie wydawało mi się rozsądne.

Robi wszystko, by się wybielić, pomyślał Gabriel. Ale jak zawsze kłamie. Ojcem kierowała chciwość, a syn, mimo pozorów, nie był inny.

- Więc zrobiłeś to samo, co ojciec - powiedział Gabriel. - Siedziałeś cicho, czerpałeś ogromne korzyści z fortuny zgromadzonej przez zbrodniarza wojennego i gorączkowo poszukiwałeś zaginionego arcydzieła Rembrandta. Wiedziałeś, że ten obraz może wszystko zniweczyć. Od ojca właściwie różnisz się jednym - w pewnym momencie postanowiłeś zostać świętym.

- Nie lubię, jak mnie nazywają Świętym Martinem.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Gabriel. - Może zostało w tobie jeszcze coś ludzkiego.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ to świadczy, że wciąż masz sumienie.

- Co zamierzasz zrobić z tą listą, Allon?

- To całkowicie zależy od ciebie, Martin.

75.

KANTON BERNEŃSKI, SZWAJCARIA

Czego więc chcesz, Allon? Pieniądzy? O to ci chodzi? Chcesz mnie oskubać? Na ile się wyceniasz? Pół miliarda? Miliard? Dobrze, wypiszę ci czek i wreszcie zamkniemy tę historię.

- Nie chcę twoich pieniędzy - powiedział Gabriel. - Chcę wirówek.
 - Wirówek? - spytał Landesmann ze zdziwieniem. - Skąd pomysł, że sprzedają wirówki?
 - Z twojego komputera. Tam jest wszystko, czarno na białym.
 - Mylisz się. Rzeczywiście GVI handluje towarami o podwójnym przeznaczeniu, ale to już inni sprzedają je dalej, może nawet wspomnianej przez ciebie chińskiej firmie z Shenzhen.
 - To ty jesteś jej właścicielem, Martin. Ty i twój chiński partner.
 - Życzę ci powodzenia, jeżeli chciałbyś mi to udowodnić w sądzie. Nie robię niczego, co jest sprzeczne z prawem. Nic mi nie zrobisz.
 - Może i masz rację, ale tylko w przypadku handlu z Iranem. Jest jednak inna sprawa, o której nie powinienes zapomnieć. Mając dowody, że twoja firma została zbudowana na fundamencie żydowskich pieniędzy, amerykańscy specjaliści od pozwów zbiorowych rozszarpią cię na kawałki. A ja mogę im te dowody w każdej chwili dostarczyć.
 - Nie masz niczego.
 - Czy rzeczywiście chcesz mnie sprawdzić?
- Landesmann nie odpowiedział.

- Mam w Amsterdamie kobietę, która jako dziecko ukrywała się przed nazistami, mam skruszonego syna zbrodniarza wojennego w Argentynie, mam korespondencję dyplomatyczną Cariosa Webera oraz listę nazwisk i rachunków z banku twojego ojca. Jeśli nie zaczniesz ze mną współpracować, przekażę to

wszystko najlepszej kancelarii adwokackiej w Nowym Jorku. Pozwą cię z powodu bezprawnego wzbogacenia się i przez najbliższe lata będą szczegółowo analizować twoją działalność. Obawiam się, że twoja reputacja świętego może tego nie wytrzymać. Nie wspomnę już o twoich przyjaciółach w Bernie, którzy na pewno będą mieli ci za złe ponowne otwarcie jednego z najbardziej skandalicznych rozdziałów szwajcarskiej historii.

- Spójrz prawdzie w oczy, Allon. Gdybym rzeczywiście przestał handlować z Irańczykami, od razu zaczęłyby to robić jeden z moich rynkowych rywali. Czy myślisz, że Europa faktycznie się przejmuje zbrojeniami mułłów? Oczywiście że nie. Nam zależy tylko na ich ropie. I dostępie do rynku. Nawet wasi amerykańscy niby-przyjaciele prowadzą z nimi ożywiony handel. Oczywiście nie bezpośrednio, lecz poprzez swoje zagraniczne filie. Nazwijmy rzecz po imieniu, Allon. Jesteście sami. Znów sami.

- Już nie jesteśmy sami, Martin. Mamy ciebie.

Widać było, nawet przez ciemne szkła okularów, że Martin coraz bardziej traci pewność siebie. Trudno mu było pogodzić się z sytuacją, w której obywatel narodu skazanego na Zagładę stawia mu warunki. Przez chwilę Gabriel zastanawiał się, czy nie odwołać się do jego przyzwoitości, ale szybko zmienił zdanie. Martin nie znał tego uczucia. Posiadał tylko instynkt przeżycia. I chciwość, która go popchnęła do zatajenia przed światem źródeł swojego bogactwa. Teraz Gabriel miał nadzieję, że ta sama chciwość skłoni Martina do skorzystania z rzuconego mu koła ratunkowego.

- Co ty właściwie proponujesz, Allon?

- Partnerstwo - odpowiedział Gabriel.

- Jakiego rodzaju?

- Biznes, Martin. Ty i ja wchodzimy w partnerstwo biznesowe. Będziemy wspólnie handlować z Iranem. Zachowasz swoje pieniądze. Będziesz mógł żyć tak jak dotychczas. No, może z jednym wyjątkiem. Zaczнешz pracować dla nas. Werbuję cię do wywiadu izraelskiego. I witam cię w naszej rodzinie.

- Na jak długo?

- Tak długo, jak długo będziemy uważali to za stosowne. A gdy się wychylisz, rzucimy cię wilkom na pożarcie.

- A zyski?
- Nie mogłeś o tym zapomnieć, prawda?
- To biznes, Allon.

Gabriel spojrział w niebo.

- Myślę że podział fifty-fifty będzie uczciwy.

Landesmann zmarszczył brwi.

- Czy nie dostrzegasz pewnego moralnego problemu związanego z faktem, że izraelski wywiad będzie czerpał zyski ze sprzedaży wirówek do Iranu?
- Tak naprawdę, to ten pomysł całkiem mi się podoba.
- Ile mam czasu na zastanowienie się na twoją propozycją?
- Mniej więcej dziesięć sekund.

Landesmann uniósł okulary i przez chwilę w skupieniu przypatrywał się Gabrielowi.

- Za godzinę dwójka twoich agentów zostanie odwieziona i zostawiona u podnóża Les Diablerets. Zadzwoń, kiedy będziesz chciał porozmawiać o szczegółach umowy. Zakładam, że wiesz, jak się ze mną skontaktować.

- Mam twoje wszystkie dane, Martin.

Landesmann ruszył w kierunku śmigłowca, jednak po chwili się zatrzymał.

- Ostatnie pytanie.
- Tak?
- Od jak dawna Zoe jest twoją agentką?

Gabriel odpowiedział mu z uśmiechem:

- Wkrótce się odezwę.

Landesmann zrobił w tył zwrot i wszedł do śmigłowca przed Müllerem i Brunnerem. Trzasnęły drzwi, zawyły turbiny silnika, po chwili Gabriela spowił mroźny obłok wirujących drobinek śniegu. Wyglądający z okna Martin Landesmann sprawiał wrażenie, że ta mała zemsta sprawiła mu dużą przyjemność. Śmigłowiec wspiął się w jasnoblękitne niebo i zniknął w słońcu.

Gabriel porzucił mercedesa w Gstaad, w miejscu, gdzie parkowanie było niedozwolone, i do Les Diablerets pojechał swoim audi. Zostawił samochód przy stacji kolejki linowej i wszedł do kawiarni pełnej jaskrawo ubranych narciarzy. Zamawiając kawę i bułkę, myślał o dwóch różnych światach, w których ostatnio musiał się poruszać. Po chwili uświadomił sobie, że mimo zaawansowanego wieku nadal nie umie jeździć na nartach, a Chiara marzyła o takim wspólnym wyjeździe już od dłuższego czasu. Może powinni to wkrótce zrobić? Ale na pewno nie tu. Włochy, Ameryka, ale nie Szwajcaria.

Zajął miejsce przy oknie, skąd miał dobry widok na drogę i parking. Dosiadła się do niego ciemnowłosa kobieta z dzieckiem. Razem obserwowali gondolę kolejki unoszącą się jak sterowiec i znikającą w górach. Gabriel sprawdził czas w telefonie. Do uzgodnionej godziny brakowało dziesięciu minut. Chciał zadzwonić do Chiary i powiedzieć jej, że jest cały i zdrowy. Chciał zakomunikować Szamronowi i Uziemu, że właśnie zawarł transakcję swojego życia. Nie śmiał, bo miał świadomość, że komunikacja nie jest bezpieczna. Podzielenie się sukcesem z innymi musiało poczekać. Zdawał sobie przy tym sprawę, że nie wszystko było tylko jego zasługą. Swój wkład w końcowy wynik mieli też Lena Herzfeld, Peter Voss, Alfonso Ramirez, Rafael Bloch, Zoe Reed...

Znów zerknął na zegar w telefonie. Pozostało pięć minut. Za pięć minut będzie wiedział, czy Landesmann rzeczywiście ma zamiar dotrzymać umowy. Teraz mógł tylko czekać. W jego zawodzie nie było to czymś wyjątkowym. Wszyscy doświadczeni pracownicy Biura umieli czekać. Na samolot, na pociąg. Na przyjsie informatora. Na wschód słońca po nocy zabójstwa. Teraz czekał na powrót dwojga agentów, którzy o mały włos nie stracili życia. Czekanie, pomyślał. Zawsze czekanie. Ten po rano po prostu nie różnił się od innych.

Odwrócił telefon tak, by nie widzieć godziny. Znów spojrzął przez okno. Nawiązał luźną rozmowę z kobietą, która z dzieckiem siedziała przy jego stoliku. Przypominała mu pierwszą żonę. Synek Gabriela, Dani, kiedy zginął w Wiedniu, był w wieku chłopca. Izraelczyk nie spuszczał wzroku z drogi i strumienia samochodów wyjeżdżających z Oberlandu. Wreszcie na parking wjechał srebrny mercedes GL450 SUV, którego kierowca miał na sobie granatową kurtkę narciarską z logo Zentrum Security. Na tylnym siedzeniu Gabriel dostrzegł dwie sylwetki. Mężczyzna i kobieta, też w kurtkach Zentrum. Oczy mężczyzny były schowane za dużymi, ciemnymi okularami. Gabriel odwrócił telefon i spojrzął na zegarek. Co do minuty. Szwajcarzy mieli też zalety.

Życząc kobiecie z dzieckiem miłego dnia, wyszedł z kawiarni na pełen słońca parking. Ze stojącego mercedesa właśnie wysiadała piękna pasażerka i jej szczupły, jasnowłosy towarzysz podróży. Zobaczywszy Gabriela, kobieta zachowała się jak prawdziwy zawodowiec. Nie krzyknęła, nawet nie skinęła głową, tylko ujęła swojego partnera pod ramię i spokojnie poprowadziła w stronę audi. Zanim doszli do samochodu, Gabriel już uruchomił silnik. Po chwili jechali doliną Vallée des Ormonts. Zoe siedziała przy Gabrielu, Michał wyciągnął się z tyłu.

- Podnieś okulary - powiedział Gabriel.

Michał wykonał polecenie.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem, jak się nazywają. - Michał opuścił okulary na oczy i oparł głowę o szybę. - Czy się udało, Gabrielu? Czy wygrałeś z Martinem?

- Nie, Michał. To ty i Zoe wygraliście z Martinem. I to bezapelacyjnie.

- Co z transferem plików?

- Michał, Martin jest nasz.

- Dokąd jedziemy?

- Wyjeżdżamy ze Szwajcarii.

- Czuję się zbyt kiepsko, żeby lecieć.

- Więc pojedziemy samochodem.

- Żadnych samolotów?

- Przynajmniej w najbliższej przyszłości, Michał.

Część piąta

ODZYSKANIE

Gdy Kenneth Ramsay, kierownik wydziału sztuki Scotland Yardu, zapowiedział konferencję prasową o godzinie 14:00, wśród zgromadzonych dziennikarzy zapanowało poruszenie. Nastroj sensacji podsycali weterani kontaktów ze stołeczną policją, potrafiący właściwie interpretować nawet najmniejsze niuanse miejscowych procedur. Spotkania z prasą we wczesnych godzinach popołudniowych zazwyczaj dostarczały wiadomości korzystnych dla policji, a pora komunikatu pozwalała reporterom przygotować relacje już na następny poranek. Gdy stróże prawa nie mieli powodów do dumy, Ramsay zachowywał się inaczej. Albo zwoływał konferencję późnym wieczorem, tuż przed zamknięciem ramówek prasowych, albo po prostu sporządzał pisemny komunikat i opuszczał biuro tylnym wyjściem.

Dyskusja wśród dziennikarzy zesłała na autoportret van Gogha, który kilka miesięcy temu w niewyjaśnionych okolicznościach zniknął z Galerii Courtauld. Żadne z arcydzieł utraconych podczas słynnego „lata kradzieży” jeszcze nie zostało odzyskane. Co gorsza, kolejne cenne obrazy nadal znikwały z prywatnych domów i galerii. W czasach globalnego kryzysu, którego końca nikt nie mógł przewidzieć, kradzież dzieł sztuki okazała się jedyną rozwojową branżą w Europie.

Roczny budżet Ramsaya został drastycznie ograniczony i wynosił teraz tylko trzysta tysięcy funtów, co ledwo wystarczało na utrzymanie biura. Kłopoty finansowe wydziału sztuki przybrały takie rozmiary, że inspektor był zmuszony do ubiegania się o prywatne darowizny, umożliwiające mu dalsze funkcjonowanie. Na domiar złego „The Guardian” zasugerował niedawno potrzebę zlikwidowania słynnej komórki Scotland Yardu i przesunięcia jej zasobów do bardziej praktycznych dziedzin, na przykład programu zwalczania przestępczości nieletnich.

Wkrótce plotki o odzyskaniu obrazu van Gogha wyszły poza pokój prasowy i przedostały się do Internetu, gdzie zrobiły prawdziwą furorę. Dlatego też, gdy Ramsay stanął przed mikrofonem i poinformował o znalezieniu nieznanego arcydzieła Rembrandta, wśród zgromadzonych w sali reporterów zapanowała konsternacja. Inspektor nie chciał zdradzić bardziej szczegółowych informacji o odzyskanym obrazie. Podkreślił tylko, że ani okup, ani znaleźne nie zostały wypłacone. Spytany o aktualne miejsce przechowywania arcydzieła Rembrandta zasłonił się niewiedzą.

Operacja odzyskania skradzionego obrazu nigdy nie została opisana na szpaltach gazet, Ramsay też nie znał wszystkich jej szczegółów. Nie wiedział, że tydzień wcześniej obraz trafił do cichej alejki koło synagogi w paryskim Marais i że wkrótce zdenerwowany pracownik ambasady izraelskiej przewiózł go do Londynu. W Londynie odebrał go Julian Isherwood, właściciel tylko czasami wypłacalnej, lecz niezmiernie budzącej zainteresowanie galerii Isherwood Fine Arts z Mason's Yard 7-8, St James's. Jeszcze przed konferencją prasową arcydzieło Rembrandta trafiło do pewnego domku na wysokim brzegu kornwalijskiego wybrzeża. Tylko kilka osób w MI5, i to tych najbardziej zaufanych, znało wszystkie fakty.

Zgodnie z charakterem już zakończonej operacji Arcydzieło naprawa obrazu musiała być ekspresowa. Gabriel dostał trzy miesiące na renowację obrazu, który dotarł do niego w stanie agonialnym. Odnalezione płótno zostało już zaanonsowane jako główna atrakcja zbliżającej się wielkimi krokami wystawy *Rembrandt. Retrospektywa*. Trzy miesiące musiały wystarczyć na wszystko. Wymianę podklejonego płótna. Naciągnięcie go na nowy blejtram. Usunięcie plam krwi i brudnego werniksu. Załatwienie dziury w czole i wygładzenie wybrzuszeń powstałych w wyniku użycia obrazu jako wyjątkowo kosztownej skrytki. Nawet dla doświadczonego konserwatora, który nie boi się presji czasu, trzymiesięczny termin był wyjątkowo ambitny.

Dawniej Gabriel wolał pracę w samotności, teraz postanowił to zmienić. Wystawił wszystkie meble z pokoju stołowego i za zgodą Chiary zrobił w nim prowizoryczne studio. Wstawał każdego dnia przed świtem i pracował aż do

wczesnego wieczoru. Usuwanie brudnego werniksu zaczął w miejscu, w którym skończył Liddell - na piersi młodej Hendrickje. Pozwalał sobie tylko na jedną przerwę, podczas której wychodził na spacer po smaganych zimnym, styczniowym wiatrem skałach wybrzeża. Chiara nie odstępowała go o krok. Pomagała mu w podklejaniu nowego płótna. Napisała krótką wiadomość dla Rachel Herzfeld, którą Gabriel schował za ramę blejtramu. Towarzyszyła mężowi przy zmywaniu z obrazu krwi zamordowanego Christophera Liddella, pilnując, by nie rzucał krwawych tamponów na ziemię, lecz chował je w szczelnym aluminiowym pojemniku.

Przygotowywała wystawne posiłki przy świecach i często przypominała mężowi, że to właśnie ona nakłoniła go do zainteresowania się losem zaginionego arcydzieła.

- Powrót do Biura chyba nie okazał się dla ciebie taki straszny - rzucił Gabriel.

- Rzeczywiście praca bywała ciekawa - przyznała Chiara. - Ale tak naprawdę chciałabym, żeby sprawa Landesmanna była twoją ostatnią sprawą.

- Moja misja jeszcze trwa - powiedział Gabriel. - Zapomniałaś o wirówkach?

- Nie przeszkadza ci to, że Uzi przejął dalsze kierownictwo operacji?

- Nie, tak naprawdę to mi nawet odpowiada. - Gabriel zerknął na sztalugi, gdzie postawił uszkodzony obraz. - Mam teraz inne problemy.

- Skończysz ją na czas?

- Muszę.

- Pójdziemy na otwarcie wystawy?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

Chiara wpatrywała się w obraz.

- Rozumiem powody, dla których Lena postanowiła przekazać go National Gallery, ale...

- Ale co?

- Na jej miejscu nie śpieszyłabym się tak z decyzją.

- Pamiętaj, że jej siostra zginęła tylko dlatego, że miała ciemne włosy.

- Wiem, Gabrielu. - Chiara znów spojrzała na obraz. - Mam nadzieję, że w końcu Hendrickje jest szczęśliwa.

- Czasami wydaje mi się, że nie do końca.
- Czy znów zachowuje się niestosownie?
- Powiedzmy, że ma dosyć zmienne nastroje.

Po powrocie do Kornwalii Gabriel i Chiara ograniczyli swoje kontakty z otoczeniem do niezbędnego minimum. Pod koniec lutego o Martinie Landesmannie znów stało się głośno. Święty Martin, po wyjątkowo długim okresie nieobecności w mediach, wygłosił porywające przemówienie na corocznym spotkaniu gospodarczym w Davos. Tym razem, po przekazaniu kolejnych stu milionów dolarów na konto fundacji walczącej z głodem w Afryce, guru biznesu zapowiedział zbliżający się koniec wielkiej recesji. „Nasza planeta nareszcie zaczyna zmierzać w dobrym kierunku”.

Święty Martin poświęcił też dużo uwagi rozwojowi wypadków na Bliskim Wschodzie. Po raz pierwszy stwierdził, że „w tej kwestii jest optymistą”. Niestety, rzeczywista sytuacja pozostawiała wiele do życzenia. Oprócz meldunków o nieustających aktach terroryzmu, światło dzienne ujrzał raport IAEA o stanie irańskiego programu jądrowego. Tym razem dyrektor Międzynarodowej Agencji Atomowej, rezygnując ze swojej tradycyjnej wstrzeźliwości, przyznał, że w ciągu kilku miesięcy Iran może stać się mocarstwem jądrowym. - Etap rozmów się skończył - stwierdził. - Nadszedł czas działania.

Zrywając z dotychczasowym zwyczajem, Martin zakończył swoją tygodniową wizytę w Davos konferencją prasową. Brakowało na niej Zoe Reed, która wzięła dłuższy urlop z pracy w „Financial Journal” i przepadła jak kamień w wodę.

W środku kwietnia, gdy do Kornwalii wreszcie zawitała wiosna, dyrektor generalny Latham International Media, Gerald Malone, podjął decyzję o sprzedaży „Journala”. Okazało się, że nowym właścicielem szacownego dziennika stał się były rosyjski oligarcha, Wiktor Orłow. W dwa dni później Zoe złożyła swoją rezygnację z pracy w Londynie i przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie objęła kierownicze stanowisko w telewizji CNBC. Jej przeprowadzka przypadkowo zbiegła się w czasie z dniem zakończenia renowacji twarzy Hendrickje. Następnego dnia, gdy farba całkowicie wyschła, Gabriel pokrył cały obraz nową warstwą werniksu. Stał przed swoim dziełem z przechyloną głową i dłońią przyciśniętą do policzka, gdy podeszła do niego Chiara.

- Gotowa na pierwszy bal?
- Dzisiaj się do mnie nie odzywa.
- Znów kłótnia?
- Niestety.
- Podjąłeś już decyzję co do Waszyngtonu?
- Wydaje się, że będziemy jej tam potrzebni.
- Cieszę się, Gabrielu. Naprawdę się cieszę.

78.

WASZYNGTON

Jeszcze przed przyjazdem Gabriela i Chiary do Waszyngtonu ich niedawna milcząca lokatorka stała się międzynarodową sensacją. Swojej sławy nie zawdzięczała wyłącznie romansowi, jaki czterysta lat temu przeżyła z malarzem o nazwisku Rembrandt, lecz również niezwyklej historii samego płótna, na którym została uwieczniona. Kiedyś Hendrickje dożywała swoich dni wzgardzona przez swoje otoczenie, teraz przed jej portretem ustawiały się długie kolejki.

Dyrektor National Gallery zdecydował się na ujawnienie najważniejszych momentów skomplikowanej historii portretu kochanki Rembrandta. W ten sposób miłośnicy sztuki dowiedzieli się, między innymi, że dzieło to kupił w roku 1936 mieszkaniec Amsterdamu Jacob Herzfeld, który w roku 1943 został zmuszony szantażem do odstąpienia obrazu nazistowskiemu zbrodniarzowi Kurtowi Vossowi, i że dwadzieścia jeden lat później portret kochanki Rembrandta został sprzedany przez Hoffmann Gallery w Lucernie. Na żądanie Białego Domu National Gallery nie ujawniła nazwy banku, gdzie dzieło Starego Mistrza przez kilka lat spoczywało w ukryciu, ani faktu, że w środku obrazu znaleziono ukrytą tam przez niemieckiego zbrodniarza listę nazwisk i rachunków bankowych. Powiązania płótna Rembrandta z tragedią Zagłady zostały poddane starannemu retuszowi, podobnie jak ślad po kuli w czole młodej Hendrickje i krew na jej szalu. Nikt też nie mógł wiedzieć, że obraz kiedyś znalazł się w rękach niejakiego Landesmanna, który w jego obronie nie cofnął się przed morderstwem.

Burzliwa historia obrazu oczywiście tylko zwiększyła jego siłę rażenia. Od twarzy Hendrickje nie dało się uciec. Była wszędzie - na billboardach, autobusach, pamiątkowych T-shirtach czy kubkach, nawet spoglądała w dół z balonu,

unoszącego się nad amerykańską stolicą w przededniu otwarcia wystawy. Gabriel i Chiara natrafili na afisz z jej podobizną prawie natychmiast po przylocie do Waszyngtonu. Obserwowała ich, kiedy na fałszywych paszportach przechodzili przez urząd celny, wkrótce zobaczyli ją ponownie na gigantycznym plakacie wiszącym na ścianie National Gallery. Tym razem spoglądała na nich z niemym wyrzutem, sugerując przyśpieszenie kroku. Winnym spóźnienia był Gabriel, do końca niezdecydowany, czy pojawienie się na głównej scenie uroczystości jest właściwym posunięciem.

Otwarcie wystawy zaplanowano jako uroczystą imprezę, na którą wstęp mieli tylko zaproszeni goście. Mimo to, zgodnie z zasadami bezpieczeństwa wprowadzonymi po ataku terrorystycznym z 11 września 2001, torby i torebki wszystkich przybyłych zostały poddane skrupulatnej rewizji.

Julian Isherwood stał pod wysokim dachem rotundy przy wejściu na teren wystawy i nerwowo spoglądał na zegarek. Zobaczywszy Gabriela i Chiare, wykonał teatralny gest ulgi. Spojrzał na Gabriela z lekkim uśmiechem.

- Myślałem, że nigdy nie zobaczę cię w smokingu.
- Jeżeli powiesz coś więcej...

Chiara uciszyła Gabriela dyskretnym kuksańcem.

- Postaraj się przetrwać wieczór, nie grożąc nikomu śmiercią, dobrze?

Zdenerwowany Gabriel zmarszczył czoło.

- Gdyby nie ja, Julian musiałby teraz szukać czterdziestu pięciu milionów dolarów. W takiej sytuacji oczekiwałbym trochę więcej szacunku.

- Na to też przyjdzie czas - odparł Isherwood. - Ale na razie zaprowadzę was do dwóch osób, które koniecznie chcą się z wami spotkać.

- Gdzie one są?
- Musimy wejść na piętro.
- Mam nadzieję, że skierowałeś je do różnych pomieszczeń.
- Zrobiłem tak, jak chciałeś.
- To chodźmy.

Ruszyli za Isherwoodem, zeglując wśród luksusowych kreacji i smokingu, i weszli na szerokie marmurowe schody. Strażnik skierował ich do biura na końcu długiego, wyłożonego dywanem korytarza. Przed naciśnięciem klamki

Gabriel się zawahał. Przypomniały mu się słowa wypowiedziane niedawno temu w Amsterdamie: *Jest taka krucha... Oni wszyscy są tacy...*

Lekko zapukał.

- Proszę - powiedziało dziecko z ciemnego strychu, Lena Herzfeld.

Tkwiała na środku skórzanej kanapy prosta jak trzcina, na ściśniętych kolanach trzymała pomięty, mokry od łez program wystawy. Gabriel i Chiara usiedli przy niej i, obejmując ją mocno, pozwolili jej się wypłakać. Po kilku minutach Lena podniosła oczy na Gabriela i dotknęła jego policzka.

- Jak mam cię nazywać? Jesteś dzisiaj Allonem czy Argovem?

- Wystarczy Gabriel.

Z bladym uśmiechem zerknęła na program.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że po tych wszystkich latach udało ci się ją znaleźć.

- Bardzo nam w tym pomógł syn Kurta Vossa.

- Dobrze, że też został tutaj zaproszony. Gdzie on teraz jest?

- W sąsiednim pomieszczeniu. Wiem, że chciałby z tobą zamienić kilka słów jeszcze przed oficjalną ceremonią otwarcia wystawy. I przeprosić za czyny swojego ojca.

- To nie jego zbrodnia, Gabrielu. A przeprosiny nie przywrócą nikomu życia.

- To ci pomoże zmierzyć się z przeszłością - powiedział Gabriel. - Zbyt długo żyjesz z poczuciem odpowiedzialności za śmierć swojej rodziny.

Na policzkach Leny znów pojawiły się łzy. Po chwili jednak wzięła się w garść i skinęła głową.

- Wysłucham go, ale nie chcę przy nim płakać.

- Musisz się na coś przygotować.

- Jest podobny do ojca?

- Tak, nawet bardzo.

- Więc Bóg ukarał również jego - Lena wolno pokręciła głową. - Żyje z twarzą mordercy.

Lenia ukryła szok spowodowany widokiem Petera Vossa, lecz walkę ze łzami przegrała. Gabriel cicho wyszedł na korytarz, gdzie czekała na niego Chiara w towarzystwie Isherwooda. Po dziesięciu minutach Lena opuściła pokój. Oczy miała zapłakane, ale twarz spokojną. Gabriel ujął ją pod ramię.

- Jest jeszcze ktoś inny, kto chciałby się z tobą zobaczyć.

Namalowany przez Rembrandta van Rijna *Portret młodej kobiety*, olej na płótnie o wymiarach 104 na 86 centymetrów, stał na sztalugach w pokoju magazynowym, schowany pod narzuconą zasłoną. Strażnicy i nerwowo wyglądający kurator wystawy nie odstępowali go na krok. Gdy Gabriel i Isherwood ostrożnie go odsłoniли, Chiara ujęła Lenę pod ramię.

- Wygląda jeszcze piękniej, niż ją zapamiętałam.

- Jeszcze masz czas na zmianę swojej decyzji. Nie musisz pozbywać się *Portretu* na zawsze, możesz go tylko na jakiś czas wypożyczyć.

- Nie - odparła Lena po chwili. - Nie byłabym w stanie zapewnić mu właściwej opieki, ona będzie tutaj szczęśliwsza.

- Jesteś tego pewna? - naciskał Gabriel.

- Tak, jestem pewna. - Lena spojrzała na obraz - Gdzie włożyliście modlitwę za moją siostrę?

- Tutaj - Chiara wskazała środek dolnej części ramy.

- Zostanie tam na zawsze?

- Muzeum nam to przyrzekło - odpowiedział Gabriel.

Lena zrobiła nieśmiały krok w kierunku obrazu.

- Nie pożegnałam się z nią tamtej nocy w Amsterdamie. Nie było na to czasu. - Spojrzała na Gabriela. - Mogę jej dotknąć? Ostatni raz?

- Oczywiście - powiedział Gabriel.

Lena delikatnie przeciągnęła palcem najpierw po ciemnych włosach Hendrickje, a potem po dolnej części ramy, i cicho opuściła pokój.

Zgodnie z planem prezentacja nowego nabytku miała nastąpić o godzinie ósmej, jednak dopiero około wpół do dziewiątej zasłonięty obraz został wyniesiony do rotundy. Niespodziewanie dla samego siebie Gabriel poczuł się jak

reżyser podczas premiery swojego najnowszego dzieła. Stał na skraju tłumu gości w towarzystwie Chiary i Isherwooda, słuchał przydługich przemówień i wpatrywał się w podłogę. W końcu światła przygasły i wśród rześzystych oklasków obraz został odsłonięty. Chiara pocałowała męża w policzek.

- Uwielbiają ją. Rozejrzyj się wokół. Te oklaski są też dla ciebie.

Gdy stremowany Gabriel podniósł wzrok, wśród zgromadzonych gości dostrzegł znajomą twarz. Kobieta o oliwkowej cerze i zniewalających oczach uniosła w górę kieliszek szampana, z jej ust można było wyczytać: Brawo, Gabrielu! Pusty kieliszek odstawiła na tacę przechodzącego obok kelnera i skierowała się ku wyjściu.

79.

WASZYNGTON

Nie wiedziałam, że jestem do niej tak bardzo podobna - powiedziała Zoe.

- Do Hendrickje? - Gabriel wzruszył ramionami. - Wydaje się pani od niej o wiele piękniejsza.

- Na pewno mówi tak pan wszystkim dziewczynom.

- Tylko tym, które wystawiam na największe niebezpieczeństwo.

Zoe się roześmiała. Spacerowali po galerii, z jednej strony mieli ogromną kopułę Kapitolu, z drugiej obelisk Waszyngtona. Paryż, Grecja i Egipt, pomyślał Gabriel, wszystko w promieniu kilkuset metrów. Uważnie przyjrzał się Zoe. Była w eleganckiej sukni wieczorowej, nieco podobnej do tej z przyjęcia u Martina, na szyi miała cienki sznur pereł. Zachowywała się swobodnie i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Ani śladu niedawnych przeżyć, ciężaru kłamstw, do których musiała się uciekać. Znowu była sobą.

- Nie wiedziałem, że się pani tu pojawi.

- W ostatniej chwili zdecydowałam się na przyjazd.

- Żadnych kłopotów z zaproszeniem?

- Członkostwo różnych klubów ma swoje zalety, mój drogi.

- Szkoda, że się pani nie skontaktowała ze mną wcześniej.

- Jak właściwie miałabym to zrobić? Przez telefon? E-mail? Może SMS?

- Uśmiechnęła się. - Czy pan w ogóle ma adres e-mailowy?

- Tak w ogóle, to mam. Ale nie taki jak wszyscy.

- To mnie wcale nie dziwi - odparła Zoe. - A komórkę, której pan używa?

- Tylko wtedy, kiedy muszę.

- Ostatnio mój telefon się psuje. Czy pan nie ma z tym nic wspólnego?

- Jest już pani poza systemem, Zoe.

- Już do końca życia będę podejrzliwa wobec telekomunikacji.

- Całkiem słusznie.

Przecięli kamienny bulwar oddzielający główny budynek National Gallery od wschodniego skrzydła.

- Czy pan Allon zawsze zabiera członków swojego zespołu na tego rodzaju imprezy? A może ta piękna kobieta to po prostu jego żona? - Zoe spojrzała się na Gabriela z ukosa i uśmiechnęła się. - Coś mi się zdaje, że pan Allon się zarumienił. Mogę pana nauczyć paru kobiecych sztuczek ukrywania emocji, co pan na to?

Gabriel nie odpowiedział.

- Czyżbyśmy znów weszli na terytorium, na którym pan wymaga prawdy, sam chowając się za zasłoną dymną?

- Nie wolno mi rozmawiać na temat mojego życia osobistego, Zoe.

- A więc nie mamy zamiaru się zaprzyjaźnić?

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Szkoda - powiedziała Zoe. - Zawsze mi się podobała. I jeżeli chce pan wiedzieć, to już w Highgate zauważyłam, że jesteście w sobie po uszy zakochani.

- Bezpieczny dom w Highgate nie istnieje, Zoe.

- Och, przepraszam, jak mogłam o tym zapomnieć.

Gabriel przezornie zmienił temat rozmowy.

- Wygląda pani świetnie, Zoe. Nowy Jork wyraźnie pani służy.

- Chyba tak. Niestety, nie potrafią tu parzyć dobrej herbaty.

- Nie żałuje pani wyjścia z branży prasowej?

- Branża prasowa już nie istnieje - odparła Zoe sucho. - Co pan myśli o wystąpieniu Martina w Davos?

- Jego optymizm co do naszej przyszłości powoduje, że łatwiej mi się zasypia.

- Czy zachowuje się poprawnie?

- Z tego, co słyszałem, jest przykładowym więźniem.

- Co z wirówkami?

- Nie ma wirówek, Zoe. Przynajmniej tam, gdzie działa Martin. Martin już nie błądzi. Jak prawdziwy święty, ma czyste serce i szlachetne zamiary.

- Aż wstyd pomyśleć, że kiedyś temu dupkowi wierzyłam.
- My nie narzekamy, że tak się stało. - Gabriel ruszył z powrotem w stronę głównego budynku galerii. - Czy od tego czasu odezwał się do pani?
- Martin? Zero kontaktu. Zastanawia mnie jedno. Dlaczego uszło mu na sucho to, co zrobił Michaiłowi?
- Niestety cała operacja jest objęta tajemnicą państwową, Zoe. Nawet tu, w Ameryce.
- Placówka MI6 w Waszyngtonie regularnie mi o tym przypomina - przyznała Zoe z uśmiechem i zapytała o samopoczucie Michaiła.
- Z tego, co słyszałem, ma się świetnie.
- Tak jak obraz Rembrandta.
- Wątpię, czy Michaił wymagał aż takich zabiegów, jak płótno Starego Mistrza.
- Proszę przekazać Michaiłowi najlepsze pozdrowienia. Jego twarz nadal śni mi się po nocach.
- Wkrótce i o tym pani zapomni.
- Tak - powiedziała Zoe głucho. - Właśnie tak mi powiedział psychiatra z MI5.

Dotarli do głównego wejścia galerii, przy którym w towarzystwie Leny Herzfeld już czekali Chiara i Isherwood.

- Kim jest ta kobieta przy pana żonie?
- To z jej powodu nawiązaliśmy z panią kontakt.
- Lena?

Gabriel skinął głową.

- Czy chciałaby pani ją poznać?
- Nie, dziękuję. Wystarczy mi to, co teraz widzę. - Zoe zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. - Gdybyście znów potrzebowali kogoś do niebezpiecznej roboty, wiecie, gdzie mnie znaleźć.
- Wracaj do swojego życia, Zoe.
- Właśnie próbuję - odparła z uśmiechem. - Niestety nie jest ono tak ciekawe jak pana.

Pocałowała go w policzek i wsiadła do czekającej taksówki. Gdy jej samochód

już zginął w ruchu ulicznym, w przedniej kieszeni marynarki Gabriel poczuł wibrację komórki. SMS z Bulwaru Króla Saula był jak zwykle krótki.

BUM...

80.

PÓŁWYSEP LIZARD, KORNWALIA

Zgodnie z wcześniejszym charakterem operacji Arcydzieło, również pytanie, co zrobić z wirówkami, stało się przedmiotem kolejnej niezwykle ożywionej debaty. Proponowane trzy warianty działania odzwierciedlały filozofię trzech zaangażowanych agencji.

Opcje numer jeden i dwa zakładały, z grubsza rzecz biorąc, tylko monitoring i założenie podsłuchów. Trzecia propozycja, nazwana Młotem Szamrona, szła zdecydowanie dalej. Postulowała ona oprócz zainstalowania aparatury podsłuchowej, naszpikowanie wirówek ładunkami wybuchowymi najnowszej generacji i w odpowiednim momencie wysadzenie w powietrze całego tajnego łańcucha wzbogacania uranu.

Zalety takiego rozwiązania, twierdził Szamron, były oczywiste. Po pierwsze, sabotaż zahamowałby na dłużej rozwój irańskiego przemysłu atomowego, po drugie, Irańczycy w końcu zrozumieliby, że handel z Europą nie jest taki bezpieczny, jak im się dotąd wydawało.

Ponieważ Biały Dom wciąż nie tracił nadziei na dyplomatyczne rozwiązanie problemu irańskiego, amerykański wywiad stanął murem za opcją łagodniejszą. Brytyjczycy, tradycyjni wyznawcy doktryny czekania na rozwój wypadków, również nie kwapili się do rozpętania większej awantury, chociaż w swoich sugestiach okazali się bardziej pomysłowi. Trzecia, najbardziej kontrolerska opcja miała poparcie tylko jednego kraju, ale ponieważ to właśnie Izrael był najbardziej zainteresowaną stroną tej sytuacji, jego głos liczył się najbardziej. - Nie zapominajmy - podkreślał Szamron - że Martin należy do nas. To my go znaleźliśmy. My o niego walczyliśmy i ponosiliśmy ofiary. Wirówki też są nasze, więc możemy z nimi robić to, co uznamy za stosowne.

Budowa i eksploatacja kaskady wirówek nie jest łatwa. System wzbogacania pierwiastków zawsze był bardzo wrażliwy na zakłócenia zewnętrzne, o czym Irańczycy już w przeszłości się przekonali. Niesprawna wirówka gazowa, pracująca z szybkością tysięcy obrotów na minutę, w jednej chwili może zamienić się w śmiertelny szrapnel, jak tornado niszczące wszystko na swojej drodze. Nawet nieznaczne zanieczyszczenie wnętrza wirówki, na przykład odciskiem palca, może spowodować zniweczenie efektów długiej, żmudnej pracy.

O godzinie 4:42 rano eksplozja wstrząsnęła tajnym laboratorium wzbogacania uranu w Yazd. Pierwsze poszukiwania powodu katastrofy skoncentrowały się na problemie sterylności aparatury. Zaraz potem nadeszły wiadomości o wybuchu w drugim laboratorium, w Gorgan nad Morzem Kaspijskim. Irańczycy zrozumieli, że mogą mieć do czynienia z sabotażem. Gdy w krótkim czasie doszło do eksplozji w kolejnych dwóch instalacjach wzbogacania uranu, mułlowie nie mieli już żadnych wątpliwości. Prezydent Iranu zarządził pilne wstrzymanie prac w laboratoriach jądrowych i ewakuację personelu pomocniczego. O świcie czasu teherańskiego Młot Szamrona osiągnął swój pierwszy cel. Cztery tajne laboratoria zostały kompletnie zniszczone, reżim ajatollahów wpadł w popłoch.

Jak wyjaśnić eksplozje w instalacjach, które oficjalnie nie istnieją?

Przez pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny mułlowie i ich siły porządkowe, Strażnicy Rewolucji, milczeli. Okazało się jednak, że pogłoski o tajemniczych eksplozjach doszły do uszu pewnego reportera „Washington Post”, słynącego z dobrych źródeł informacji w Białym Domu. Po kilku rozmowach telefonicznych z kancelarią prezydenta już następnego poranka na pierwszej stronie waszyngtońskiego dziennika ukazał się artykuł, który rozpętał burzę. Tym, którzy zdecydowali o przecieku, właśnie o to chodziło.

Pod naciskiem światowej opinii publicznej Irańczycy zmienili taktykę. Zaczęli lawirować. Tak, przyznali, seria niefortunnych wybuchów, zarówno w instalacjach wojskowych, jak i cywilnych, rzeczywiście miała miejsce. Ile laboratoriów uległo zniszczeniu, mułlowie nie zdradzili. Utrzymywali jednak,

że żadne z tych miejsc nie miało związku z państwowym programem jądrowym.

- Republika Islamska nie ma zamiaru produkować broni jądrowej - oświadczył prezydent Iranu zaprzyjaźnionemu dziennikarzowi z Chin. - Nasz program służy celom pokojowym.

Przecieki nie ustawały, rodziły się nowe pytania. Jeżeli cztery zniszczone laboratoria były cywilne, to dlaczego schowano je w górskich tunelach? Jeżeli rzeczywiście służyły celom pokojowym, dlaczego niedawne eksplozje były ukrywane przed światem? Ponieważ mułlowie nadal nie kwapili się z wyjaśnieniami, Międzynarodowa Agencja Atomowa zrobiła to za nich. Jej dramatyczny raport w sposób bezdyskusyjny udowodnił, że we wszystkich dotkniętych katastrofą instalacjach działały kaskady wirówek. Wniosek mógł być tylko jeden. Iran prowadzi proces wzbogacania uranu w ukryciu, bo ma zamiar zbudować broń jądrową.

Raport agencji spowodował prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi. Już po kilku godzinach od jego publikacji na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych pojawiły się żądania ostrych sankcji wobec Iranu. Prezydent Francji zaproponował nawet wspólną operację militarną, oczywiście pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych. Zapędzeni w kozi róg mułlowie znowu zmienili taktykę. Twierdzili teraz, że utajnienie instalacji przemysłowych jest wynikiem wieloletnich gróźb ze strony Zachodu. Przyznali też, że niedawne wybuchy były spowodowane aktami sabotażu. Ich listę podejrzanych oczywiście otwierał Wielki Szatan oraz jego mały syjonistyczny sojusznik. - To krok w stronę wojny - powiedział irański prezydent. - Islamska Republika Iranu wkrótce odpowie we właściwy sposób.

Poziom patosu rósł wraz z temperaturą zarzutów kierowanych przeciw Stanom Zjednoczonym i Izraelowi. Chcąc wykorzystać zaistniałą sytuację do umocnienia swojej pozycji w społeczeństwie, reżim wezwał naród irański do masowych protestów przeciwko Wielkiemu Szatanowi i jego pomocnikom. Apel ten przyniósł całkiem odwrotny skutek, bo na ulice wyszli również liczni przeciwnicy państwa religijnego. Mułlowie odpowiedzieli terrorem, wysyłając na opozycjonistów oddziały budzącej postrach milicji islamskiej basidż. Demonstracje zostały stłumione, ponad sto osób zginęło, tysiące trafiło do aresztu.

Mułowcie jednak nie docenili siły protestu. Przez kilka kolejnych dni ulice Teheranu stały się sceną wielkich, zorganizowanych pod parasolem Ruchu Zielonych demonstracji gniewu i sprzeciwu wobec reżimu. Światowi komentatorzy polityczni zaczęli przebąkiwać o rychłym końcu religijnego państwa, eksperci militarni doradzali przygotowanie się na kolejną falę finansowanego przez Iran terroryzmu. Nikt jednak nie znał odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jak doszło do sabotażu?

Kto bowiem mógł przypuszczać, że główne role w niedawno przeprowadzonej operacji odegrały takie postacie jak Hendrickje z portretu Rembrandta, była brytyjska reporterka prasowa i aktualna gwiazda amerykańskiej telewizji kablowej oraz szwajcarski finansista, niesłusznie nazywany na całym świecie Świętym Martinem? Niewiele osób wiedziało też o istnieniu niepozornie wyglądającego mężczyzny ze skroniami przyprószonymi siwizną, codziennie wędrującego po skalistym wybrzeżu Kornwalii. Czasami spacerował samotnie, czasami w towarzystwie młodego, barczystego mężczyzny o wyglądzie idola nastolatek.

Pewnego ciepłego popołudnia na początku czerwca, dochodząc do południowego cypla zatoki Kynance, Gabriel dostrzegł na tarasie kawiarni Polpeor w Lizard Point samotną sylwetkę starszego mężczyzny w okularach. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić, lecz po namyśle schylił głowę i poszedł dalej. Stary człowiek przebył kawał drogi, żeby się z nim zobaczyć. Gabriel czuł, że powinien się z nim właściwie pożegnać.

81.

PÓŁWYSEP LIZARD, KORNWALIA

Taras tonął w słońcu. Usiedli w rogu, pod parasolem, Szamron plecami do morza, Gabriel twarzą do gościa. Szamron wsypał do kawy dwie porcje cukru i po hebrajsku spytał o broń. Gdy Gabriel wymownie zerknął na nylonowy plecak, leżący na krześle obok niego, Szamron ściągnął brwi.

- Pistolet powinienes nosić z tyłu, za paskiem. Postępujesz nieregularnie. W ten sposób nie dobędziesz go wystarczająco szybko.

- W czasie dłuższych spacerów uwiera mnie w plecy.

Szamron, sam cierpiący na chroniczny ból krzyża, kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Dobrze, że w końcu dostałeś oficjalne pozwolenie na nieograniczone noszenie broni. - Uśmiechnął się. - Powinniśmy podziękować za to Irańczykom.

- Jakież nowe wiadomości z tej części świata?

- Są przekonani, że stoimy za wszystkim, co się tam stało. Szykują się do rewanzu. Główny strateg Hezbollahu w zeszłym tygodniu odwiedził Teheran. Ich ludzie są nadzwyczaj aktywni, wszystko wskazuje na zbliżający się atak.

- Czy padło moje nazwisko?

- Jeszcze nie.

Sącząc wodę mineralną, Gabriel spytał gościa, co robi w Zjednoczonym Królestwie.

- Mam parę spraw do załatwienia po niedawnej operacji.

- Jakich spraw?

- Podsumowanie wspólnych działań - powiedział Szamron z niesmakiem.

- Przez ostatnich parę dni siedzę w Thames House z hałastrą brytyjskich i amerykańskich szpiegów, którym się wydaje, że mogą mnie pytać o wszystko, co im się podoba.

- Nowy świat, Uri.
- Wolę ten stary. Wydawał się mniej skomplikowany. Poza tym nigdy nie byłem dobry w pracy zespołowej.
- Dlaczego Uzi nie przyjechał?
- Uzi ma za dużo na głowie, by zajmować się takimi głupstwami - powiedział Szamron ze złością. - Poprosił mnie o zastępstwo. Zresztą może to wcale niegłupia decyzja. Atmosfera podczas ostatniej nocy operacji była bardzo napięta, teraz trzeba ją trochę rozładować. Ja to potrafię.
- W jaki sposób udało mi się uniknąć zaproszenia?
- Graham Seymour uważa, że zasłużyłeś na urlop.
- Porządny facet.
- Ale i tak chce ci zadać kilka pytań przed zamknięciem operacji.
- Jakich pytań?
- Przede wszystkim dotyczących obrazu Rembrandta.
- Na przykład?
- Skąd Landesmann wiedział, że obraz pojawił się na rynku?
- Od Gustaafa van Berkela z Komitetu Rembrandta.
- Co ich łączy?
- A jak myślisz, kto jest głównym sponsorem komitetu?
- Martin Landesmann?

Gabriel przytaknął.

- Czy istnieje lepszy sposób na znalezienie zaginionego obrazu Rembrandta niż finansowanie najbardziej szacowanej instytucji zajmującej się twórczością Starego Mistrza? Van Berkel i jego ludzie musieli wiedzieć o każdym obrazie, to przecież oni określali jego atrybucję.
- Tak, to działanie w stylu Martina - powiedział Szamron. - Więc gdy obraz trafił do renowacji w Glastonbury, Martin wynajął profesjonalnego złodzieja.
- No właśnie. Nie uwzględnił tylko jednego, że złodziej ten może mieć sumienie. A więc coś, czego Święty Martin nigdy nie posiadał.
- Kradł ten Francuz z Paryża?

- Wszystko na to wskazuje - odparł Gabriel. - Ale w żadnym przypadku nie możesz go zdradzić przed Brytyjczykami.

- Masz z nim jakąś umowę?

- Nie ja, Eli.

Szamron machnął ręką w geście desperacji.

- Zajmujesz się profesjonalną renowacją dzieł sztuki, a chronisz złodzieja odpowiedzialnego za kradzieże cennych obrazów?

- Gdyby nie spis nazwisk i numerów rachunków, który Durand dał Hannie Weinberg, nigdy byśmy nie dopadli Martina. Udało nam się tylko dlatego, że mieliśmy tę listę.

- A więc cel uświęca środki?

- Zawierałeś pakt z ludźmi bardziej niebezpiecznymi niż złodzieje dzieł sztuki, Ari. Zresztą Maurice Durand jeszcze może się nam przydać. Na miejscu Uziego trzymałbym go w odwodzie, obok Martina Landesmanna.

- Masz od niego pozdrowienia.

- Od Uziego?

- Nie, Landesmanna - odpowiedział Szamron, zadowolony z konsternacji na twarzy rozmówcy. - Martin chce się z tobą spotkać na towarzyskiej kolacji.

- Prawdę mówiąc, wolałbym chyba ponudzić się na podsumowaniu operacji w Thames House. Mimo wszystko podziękuj mu za propozycję.

- Na pewno będzie rozczarowany. Twierdzi, że ma dla ciebie szacunek i że ostatnie wydarzenia traktuje w kategoriach filozoficznych.

- Zastanawiam się, kiedy zaczniesz mówić o zerwaniu naszej umowy.

- Już raz próbowałem. Po eksplozjach w Iranie oświadczyłem, że zrobiłem co do niego należało, i w związku z tym uważa współpracę z nami za zakończoną. Nie rozumie, że tak łatwo nie możemy z niego zrezygnować. Kiedy po jakimś czasie Irańczycy zaczną odbudowę laboratoriów, ktoś musi im w tym zbożnym dziele pomagać.

- Nadal mu ufają?

- Nie mają żadnego powodu, żeby go podejrzewać. Mułowie uważają, że uzyskaliśmy dostęp do wirówek podczas transportu. Martin będzie cennym pomocnikiem przez długie lata. A Uzi, chyba że zrobi coś wyjątkowo głupiego

pod koniec swojej kadencji, przejdzie do historii jako jeden z najlepszych szefów Biura. Dzięki tobie.

Szamron przyjrzał się Gabrielowi z zaciekawieniem.

- Czy to cię nie wkurza, że Nawot zbiera pochwały za coś, co jest wyłącznie twoją zasługą?

- To nie był tylko mój wysiłek, Ari. To praca całego zespołu. W ostatnim okresie byłem dla Uziego źródłem tylu zgryzot, że powinienem mu to wszystko jakoś wynagrodzić.

- Fakt pozostaje faktem, to dzięki tobie opóźniliśmy irański program nuklearny co najmniej o kilka lat. Nie mówię już o twoich zasługach wobec trzech nadzwyczajnych kobiet.

- Trzech?

- Leny, Zoe i Hendrickje. Jak na kilka miesięcy to niezły dorobek. - Szamron zamilkł na chwilę. - Porozmawiajmy teraz o tobie, dobrze?

Gabriel nie odpowiedział.

- Jak podejrzewam, znów masz zamiar mi oznajmić, że chcesz odejść ze służby. - Szamron wolno pokręcił głową. - Pamiętaj jednak, że za jakiś czas znów pojawi się jakiś Martin. Albo terrorysta, który zmasakruje niewinnych ludzi. Wiesz, że znów wrócisz w nasze szeregi.

- Jesteś tego pewien, Ari?

- Twoja matka wiedziała, co robi, nadając ci imię Gabriel. Jesteś wieczny. Tak jak ja.

Gabriel milcząco wpatrywał się w purpurowy odblask popołudniowego słońca na szczytach wzgórz okalających zatokę. Szamron spojrzął na taras kawiarni i uśmiechnął się.

- Przypominasz sobie, jak dawno temu, tuż po zabójstwie we Francji naszego ambasadora i jego żony, spotkaliśmy się tutaj?

- Tak.

- W Paryżu była dziewczyna - powiedział Ari po dłuższym milczeniu. - Ta, która nosiła tyle kolczyków i bransolet. Przypominała mi dzwoneczek na wietrze. Czy pamiętasz, jak...

Szamron umilkł. Wpatrzony w odległe wzgórze Gabriel robił wrażenie całkowicie zatopionego w swoich myślach.

- Przepraszam cię, Gabrielu. Nie chciałem...
- Nie ma za co, Ari. Nigdy nie zapomnę Leah i Daniego.
- Dałeś z siebie bardzo wiele. Może nawet zbyt wiele.
- Tak - powiedział Gabriel głucho. - Chyba masz rację.
- Czy przynajmniej pozwolisz, żebym cię podrzucił z powrotem do domu?

- Nie. Wrócę pieszo.

Podniósł plecak i wstał od stolika. Szamron nawet nie drgnął, jakby chciał zademonstrować swój sprzeciw.

- Ucz się na moich błędach, Gabrielu. Zajmij się żoną. A jeżeli los będzie dla was łaskawy, to dobrym wychowaniem dzieci.

- Postaram się, Ari.

Gabriel schylił się, ucałował Szamrona w czoło i ruszył przez taras.

- Jeszcze jedno - zawołał Szamron po hebrajsku.

Gabriel zatrzymał się i odwrócił.

- Włóż pistolet tam, gdzie powinien być.

Gabriel się uśmiechnął.

- Już to zrobiłem.

- Nawet tego nie zauważyłem.

- Nic nowego, Abba.

Gabriel wyszedł. Obserwowany przez Szamrona, szybko wspiął się na zbocze wysokiego brzegu zatoki Kynance i zniknął w łunie zachodzącego słońca.

Od Autora

Sprawa Rembrandta nie opisuje rzeczywistych zdarzeń. Nazwiska, charakter i miejsca akcji powieści są wytworem wyobraźni autora. Jakiegokolwiek podobieństwo do żyjących lub zmarłych osób, firm, zdarzeń lub miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Przytoczone w książce dane dotyczące kradzieży dzieł sztuki są prawdziwe. Tak samo autentyczne są opisy kradzieży *Mony Lisy* Leonarda da Vinci w roku 1911 i *Le chemin de Sèvres* Corota w 1998 roku. *Portret młodej kobiety*, występujący na stronach *Sprawy Rembrandta*, nie mógł być skradziony, ponieważ nigdy nie został namalowany. Gdyby rzeczywiście istniał, byłby bardzo podobny do innego dzieła holenderskiego mistrza, *Portretu Hendrickje Stoffels*, wiszącego w sali 21 londyńskiej National Gallery.

Nie ma galerii sztuki De Vries Fine Arts nad kanałem Herengracht. Jednocześnie trudno przeoczyć fakt, że podczas drugiej wojny światowej wielu marszandów w Amsterdamie i Hadze prowadziło ożywiony handel z niemieckim okupantem. Historia Leny Herzfeld i jej rodziny jest fikcyjna, jednak ogólne zarysy wojennej tragedii Żydów holenderskich są zgodne z rzeczywistością. Ze stu czterdziestu tysięcy Żydów mieszkających w przedwojennej Holandii tylko dwudziestu pięciu tysiącom udało się uniknąć łapanek i znaleźć schronienie u swoich nieżydowskich sąsiadów, a jedna trzecia z ukrywających się Żydów, wcześniej czy później, została wydana Niemcom lub zaarrestowana przez samych Holendrów. Sławny Hollandsche Schouwburg faktycznie służył jako miejsce przetrzymywania Żydów. Po drugiej stronie ulicy rzeczywiście mieścił się ośrodek dla żydowskich dzieci, z którego kilkaset młodych istot zostało uratowanych dzięki odwadze miejscowego personelu i członków ruchu oporu. Był to jeden z niewielu jaśniejszych momentów w wojennej historii stosunków Holendrów z Żydami. Istnieje bogata dokumentacja pomocy udzielanej uciekającym zbrodniarzom nazistowskim przez Kościół katolicki. Nie ulega też wątpliwości, że banki szwajcarskie w czasie wojny nie zachowywały się etycznie.

Mniej znana jest dzisiejsza rola szwajcarskich firm technologicznych w handlu z państwami o aspiracjach nuklearnych. W swojej dobrze udokumentowanej książce *Peddling Peril* ekspert do spraw proliferacji atomowej David Albright opisuje, jak w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku pracownicy CIA byli świadkami pomocy udzielanej przez szwajcarskie instytucje rządowe firmom eksportującym technologię atomową do Pakistanu. Choć pomoc ta kolidowała z oficjalną polityką kontroli eksportu produktów specjalnego przeznaczenia, w Szwajcarii nie przeszkadzało to nikomu. Jak pisze Albright, „po zgłoszeniu zastrzeżeń przez agencję szwajcarski rząd odmówił zaprzestania tego handlu i zerwał dalszą współpracę z CIA”. Latem 2006 roku prokuratorzy szwajcarscy mieli zamiar postawić przed sądem funkcjonariuszy CIA, zaangażowanych w operację skierowaną przeciwko kierowanej przez A.Q. Khana globalnej sieci przemytu nuklearnego. Dopiero amerykańska interwencja rządowa na najwyższym szczeblu skłoniła Berno do zaniechania tych planów.

Pozbawiona skrupułów szwajcarska branża techniczna nie jest największym eksporterem niebezpiecznych produktów. Palmę pierwszeństwa w niechlubnej dziedzinie utajnionego handlu technologią atomową bez wątplenia dzierżą Niemcy. Podczas zbierania materiału do *Sprawy Rembrandta* rozmawiałem z wysoko postawionym pracownikiem amerykańskiego wywiadu. Stwierdził on, że przeważająca część irańskich instalacji atomowych powstała we współpracy z niemieckimi firmami technologicznymi. Na moje pytanie o powód prowadzenia tak niebezpiecznego handlu rozmówca spojrzął na mnie z politowaniem i odpowiedział krótko: chciwość.

Można by sądzić, że przedsiębiorcy z kraju odpowiedzialnego za Zagładę nie powinni się śpieszyć ze wsparciem reżimu, który oficjalnie deklaruje zamiar usunięcia Izraela z mapy świata. Tego samego można by oczekiwać od Szwajcarii, która na wojennej tragedii Żydów zarobiła krocie. Niestety, rzeczywistość jest inna. Biznes atomowy wie, że nowy status kraju ajatollahów zapoczątkuje wyścig nuklearny w tym regionie, a przed firmami z branży otworzą się świetlane perspektywy.

Wywiady Stanów Zjednoczonych, Izraela i Wielkiej Brytanii robią wszystko, by taki scenariusz się nie ziścił. Czy ich wysiłki przyniosą oczekiwany

skutek, tego nikt nie może przewidzieć. Jesienią 2009 roku spotkałem się z kolejnym wysoko postawionym pracownikiem amerykańskiego wywiadu. Dowiedziałem się od niego, że oprócz fabryki w Kum, Iran buduje inne instalacje wzbogacania uranu i że działania te, stojące w jawnej sprzeczności z zaleceniami Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie mogą być realizowane bez pomocy zachodnich firm i ich technologii. W marcu 2010 roku, a więc tuż przed oddaniem tej książki do druku, „New York Times” poinformował opinię publiczną o odkryciu dwóch dalszych irańskich fabryk wzbogacania uranu. Oczywiście nikt nie powiązał tych rewelacji prasowych z zaginionym obrazem Rembrandta, znanym szwajcarskim finansistą i niepozornym mężczyzną o siwych skroniach, często samotnie spacerującym po wysokim brzegu Kornwalii.

Podziękowania

Sprawa Rembrandta, tak jak poprzednie książki z Gabrielem Allonem w roli głównej, wiele zawdzięcza jednemu z najwybitniejszych konserwatorów dzieł sztuki, Davidowi Bullowi. To on, opowiadając o coraz rzadziej używanej technice podklejenia konserwowanego obrazu ślepym płótnem, pomógł mi znaleźć wiarygodną kryjówkę za płótnem obrazu. Do końca życia pozostanę dłużnikiem niezrównanego Patricka Matthiesena, który przybliżył mi problemy, jakimi żyje świat sztuki, i dostarczył inspiracji dla stworzenia jednej z głównych postaci mojej książki. Chciałbym od razu podkreślić, że oprócz pasji dla sztuki, poczucia humoru i otwartości na świat, Patrick nie ma żadnych innych wspólnych cech z Julianem Isherwoodem.

Moi rozmówcy z wywiadu, zarówno amerykańskiego, jak i izraelskiego, wolą pozostać w cieniu. Roger i Laura Cressey wprowadzili mnie w tajniki globalnej polityki nuklearnej oraz opisali skomplikowaną strukturę narodowego systemu bezpieczeństwa. Bardzo dziękuję M. za instrukcje „przejmowania” telefonu komórkowego czy laptopa. Muszę przyznać, że po rozmowie z M. mój stosunek do komórki uległ znacznej zmianie.

Dyrektorka nowojorskiego biura pozwów o zwrot żydowskiego mienia, Anna Rubin, opowiedziała o typowych problemach procesu odzyskiwania utraconych w czasie Zagłady majątków. Peter Buijs nauczył mnie korzystania z bazy danych amsterdamskiego Muzeum Historii Żydów. Sarah Feirabend z Hollandsche Schouwburg zdała mi relację z tragicznej historii tego miejsca. Sarah Bloomfield i Fred Zeidman, moi współpracownicy z United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie, jak zwykle stanowili źródło ciągłej inspiracji. Tradycyjnie chylę czoło przed wszystkimi, którzy walczą o podtrzymanie pamięci o sześciu milionach ofiar płomieni Zagłady.

Spis treści

Prolog	9
Część pierwsza <i>POCHODZENIE</i>	13
Część druga <i>ATRYBUCJA</i>	97
Część trzecia <i>POTWIERDZENIE AUTENTYCZNOŚCI</i>	171
Część czwarta <i>ODSŁONIĘCIE</i>	251
Część piąta <i>ODZYSKANIE</i>	351
Od Autora	376
Podziękowania	379